

PROWINCJA

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW • NR 4 (14) • 2013





BANK SPÓŁDZIELCZY
W SZTUMIE

TRADYCJA DOŚWIADCZENIE NOWOCZESNOŚĆ



Wydawnictwo kwartalnika wspiera
Zarząd Fobos Invest:
Jacek Szarycki i Witold Zapolski-Downar



Publikacja została dofinansowana z budżetu samorządu
Województwa Pomorskiego w ramach programu
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2013 roku”

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. Josepha Conrada Korzeniowskiego
Pracownia Regionalna
przegródka poczt. Nr 447
80-958 Gdańsk 50
tel. 301-48-11 do 14 w. 237

PROWINCJA

KWARTALNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW

Nr 4 (14)

2013

Redakcja

Leszek Sarnowski - redaktor naczelny
Wacław Bielecki - sekretarz redakcji
Marek Stokowski
Janusz Ryszkowski
Andrzej Kasperek

Okladka: Mariusz Stawarski

Obrazy na III str. okładki: Jerzy Wojciech Bielecki – Wariacje operowe, Wielki finał

Obraz na IV str. okładki: Jerzy Wojciech Bielecki – Opera komiczna

Druk: Drukarnia W&P

ul. Akacjowa 29, 82-200 Malbork

Wydawca:

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie
82-400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10
tel. 693 527 614
prowincja@onet.pl

Redakcja składa serdeczne podziękowania za wsparcie naszej inicjatywy wydawniczej:

Andrzejowi Krzysztofiakowi, burmistrzowi Kwidzyna
Jerzemu Godzikowi, staroście kwidzyńskiemu
Wojciechowi Cymerysowi, staroście sztumskiemu
Leszkowi Taborowi, burmistrzowi Sztumu
Andrzejowi Rychłowskiemu, burmistrzowi Malborka
Miroslawowi Czapli, staroście malborskiemu
Kazimierzowi Szewczunowi, burmistrzowi Dzierzgonia
Jackowi Michalskiemu, burmistrzowi Nowego Dworu Gdańskiego
Ewie Dąbskiej, staroście nowodworskiej

Dziękujemy również za współpracę przy promocji kwartalnika:

Sztumskiemu Centrum Kultury
Dzierżońskiemu Ośrodkowi Kultury
Kwidzyńskiemu Centrum Kultury
Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim
Stowarzyszeniu Inicjatywa Aktywny Malbork
Stowarzyszeniu Malborskie Centrum Kwadrat
www.marienburg.pl
www.tvmalbork.pl

Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:

Kwidzyńskie Centrum Kultury
Sztumskie Centrum Kultury
Żuławski Park Historyczny w Nowym Dworze Gdańskim ul. Kopernika 10
Księgarnia „Bestseller” w Sztumie ul. Reja 13
Agencja Reklamowa „Aliem” Sławomira Michalika Sztum ul. Galla Anonima 8
Sklep papierniczo - biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5

Redakcja prowadzi również sprzedaż wysyłkową –
zamówienia można składać pocztą elektroniczną na adres wydawcy.

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy
– Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:
Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

ISSN 2082-0291

www.prowincja.com.pl

Nakład 400 egzemplarzy

SPIS TREŚCI

Czternasta „Prowincja”	5
Poezja	
Janusz Ryszkowski	6
Lothar Quinkenstein	7
Justyna Czernicka	9
Krzysztof D. Szatravski.....	11
Jan Chłosta – Zapomniani poeci z Powiśla.....	13
Proza	
Marek Stokowski – Pan Z.....	20
Waldemar Kacprzyk – Kwakin	22
Jerzy Kosacz – Powidoki malborskie	28
Grażyna Kamyszek – Podwórkowe rewiry	35
Tomasz Wandzel – Grzeczna dziewczynka	41
Janusz M. Moździerz – O upadku malarza... ..	48
Andrzej Kasperk – Więzień nr 21319 – Balys Sruoga.....	49
Wędrowki po prowincji	
Jerzy Kosacz – Ukrzyżowana księżniczka, czyli zagadkowe malowidło w kwidzyńskiej katedrze	56
Łukasz Rzepczyński – Żywe wspomnienia.....	62
Aleksandra Paprot – O Edycie Kozakiewicz z Tujska	69
Izabela Chojnacka-Skibicka – Pozbawiony rozsądku mieszczuch wyprowadza się na żuławską wieś	74
Agata Weydmann, Adrian Zwolicki – Bóbr z delty Wisły.....	77
Na tropach historii	
Jurgen Weigle – O menonitach	83
Izabela Lewandowska – <i>Oral history</i> , sztumskie historie mówione.....	94
Marta Chmielińska-Jamroz – Jak znaleziono szczątki majora Łupaszki	105
Piotr Ostrowski – Z kart kroniki szkolnej w Gościszewie	110

Prowincje dalekie i bliskie

- Dorota Maluchnik – Nie gniewaj się na mnie, Polsko..... 114
Piotr Piesik – Z prowincji na igrzyska.
 Rozmowa z podróżnikiem Krzysztofem Skokiem..... 118
Anna Karpenko – Historia „cerkiewnej prywatyzacji” w Kaliningradzie..... 124

Nieprowincjonalne rozmowy i wspomnienia

- Wiesław Olszewski – Wspomnienie o księdzu Karbaumie 132
Bogumił Wiśniewski – Moje spotkania z księdzem prof. Januszem St. Pasierbem 136
Leszek Sarnowski – Żadnego ze swoich wyborów nie żałuję.
 Wywiad z o. Michałem Nowakiem, franciszkaninem 143

Muzyka-Plastyka-Teatr-Film

- Wacław Bielecki – Moja muzyczna prowincja jesienią..... 153
Jacek Albrecht – Kaszubski Kamienny Krąg Pamięci..... 160

Galeria Prowincji

- Jerzy Kosacz – Jerzy Wojciech Bielecki 163

Recenzje

- Jacek Albrecht – Znaki przeciwne 165
Andrzej Lubiński – Kasa kościelna..... 166
Andrzej Lubiński – Zakony i zakonnicy w Malborku i Dzierzgoniu..... 169
Andrzej Kasperek – Sztutowo/Stutthof - pomiędzy plażą a obozem..... 172
Wacław Bielecki – Kwadratowy album 174
Andrzej Kasperek – Gdzieś pomiędzy Tyśmienicą a Wieprzem,
 czyli a to Polska właśnie 176
Marta Chmieleńska-Jamroz – Wyklęci..... 178

Debiuty

- Anna Misiewicz – Powrót przeszłości 180
Marcelina Rodziewicz – Zwyczajny obóz..... 185

Z przymrużeniem oka

- Maciej Kraiński – Był brydż..... 188
Marek Stokowski – XIV Prowincjonalia 190

Noty o autorach 194

CZTERNASTA „PROWINCJA”

Na początek śpieszymy poinformować naszych Czytelników, że nasz kwartalnik, mimo młodego wieku, stał się już przedmiotem naukowych badań. Na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie, Olga Olszewska obroniła pracę licencjacką pod tytułem *Rola kwartalnika Prowincja w animowaniu kultury regionu Dolnego Powiśla i Żuław*. Praca została napisana pod kierunkiem dr Krzysztofa Szatravskiego z Olsztyna, którego wiersze, w podzięce rzecz jasna (no i dobrego sąsiedztwa też) publikujemy w tym numerze kwartalnika.

Poetyckim wersem wraca długo oczekiwany Janusz Ryszkowski, i prosto z Berlina Lothar Quinkenstein, ponadto Justyna Czernicka ze Starego Targu i Jan Chłosta z Olsztyna, tym razem o poetyckich inklinacjach Franciszka Jankowskiego i Franciszka Jujki. Dział prozy kusi nowym opowiadaniem Marka Stokowskiego (w nieodmiennej formie również w kolejnych *Prowincjonaliach*). Powiślańsko-żuławskie klimaty to: kwidzyńscy - Waldemar Kacprzyk i Jerzy Kosacz, malborski Janusz Moździerz, prabucki Tomasz Wandzel, sztumka Grażyna Kamyszek i bardziej litewski, choć ze smutną żuławską nutą, Andrzej Kasperek.

Powieje też nieco światem. Gościnnie, socjolog z Kaliningradu Natalia Karpenko, pisze o podejrzanej prywatyzacji krzyżacko-pruskich zabytków przez prawosławną cerkiew. Do tej pory pisaliśmy bardzo dużo o menonitach i dziedzictwie pozostawionym w naszym regionie. Tym razem głos oddajemy prawdziwemu menonicie, potomkowi żuławskich menonitów. Jurgen Weigel ze Szwecji pisze o korzeniach swojej religii, wspominając losy swych przodków na Żuławach. Dorota Maluchnik z kolei, diagnozuje młodą polską emigrację w Anglii.

Jak zwykle sporo naszej lokalnej historii. Łukasz Rzepczyński odkrywa wstrząsającą historię jednej z rodzin w powojennej Gardei, a Jerzy Kosacz dzieje oryginalnego obrazu ukrzyżowanej księżniczki z brodą w kwidzyńskiej katedrze. Izabela Lewandowska recenzuje sztumskie historie mówione zbierane przez miejscowych historyków, Piotr Ostrowski cytuje kronikę z początków szkoły w Gościszewie, a Marta Chmielińska-Jamroz towarzyszy odkrywaniu szczątków majora Łupaszki.

W nieprowincjonalnych rozmowach sporo o ludziach kościoła. Wiesław Olszewski wspomina księdza Ernsta Karbauma, proboszcza z Żuław, zamordowanego w Stutthofie, Bogumił Wiśniewski - poetyckie spotkania z księdzem profesorem Januszem Pasierbem, franciszkanin Michał Nowak w rozmowie z Leszkiem Sarnowskim zastanawia się jak być dobrym księdzem i dzieli się refleksją na temat kościoła, młodzieży i cywilizacyjnych wyzwań. Piotr Piesik przepytuje podróżnika Krzysztofa Skoka o wędrówkach po Syberii.

Wacław Bielecki wspomina muzyczną jesień od Malborka, po Elbląg, Olsztyn, Gdańsk i Bydgoszcz, a Jerzy Kosacz zachwyca się malarstwem Jerzego Bieleckiego, rodem z Kwidzyna. Jego obrazy zdobią tylną okładkę kwartalnika, a ze strony tytułowej, jak zwykle swoim czujno-ironicznym okiem na naszą prowincję, spogląda Mariusz Stawarski. Ola Paprot zachwyca się pasjonatami z Żuław, a Jolanta Skibicka-Chojnacka swoim nowym domem i życiem w Kleciu. Nową rubrykę *Debiuty* inaugurujemy prozą licealistki z Kwidzyna Anny Misiewicz i gimnazjalistki z Malborka Marceliny Rodziewicz.

Idą święta, więc tym razem nie tylko o ludziach, ale i zwierzątkach (tekst Agaty Weydmann, Adriana Zwolickiego z Gdyni) związanych z naszym regionem w sposób szczególnie, choć nie zawsze użyteczny. Chodzi o bobry, co do których akurat można mieć płonne nadzieje, że w noc wigilijna przemówią ludzkim głosem.

My, jak zwykle przy ludzkim głosie, zatem życzymy Radosnych Świąt Bożego Narodzenia i przetrwania zimy, jakakolwiek by była, z nadzieją na kolejne spotkanie na wiosnę.

Redakcja

Janusz Ryszkowski

OGRÓD POEZJI KOCIEWSKIEJ W CZARNEJ WODZIE, W PEWIEN DESZCZOWY PAŹDZIERNIK

Andrzejowi Grzybowi i Tadeuszowi Linkęrowi - ogrodnikom

Każdy przyniósł co tylko
miał najlepszego
albo mógł przemycić
pod skórą
okładek
nutę zmierzchu
dzikie mięso
powiew ciszy
najnowszy katalog lęków

Czy mogło to się równać
z ciepłym jeszcze kuchem¹
przypominającym moją babcię
z Opalenia?

Kilku ogrodników
pracowicie plewiło
to co i tak odrasta
niewidzialnie

Grabie, nożyce, grace
może niepotrzebne
w tym przydomowym ogródku poezji?

W razie potrzeby
niedaleko supermarket
niskie ceny codziennie
a są – przyznajmy - rzeczy
które w naszym klimacie
zwyczajnie się nie udają

¹ Ciasto

Lothar Quinkenstein

Z AUGUSTEM GOETHE W PODRÓŻY

*... tam, w Tiber-Ostii, gdzie my, daleko od tłumów ...
(Św. Augustyn, Wyznania, Księga dziewiąta)*

W kolejce podmiejskiej
zacytowałem
wersy pani Kaschnitz on
wisiał markotnie przy oknie
patrzył na kozy skubiące trawę na rozczochrane
działki przy torach sterczący szrot.

Po wibrującym żelazie przez trasę
szybkiego ruchu nasze
kroki pchały zwiedłe liście papierki
po słodyczach.

Nekropolis termy
teatr mitreum on ledwo
popatrzył a ja
szukałem w biegu
mijając tablice pouczające
schody i stoły i rosę.

Przy Porta Marina mury
w sam raz do siedzenia w mozaice
kruszą się wieczni atleci
on chciał na łąkę.

Podniosłem grymas
oczytanego dreszczu
w błękit grudniowego nieba
w pinii zapach i wiosny August
wcisnął korek do flachy
wziął tęgi łyk.

Uwierz mi
w nosie mam cały ten kram starożytny ten Dom
pękający od książek skorupek
od rycin kryształów czaszek granitu
a ciągle i zawsze
całej pogodnej zabawie na przekór
my
uciążliwe ciała obce w środku
wspaniałej wszechnatury
my
kamienie o które potyka się stopa Dom
pękający od słów
a ciągle i zawsze wszystkim
rymom na przekór
moja matka za głupia aby choć jedno
zdanie napisać bezbłędnie
z każdym dniem grubsza a on
z damami w kurorcie
za delikatnymi rączkami
szepcą że oprócz pijaństwa
niczego mnie nie nauczyła
uwierz mi
gdyby nie ona
późno dopiero
bym się dowiedział
że człowiek
potrafi człowieka dotykać.

*Tłum. z języka niemieckiego:
Małgorzata Anna i Lothar Quinkenstein*

Justyna Czernicka

RÓŻA WSPÓŁCZESNA

barwa czarna
(kolor elegancji)
wysoka odporność na chłód
(przetestowana wielokrotnie)
...
(niespodziewany wysyp kolców)

róża
genetycznie modyfikowana
wytwór cywilizacji śmierci
woła
o czerwień

idzie ulicą
mija ją dwóch
ładna mówi jeden
gdzie tam ładna mówi drugi

stoi na przystanku słyszy
niezła
daj spokój oczu nie masz

wsiada do autobusu
sama nie wie jaka

CZASEM

papugi żyją parami
czasem jedna umiera
wtedy druga
zostaje
na dnie
klatki
sama

nawet kot jej współczuje

ONI

oni są wszędzie

wychodzą z nienacka
czyhają na rogu ulicy

lepiej
na nich nie patrzeć
można się pobrudzić

powoli odwracam głowę
przechodzę mimo

nie jestem przecież
Samaritaninem

Krzysztof D. Szatrawski

PROGNOZA POGODY

dzień dobry, dzień pogodny
ani jednej chmurki, słońce, lekka bryza
ciepło choć nie za gorąco, widoczność doskonała
widoki jeszcze lepsze
nad ranem przelotny deszcz zmyje kurz z ulicy
odświeży powietrze, zieleń ożywi
samopoczucie stuprocentowe
można powiedzieć, bezgraniczne szczęście
i jak się to państwu podoba
a z tego co widzimy, to ledwie początek
spójrzmy na plany
tu będą domy, tam trawnik, boisko
chyba jakiś sklep, wszystko jasne
i pewnie w kolorach tęczy
za to jutro znów dzień dziecka
więc nawet cukierki nie będą psuć zębów
i tylko prasa nie ma o czym pisać
ale po co czytać prasę
od kiedy nikt nie czyta
świat pełen jest pogodnych ludzi
a pogoda jak na zamówienie

ZDRADA

nasza wiara naiwna
nie wymaga męczeństwa
składa się z kilku zdań
niepoprawnie zapisanych przez
niedouczonego poborców
namiestnika o zielonych oczach
albo nawróconych rozbójników
splamionych czarną krwią i łzami
niewinnych przechodniów
podróżnych handlarzy w wozach
z kołami na kutych obręczach
łysych kramarzy spieszących
z towarem na plac o świcie
spacerowiczów i włóczęgów

niewidomych śpiewaków
przesiadających w herbaciarni
nad pustą filiżanką
nasza wiara jest ciemna i
nie wymaga dowodów
na istnienie boga, który niweczy
swe dzieła w mroźnej ciszy
który buja w ciemnej kołysce nocy
krzykliwe potomstwo i śpiewa
wszystkie piosenki naiwne
od początku świata
nasza wiara oświecona
historyczne szaleństwo cesarza
lży milczącego władcy z zapadniętym czołem
złożona w ofierze jak dwa obole
zamknięta jak drzwi pałacu, jak twarz
policjanta śledzącego martwy zegar
jak pęknięte lustro w którym
odbija się każdy pokój
i nasza nieobecność

URODZINY

dzwonią od rana przyjaciele
podchmieleni obietnicami wiecznego szczęścia
wspaniałością swych życzeń
szczerością zapakowanych w kokardki pragnień
pompatyczni, godni, hałaśliwi i szczęśliwi
a wszystko czego mi życzą już jest
naprawdę, na koncie, na końcu widelca
albo nigdy nie będzie

a może inaczej
przychodzą wczesnym popołudniem
spokojnie zaglądają do kuchni, siadają na schodach
próbują wino, zaglądają do lodówki
rozmawiają o wszystkim, a każdy myśli inaczej
o szczęściu, nie o życzeniach, o życiu
przychodzą z wody, z powietrza, ze zmyślenia
a przed północą splecione języki
przemówią jedną cichą melodią
i tak się spełni

Jan Chłosta

ZAPOMNIANI POECI Z POWIŚLA

Zarówno Franciszek Jankowski jak i Franciszek Jujka nie urodzili się na Powiślu, ale z tą ziemią jako nauczyciele polskich szkół w latach międzywojnia związaali się kilkuletnią pracą. Obaj pisali wiersze, zbierali folklor tej ziemi i podejmowali w tamtych latach szeroką działalność pozaszkolną w miejscowościach, w których przyszło im nauczać. Przez to w krótkim czasie pozyskali uznanie miejscowej ludności i zdołali powiększyć liczbę uczniów w polskich szkołach.

FRANCISZEK JANKOWSKI

Franciszek Jankowski urodził się w Nakle 4 października 1904 r., ale jego rodzice: ojciec Stanisław, z zawodu cieśla i Pelagia z domu Matuszewska, już w 1905 r. wyemigrowali za chlebem do Westfalii. Przyszły poeta ukończył gimnazjum klasyczne w Herne i podjął studia filozoficzne na Uniwersytecie Berlińskim. Po nawiązaniu kontaktów ze Związkiem Polaków w Niemczech zmienił uczelnię i przeniósł się do Wyższej Szkoły Handlowej. Równocześnie nawiązał bliską współpracę z redakcją „Akademika Polaka w Niemczech”, następnie powierzono mu, wspólnie z Heleną Lehr, redagowanie czasopisma „Małego Polaka w Niemczech”. W tym piśmie zaczął drukować pierwsze swoje wiersze pod pseudonimem Szczęsny Zapolski. Rozwinął też szerokie kontakty z młodymi Polakami w Niemczech jako Wujek Franek¹. Z całych Niemiec napływały do redakcji listy młodych czytelników, które Wujek Franek drukował i skrupulatnie na nie odpowiadał. Stąd między czytelnikami a redakcją utrwaliła się szczególna więź. Zajmowało wiele czasu i skłoniło Jankowskiego do zrezygnowania ze studiów.



Franciszek Jankowski, fot. archiwum autora

Z początkiem marca 1929 r. został skierowany do pracy w olsztyńskim Banku Ludowym. Dzięki temu zdołał poznać specyfikę pracy w IV Dzielnicy Związku Polaków, do której wchodziło także Powiśle. Następnie ukończył roczny kurs, zapewniający uprawnienia zawodu nauczyciela, urządzony przez Seminarium Nauczycielskie w Poznaniu i odbył prak-

¹ T. Filipkowski, *Franciszek Jankowski, w: W obronie polskiego trwania, Olsztyn, 1989, s. 55.*

tykę w szkole w Małym Gaju pod Szamotułami. W listopadzie 1932 r. powrócił do Berlina i nauczał języka polskiego na kursach wieczorowych, a z początkiem kwietnia 1933 r. objął Polsko-Katolicką Szkołę Prywatną w Sadłukach pod Sztumem. W krótkim czasie wspólnie z Janem Boenigkiem, wtedy kierownikiem Polsko-Katolickiego Towarzystwa Szkolnego na Powiśle, zdołali nie tylko utrzymać tę szkołę, lecz powiększyć liczbę uczniów z 6 do 18. Jankowski miał obywatelstwo niemieckie. Mógł więc bardziej angażować się w działania kulturalne w okolicznych wsiach. Przez to poszerzył kontakty z miejscową ludność.

Rozwinął na Powiślu polskie harcerstwo. Od października 1935 r. kierował pracami przygotowawczymi do powołania Hufca Ziemi Malborskiej Związku Harcerstwa Polskiego w Niemczech. Powiększył ilość drużyn przy szkołach polskich i liczbę zuchów i harcerzy do 111 dziewcząt i chłopców (bez uczniów powstałego 10 listopada 1937 r. Polskiego Gimnazjum w Kwidzynie). Pomoc w tym okazały mu wychowawczynie polskich przedszkoli. Zabiegał o uczestnictwo zastępowych w kursach, organizowanych w kraju, aby pozyskali odpowiednie przygotowanie do pracy w drużynach. W obozie letnim w Nowym Porcie brały udział Jadwiga Klattówna, Gertruda Kwiatkowska, Maria Rajska, Wanda Smiechówna i Waleria Wróblewska. One prowadziły drużyny w Postolinie, Sadłukach, Mikołajkach, Trzcianie, Waplewie i Nowym Targu. Jako komendant Hufca ułożył program pracy drużyn, w tym także akcją letnich obozów.

Inną formą działalności był utworzony z gronem wychowawczyń przedszkoli i nauczycieli teatrzyk kukielkowy. Zachowały się zapisy konsulów o pracy tego teatrzyku. Zespół z Powiśla, podobnie jak nauczyciele polscy na południowej Warmii, przygotował dwa przedstawienia na podstawie tekstów Marii Kownackiej w kwietniu 1937 r. „Bajowe bajeczki” i w grudniu tego samego roku „O Kasi co gąski zgubiła”. Przedstawienia cieszyły się dużym zainteresowaniem: pierwsze obejrzało 511 osób, a drugie 744, w tym blisko 90 dzieci nie uczęszczających do polskich szkół.

Z końcem 1938 r. kierownictwo Związku Polaków w Niemczech wycofało Jankowskiego z pracy w szkole w Sadłukach, powierzając mu prace redakcyjno-wydawnicze. Zamieszkał znów w Berlinie. Przed samym wybuchem wojny rozpoczął pracę w Polskim Gimnazjum w Bytomiu. Zdołał uniknąć aresztowania, ale został wywieziony na roboty w głąb Niemiec. Powrócił w 1945 r. i był wykładowcą na Uniwersytetach Ludowych w Jureckim Młynie pod Morągiem, Rudziskach Pasymskich i Mikołajkach Mazurskich. Wydrukował wiele artykułów w czasopiśmie „Polska Zachodnia”. Między innymi pisał o uprawie lnu na Warmii, warmińskich strojach ludowych, starej poczcie w Ostródzie, kościele polskim w Zalewie. Był bliskim współpracownikiem „Słowa na Warmii i Mazurach”, regionalnego dodatku do „Słowa Powszechnego”, w którym zamieścił co najmniej pół setki artykułów. Aż pięć baśni przez niego literacko opracowanych znalazło się w czytelnikowskim „W Nowym kiermaszu bajek”. Były to: „Krasnoludki w Siemianach”, „Kłobuk w wiatraku”, „Bajka o królu ryb”, „Bajka o leśnej studni” i „Nieznana pieśń”. Nadto baśń „Krasnoludki w Siemianach” została nawet przedrukowana w „Klehdach domowych”.

Jesienią 1953 r. zamieszkał w Chodzieży. Nie zerwał kontaktów z Olsztynem. Wciąż nadsyłał swoje teksty do „Słowa”. W jednym z listów do redakcji napisał: „*Ja tylko ciałem jestem*”

w Chodzieży. *Całą duszą jestem u Was, w Olsztynie, wierzcie mi, ja żyję Warmią. Tak chciałbym być z Wami, czyż nie ma żadnych możliwości żebym mógł być w Olsztynie?*² Zmarł niespodziewanie na zawał serca 8 października 1956 r. w Murowanej Goślinie w powiecie Oborniki.

FRANCISZEK JUJKA

Franciszek Jujka był dwa lata młodszy od Jankowskiego. Wywodził się z Wielkopolski. Urodził się 28 września 1906 r. w Ratajach w powiecie wolsztyńskim. Jego rodzice - Michał i Rozalia byli rolnikami. Po ukończeniu w 1925 r. Seminarium Nauczycielskiego w Rogoźnie Wielkopolskim podjął nauczanie w Kielkowie pod Wolsztynem, potem pracował w szkołach w Radzyniu i Nowym Żodyniu. Na Powiśle do Nowej Wsi przybył w połowie października 1930 r. Tutaj przejął cztery miesiące wcześniej otwartą szkołę. Uczęszczało do niej zaledwie 10 dzieci. Był dość operatywny, co miejscowym Niemcom się nie podobało. Oto w nocy z 12 na 13 grudnia 1930 r. nieznani sprawcy rozbili szyby w izbie wynajętej u gospodarza Rednera, w której mieszkał. W 1933 r. zdołał powiększyć liczbę uczniów do 20. W grupie powiślańskich nauczycieli uchodził za bardzo oddanego sprawie polskiej. Zdołał też sobie zjednać przychylność mieszkańców wsi. Z tego powodu kierownictwo Towarzystwa Szkolnego przeniosło go do większej szkoły w Starym Targu. Uczęszczało tu 36 uczniów. I tutaj dzięki działalności pozaszkolnej zdobył uznanie mieszkańców. Założył 11 osobowy zespół mando-



Franciszek Jujka z żoną w 1933 roku, fot. archiwum Szkoły w Starym Targu

² M. Sendrowska, *Ludzie na szańcu. Żył i pracował dla Warmii*, „Słowo na Warmii i Mazurach”, 1956, nr 47.

linistów, wygłaszał pogadanki na tematy literackie i historyczne, zbierał folklor nadwiślański z myślą o wydaniu drukiem opracowanych gadek i pieśni. Drukował swoje wiersze i teksty prozą w „Gazecie Olsztyńskiej” i „Młodym Polaku w Niemczech” pod pseudonimem Lech Malbor. Ta wszechstronna działalność Jujki musiała wzbudzić zaniepokojenie niemieckiego inspektora szkolnego Irmlera. Polski nauczyciel wszak nie miał obywatelstwa niemieckiego, przez to można było go usunąć z Powiśla pod byle pretekstem. Ostatecznie Irmler znalazł taki powód: ponieważ w czasie wizytacji w polskiej szkole jeden z uczniów nie potrafił podać daty i miejsca urodzin oraz najważniejszych dokonań Hitlera, to uznał, że Jujka nie nadawał się do pracy w Niemczech, bo w swoim nauczaniu pomijał tak ważne, jego zdaniem, wydarzenia.

Z początkiem sierpnia 1936 r. cofnięto więc polskiemu nauczycielowi zezwolenie na nauczanie w Rzeszy i nakazano mu w ciągu dwóch tygodni opuścić Powiśle. Powiadamiając o tym Poselstwo RP w Berlinie, konsul z Kwidzyna napisał: *Jujka jest jednym z najlepszych nauczycieli, bardzo rzutki i energiczny, o dużym wyrobieniu społecznym i znający świetnie dzięki sześcioletniej pracy na tutejszym terenie Prusy Wschodnie. Rozwinął on dotąd żywą działalność nie tylko w szkole, lecz również na terenie świetlicy i biblioteki, towarzystwa śpiewaczego, dzięki czemu praca społeczna w Starym Targu rozwijała się dodatnio.*³

W październiku 1936 r. Jujka został przeniesiony do Meklemburgii. Zamieszkał z rodziną w Neudenbranderburgu i nauczał języka polskiego w sobotnie i niedzielne popołudnia robotników zatrudnionych w majątkach ziemskich. W grudniu 1938 r. wysiedlono go z Niemiec. Odtąd nauczał w Kębłowie. W czasie wojny ukrywał się pod nazwiskiem Józef Bayer. Prowadził też działalność konspiracyjną, 30 października 1943 r. został aresztowany przez gestapo i osadzony w obozie w Żabikowie pod Poznaniem. Tam został tego samego dnia zamordowany. Według innej wersji został stracony 20 stycznia 1944 r.

WALCZĄCY POECI

Obaj polscy nauczyciele pisali wiersze. Jankowski napisał ich więcej, bo żył dłużej. Osiem wierszy Franciszka Jujki znalazło się w zbiorze „Żarliwe słowa” wydanym w 1965 r. w Zielonej Górze. Tomik opracował Tadeusz Kajan, który opatrzył zbiorek krótkim wstępem. Czytamy w nim m. in. „*Na tle twórczości literackiej związanej z ruchem rodowym w latach trzydziestych, kiedy sędziwych lat dożyli luminarze ludowej tradycji poetyckiej, pisarstwo i działalność Lecha Malbora predysponują go do rzędu czołowych rzeczników nieugiętych losów polskich nad Odrą i Bałtykiem.*”⁴ Potwierdzenie tych zdań znajdujemy w jego poemacie deklamowanym przez młodzież z Niemiec z poszczególnych dzielnic na pamiętnym Kongresie Polaków w Berlinie 6 marca 1938 r. „*Spotkali się bracia*”. Młodzi z Prus Wschodnich i Ziemi Malborskiej recytowali taki jego tekst:

O ziemio pruska, ojczysty zagonie –
Strojna w jeziora i lasy.
Malborskie, warmijskie, mazurskie dłonie,
Dzierżą cię w odwieczne czasy!

³ AAN, KK, sygn. 3663, k. 227, Pismo Konsula z 17 VII 1936 r.

⁴ T. Kajan, *Żołnierz słów żarliwych*, w: *Lech Malbor, [F. Jujka], Słowa żarliwe*, Zielona Góra 1965, s. 6.

Ojcowie cię nasi potem swym zrosili
 I w krzyże, kościoły ubrali.
 Gietrzwałdzkiej Pannie ofiarę nosili,
 Pieśń polską przy pługu śpiewali.
 A ojce nasi to Piasta synowie,
 To lud od sochy i pola,
 Co w polskim zwyczaju i polskim słowie,
 Tak twardy jak jego doła!
 My zagon ojczysty orać będziem wraz
 Pługa i krzyża wojacy,
 A krew co braci łączy nas.
 To znak: J e s t e ś m y P o l a c y!⁵

Franciszek Jujka napisał też słowa „Hymnu Rodła”, zaczynającego się od słów:

Nam Bóg powierzył Ojców ziemnicę,
 Oraną sochą, zroszona krwią.
 Dał znak rodowy: Wisłę – Rodzicę
 Co karmi łany krynicą swą.⁶

Melodię do tego wiersza napisała J. Kaczmarkowa. Hymn był śpiewany podczas Kongresu Polaków w Berlinie.

W tym miejscu godzi się również przypomnieć słowa „Pieśni o Ziemi Malborskiej”:

Malborska ziemio, rodzinna kraino!
 Klejnocie, coś w serce nam wrósł.
 Praojców naszych, odwieczna dziedzino,
 Kochamy cię głębią swych dusz.
 Tyś Wiśle ulubiona, Bałtyku znasz wiew,
 Pieszczotą fal skąpana,
 Z karpackich granitów dolata cię śpiew:
 Malborska Ziemio kochana!
 Uroczę twoje jeziora i łany,
 Twe wioski i krzyże u dróg,
 Twych nizin i wzgórków łańcuch utkany,
 Twych chat – gościnny ich próg.
 Kościołów i wieże, cmentarze mogiły,
 Twa przeszłość krwią zapisana...⁷

⁵ L. Malbor, *Spotkali się bracia (Zawołanie kongresowe)*, w: H. Lehr, E. Omańczyk, *Polacy spod znaku Rodła*, Warszawa, 1972, s. 173.

⁶ Tenże, *Hymn Rodła*, w: *Słowa żarliwe*, op. cit. s. 14.

⁷ Tamże, s. 13.

I Jankowski uderzał w struny patriotyczne. Wiersze jego są pełne patosu. Często zwracał się do młodzieży jak w wierszu „My młodzi”:

Szczytne zadanie powierzył nam Bóg,
 My jego wolę spełnimy!
 Nie znamy haniebnych wahań i trwóg
 Idziemy Ojców śladami.
 Ołtarze Ojców tak świeże nam są,
 Że każdy z nas chętnie się godzi
 Ich wolę w sercu zachować ze czcią.
 To ślubujemy, my młodzi.⁸

Starał się w swoich wierszach wskazywać na postawę Polaka w Niemczech rozumnego i zaangażowanego w sprawy narodowe, jak w utworze „Błogosławieni”:

Błogosławiony, kto wytrwałym czynem
 Dowodzi światu, iż jest narodu synem.
 Błogosławiony, kto do Ciebie, Panie
 W ojców języku zanoszą błaganie.
 Błogosławiony, kto w hufcach Polaków
 O lepsze walczy jutro dla rodaków,
 Błogosławiony, kto Naród tak ceni,
 Że pod naporem obcym się nie zmieni.
 Błogosławiony, kto ze swej krwi nie szydzi,
 Więc pochodzenia swego się nie wstydzi.
 Błogosławieni, kto wiernym zwyczajem
 Dzieciom przekazał Ojców obyczaje.
 Błogosławiony, kto z wzniesionym czołem
 Jest świętej sprawy apostołem...⁹

Nadto poeta poświęcił też wiersz „Pamięci świetlanej postaci księdza Patrona dr Bolesława Domańskiego”, zmarłego 21 IV 1939 r., w którym zawarł testamentowe słowa prezesa Związku Polaków w Niemczech o tym, że „Lud Polski się nie da!”

Nie można pominąć wydanego w 1939 r. zbiorku „ABC dziatwy polskiej w Niemczech”, będącego opisaniem ważniejszych placówek polskich w Rzeszy. Ukazał się on z okazji 10-lecia powstania polskich szkół w Niemczech. Niewielkich rozmiarów książeczka została wzbogacona kolorowymi ilustracjami Łużyczanina Marcina Nowaka. Jak zwierzał się Jan Boenigk, pierwotnie miała to być gra planszowa, jednak wciąż ograniczone środki nie pozwoliły na takie wydanie.

⁸ Szczęsny Zapolski, [F. Jankowski] w: *Wiersze spod znaku Rodła*, op. cit. s. 68.

⁹ Tamże, s. 67.

Wiersze Jujki i Jankowskiego nie wyróżniają niczym się od utworów innych poetów spod znaku Rodła jak Michała Lengowskiego, Jakuba Kani, Pawła Jaśka, Alfonsa Thomasa, Teresy Odrzańskiej czy Jadwigi Depty. Wiele w nich wezwań i apeli do współbraci, wzmocnionych wykrzyknikami. Większość miała charakter utworów agitacyjnych. Wyróżnia je prawie wszystkie imperatyw trwania na swoim za wszelką cenę, mimo pogarszających się warunków. Miały te wiersze pokrzepiać Polaków w trwaniu przy wierze i mowie Ojców, umacniać w nadziei, że Polska kiedyś powróci na Śląsk, Warmię, Powiśle i Pogranicze. Pisały te wiersze często na zamówienie, z okazji ważnych wydarzeń bądź obchodzonych rocznic w życiu Polaków na obczyźnie. Stąd ich taka a nie inna wymowa.

Marek Stokowski

PAN Z.

Pan Z. Lat siedemdziesiąt. Dobrze, bądźmy precyzyjni – siedemdziesiąt siedem. W swoim czasie najlepszy przewodnik w tym mieście. Oprawdzał nie tylko po placach, ulicach i parkach, znał także kościoły, muzea, pałace i zamek. Przewodnik ideał. Spokojny, choć pełen energii, subtelnie dowcipny, nadzwyczaj taktowny, bardzo dobrze wykształcony, kompetentny i przystojny, znający trzy obce języki.

Siedzi na tapczanie w swym pokoju. Myśli, jak to wszystko szybko mija.

Najpierw zaczął męczyć się na schodach. Po wejściu na piętro długo musiał uspokajać oddech, zanim mógł wymówić pierwsze słowa. Potem – jakoś tak niezauważalnie i bezgłośnie, tak trochę jak złodziej – stale dochodziło coś nowego. Raz i drugi – nagła słabość, tak że musiał przerwać turę i zabrali go na pogotowie. Do tego trudności z chodzeniem i luki w pamięci, łatane dowcipem albo jakimś błahym słowem. Uporczywe powtarzanie informacji, jakby kręcił się po rondzie. I nieposłuszeństwo warg, języka – mętniejąca z każdym rokiem klarowność wymowy, rozmazanie trudnych głosek. I coraz mniej mocy w docieraniu głosem do słuchaczy. Czasem – cienka strużka śliny w kącie warg, na brodzie lub na klapie marynarki. Co jeszcze? Pokątne gadania, że ma taki przykry oddech i człapie za wolno, a grupy z daleka dysponują przecież krótkim czasem.

Wielu rzeczy nie był świadom, tylko ludzie się skarżyli. Zaprzeczał wszystkiemu, przed innymi i przed sobą. Nie przyjmował i nie akceptował tego, że zdradza go ciało i zawodzi jego własny umysł. Powinny mu służyć, zamiast sprawiać tyle bólu.

Teraz siedzi na tapczanie. Jest piąta nad ranem, nie może już zasnąć.

Najpierw dziwił się i gniewał, że nie otrzymuje tylu zleceń, ile szło do niego dawniej. Potem zaczął cieszyć się z każdego. Był wdzięczny. Rozumiał, że młodsi też muszą mieć pracę. Czarował uśmiechem, wybaczał spóźnienia przy wypłatach honorariów, ale coraz rzadziej był proszony, w końcu – tylko raz na tydzień, a ostatnio raz na miesiąc albo rzadziej, dużo rzadziej. Niedawno, na stronie, szepnął prezesowi koła:

– Już nawet nie chodzi o te kilka zarobionych złotych, chociaż oczywiście to jest ważne, mnie chodzi o... – urwał, ale tamten się domyślił.

Nadal siedzi na tapczanie, choć powinien już wziąć kąpiel, bez pośpiechu się ogolić, zmówić pacierz, zjeść śniadanie, wybrać krawat, posiedzieć przed wyjściem, przejrzeć kilka podniszczonych książek, bo dziś ma zlecenie. Dziś będzie miał grupę. Najpierw

zrobią Stare Miasto. Wejdą także do pałacu! Ten pałac ukochał szczególnie, więc to będzie wielkie święto.

Wreszcie wstaje. Robi to, co zaplanował, powoli, uważnie, żeby się nie zaciąć, nie poślizgnąć. Potem żona mu pomaga włożyć krawat. Jest czuła, troskliwa. On siedzi w pokoju, ona kręci się po kuchni. Wie, że nie powinna mu przeszkadzać.

Pozostały dwie godziny do spotkania z umówioną grupą, ale on jest już gotowy. Niepodobna, by się spóźnił. Będzie wcześniej. Najwyżej pochodzi po placu, poczeka, przecież nie ma dzisiaj nic innego, ważniejszego w swoich planach. Nie, nie chce herbaty. Dziękuję. Potem miałby kłopot z toaletą. Żona mu doczyszcza płaszcz i szalik. Ona też się denerwuje.

Tak, przejrzał, co trzeba. Zresztą nie rozumie, co tam piszą, choć zna te rozdziały na pamięć. Jeszcze wejdzie do łazienki, później chyba zacznie wkładać buty.

Telefon.

Nie znosi tych dzwonek, wybijają ze skupienia. Lepiej niech odbierze żona. No, dobrze, odbiera. To chyba nie dzwoni ich córka, bowiem żona nic nie mówi i prędko odkłada słuchawkę.

On rozumie, tak się zdarza.

Musieli odwołać.

Zresztą już nie pierwszy raz w tym roku.

Prosi, żeby żona tym się nie martwiła.

Tylko co ma teraz zrobić? Co ma począć z resztą dnia i resztą życia?

KWAKIN

Upadek Berlina był wczoraj. Przez całą noc śniąc uczestniczyłem w barwnych scenach głośnego radzieckiego filmu, w którym najwspanialszy nasz bohater Aliosza, wraz ze swoimi niewzycięzonymi kolegami, z niepokojem w sercu o życie ukochanej dziewczyny, Nataszy, po wielu mrozących w żyłach krew starciach z hitlerowskim najeźdźcą, dotarł do Berlina. Końcowa scena była ponad nasze siły. Radziecka sanitariuszka Natasza rzuciła się w ramiona swojego ukochanego, pod czerwoną flagą, tryumfalnie łopocząca na szczycie czarnej jak faszyzm Brandenburskiej Bramy. Po twardych rysach twarzy naszego bohatera spływały łzy największej ludzkiej radości, łzy radości płynęły również po puciołowatych gębach nastoletnich chłopców siedzących na skrzypiących krzesłach pierwszego w miasteczku kina.

Miałem jedenaście lat, ojciec posiadał własne metody wychowawcze, kochał mnie po swojemu i jako najstarszego spośród pięciu synów pędził do roboty i spuszczał za byle przewinienie niemalże regularne lanie. Siedziałem na łóżku odtwarzając kolejne sceny wczorajszego filmu. - Kina ci się zachciało, a żebyś odrabiał wczoraj lekcje, to nie widziałem.

Zawiazywał troki płóciennych kalesonów, w których sypiał i chodził na co dzień. Na stole stały już dwa blaszane kubki czarnej kawy buchające parą i talerz chleba posmarowanego smalcem. Dwadzieścia lat młodsza od mojego ojca druga matka wstawiała zawsze wcześniej, tak że nie widziałem, jak ubierała się - w czasie kiedy należało to do moich naturalnych zainteresowań - rozbudzając nieprzyzwoicie wyobraźnię.

- Uzbiera ci się - dodał.

I już po kilku minutach pędziłem z tornistrem nie odrobionych lekcji, doganiając PGRowski wóz zaprzężony w ciężkie UNRowskie konie, które wolno człapały w kierunku pełnej niepokoju szkoły „ćwiczeń”. W szkole nie stałem najlepiej, szykowało mi się sześć dwój na pierwszy okres, wśród kolegów uchodziłem za łamagę, wcześniej wyrosłem, byłem od swoich rówieśników o pół głowy wyższy i biorąc to porównanie za jednostkę miary - o pół głowy słabszy fizycznie. Dlatego nie było nawet mowy o wywalczeniu sobie autorytetu starciami na pięści z silniejszymi lub zwinniejszymi kolegami. Musiałem imponować otoczeniu robiąc z siebie pajaca, przeszkadzać nauczycielom w prowadzeniu lekcji, wymyślać głupie kawały, nieraz wbrew własnej woli.

Do programowych zabaw należały walki uliczne na cięty ołów i kamienie, szkoła na szkołę, ulica na ulicę, w wyniku których rany odnosiłmy prawdziwe. Przeciwników nazywano szwabami i vice versa, byliśmy partyzantami, każda grupa miała swój arsenał, na który składały się prawdziwe rekwizyty niedawnej wojny: hełmy, obrzyny, amunicja i inne świństwa. Nie byłem tego właścicielem; zaprzysiężony i zaprzyjaźniony z grupą chłopców z domu dziecka w zamian za przyjaźń przechowywałem na strychu szopy należącej do naszego gospodarstwa ten właśnie arsenał. Trzymanie go w Państwowym Domu Dziecka było zupełnie niemożliwe ze względu na ścisłe kontrole przeprowadzane przez wychowawców.

Na zbiórkach naszej bandy do mojego obowiązku zbrojmistrza należało zdawanie raportu o ilości posiadanej broni. Miałem poniekąd satysfakcję, kiedy skopany przez grupę nieprzyjaciół nie zdradziłem tajemnicy wojskowej, a nawet wyprowadziłem ich w pole. Jak któryś z nas znalazł ponemiecki karabin, granat lub coś z tych rzeczy, to już jego wartość rosła w oczach pozostałych koleżków, wokół gromadziła się grupa przybierająca szumną nazwę i bardzo zobowiązujące tajemnice. Niezapomniany smak przygody towarzyszył nam, kiedy pełni napięcia i ciekawości przeczesywaliśmy opuszczone na wpół zawalone domy, gdzie wysoko, na trzecim, może na piątym piętrze, znajdował się kompletnie umeblowany pokój, którego właściciel - Niemiec nie zdążył uciec zaskoczony nalotem radzieckich bombowców. Trzeba się tam było dostać mimo braku schodów, a nawet miejsca, w którym one się znajdowały. A kiedy wracaliśmy całkowicie wypompowani do domów, z pokaleczonymi rękoma i w podartych ubraniach, tylko uniknięcie awantury mogło stanowić ostatnią miłą niespodziankę dnia.

Tego dnia biegłem do szkoły w specjalnym nastroju. Obrazy wczorajszego filmu przysłaśniały wszelkie niepokoje. Pierwszą lekcją, na której jak zwykle pani Mościbrodzka (lubiśmy ją najbardziej) opowiadała w sposób wspaniale dostosowany do naszej wyobraźni - książkę „Przygody Tomka Sawyera”, był język polski, na drugiej zaplanowano próbę sztuki według najpopularniejszej w tym czasie powieści „Timur i jego drużyna”. Miałem więc czas na uzupełnienie nie odrobionych lekcji (matematyka i fizyka były ostatnie). Lecz kto z nas myślał tego dnia o rachunkach? Przygody Timura były naszymi, przeżywaliśmy je tak, jak gdyby Timurem był każdy z nas. I jak gdyby dotyczyły wydarzeń historycznych takich, jakimi żyliśmy my sami.

Reżyserował sztukę sam kierownik Kopa. Spośród innych i mnie również wybrał na aktora. Było to jedyne w moim życiu wyróżnienie. Sztuka miała być gotowa na Sześćdziesiąte urodziny największego wodza wszech wodzów Józefa Stalina, za którego to sprawą przepadł bezpowrotnie faszyzm, chociaż wśród dorosłych słyszało się nieraz ciemne szeptu niezadowolonia podważające moje przekonanie, że jest on ojcem wszystkich dzieci, duchem zwycięstwa największych bohaterów.

Mój przyjaciel Rysio Manucha należał do katolickiej, fanatycznie praktykującej rodziny. Do jego obowiązków należało prawie codzienne uczęszczanie do kościoła na wieczorne nabożeństwa. Panicznie bał się swojego ojca, który, jak się domyślałem, musiał mu spuszczać niezłe lanie, skoro na samo napomknienie z mojej strony, że mógłbym o czymś tam nie bardzo chwalebny mu wspomnieć, zaczynał się zawczasu mazać i był gotów oddać wszystko co najlepsze w zamian za zachowanie tajemnicy. Rysio był całkowicie pod moim wpływem, potrafiłem swoimi zmyślonymi anegdotami doprowadzić go do nieokiełzanych wybuchów śmiechu lub do rozpacz. Nigdy jednak nie skarżyłem na Rysia, choć jego ojciec, widząc nas razem, próbował często dowiedzieć się czegoś ode mnie. Wiedziałem, że w ten sposób mogę tylko stracić wygodnego kolegę, a ponadto wszystkich rodziców uważałem za wrogów, przed którymi z zasady należy strzec tajemnic. Biegając do szkoły myślałem, co też mi Rysio przyniesie dzisiaj na drugie śniadanie. Zgodnie z umową o d miesiąca pożerałem jego smacznie przyrządzone porcje za to, że raz, w niedzielę, szedłem z nim do spowiedzi. Długo nie wiedziałem, co było powodem tak korzystnego dla mnie zakładu. Potem okazało się,

że Rysio przejął się pewnym chwytem wymyślonym przez księży katolickich, który głosił, że „ten co przyprowdzi niedowiarka do domu bożego, będzie podwójnie wynagrodzony w niebie”.

Stosunek mojego ojca do sprawy wychowania duchowego własnych dzieci był bardziej tolerancyjny. Zwróciłem się kiedyś w niedzielę do ojca w sprawie pójścia do kościoła, gdyż byłem umówiony z kolegami na zbiórkę w pobliskim lesie, gdzie schowany mieliśmy prawdziwy karabin. - W szkole mata religie i antyreligie - powiedział ojciec - ja tam ci do kościoła chodzić nie zabraniam. Kościół jeszcze nikomu nie zaszkodził. Ale jak się dowiem, żeś tam nie był, to krew z dupy sikać będzie. Wtedy pierwszy raz pod tym pretekstem wyrwałem się z domu od beznadziejnie nudnych zajęć. Tego dnia w dziesiątym roku swego życia wykonałem pierwsze strzelanie bojowe z pozycji stojącej. Poniemiecki mauzer rzucał nas jak pociski w przeciwnym kierunku wskazówki długiej stalowej lufy..

Był to czas, kiedy każdy przeżyty dzień wzbogacał moja wyobraźnię, odkładając gdzieś na dnie szufladki mojej pamięci barwne obrazy wyposażone w atmosferę ducha niepokoju. Lecz dzień, wokół którego te obrazy najbardziej się skupiają, był dniem przełomowym w moim dzieciństwie i kiedy wspominam czas mojej edukacji szkolnej, zawsze zaczynam odtwarzanie wypadków od dnia ostatniego, najsmutniejszego, cofając się wstecz, w zapomnienie, w kompletna otchłań niepamięci.

Tego dnia biegłem do szkoły z podniesionymi rękami krzycząc przeciągle „urraaaa...”. Przed oczami miałem obrazy z wczorajszego filmu. Wymęczeni długa drogą radzieccy żołnierze ginęli na polu bitwy, inni na okrzyk „zaaa Stalina” podrywali się na równe nogi i szli jak burza do ataku goniąc i gromiąc hitlerowskiego potwora. Ach, zginąć tak na prawdę za wielką sprawę - myślałem - albo żyć jak prawdziwy bohater. Gdzieś na dnie mojej świadomości czaił się żal, tęsknota do tego, co już się stało i minęło bezpowrotnie. Czas nie cofnie się niestety; ta wojna nigdy się już nie powtórzy, a my, dzisiejsi, na zawsze pozostaniemy w cieniu wielkich bohaterów. Informowały mnie o tym prawie wszystkie transparenty i napisy na murach miasta. Dlatego biegnąc do szkoły, kiedy myślałem o bohaterach i o ich bohaterskich synach, przyszedł mi do głowy plan, który nappełnił mnie radością i niebywałym podnieceniem. Postanowiłem zagrać rolę Timura, tak żeby moi koledzy raz na zawsze utożsamiali mnie z tą powieściową postacią, tak jak ja wczorajszy film z największym wydarzeniem historycznym.

Biegłem więc w górę ulicy Rokossowskiego, w kierunku centrum miasta, gdzie znajdowała się szkoła, kino, dworzec kolejowy, poczta - budynki prawie stale udekorowane barwnymi transparentami, portretami, wśród niezamieszkałych jeszcze, częściowo zburzonych domów, z czarnymi niemieckimi napisami, ponuro obwieszczającymi niedaleką przeszłość. W przeciwnym kierunku tej samej ulicy rozciągała się zielona dolina przecięta szramą rzeki, nad którą stał prostokąt płaskich budynków pokrytych czerwoną dachówką, należący do miejscowego PGR-u.

Ojciec często, niezadowolony z moich wyników w szkole, straszył mnie tym przybytkiem jak obozem koncentracyjnym, mawiając cynicznie stworzonymi przez siebie powiedzonkami - „zdaje mi się, że do roboty będziesz miał niedaleko” - lub - „nie wiedziałem, że

kształcę w domu pegeerowca”. Bardziej bałem się wściekłości ojca, niż ewentualnej pracy w pegeerze. Wiedziałem, że ojciec bardziej zdolny jest zatłuc mnie jak psa, niż wysłać tam do roboty.

Kiedy dzwonek oznajmił koniec pierwszej lekcji, do klasy wszedł kierownik Kopa. Polonistka wyszła bezszelestnie nie zauważona, aktorzy ustawili się grzecznie w szeregu pod tablicą. Nasza klasa nie wybiegła jak zwykle na korytarz i nikt nie miał pretensji z powodu pominięcia przerwy. Otrzymaliśmy gotowe, rozpisane na kartkach role. Kiedy dzwonek zadzwonił na lekcje, siedzieliśmy w ławkach pogrążeni w niecodziennej lekturze. Druga część klasy, która nie brała udziału w widowisku, otrzymała piłkę i już słychać było ich wesołe pokrzykiwania przez uchylone okno, z boiska.

- Aktor musi wczuć się w swoją rolę. To znaczy jakby utożsamić z fikcyjną postacią, którą gra, i z sytuacją, w jakiej się ta postać znajduje - powiedział niezrozumiale kierownik, zapinając teczkę, z którą się nie rozstawał. - Wróć tu za kwadrans i omówimy te sprawy dokładnie po zapoznaniu się z tekstem. Pewne zmiany, co do obsadzonych ról nie są wykluczone.

Kierownik wyszedł, pozostawiając odpowiedzialnym za porządek w klasie długiego Dyzia, który był od nas dużo starszy i przez nieporządki wojenne rozpoczął naukę w szkole podstawowej będąc w wieku przedpoborowym. Dyzio miał swoje osobiste sprawy, nie grywał z nami w piłkę i nie angażował się w ogóle w sprawy klasy. Był na tyle od nas silniejszy, że nie pozwalał robić z siebie pośmiewiska, choć często na to zasługiwał; po kryjomu opowiadaliśmy o nim najweselsze historyjki. Nakryliśmy go kiedyś na lekcji polskiego, jak siedząc w ostatniej ławce z narzuconą na kolana marynarką trzepał kapucyna - spoglądając cielecco na polonistkę. Od tego czasu walił w ucho za byle głupie spojrzenie, prawie bez powodu. Dostałem tak kiedyś, z obu rąk złożonych sprytnie w miseczki, w oba uszy równocześnie. Pamiętam jak po tym uderzeniu oczy zaszyły mi chmurkami, a w majtkach poczułem lzy. Lecz po tej godzinie lekcyjnej nikt nie rozrabiał, pochyleni nad stołami czytaliśmy swoje role, ubierając w wyobraźni kostiumy i charaktery przeróżnych postaci.

Przypadła mi w udziale rola Kwakina. Szef kontrbandy Timura czarował zręcznymi sztuczkami, górując nad swymi kolegami zdecydowaną postawą dobrego przywódcy złych idei. Gwizdał na scenie, bez trudu podawał sobie jabłko z ziemi nogą do ręki, był przede wszystkim silny, i mimo że górował nad innymi, był postacią wyraźnie negatywną.

Nie widziałem się w tej roli, zresztą nikt się nie widział. Mimo dużego wzrostu jak na swój wiek byłem słaby i niezgrabny, czułem, że nigdy nie nauczę się gwizdać i podrzucać nogą jabłko, a przede wszystkim nie mogłem się wczuć w rolę Kwakina; ta postać z gruntu mi się nie podobała. Natomiast czułem się doskonałym odtwórcą roli Timura, niemal na co dzień.

Ta rola przypadła w udziale mojemu koledze Leszkowi Gawrylukowi. Był to dobrze zbudowany chłopak, o dziewczęcych rysach i czarnych włosach, bez specjalnych powodów obchodzono się z nim delikatniej, w czym doszukiwałem się wcześniej niesprawiedliwości. Był najlepszym sportowcem w klasie, gwizdał najgłośniej w szkole, nie wkładając palców do ust. Nauczenie się sztuczek Kwakina nie sprawiłoby mu najmniejszych trudności. Miałem więc pomysł, teraz z wielkim niepokojem czekałem chwili, by rzucić swój los na szalę decyzji kolegi.

Wszyscy przeczytali swoje teksty, a ponieważ kierownik Kopa jeszcze nie wrócił, w klasie lekko się zaroilo. Klepnałem Leszka w ramię i nieśmiało zagailem. - Lesiu, mam do ciebie taką sprawę, chciałem, żebyśmy się zamienili rolami... Ty przecież lepiej zagrasz ode mnie Kwakina, umiesz te różne sztuczki, no wiesz, gwizdżesz. Tego to ja się nigdy nie nauczę, no, zgódź się, zobaczysz, jak ja to fajno zagram. Gawryluk wypchnął górną wargę językiem, pokazując rząd dolnych zębów (mina, którą przedrzeźniali mnie chłopcy), i z tak szyderczo wykręconą fizjonomią niemal splunął mi w twarz słowem, które odtąd stało się moim nowym przewiskiem.

- Kwakin - stojący wokół chłopcy zarechotali śmiechem, po czym zaczęli skandować - kwa - kin, kwa - kin, kwa - kin...

Pociemniało mi w oczach, po czym jak opętany rzuciłem się na Gawryluka wyrwijając mu garść włosów z głowy. Niemal jednocześnie cios między oczy odrzucił mnie o metr do tyłu. W drugim natarciu precyzyjnie strzeliłem z woleja w rozporek krótkich spodenek przeciwnika. Odslonił ciało oburącz zasłaniając bolące miejsce, a ja tłukłem w tym czasie bez opamiętania rękoma i nogami, gdzie popadło.

Nagle z furii zawziętego ataku wyrwało mnie gwałtowne szarpnięcie. Stalowa dłoń chwyciła mnie za kołnierz i wyrzuciła pod sufit klasy, po czym gruchnąłem na podłogę bardziej przestraszony niż potłuczony. Kiedy podniosłem się rozcierając stłuczone kolana, zobaczyłem kierownika Kopę z palcem wskazującym wycelowanym na klamkę uchylonych drzwi. Z naprężonej, czerwonej, zroszonej potem twarzy, ze szczeliny zwężonych ust, jak z lufy karabinu maszynowego, wystrzeliła we mnie krótka seria słów.

- Won ze szkoły i więcej mi się tu nie pokazuj.

Gwałtowny podmuch wiatru popchnął mnie brutalnie wraz z liśćmi i papierami w kierunku ulicy, biorąc za żagiel mój kwadratowy tornister. Obrażony takim symbolicznym traktowaniem przyrody musiałem hamować, wykręcając na nogach przydeptane buty. Na ulicy przystanąłem i obejrzałem się na szkołę, czego nie robiłem dotychczas, obejmując wzrokiem cały budynek i odszukując okno mojej klasy z uczuciem, jak bym coś tam zostawił lub zapomniał zabrać ze sobą. Przełknąłem ślinę i zawstydziłem się siebie. A przecie wiedziałem, że czeka mnie to, na co byłem od dawna przygotowany, na co od dawna większość moich rówieśników wyłączając lizusów i pupilów była zdecydowana - na ewentualną narywkę z domu.

Pozostało mi tylko spakować co ważniejsze rzeczy i nim wiadomość dotrze do ojca - prysnąć.

Miałem wrażenie, jakby powietrze przesycone obfitością tegorocznej jesieni nie było zachwycone przebiegiem wydarzeń, które się dzisiejszego dnia zdarzyły.

Na wysokości ulicy Rokossowskiego zorientowałem się, że jestem blisko domu, skręciłem więc gwałtownie w bok, wybierając najkrótszą drogę, prowadzącą poza obręb miasta, do miejsca, które lubiłem najbardziej. Był to ogromny wąwóz, zwieńczony wysoko kolejowym mostem wspartym na murowanym gdanisku. W dole wąwozu ryczała skuta żelbeto-

nową konstrukcją, rwąca i prychająca pianą rzeka. Udało mi się po raz pierwszy przebiec po jednej ze stalowych szyn, położonych kilka metrów nad nią; był to wyczyn, na jaki by się poważyło niewielu spośród moich kolegów. Oszczędziłem sobie w ten sposób czas i siłę unikając uciążliwej wspinaczki przez stromy nasyp i kolejowy most. Po drugiej stronie rzeki odnalazłem wgłębienie wypełnione liśćmi, i położyłem się tam, by spokojnie, zasłonięty od wiatru, przeczekać czas, kiedy skończą się lekcje, aby wczesnym powrotem nie wzbudzać podejrzeń ojca.

Leżąc wygodnie widziałem, jak wiatr przepędza nade mną rozcapierzoną chmurę, potem długo przez otwarte oczy słońce pulsowało we mnie tęczą barw i ciepła, napęlniając energią całe moje ciało. Wtedy zrozumiałem, że nigdy nie zostanę sam, gdziekolwiek bym się znajdował, kiedy pokocham to niewiadome, ten parszywy los, który mnie nie kocha.

EPILOG

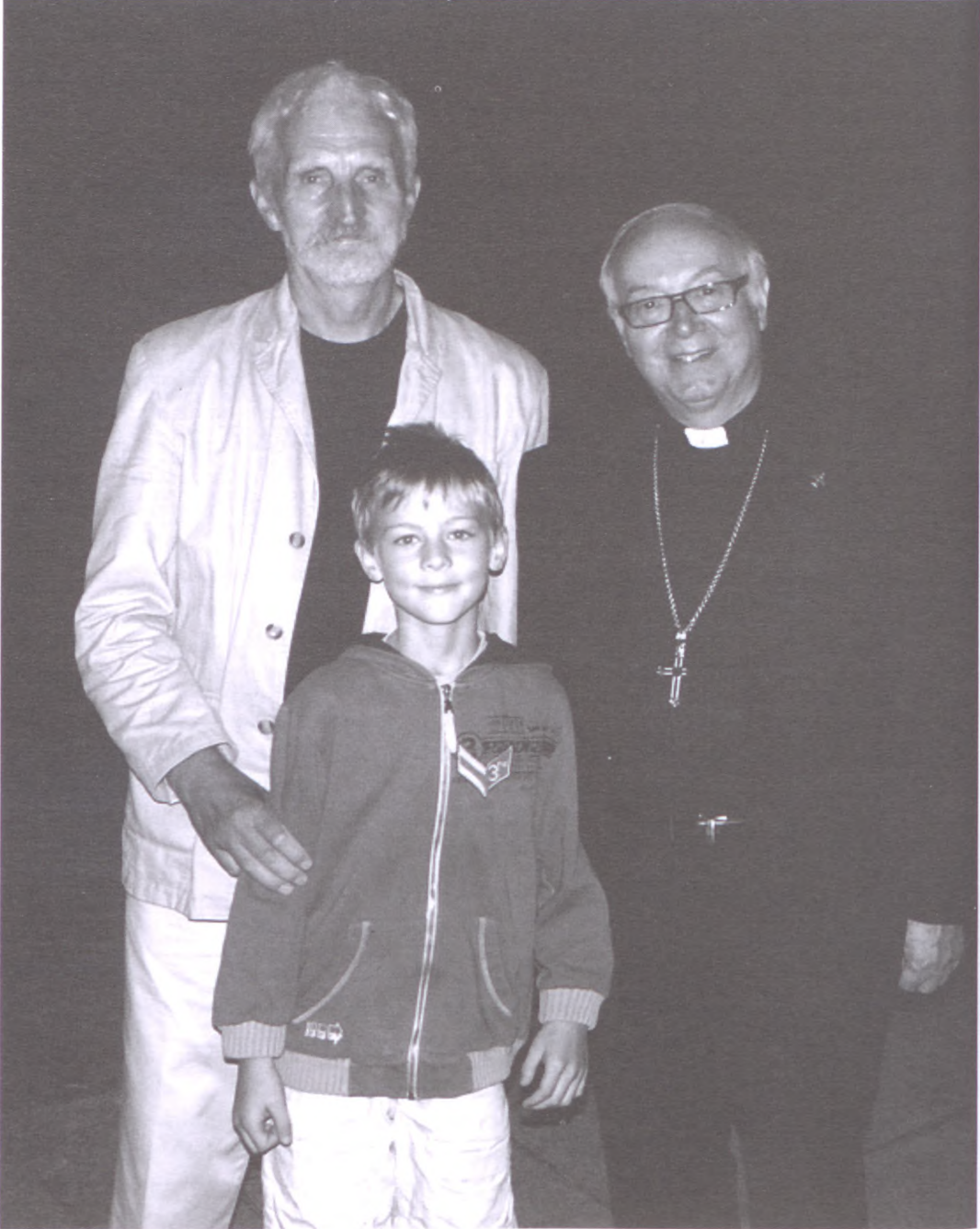
Waldemar Kacprzyk (1939 -2008) spędził dzieciństwo i młodość w Kwidzynie. Przeszedł gruntowną i surową szkołę rzemiosła w znanym w Kwidzynie do lat 60-tych warsztacie swego ojca. Uczył się w Liceum Plastycznym w Nałęczowie a potem dał się poznać jako wzięty restaurator zabytkowych przedmiotów, głównie stylowych mebli, a także twórca specjalistycznych rekwizytów filmowych. Wyjechał stąd do Warszawy dzieląc później swój czas na działalność w Warszawie, w Berlinie i dość regularne odwiedziny Kwidzyna. Od swego odwiecznego kwidzyńskiego przyjaciela Krzyśka Karaska „zaraził się” literaturą. Dotyczyło to nie tylko zainteresowań, lecz pobudziło również jego ambicje twórcze. Ze szkodą dla własnej popularności wyznawał szkołę „nie pchania się na afisz”. To Karasek wydarł mu przemocą i opublikował w swoim Nowym Wyrazie opowiadanie „Kwakin”. W tamtym czasie jeszcze nikt nie mówił o małych ojczyznach i ich nieklamanej historii. Waldek Kacprzyk opisał tam z wielką szczerością i wiernością realiom epoki swoje dzieciństwo. Myślę, że ten tekst znajdzie się wśród lektur o małej ojczyźnie w kwidzyńskich szkołach. Trzeba tylko trochę czasu by dojrzeli do tego odpowiedni edukacyjni decydenci.

Waldek przemierzył świat i wrócił do Kwidzyna, na zawsze. Dał się poznać jako człowiek przyjazny ludziom, nie miał żadnych wrogów, bo z nikim nie walczył. Ci którzy go pamiętają, wszyscy mają mu coś do zawdzięczenia. To zobowiązanie przyjaźni sprowadziło na jego kwidzyński pogrzeb tłum przyjaciół. Podobno pozostawił jeszcze inne teksty, które oby się odnalazły, bo Waldek miał o czym pisać w swym ciekawym życiu.

Jerzy Kosacz

Jerzy Kosacz

POWIDOKI MALBORSKIE



Autor z wnuczkiem Julianem i Wielkim Mistrzem dr. Bruno Platter, Kwidzyn 31 lipca 2010 r.

Malbork. To miasto zawładnęło moim dzieciństwem. Każdy powrót do najwcześniejszych wspomnień przenosi mnie do zrujnowanego miasta, po którym myszkuję z gromadą rówieśników. Odkrycia, znaleziska, przygody i niestety dramaty, które nam towarzyszyły nieomal codziennie, do dzisiaj wracają mi w snach. Te najbardziej banalne utrwaliły mi się w każdym, nawet nic nieznaczącym szczególe. To jest tak, jak po zamknięciu oczu włącza się nam osobista przeglądarka obrazów z przeszłości, tych mniej wypłowiałych *powidoków*.

Rok po wojnie przywieziono mnie tu z wileńskich kresów, gdzie została moja ojczyzna, z której nie zapamiętałem żadnych obrazów, a powinienem. Dopiero, gdy odwiedzałem tamte miejsca po półwieczu, to dziwnym trafem rozpoznawałem to, co wydawały mi się znajome. Wyniesione z malborskich gruzowisk doznania okazały się jednak trwalsze i bardziej wyraziste.

Jedno z tych dziecięcych wspomnień to ślub, do którego przystąpiłem w raczej nietypowym dla takich uroczystości miejscu, jakim był schówek pod starą drewnianą werandą w oficynie zrujnowanego domu przy ulicy Orzeszkowej. Moją oblubienicą była sześciolatnia rówieśniczka z przedszkola, blondynka o wdzięcznym imieniu Dziunia. Była to decyzja szybka i nie do końca przeze mnie przemyślana, a na swoje usprawiedliwienie mogę tylko dodać, że zostałem dość przemyślnie zaskoczony.

Teraz, po kilkudziesięciu latach, gdy moje uczucia do przedszkolnej koleżanki spopieiliły się już bezpowrotnie, to z całą oczywistością widzę ową kobiecą przewrotność swej oblubienicy spod werandy. Dziunia wyczekała moment, gdy reszta dzieciarni została już przywołana z wszystkich okien kamienicy na obiad i zostaliśmy na podwórku sami, tylko we dwoje. Jestem pewien, że obecność jakichkolwiek świadków zapobiegłaby temu, co później nastąpiło. Podeszła do mnie z bukietem stokrotek zerwanych z klombu pani Orzęckiej i mrugając zalotnie spytała, czy weźmiemy ślub. Choć nie nagliła mnie do tego żadna okoliczność, to zaskoczony oświadczyliśmy pochopnie przytaknięciem. Odbyło się to błyskawicznie. Panna młoda wzięła mnie za rękę i wciągnęła pod werandę. Tam wygłosiła następującą formułkę: - „Teraz bierzemy ślub”. Dała mi bukiet i buziaka w policzek. Ucztę weselną spożywalimy jednak oddzielnie, bowiem w tym właśnie momencie nasze mamy przywołały nas na obiad.

Po wakacjach poszliśmy do szkoły, lecz każde z nas do innej. I nie tylko to nas rozdzieliło. Widziałem jeszcze wielokrotnie, jak Dziunia ściskając w rączce bukiet z klombu Orzęckich chowała się z różnymi moimi kumplami pod werandę. Trwało to tak długo, aż pan Orzęcki rozebrał werandę i porąbał na opał. Później ten pałac ślubów przeniósł się z tego miejsca na drugą stronę ulicy, ale mnie to nie zajmowało, bo swoje emocje, przyjaźnie i przywiązania pokładałem już gdzie indziej.

Pamiętam z tamtych czasów jeszcze jeden mój związek, w którym ulokowałem swoje uczucia, chyba bardziej szczerze i z odczuwalną satysfakcją nieklamanej wzajemności. Niestety, tylko do pewnego czasu, po którym nastąpiła zdrada, a muszę się tu przyznać, i do dziś się tego głęboko wstydę, lecz to ja okazałem się wiarołomnym niegodziwcem. Ten emocjonalny związek, który tu tak boleśnie wspominam, można by w dzisiejszym języku nazwać związkiem partnerskim.

Przygarnąłem, z wszelkimi konsekwencjami zawartej przyjaźni, błakającego się po gruzowiskach parchatego czarnego kundla. Chyba byliśmy mniej więcej w tym samym wieku, więc choć psiak był prawdopodobnie rodowitym mieszkańcem Marienburga, mimo bariery językowej niezłe się porozumiewał ze mną ze wzajemnością.

Pojawił się jednak problem domowy, gdyż ten niezbyt higieniczny mój przyjaciel, z którym myszkowałem po nienadających się już do zamieszkania kamienicach malborskich mieszczan bezpowrotnie nieobecnych w mieście, a potem potajemnie dzieliłem z nim łożo, wymagał jakichś tam kuracji, i z tym wszystkim moja rodzina nie mogła sobie poradzić. Pod ciągłą rodzinną presją w końcu uległem, godząc się na eksmisję z mieszkania na drugim piętrze kamienicy kłopotliwego autochtona. Za zdradę swego przyjaciela zażądałem najwyższej ceny, jaką mogłem sobie tylko wyobrazić.

Był wówczas naprzeciwko więzienia od strony Miodowej pewien sklep komisowy, gdzie w witrynie leżały przeróżne przedmioty pochodzące niewątpliwie z szabru. Sam ich widok był niecodzienną atrakcją i wprost hipnotyzował podobnych do mnie, przyklejonych nosami do szyby niedoszłych klientów. Trochę wahałem się pomiędzy wyborem małego nakręcanego blaszanego motocykla z przyczepą, którą to zabawkę pozbawiono już figurek wrogich żołnierzy, albo pistoletu na kapiszony. Z tym pistoletem już od jakiegoś czasu w swoich dziecięcych snach biegałem po niedawnym malborskim pobojo-wisku i gromiłem *szkopów* pośród rozległych wokół gruzowisk. Tych szkopów nikt już tu nie widział, no bo nawet te kobiety z chustami dziwnie zawiązanymi w węzeł na czołach, z gromadami ich dzieciaków, jakoś nie wypadało tak nazywać. Zresztą pilnowano mnie przed tym w domu.

Dziś już nie pamiętam dlaczego upatrzyłem sobie koniecznie taką zabawkę, pewnie za-zdrościłem niewiele starszym kolegom, którzy mieli prawdziwe spluwy, którymi popisywali się wobec dzieciarni, a niekiedy nawet w szkole, gdzie kierowniczką zbierała je do szuflady w swoim pancernym biurku.

Mama, przystająca na każdą cenę, by pozbyć się ewidentnego domowego kłopotu przyjęła moje twarde warunki. Schowałem się za jakiś mebel i tylko spode łba oglądałem, jak ktoś tam wyprowadzał z domu zdradzonego przeze mnie czworonożnego druha.

Potem już po tym wszystkim, poszliśmy do komisju i dostałem swój wymarzony kapiszonowiec. Teraz dobrze sobie przypominam, że Mama też mi się przyglądała podziwiając zdrajcę.

Miałem już swój pistolet. Nigdzie nie można było dostać kapiszonów. Po jakimś tam czasie, miotany wyrzutami sumienia, niczym Judasz błakałem się nad pobliskim kanałem i zamiast samemu rzucić się w wodę, to tylko z drewnianego mostku cisnąłem tam swoją zabawkę. Skoro tak dokładnie nadal pamiętam to wszystko po ponad półwieczu, to znaczy to tylko tyle, że ta nieużyteczna zabawka była warta dokładnie trzydziestu srebrników objawionym mi w postaci blaszanej zabawki.

Stalin umarł w czwartek i przez resztę zeszłego tygodnia panował w szkole jakiś dziwny nastrój. Nauczyciele wymilkli i zamiast normalnego pokrzykiwania na nas i strofowania za rozrabianie, teraz zachowywali się jak mumie, dyrygując nami krótkimi poleceniami i samymi gestami. Kierowniczką przebrała się na czarno i zaglądała do każdej klasy pokazując tam swoją twarz zboląłą żalobą. Bosman, który miał z nami gimnastykę też się mniej odzywał, ale w oczach miał jakąś wesołość, większą niż zwykle.

W naszej klasie były dwie *bandy* i reszta. W jednej było dwóch Bolasów, Kamiński i ich sługusy. Bolasy i Kamiński byli starsi od całej reszty klasowej o wszystkie lata wojny i chodzili do szkoły, bo tu wyżerali nam śniadania i rabowali nasze znaleziska srebrnych moniaków i innych znalezionych w gruzach skarbów. Ja należałem do drugiej *bandy*, w której byli tylko chłopcy z Orzeszkowej i z Sienkiewicza. Był też piegowaty wyjątek, czyli Zośka, która trzymała się naszej szajki, chociaż mieszkała trochę dalej. Reszta klasy, to były same lizusy, maminsynki i dziewczyny.

To był poniedziałek. Zapowiedziano nam, że z powodu pogrzebu Stalina, zamiast lekcji odbędzie się w południe uroczysty apel całej szkoły. Dlatego to od pierwszej przerwy przez wszystkie następne Zieniukowa liczyła nas co chwilę i upominała byśmy się nie zrywali ze szkoły, zwłaszcza dziś z tego uroczystego apelu.

Oczywiście zwiliśmy i to ze znacznie większym zapalem niż zwykle. Ukryci w wypalanej kamienicy na rogu Orzeszkowej i Sienkiewicza kombinowaliśmy jak uczcić ten dzień. Szulc pierwszy proponował to, co zawsze, czyli pisanie prochem po asfalcie na Wielbarku. Mieliśmy tam w swoim bunkrze spore zapasy wypatroszonego z pocisków prochu zbieranego w litrowych *maciorach*, z których wysypywaliśmy różne nieprzyzwoite wyrazy na szosie do Sztumu. Niestety, bardzo rzadko przejeżdżał tamtędy jakikolwiek samochód, byśmy mogli jego kierowcy rozpalic przed oczami napis płonący na drodze niczym neon. Stefek zaczął wymyślać jakieś hasła ze Stalinem, ale to zostawiliśmy sobie na wieczór. A do zmiernychu było nam jeszcze dalej niż do żalu za jakimś Stalinem, po którym teraz płakała pani Zieniukowa z całą szkołą i tymi wszystkimi lizusami z naszej klasy.

Siedzieliśmy na jedynym ocalałym balkonie, który wisiał nad gruzowiskiem od strony ulicy. Nie każdy potrafił się tam dostać, bo właściwie nie było po czym. Było nudno i nikt nie miał ciekawszego pomysłu. Nie wiadomo jakim sposobem Walek z Szulcem przytargali poprzedniego dnia na balkon wanienkę ze zgniłą pierzyną, znalezioną pod gruzami w piwnicy, w której były jakieś kolorowe talerzyki i filiżanki. Z nudów rzucali nimi na ulicę pod nogi zaskoczonych przechodniów, po czym chowali się za obudową balkonu.

Dość szybko znalazła nas tam siostra Walka, która chodziła już do siódmej i trochę nim rządziła. Chociaż się pochowaliśmy, to tak długo darła się pod balkonem, aż Walek wyjrzał do niej. – *Walek wracaj do szkoły* – wołała. – *Wszystkich was spisali i dostaniecie za to* – krzyczała cała czerwona i wystraszona. Walek odpowiedział jej tylko – *Odwal się* – i z powrotem przykucnął przy nas. Jego siostra coś tam jeszcze krzyczała, a na koniec powiedziała mu z płaczem – *Przez ciebie matkę zwolnią z pracy* – i pobiegła do szkoły. Nic się nie działo.

Siedzieliśmy jacyś skapciani gapiąc się w marcowe bure chmury kotłujące się w porywach wiatru. Szulc zapalił częstując tylko Walka, bo szkoda mu było papierosów dla reszty z nas. Pewnie przypomniał sobie widok, jak to chcąc mu dorównać, nieraz krztusiliśmy się zasmarkani od dymu. Obaj rzucali talerzykami za siebie nawet nie wyglądając już, czy kogoś trafią.

Kiedy z dołu zawołał ktoś do nas – *Halo!* – to tylko ja nieopatrznie wyjrzałem zza balkonowego murku i cały zdrętwiałem. Pod balkonem stał ksiądz Will. Znaliśmy się, więc kiedy polecił: *Chodź tu* – to nie patrząc już na pogardliwe grymasy kolegów, zacząłem spełzać na dół.

Ksiądz Konrad Will był Niemcem. Nie dość, że był moim sąsiadem z ulicy, to jeszcze w tym samym kościele św. Jerzego często służyłem mu do mszy. Ministrantura była po łacinie, a w różnych zwięzłych poleceniach rozumieliśmy się. Ksiądz opiekował się nielicznymi już pozostałymi Niemcami, których coraz mniejsze grupy wyjeżdżały z miasta po uprzednim gromadzeniu się na boisku szkolnym. Chodziłem tam z moimi starszymi siostrami, które przynosiły kanki z herbatą dla koczujących tam w otoczeniu dzieci i tobołków Niemek. Pośród wystraszonych kobiet w chustach zawiązanych w węzeł nad czołem spotykałem też ks. Willa, który kilka lat później wyjechał z miasta w ślad za swymi podopiecznymi.

W kółku ministrantów w kościele św. Jerzego, który dzisiaj istnieje już pod innym wezwaniem, bardzo lubiliśmy ks. Willa. Nikogo z nas nie *podkapował* u proboszcza Sawickiego, chociaż nieraz nakrył, jak pociągaliśmy wino mszalne, albo jak paliliśmy papierosy na przykościelnym cmentarzu. Inny ksiądz jeszcze bardziej dziwaczny, bo mieszkał obok plebanii ze swoją żoną i synem, też był w porządku. Nie rozumieliśmy skąd u tego księdza żona i syn, aż kiedyś na religii proboszcz opowiedział nam o grekokatolikach. Ksiądz Sawicki i ks. Charchalis uciekli z Wołynia do Malborka ze swymi ocalałymi parafianami przed swoimi ukraińskimi morderczymi sąsiadami. Ks. Will miał szczególne powodzenie jako spowiednik, zwłaszcza przed Wielkanocą, gdy do jego konfesjonau ustawiały się długie kolejki dziewcząt, podczas gdy my w sąsiednich, bez takich kolejkowych utrudnień spowiadaliśmy się u ks. Sawickiego z palenia papierosów i słodkich gruszek, na które regularnie zakradał się do jego sadu za plebanią. Niemiecki wikary wprawdzie wielokrotnie zapewniał, że dobrze zna język polski, ale nawet te deklaracje wychodziły mu bardzo nieskładnie, a do jego konfesjonau ciągle były kolejki dziewczyn ze starszych klas.

Przywołany na ulicę stałem przed nim z czerwonymi uszami a on mi tłumaczył – *Nie rób tak. Idź do domu.* – Po czym udał się do mieszkania, na rogu Orzeszkowej i Krakowskiej, gdzie nad sklepikiem miał pokoik u starej Niemki. Szulc kiedyś powiedział mi w sekrecie, że ksiądz mieszkał u jego ciotki, co trzymałem w tajemnicy, chociaż wszyscy dokoła o tym wiedzieli. W moim domu nazywano ks. Willa niemieckim aniołem, chociaż jego wizerunek rosłego „draba” z siwizną przyszyżoną na jeża i w podkutyh buciorach widocznych spod nieco wystrzępionej sutanny, wcale nie kojarzył się z widokiem anielskim. Trzeba było go poznać bliżej.

Pogoda tego dnia była zwyczajna, jak na przedwiośniu, a nawet znośna, tylko dzień ten był jakiś paskudny i wszyscy to odczuwali podobnie. Poszedłem do domu, gdzie już wie-

dzieli o moich wagarach, więc wysłuchałem co trzeba i potem wertowałem album z widokami niemieckich miast, lecz raczej od niechcienia, niż z ciekawości. Po obiedzie słyszałem pod oknem gwizdy i wyszedłem do Szulca i Walka. Nie każdego oni do tego dopuszczali, w czym byli wyjątkowymi specjalistami, ale tym razem to mnie zaproponowali, żebym mógł im przy moździerzówkach i innych niewypalach, które mieli schowane w rozwalonym młynie nad kanałem Juranda. Był to dla mnie zaszczyt i od dawna o tym marzyłem, jednak w ten poniedziałek nie chciało mi się już niczego i jakoś tam wymówiłem się im pozostając w domu.

Wieczorem, już po zmierzchu zadzwoniły szyby w naszej okolicy, gdy powietrzem targnęła eksplozja, co zdarzało się wówczas dość często. Staralem się nie słyszeć domowych komentarzy na ten temat, oczywiście kierowanych wyłącznie do mnie o moim szwendaniu się z kumplami. Nazajutrz było już wiadomo, że to Szulca rozwaliło na strzępy, a Walek bez obu nóg w szpitalu. Niby niezwykły, a taki paskudny dzień.

Ten dzień z marcowego początku wiosny przeszedł do historii jako data pogrzebu potwora znanego pod imieniem Stalin. Dla mnie ten paskudny dzień pozostał odchodzącym wspomnieniem po przyjaciółach z dzieciństwa.

Pomimo dość powszechnej biedy żyło się w czasach ciekawych, choć w atmosferze jakiejś nieokreślonej grozy. Były przerywane w pół zdania rozmowy i jakieś pełne niedomówień ostrzeżenia dorosłych, nawet przed zbliżaniem się do niektórych budynków urzędowych. Trudne to było dla nas, grasujących w ogrodach pomiędzy ulicami Orzeszkowej i Reymonta, graniczących z murowanym ogrodzeniem siedziby malborskiego UB.

Niezmiennie odczuwaliśmy nienasyconą ciekawość zwiedzania różnych zakątków miasta i jego okolic. Wyprawy wzdłuż Nogatu od śluzy do śluzy, na Wielbark do lasu z tamtejszymi bunkrami, z lotniskiem polowym i terenem zniszczonego obozu jenieckiego. Ponad tym wszystkim, naszą chłopięcą wyobraźnię bezgranicznie i wszechwładnie opanował zamek. Ta bardzo zrujnowana olbrzymia budowla była nam siedliskiem tajemnic i odstraszających legend zmyślanych przez naszych bliskich, byśmy nie ważyli się tam zapuszczać i omijali tamte okolice. Jak dla nas, to nie trzeba było szukać lepszej zachęty, żebyśmy krok po kroku zaczęli odkrywać coraz to nowe nieznanne sposoby przedostania się na zamkowe gruzowisko.

Byłem już w nowym kręgu kolegów, który zawiązał się po skończeniu siedmiu klas podstawówki i przejściu do ogólniaka. Ta szkoła wymuszała już poważniejsze zachowania niż poprzednia i więcej tu było sankcji za naruszanie regulaminu. Godzenie niesfornych temperamentów z obowiązkami szkolnymi bywało trudne i dotkliwie. Kilku z nas zbliżyła do siebie ciekawość poznania historii zamku. Przeglądanie rycin i fotografii w niemieckich książkach i albumach dawało nam jedynie wyobrażenie o dawnych wspaniałościach i bogactwach zamkowych, więc wczytywaliśmy się w broszurowy przewodnik Mamuszki „Malbork i okolice”. Ta lektura oraz historie zasłyszane od przewodników oprowadzających wycieczki obudziły w nas odwagę do oprowadzania wokół zamku turystów. Musiałem tylko być ostrożnym, by

nie przyuważył mnie na tych praktykach wuj Gerard albo wychowawca klasy Franaszek, którzy byli wówczas wśród nielicznych uprawnionych przewodników. O klientów nie było trudno, a ich szczodrość miała nas wizją przyszłej kariery legalnego przewodnika po zamku. Już po szkole dostąpiłem nawet tego zaszczytu na pewien czas.

Ogrodzony teren zamku znaleźliśmy jedynie z trasy wpuszczanych tam wycieczek, do których udawało się nam dołączyć. Muzeum dopiero miało powstać i zamkiem władał tylko strażnik pan Sulikowski, który po południu zamykał bramę wejściową, a swoje rządy zaczęli tam uciekinierzy z poprawczaka i przeróżne inne tajemnicze typy uprawiające szaber spod gruzów. Bardziej od nich przerażał nas groźny Sulikowski, który za dnia nie patyczkował się z nieproszonymi gośćmi na terenie zamku. Mieliśmy jednak w swojej grupie Lucka Sulikowskiego, któremu z powodzeniem powierzaliśmy zadania wywiadowcze o jego ojcu i dzięki temu zamkowe zakamarki kolejno traciły przed nami swe tajemnice. Fascynacja zamkiem, jego historią i jego średniowiecznymi gospodarzami powodowały, że lekturę sienkiewiczowskich opowieści tak szkalujących zakon przyjmowaliśmy z mieszanymi odczuciami. Tą trudną do pokonania ambiwalencję przezwyciężyliśmy jednak decydując się na powołanie „*Zakonu Dobrych i Polskich Krzyżaków*”. Uczyniliśmy to w tajemnicy przed wszystkimi i w konspiracji, tym bardziej, że mieliśmy już świadomość, że za takie postępowanie, niewiele starsi od nas byli srogo karani. Naprzeciwko naszej szkoły mieścił się sąd, do którego uczniowie mieli zakaz wstępu po tym, jak w czasie przeniesionego tam procesu patriotycznych licealistów z Kwidzyna urządzili manifestację solidarności z nimi. Ci ze starszych klas jeszcze się tym przechwalali.

Kto wie, czy pomiędzy cegłami kanału ciepłowniczego pod północnym skrzydłem Zamku Wysokiego do dzisiaj nie spoczywa dzienniczek w niebieskiej okładce z regułą naszego zakonu i z imiennym spisem jego rycerzy. Każdy z nas przeszedł uprzednio próbę polegającą na samotnym przedostaniu się do zamku już po zmroku. Należało w Pałacu Wielkich Mistrzów w ich celi sypialnej położyć się na łożu wielkiego mistrza a następnie poświadczyć to sygnałem z latarki przez okno celi, co kapituła pozostałych obserwowała z Kałdowa na drugim brzegu Nogatu.

W najbardziej szalonych swych fantazjach nie mogłem sobie wówczas wyobrazić, że po latach będę opowiadał o tym rzeczywistemu spadkobiercy tamtego łoża, zamku i całego Zakonu, a w języku „krzyżackim” będzie mnie wspomagał mój wnuczek.

Grażyna Kamyszek

PODWÓRKOWE REWIRY

Los zwierząt jest nierozzerwalnie związany z losem człowieka.

Emil Zola

Polubiła go. Na początku był krnąbrny, ale z czasem spokorniał i bez żadnego protestu spełniał jej wolę. Kiedyś on panował nad nią. Teraz łagodnie poddawał się jej zachciankom. Był młodzikiem. Miał dopiero 2 lata, ona pół wieku. Niekiedy pisał z bólu, ale tylko wtedy, gdy zbyt brutalnie i nerwowo pokręciła jego kołami chcąc gwałtownie skrócić w prawo lub w lewo.

Wózek inwalidzki, nieodzowny kumpel – tak często o nim mówiła. Nie nazywała go przyjacielem, unikając tym samym zbędnej, jej zdaniem, zażyłości. Bała się tego słowa, tak jak od pewnego czasu panicznie bała się słowa - pies.

Anna siedziała na balkonie w ośrodku rehabilitacyjnym w K. Czuła się bezpiecznie na „kolanach kumpla”, ale coraz częściej marzyła o rozstaniu z nim. Żegnała już wielu swoich bliskich, cierpiała z powodu nieodwracalności losu, ale pożegnanie z „kumplem” uważała za najpiękniejszą rzecz, jaka może jej się przytrafić w najbliższym czasie.

Lubiła swoją miniaturową loggię, wciśniętą między białe ściany budynku. Miała szczęście, że nie przydzielono jej pokoju z otwartym balkonem, będącym betonową płytą wystającą ze ściany budynku, okratowaną metalową balustradą, gdzie wiatr harcował nawet wtedy, gdy było bezwietrznie. Upodobała sobie to miejsce, szczególnie wieczorem, kiedy słyszała odgłosy spacerujących kuracjuszy wokół niedużego jeziora. Była tutaj sama, więc mogła bezkarnie oddawać się wspomnieniom, które jej bliscy nazywali tanim sentymentalizmem – powodem wszelkiego zła. Może mieli trochę racji, bo gdyby wtedy nie odnalazła dawnych miejsc, nie siedziałaby teraz na kilku metrach balkonowej niszy. Czuła się tutaj wyjątkowo dobrze. Odnosiła wrażenie, że przebywa na miniaturowym podwórku otoczonym zewsząd solidnym, bezpiecznym kokonem, gdzie nie mają prawa wstępu sędziowie ferujący sprawiedliwe wyroki. To nie był ich rewir. Oni należeli do innego świata, oni szukali prawdy i oskarżali zgodnie z mądrościami zawartymi w kodeksach, gdzie nie było miejsca na sentymenty. To był prywatny teren Anny, wprawdzie administracyjnie przydzielony na czas pobytu w ośrodku, ale wyłącznie jej.

Lubiła patrzeć na zachód słońca. Świetlista wodna droga była taka sama jak w S., kiedy siedziała z koleżankami na pomoście miejskiego kąpieliska. Z ogromną przyjemnością wracała wspomnieniami do lat dzieciństwa, było wprawdzie biedne, ale szczęśliwe, pełne rodzicielskiej miłości i koleżanek, z którymi nie lubiła się rozstawać.

Najpierw była Ewka, z czupryną jasnych, prawie złotych włosów, potem dołączyła do nich Irka, mała piegowata chudzinka z burzą rudych, a raczej ognistych kędziorów. Ania, z włosami jak heban, przypominała Cyganczkę, która odłączyła się od taboru.

Kiedy trzy papużki nierozłączki siadały na pomoście miejskich łazienek, w świetle zachodzącego słońca wyglądały jak trójkolorowa flaga. Kolory zmieniały się w zależności od miejsca, jakie w danej chwili dziewczynki zajmowały.

Jakiś spacerowicz zwrócił uwagę na nietypową barwę włosów i nazwał dziewczynki brukselkami. Na pytanie, dlaczego je tak nazywa, odpowiedział, że kiedy czarnowłosa głowa Ani styka się z żółtą Ewy, a ta z kolei z czerwoną Irki, są żywą flagą Belgii, a że stolicą jest Bruksela, więc one są jak małe brukselki. Bardzo nie podobało im się takie porównanie. Nie chciały być małymi kapustkami, bo nie wierzyły w opowiastkę starszego pana o nieznanym kraju i mieście o śmiesznej nazwie. Były przekonane, że zdrwił sobie z nich, bo przecież kapusta to głowa pusta. Kiedy któregoś dnia poprosił je, aby znowu zrobiły flagę Belgii, uciekły z pomostu. Postanowiły unikać dziwnego pana.

Ewa po wielu latach mogła osobiście przekonać się o istnieniu kraju i miasta, które nie miało nic wspólnego z kapustą. Tylko sobie znanym sposobem znalazła się właśnie w Brukseli, by w końcu osiąść na stałe w Australii, zerwać wszelkie kontakty z krajem i zapomnieć o znajomych. Często tak bywa z deklaracjami o dozgonnej przyjaźni. Anna do dziś przechowuje kartkę, jedyną, jaka nadeszła zza żelaznej kurtyny; *Pozdrawiam z przeuroczej Brukseli. Szkoda, że nie możecie być tu z Irką. Zrobiłybyśmy flagę. Caluję i pozdrawiam. Żółta brukselka.*

Ognistowłosa Irka mówiła z dziwnym akcentem, narażając się na docinki szkolnych kolegów. Ani i Ewie nie przeszkadzał sposób mówienia koleżanki. Próbowaly ją naśladować, ale nie było to wcale takie proste. Przyjechała z rodzicami zza Buga. Wtedy nie wiedziały dokładnie, gdzie leży to „zza Buga”. Irka niewiele opowiadała o dawnym miejscu, mówiła, że to bardzo daleko, ponieważ długo jechali, zanim dotarli na miejsce. Ania usłyszała kiedyś rozmowę rodziców na temat swojej nowej koleżanki. Nazwali ją repatriantką. Nie udało jej zapamiętać dziwnego słowa. Nie było to ważne, cokolwiek by oznaczało.

Irka była dla nich panienką ze dworu, gdyż przydzielono im mieszkanie w ponemieckim dworku, jakich w okolicy S. było kilka. Jej rodzice pracowali w pegeerze.

Często odwiedzały panienkę ze dworu. Okazały budynek, który zamieszkiwało kilka rodzin, na pewno był kiedyś piękny, ale dziewczęta nie interesowały się architekturą. Najważniejsze były psy. Chodziły tam głównie po to, aby pobawić się psiakami, które wprowadzała z budynku gospodarczego czarna suka. Gdy suka kładła się na ciepłym piasku, dziewczynki przejmowały opiekę nad jej dziećmi. To były cudowne chwile. Suka od czasu do czasu podnosiła swój duży łeb, aby sprawdzić czy jej dzieciom nie dzieje się krzywda. Na pewno była wdzięczna, że ktoś zajmuje się jej pięcioraczkami, a ona ma chwilę wytchnienia. To były niezapomniane wakacje. Psiaki rosły w oczach i rozrabiały na swój psi sposób.

Suka była niczyja. Irka opowiadała, jak to któregoś dnia jeden z mieszkańców dworku znalazł w budynku gospodarczym psa karmiącego gromadkę szczeniąt. Pozwolono wspinałomyślnie pozostać matce z dziećmi. Dokarmiano ją, ale mimo tego suka była bardzo chuda i smutna. Zawsze ożywiała się na widok Ani, wiedziała, że od niej na pewno dostanie coś do jedzenia. Irka i Ewka zdecydowanie wołały szczeniaki i nieszczęśliwie zajmowały się ich matką. Sunia nie miała imienia. Wołano na nią po prostu Sunia, a ona z czasem reagowa-

ła na dane jej imię. Ania często namawiała koleżanki, aby dotknęły języka Suni. Brzydziły się. A ten język w dotyku przypominał najdelikatniejszą materię, jaką stworzyła natura. Był miękki, aksamitny i wilgotny w dotyku. Ania pozwalała, aby Sunia lizała ją po policzkach. Koleżanki stukały się w czoło, ale ona nic sobie z tego nie robiła.

Kiedy dziewczynki przychodziły do panienki ze dworu, najpierw witała je Sunia. Merdała ogonem i lizała swoim ciepłym językiem. Dziecięce dłonie zagłębiały się w czarnej sierści, gładziły duży łeb i sterczące uszy. Potem zbiegały się małe nicponie. Pojawiały się nagle, jakby ktoś rozrzucił niespodziewanie kolorowe piłeczki, a one nie mogły zatrzymać się w szaleńczym tańcu. Podwórko przypominało pobojuwisko. Każdego dnia toczyły się zacięte boje o stare kapcie, buty i szmaty.

Psy doskonale czuły się na skrawku tej ziemi niczyjej, nie tylko one, bo mieszkańcom było obojętne, że pod płotem, w kącie podwórka, gdzie wyrzucano resztki organiczne, kury z ogromnym zaangażowaniem przerzucały obornik w poszukiwaniu jadalnych resztek, że niegdyś piękne drzewa, teraz niewolniczo spętane grubymi linkami, dźwigały dekoracje wątpliwej urody, że tu i ówdzie drewniany płot łamał się pod ciężarem suszących się skorup.

Tylko jeden z mieszkańców dworku poczuwał się do robienia porządków. Kiedy bałagan osiągał apogeum, rozpalał ognisko na środku podwórka i wrzucał wszystko, co nadawało się do palenia. Nieraz trafiła się stara opona, która ku uciesze dzieciarni, niczym wulkan pchała czarny dym ku górze.

Ania zauważyła, że suka na widok człowieka w gumiakach, kładzie po sobie swoje piękne uszy, kuli ogon i ucieka w najciemniejszy kąt podwórka. Czyżby miała przykre doświadczenia z wielkimi buciorami? Nieraz słyszała, jak „pan gumiak” wrzeszczał na psa i bawiące się dzieci. Maluchy za nic miały krzyki i upomnienia. Tak jak szczenięta, czuły się tu doskonale. Z pajdą chleba w brudnych rękach, umorusane podwórkową ziemią, z gilami pod nosem, napojone zimną wodą, którą wypluwała stara pompa, wiodły beztroskie szczęśliwe życie.

Przyjaciółkom nie przeszkadzało otoczenie. Ania lubiła tu przychodzić. Jej przydomowe podwórko w niczym nie przypominało tego przed dworkiem, było zbyt sterylne, zbyt uporządkowane rękoma dziadka, który zaznaczył ścieżki przeznaczone do chodzenia, wydzielił pas trawy na zabawy z piłką. Irka i Ewa niechętnie przychodziły na podwórko Ani. Jeśli się pojawiły, od razu pojawiał się także dziadek a wraz z nim zakazy i nakazy; *nie wchodź tam, zostaw piłkę, złaż z huśtawki, bo już skrzypi, nie biegaj, odejdz od krzaka, nie skub liści!* Ponadto dziadek nie znosił psów. Koty, owszem, jeśli łowne, miały prawo pobytu w obrębie domostwa, ale psy – nigdy. One chyba też go nie lubiły, a ich warczenie i szczekanie było ostrzeżeniem – nie zbliżaj się dziadu, bo ugryzę! Tak interpretowała zachowanie czworonogów Ania.

Czy można pokochać takie podwórko, na którym rządy sprawował dziadek, mający przydomek „porządeczek”?

Ania zrozumiała zachowanie dziadka, kiedy go zabrakło, kiedy głośno zaczęto mówić o jego niewolniczej pracy u bauera, kiedy bity i poniewierany za nieumyślnie pozostawiony korzonek w grudzie niemieckiego pola czuł smak ziemi, gdy zębami musiał wyciągać resztki

zielska. Z pokorą znosił upokorzenie i upodlenie, ale bardzo chciał żyć, wierzył, że któregoś dnia skończy się wojenna gehenna i wróci do Polski. Wrócił, ale odmieniony, z pokiereszowaną psychiką, która nakazała mu z własnego podwórka zrobić obóz pracy, w którym on był jedynym niewolnikiem. Przeszłość dopadła go na kawałku ziemi należącej kiedyś do niemieckiej rodziny. Nie mógł uwolnić się od przeszłości. Jak karny żołnierz wykonywał rozkazy niewidzialnego dowódcy. Zdarzało się, że w świetle latarki, na kolanach, usuwał chwasty. Żadna gałązka nie miała prawa wychodzić poza wytyczoną linię, żadne źdźbło trawy nie zachodziło na pobielone wapnem krawężniki. Torturował rośliny swoją dokładnością, a one z pokorą znosiły kolejne razy, tak jak on kiedyś.

Gdy odszedł, wreszcie zaczęły żyć swoim życiem. Krzewy porzeczek, agrestu i malin najpierw nieśmiało, a potem z coraz większą odwagą zaglądały na cudze podwórka, wyciągały swe długie ciekawskie szyje pokryte eleganckimi, nieprzyciętymi listkami. Po niedługim czasie tak się rozpanoszyły, tak czerpały z wolności, że trudno było precyzyjnie się w ich gąszczu.

Podwórko u panienci ze dworu miało dziwną moc. Przyciągało brudem, niedbalstwem i odorem rozkładającego się obornika, ale przyciągało także wolnością, brakiem nakazów i zakazów. To był najpiękniejszy skrawek wspólnej ziemi, a jeśli wspólnej to niczyjej. Tak zapamiętała go Ania. Umorusana od stóp do głowy dworską ziemią, obdarowana zapachem Suni, ale jakże szczęśliwa z minionego dnia, wracała na swoje sterylne podwórko, do roślin udreńczonych dziadkową dyscypliną, do kotów zwabionych i zamykanych w drewnitni, gdzie roiło się od cuchnących myszy.

Irka żartowała, że Ania jest mamą Suni, ponieważ pies najbardziej cieszył się na jej widok, a raczej na smakołyki, które przynosiła jej dziewczynka. Najczęściej były to plastry kiełbasy ściągane z chleba lub łykowane mięso z obiadu, chowane dyskretnie na taborecie pod kuchennym stołem. Ania nienawidziła białych plam tłuszczu wypełniających kiełbasiane krążki – *tu są szpyry, nie będę jadła tej słoniny* – zanosila się płaczem, aby wzbudzić matczyną litość. Oczywiście, mama ulegała i pozwalała na zjedzenie chleba z margaryną posypaną cukrem. Kiedy cel został osiągnięty, niezjedzone resztki dyskretnie chowane były do papierowej tutki i ukryte pod wiadrem za domem czekały na dalszy bieg wypadków, który zawsze był przewidywalny. Każdego dnia coś wędrowało do torebki, przecież należało dbać o matkę karmiącą.

Po wakacjach dotarła do dziewczynek smutna wiadomość. Psiaki poszły w dobre ręce, jak to określiła Irka, a Sunia gdzieś przepadła. Ania przez chwilę podejrzewała pana w gumiakach, że to on zrobił krzywdę Suni. Podwórkowe dzieci opowiadały, że widziały złego pana, jak ciągnął psa na sznurku w pobliskie krzaki, a potem wrócił sam. Przez kilka dni dziewczynki nawoływały Sunię, szukały jej w pobliżu dworku, niestety, przepadła bez wieści. Ania odważyła się zapytać „pana gumiaaka” o psa. W odpowiedzi zobaczyła jego szczerbaty uśmiech wzbogacony śliną wyplutą na piach. A kiedy jego noga w krzywym gumowcu zaryła w brudnej ziemi, Ania skuliła się jak Sunia i odskoczyła na bezpieczną odległość. Nie miała odwagi, aby zadać jakiegokolwiek dodatkowe pytanie, tym bardziej, że podwórko wypełnił donośny głos: *a won mi stąd ty sobacze gówno! Fora ze dwora na swoje podwórze! Żebym cię tu więcej nie widział!*

Smutek z powodu utraty czworonożnych przyjaciół trwał jakiś czas, ale potem życie koleżanek potoczyło się zwykłym trybem. Odwiedzały jeszcze Irkę, ale kiedy jej rodziców przesiedlono do bloku, skończyły się podwórkowe zabawy na dziedzińcu przed dworkiem.

Po szkole średniej koleżanki utrzymywały ze sobą kontakt, potem każda poszła swoją drogą. Ewa przepadła gdzieś na antypodach, Ania wyjechała na południe Polski, tylko Irka pozostała w S.

Mimo dużej odległości, Ania i Irka kontaktowały się ze sobą. Kilka razy spotkały się w S. Wspominając beztroskie dzieciństwo i lata szkolne. Siadały na murku przy szosie wiodącej do M. i ćmiły papierochy, jak licealistki, które urwały się na wagary. Irce nie wolno było palić. Wiedziała o swojej nieuleczalnej chorobie, ale nie chciała podporządkować się sztywnym medycznym rygorom. Mnie już nic nie może ani zaszkodzić, ani pomóc – usprawiedliwiła się sama przed sobą. Jej piękne niegdyś, płomienne włosy były mglistym wspomnieniem. Zamiast nich pyszniła się na jej głowie kolorowa chustka. Popatrz – mówiła Irka smutnym głosem – tak dobrałam kolory chusteczki, że bez obrazy można nazwać mnie brukselką, bo przecież kapusta to głowa pusta, a raczej лыsa – dodawała smutnym głosem.

Ania wiedziała o nieuleczalnej chorobie Irki, ale nie widziała, że przyjaciółka tak szybko oedzie. Nie mogła być w dniu pogrzebu. Przyjechała jakiś czas później. Oprócz grobu Irki chciała odwiedzić miejsca bliskie jej sercu.

Miasto wypiękniało. Widać było ogromną troskę włodarzy o estetykę i funkcjonalność ulic, sklepów i urzędów. Jezioro było ciągle to samo, zmieniło się tylko jego otoczenie. Nie przeszkadzało to Annie w odnalezieniu dawnych, urokliwych miejsc, gdzie trzy papużki nierozłączki potrafiły siedzieć godzinami, snuć plany na przyszłość i marzyć o wielkim świecie.

Tuż przed wyjazdem z S. Anna udała się w kierunku ponemieckiego dworku, na podwórku którego, dawno temu, spędzała z koleżankami beztroskie chwile opiekując się Sunią.

Pola, niegdyś falujące dojrzałym zbożem, sprzedano na działki budowlane, nowe domy wyrastały jak grzyby po deszczu. Zmiany, wszędzie zmiany! Anna z trudem odnalazła dworek. Stanęła przed szeroko otwartą bramą i patrzyła porażona pięknem bijącym z elewacji budynku i podwórza. Wzorowy porządek, równiutko ułożone kostki brukowe, klomby z egzotycznymi roślinami – wszystko to zapierało dech w piersiach.

Przez chwilę miała wrażenie, że ujrzy dziadka z dumą pokazującego dzieło swoich niewolniczych rąk, miała także wrażenie, że za chwilę przybiegnie do niej Sunia i przywita ją swoim jedwabistym językiem, a tuż za nią wytoczą się małe nicponie, kolorowe tuste piłeczki z ząbkami ostrymi jak szpilki.

Otwarta brama zachęcała do wejścia. Przekroczyła ją, jak granicę prowadzącą do innego świata i ruszyła w głąb podwórza. Sunęła wolniutko krok za krokiem. I wtedy wyskoczyły! Anna nie pamięta skąd. Nie widziała ich wcześniej zauroczona pięknem posesji. Dwa czarne rottweilery rzuciły się na nią powalając na ziemię. Instynktownie zasłaniała twarz. Czowała przeszywający ból szarpiących kłów i ogromną siłę przygniatającą „intruza” do ziemi.

Potem nie czuła już nic. Pamięta ciemność i wpadanie do studni bez dna.

Diagnoza była okrutna. Oprócz licznych ran szarpanych najbardziej „oberwał” kręgosłup, jak stwierdził lekarz.

Dwa lata trwał proces o ustalenie winy i odszkodowanie. Anna przegrała kolejną rozprawę.

Dwa lata szarpali ją właściciele rottweilerów. Kąsali boleśniej niż psy. Kulili się pod ostrzałem pytań i oskarżeń. Najboleśniej kąsała czarna toga. Doskonale wykorzystwała potęgę wiedzy zawartą w kodeksach prawa. Anna zapamiętała tylko strzępy uzasadnienia: naruszyła, zlekceważyła, miała przywidzenia, szła mimo ostrzeżeń, otworzyła furtkę, wtargnęła, chciała okraść...

Nie wniosła apelacji, nie miała na to siły. Uwierzyła w swoją winę. Przecież żyła w kraju prawa i porządku. Nie miała szans z młodym pokoleniem wilków.

Długie rozmowy z psychologiem zaczynały przynosić efekty, wyciszyły Annę, sprawiły, że podźwignęła się z ciężkiej depresji. Nadzieja, że wkrótce rozstanie się ze swoim „kumplem”, trzymała ją przy życiu.

W snach ciągle jeszcze atakowały ją czarne bestie, ale od czasu do czasu przychodziła do Anny Sunia i lizała jej twarz swoim aksamitnym językiem. Przepraszała za cały psi ród. Zdawała się mówić – nie wszystkie psy są złe, tak jak nie wszyscy ludzie są dobrzy. Anna płakała. Tuliła Sunię, wyczuwając na szyi psa gruby sznur. Sunia zlizywała łzy z policzków Anny, niekiedy kładła swój duży łeb na jej piersi i wpatrywała się łzawymi oczami w swoją panią, wzdychając przy tym z ogromną troską. Odchodziła upewniwszy się, że oddech Anny jest spokojny i tej nocy nie zakłóca go koszmarne sny.



TOMASZ WANDZEL

GRZECZNA
DZIEWCZYNNKA



Wachlarz

Tomasz Wandzel

GRZECZNA DZIEWCZYNKA

(fragment powieści)

Grzeczna Dziewczynka to jakby moje drugie imię, choć bywają chwile, gdy myślę, że pierwsze i jedyne. Dokładnie nie pamiętam, kto i kiedy mnie tak nazwał. Prawdopodobnie było to jeszcze w czasach piaskownicy, wiaderek i lalek. Najpewniej któraś z matek moich koleżanek, widząc spokój, grację, cierpliwość, z jaką lepiłam babki, nazwała mnie „grzeczną dziewczynką”. Moi rówieśnicy podchwycili ten przydomek i już mało kto, z wyjątkiem rodziców, mówił do mnie po imieniu, choć i oni w szczególnych chwilach wyluskiwali to określenie z pamięci. Ktokolwiek wymyślił przezwisko, zwyczajnie źle zinterpretował to, co widział. Nie cierpliwość, spokój i gracja, ale nuda i zniechęcenie towarzyszyły mi w piaskownicy. Bywały chwile, w których nienawidziłam tego przezwiska. Zwłaszcza wtedy, kiedy mimo wewnętrznego sprzeciwu musiałam być jak ta „grzeczna dziewczynka”. Gdy moja prawdziwa natura dawała o sobie znać, a najczęściej wynikały z tego kłopoty, wtedy dziękowałam niebiosom, że wszyscy widzą we mnie grzeczną dziewczynkę.

– Janusz, Kinga nie stłukła tego wazonu specjalnie, to był wypadek – tłumaczyła matka moje dziwne zachowanie. Ojciec nie do końca był przekonany o przypadkowości zdarzeń. Pewnie domyślał się, że wazon został zniszczony z premedytacją.

– No popatrz sam, jaka z niej grzeczna dziewczynka – mówiła, głosząc mnie po starannie zaplecionych warkoczykach. Tylko B. odkrył moją prawdziwą naturę.

– Wiesz, że masz w sobie diabła? – stwierdził pewnej nocy, gdy pod nieobecność jego żony leżeliśmy spełnieni w ich małżeńskim łóżku. Miałam wtedy trzydzieści dwa lata i nie pamiętałam już, że jeszcze kilkanaście lat wcześniej byłam grzeczną, cichą dziewczynką. Posłuszną, miłą córeczką. Pilną i zdolną uczennicą.

W moim pokoju panował wręcz nieznośny porządek. Lalki siedzące na jednej półce, misie na drugiej, trzecia zarezerwowana dla książek. Według rodziców byłam wzorem idealnej córki. Wszystkie ich prośby i polecenia wykonywałam bez protestów. Nauczyciele powtarzali:

– Z twoimi zdolnościami, pilnością i determinacją daleko zajdziesz i wiele osiągniesz.

Taki stan rzeczy panował do ostatniej klasy liceum. Szczęśliwie przetrwał nawet zwyczaj burzliwy okres dojrzewania. Mimo że nie byłam jakimś dziwologiem, ale dziewczyną podobną do tysięcy innych. Lubiłam imprezy, ploteczki, a nawet wypadki w miejsca zakazane. W połowie klasy maturalnej ten doskonale działający mechanizm zaczął szwankować. Czy miała na to wpływ literatura, po którą sięgałam, a która z całą pewnością nie była przeznaczona dla „grzecznych dziewczynek”? Swobodne korzystanie z internetu, który dawał zupełnie nowe i nieznane możliwości odkrywania świata? Ludzie, z którymi się

przyjaźniłam? A może diabeł, którego B. odkrył we mnie tej listopadowej nocy już zaczynał krecią robotę? Tego nie wiem, jednak faktem jest, że jak to w chwilach, gdy coś szło nie tak, jak powinno, zwykł mówić pan Spsychalski, nasz sąsiad mieszkający piętro niżej: „wszystko diabli wzięli i wywieźli do piekła”. W moim przypadku zmiany nie były tak piorunujące, ale pierwszy kamyk zwiastujący lawinę wyzwolenia już spadł. Postanowiłam studiować w Krakowie. Ojciec planował, że tak jak on skończę studia w Toruniu. Dlaczego właśnie Kraków? Powody były bardziej emocjonalne niż racjonalne. Byłam tam kilka razy z wycieczką, drugie tyle z rodzicami. Każdy pobyt utwierdzał mnie w przekonaniu, że to najpiękniejsze pod względem architektury miasto w kraju. Nie bez znaczenia była rozrywkowa atmosfera tego miejsca. W Krakowie każdego dnia działo się coś ciekawego. O swoim zamiarze powiedziałam podczas wielkanocnego śniadania.

– Basiu, słyszysz, co nasza córka wymyśla? Chce studiować w Krakowie! – zdziwiony ojciec przestał smarować masłem rumianą grzanekę.

– Kinga, pod ręką masz jeden z najlepszych wydziałów prawa w Polsce, a ty chcesz się pchać aż do Krakowa! Pierwszy argument ojca przewidziałam bezbłędnie. Znałam jego opinię o toruńskim wydziale prawa chyba od dziecka.

– Tato, nie chcę studiować w miejscu, gdzie wszyscy cię doskonale znają. To nie sprzyja studiowaniu, gdy wykładowca jest kumplem twojego ojca. Poza tym chyba czas, żebym nabrała samodzielności, a mieszkanie kilka przecznic od uczelni z rodzicami nie pomoże mi w tym – jak na razie szło mi zupełnie dobrze. Podsumowałam, zaliczając na swoim koncie dwa celne kontrargumenty.

– A Marcin? – tym razem zaskoczenie było więcej niż kompletne. Ojciec widząc moją reakcję, siedł za ciosem. – Przecież jesteście parą od trzech lat!

Do głowy mi nie przyszło, że ojciec, człowiek nadzwyczaj rozsądny, chowający uczucia i emocje głęboko pod sercem, jako argumentu użyje mojego związku z Marcinem. Tym bardziej że nigdy nie pochwałał mojego wyboru.

– Już nie jesteśmy razem – zakomunikowałam ostro, krótko, nie zamierzając udzielać żadnych wyjaśnień. Wiedza, że facet, z którym byłam, okazał się zwykłym gnojkiem, nie była na sprzedaż, nawet za cenę studiowania w Krakowie.

– Basiu, a co ty o tym sądzisz? – ten ruch ojca też był do przewidzenia. Zawsze gdy chciał zyskać na czasie, pytał matkę o radę. Matka spojrzała na niego, potem wolnym, prawie leniwym ruchem, muskając wzrokiem półmisek pełen wędlin, talerzyk z barwnymi pisankami, koszyk wypełniony pieczywem, odwróciła w moją stronę dumną, piękną twarz z doskonałym makijażem.

– Ja nie widzę przeszkód – oznajmiła niby obojętnie, przenosząc perfekcyjnie podkreślone, jasne i czujne, podobne do popielatoszarych chmur spojrzenie na kryształowy wazon pełen czerwonych tulipanów.

Ilekczo rozmowa toczona przy rodzinnym stole dotyczyła podjęcia decyzji w mojej sprawie, matka mówiła: „Nie widzę przeszkód”. Tym samym dawała ojcu do zrozumienia, że to

on powinien podjąć ostateczną decyzję. Dla mnie był to znak, że trzyma moją stronę. Ojciec nigdy nie decydował od razu. Musiał przemyśleć sprawę na wszystkie możliwe sposoby. Tym razem było podobnie.

– Skoro mama nie ma nic przeciwko, to pomyślimy, co da się zrobić – powiedział, wracając do smarowania grzanki.

W większości przypadków dopinałam swego. Po pierwsze, byłam jedynaczką. Po drugie, upartość traktowałam jako najlepszą drogę do wyznaczonego celu. Potrafiłam tygodniami dzień w dzień przypominać rodzicom, a właściwie tylko ojcu o mojej zachciance, wymyślać nowe bardziej przekonujące argumenty, aż ten kapitulował.

– Dobra, zgadzam się, tylko przestań mi dłużej wiercić dziurę w brzuchu – mówił, rozkładając bezradnie ręce i spełniał moje kolejne marzenie. Tym razem sprawa była bardziej poważna. Studia w Krakowie to nie to samo, co nowy rower, wycieczka do Hiszpanii, nowy komputer czy zgoda na dyskotekę. Minęło kilka tygodni, nim ojciec wywiesił białą flagę, ale zgoda nie była bezwarunkowa. Musiałam zaakceptować kilka warunków. Pierwszym było zakwaterowanie mnie w domu wujka Jurka. Tak naprawdę nie był on moim wujkiem, ale kuzynem ojca. Gorszego miejsca nie życzyłabym nawet wrogowi. Wyobraźnia bez szczególnej zachęty podsuwała wizję mieszkania w ponurym domu z takim samym właścicielem. Chciałam nawet zaproponować, by zamiast u wujka zakwaterować mnie w klasztorze, ale doszłam do wniosku, że ojciec nie zrozumie żartu. Wujek Jurek był najbardziej oschłym i szorstkim człowiekiem, jakiego do tej pory poznałam. Nic więc dziwnego, że w kręgach prawniczych, a także przestępczych nazywano go „Młotkiem”. Przewisko miało odzwierciedlać jego charakter – twardy, bezkompromisowy, dla niektórych pozbawiony nawet ludzkich odruchów. Żaden krakowski sędzia nie wydawał tak ostrych wyroków jak wujek. Bali się go przestępcy każdego kalibru, a nawet adwokaci. Jedynie prokuratorzy żywili do niego sympatię. Dzięki niemu znacząco wzrastała średnia sukcesów tej instytucji. Po śmierci żony mieszkał z synem w ogromnej przedwojennej willi na krakowskim Kazimierzu. Mając w pamięci rozważania, jakimi częstował nas podczas każdej wizyty, że willa jest za duża na dwie osoby, tym bardziej że syn Tomek studiował w Stanach Zjednoczonych i właściwie mieszka sam, że musi ją w końcu sprzedać, ale biorąc pod uwagę ceny nieruchomości, nie jest to opłacalne, podejrzewałam, co może mnie czekać. Kolejnym warunkiem ojca było, abym każdy weekend spędzała w domu. Fakt, że Toruń i Kraków dzieliło kilkaset kilometrów nie robił na nim wrażenia.

– Kinga, zawsze będziesz mogła wykorzystać kilka dodatkowych godzin na naukę – argumentował, jakby w życiu nie było niczego ważniejszego od nauki. Zaczynałam mieć wątpliwości, czy miasto moich marzeń jest warte tyłu wyrzeczeń. Mimo braku wiary w skuteczność mojego kroku postanowiłam zaprotestować.

– Tato, weekendy są po to, by wypoczywać, a nie spędzać je w pociągach.

Ojciec przez chwilę milczał. Zapewne analizował moje argumenty, szukał kontrargumentów, może nawet doszukiwał się w moich słowach jakiegoś podstępku. Po niezwykle konstruktywnej, co nie znaczy spokojnej, wymianie zdań osiągnęliśmy kompromis. Do

domu miałam przyjeżdżać dwa razy w miesiącu. Dwie godziny negocjowaliśmy warunki mojego pobytu w Krakowie, jakby chodziło o kontrakt wart miliony dolarów, a nie studia. Wcale by mnie nie dziwiło, gdyby przygotował odpowiednią umowę na tę okoliczność i kazał mi ją podpisać. Tego dnia do późnej nocy myślałam o tym, jak za kilka miesięcy będzie wyglądało moje życie. Swoim sukcesem nie omieszkalam podzielić się z ludźmi czytającymi mój blog: *Dzisiaj mogę napisać, że walka o Kraków wygrana. Fakt, łatwo nie było, ale kto powiedział, że zawsze będzie z górki, że zawsze będzie wesoło i zawsze będzie szybko? Czasami trzeba uparcie, ze łzami w oczach zdobywać wymarzone szczyty. Pewną niedogodnością będzie mieszkanie w domu kuzyna mojego ojca. Człowiek wykształcony, szanowany, ale podejściem do świata i stosunkiem do ludzi bardziej przypomina stereotypowego zrzędcę niż prawnika. Powoli zaczynam przyzwyczajając się do myśli, że przez pięć lat będę mieszkała w starej, ponurej willi. Najważniejsze, że Kraków zdobyty!*

Do pokonania została jeszcze jedna przeszkoda. Egzaminy wstępne. Fakt, że byłam córką prawnika w odległym Krakowie niewiele znaczył. Chcąc nie chcąc, musiałam wkuwać. Zazdrościłam Alibabie, który jedyne co musiał zrobić, to wypowiedzieć zaklęcie, a pełen skarabów sezam otwierał przed nim swe podwoje. Na egzaminy pojechałam z ojcem. Samodzielny wyjazd nawet nie wchodził w grę. Kandydatów było tak wielu, że egzaminy odbywały się równolegle w czterech aulach. Chętnych było ponad tysiąc osób, a miejsc jedynie siedemdziesiąt. W półtorej godziny poradziłam sobie z całym zestawem pytań. Wychodząc z auli jako pierwsza, usłyszałam szept kogoś z sali: „Patrzenie jaka grzeczna dziewczynka, już się uporała ze wszystkim”. Wybuch śmiechu zagłuszył trzaśnięcie potężnych drzwi. Przed sobą miałam dwa tygodnie nerwowego oczekiwania. Każdy dzień czekania przypominał długie, jesienne miesiące. Ja, mama, a zwłaszcza ojciec nie dopuszczaliśmy ewentualności, że mogę nie zdać, ale takie ryzyko zawsze istniało. Przy tak wielu chętnych na ten elitarny, dający wielkie możliwości kierunek liczył się każdy punkt. Ojciec zawsze powtarzał: „Córeczko, urodziłaś się po to, by przejąć po mnie kancelarię”. Mimo zainteresowania architekturą, malarstwem i fotografią wiedziałam, że jedynym kierunkiem studiów, jaki muszę skończyć, jest prawo. Dwa dni przed moimi dziewiętnastymi urodzinami otrzymałam pisemną informację, że z łączną notą 308 punktów zostałam przyjęta na wydział prawa. Nigdy przedtem ani nigdy potem nie widziałam ojca równie dumnego. Gdyby nie jego oszczędny sposób okazywania uczuć na pewno krzyczałby z radości. To, że mnie przytulił, było dla mnie, ale głównie dla niego, czymś nowym. Nigdy nie wątpiłam w jego miłość. Obie z mamą byliśmy dla niego najważniejsze, jednak zamiast zwykłych, prostych gestów jak przytulenie wolał używać słów.

Bardzo szybko minął gorący lipiec, jeszcze szybciej wręcz upalny sierpień. Na początku września cały potrzebny do studiowania ekwipunek, a zajmował on pięć ogromnych pudeł, został wysłany do wujka Jurka. Kilka dni później stanęłam przed drzwiami starej ponurej willi na krakowskim Kazimierzu. Architektoniczna surowość budynku była typowa dla obiektów budowanych w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Kryzys panujący prawie na całym świecie zmuszał do rezygnacji z dekoracyjnych, acz drogich detali na rzecz funkcjonalności i prostoty. Fakt, że dom, jak i działka były zadbane, w żadnym stopniu nie łagodził jego pośpęności. Zadrzałam, czując chłód panujący w ciemnym korytarzu. Wujek,

ubrany w granatowy garnitur, białą wykrochmaloną koszulę i bordowy krawat z czarnymi rąbami, przywitał nas bez uśmiechu.

– Jak tam podróż? Pewnie wszędzie korki? – rozpoczął monolog fatalisty, nie dając nam dojść do głosu. – Lepiej jechać pociągiem, ale w tych czasach to i na kolej nie można liczyć – machnął z rezygnacją starannie zadbaną dłonią z równo przypiętowanymi paznokciami. – Dlatego ja do pracy zawsze chodzę piechotą – dodał, zapraszając nas do salonu.

Mimo trzech szerokich okien sięgających od podłogi do sufitu było tylko trochę jaśniej niż w korytarzu. Stare, ogromne kasztany rosnące za oknami skutecznie blokowały dostęp słonecznego światła. Nowoczesne wyposażenie tworzyło niezdrowy kontrast z gipsowymi stiukami nad drzwiami, owalnymi plafonami na suficie. Architektoniczne detale wprowadzone zapewne kilka, a może nawet kilkanaście lat po wybudowaniu domu, nie znajdowały wspólnego języka z meblami wykonanymi z metalu i szkła. Jedynym sprzętem, który mógł pamiętać młodość tego domostwa, był smukły, drewniany, wysoki zegar. Wujek przeprosił nas na chwilę i zniknął w drzwiach kuchni po przeciwnej stronie korytarza. Jak się później przekonałam, było to jego drugie królestwo. Poza pracą zawodową jedynie gotowanie sprawiało mu przyjemność i robił to znakomicie. Dzięki niemu nauczyłam się gotować. Ja, która przysłowiowo przypalałam wodę na herbatę, kilka miesięcy później potrafiłam przygotować najwymyślniejsze dania kuchni galicyjskiej, ale to już inna historia. W dniu mojego przyjazdu po raz pierwszy w życiu jadłam galicyjską zupę pomidorową. W przeciwieństwie do innych pomidorówek przyrządzało się ją z prawdziwych pomidorów, a nie koncentratu. Na drugie danie podał sznycle z wątróbką i pieczarkami. Po obiedzie zobaczyłam miejsce, które przez najbliższe pięć lat miało być moim drugim domem. Na piętro prowadziły szerokie, kamienne schody. Pokój był prawie tak duży jak salon. Po prawej stronie od wejścia zbudowano potężny, sięgający niemal sufitu kaflowy piec. Zielone prostokąty kafli ozdobione czerwonymi, zielonymi, brązowymi i pomarańczowymi kwiatami przywodziły na myśl kwitnącą łąkę. Zielone tło przypominało letnią trawę, bo tylko latem trawa ma właśnie taki odcień. Ciepłe, żółte ściany w połączeniu z dużym, południowym oknem sprawiały, że w przeciwieństwie do reszty domu pokój był jasny, pełen światła. Pod jedną ze ścian ułożono pudła z moimi rzeczami. Pod oknem stał prostokątny, drewniany stół. Łóżko, także drewniane, ustawiono obok przeszklonych drzwi prowadzących na balkon. W pokoju była jeszcze szafa i niska komoda z trzema szufladami. Mimo kilku wizyt w tym domu nigdy nie widziałam tego pokoju.

– To był gabinet mojej żony – wujek, oparty o piec, delikatnie czyścił kafle z niewidzialnego kurzu. Reakcją na przywołanie nieżyjącej od trzech lat ciotki Ani było lekkie drżenie powiek.

– Kinga, to ty się zacznij rozpakowywać, a ja jeszcze porozmawiam z Jurkiem – powiedział ojciec, wychodząc za wujkiem z pokoju. Gdy po godzinie zeszałam na dół, obaj rozmawiali o zmianach w kodeksie karnym.

Po odjeździe ojca wróciłam do rozpakowywania pudeł. W kuchni wujek sprzątał po obiedzie. Przez uchylone drzwi balkonowe wkradał się cichy trel ptaków i słodkawa woń palonych traw. Rozpakowywanie ostatniego pudła przerwało ciche, niepewne pukanie do drzwi. Zostawiłam karton i poszłam otworzyć. Wujek trzymał tacę z dzbankiem i filiżanką.

– Pomyślałem, że to dobra pora na herbatę – wyjaśnił lekko zakłopotany. Garnitur zamienił na granatowe dzinsy i bordową, flanelową koszulę. W takim stroju widziałam go po raz pierwszy. Wyglądał mniej ponuro. Opalona twarz złagodniała, czujne, stalowe spojrzenie straciło hardość. Miałam przed sobą przeciętnego pana w średnim wieku, a nie surowego sędziego.

– A wujek nie ma ochoty na herbatę? Zrobił jeszcze bardziej zakłopotaną minę, a ja pożałowałam swojej propozycji.

– Nie będę ci przeszkadzał. Masz pewnie jeszcze sporo do rozpakowania.

Mimo że właśnie taka odpowiedź była mi na rękę zaczęłam nalegać, by przyniósł drugą filiżankę. Miałam mieszkać z tym człowiekiem pod jednym dachem przez pięć lat i ta myśl kazała mi nalegać. Im silniej wujek odmawiał, tym mocniej obstawałam przy swoim. Nie lubiłam, gdy ktoś, kimkolwiek by nie był, odrzucał moje zaproszenie.

– No już dobrze, zaraz przyniosę filiżankę. A swoją drogą twój ojciec miał rację, jesteś uparta – tajemniczy uśmiech w kącikach ust był dla mnie zaskoczeniem. Być może oceniając tego człowieka, popełniłam błąd?

Siedzieliśmy przy stole na prostych, drewnianych krzesłach. Dwoje prawie obcych sobie ludzi, których drogi przez kilka najbliższych lat miały krzyżować się jak nitki pajęczyny. Aromaty herbaty i słodkawego dymu wnikały w siebie, tworząc niewidzialną mgiełkę nadchodzącej jesieni.

– Stary Stolarski pali liście – burknął pod nosem wujek.

– A kto to jest? – zapytałam, napełniając filiżanki ciemno bursztynowym naparem.

– Sąsiad, stary dziwak. Zbiera znaczki pocztowe, stare fajki i winylowe płyty z lat trzydziestych ubiegłego stulecia – wyjaśnił, a w jego głosie wyczułam nutę pobłażliwości.

„Jeden dziwak opisuje drugiego dziwaka” – pomyślałam, próbując wyobrazić sobie pięć lat, jakie przyjdzie mi spędzić w tym domu. Wujek z wiecznie niezadowoloną miną wcale nie był bardziej normalny od staruszka zbierającego znaczki, fajki i płyty. Jak się później okazało, wujek Jurek też miał swoje dziwne, skrzętnie ukrywane pasje. Jeszcze chwilę rozmawialiśmy o panu Stolarskim. Z czasem rozmowa straciła naturalność. Smutna, pustka filiżanek była idealnym pretekstem do zakończenia spotkania. Wujek podziękował za herbatę i wyszedł, tłumacząc, że ma sporo pracy. Pierwsze uliczne lampy rozjaśniły pokryty opadłymi liśćmi bruk, gdy skończyłam rozpakowywanie swoich rzeczy. Chciałam napisać na blogu o pierwszym dniu w Krakowie, ale tutaj nie miałam Internetu. Postanowiłam odwiedzić jedną z kafejek internetowych na krakowskim rynku. Przed wyjściem otrzymałam od wujka klucze do domu.

– Tylko nie wracaj zbyt późno – poprosił, wyjaśniając, który klucz jest do bramki, a który do drzwi. – Kraków nocą nie jest odpowiednim miejscem dla młodej dziewczyny – dodał, gdy byłam już przy drzwiach.

Janusz M. Moździerz

O UPADKU MALARZA...

Jestem Ci to winien, Malarzu. Twój ostatni widoczek – odręcznie chlapnięty – *drugi brzeg rzeki z pochyloną ku nurtowi – tower; jak chciałeś, żeby mówić o starej wieży ciśnień, dlaczego, już nie odpowiesz, jakbyś przewidział, że tam cię zawloką – stoi wciąż – choć on nadal płynie leniwie jak wtedy* – na tym samym miejscu regału, oprawiony w ramkę z konaru dzikiej wiśni, krzywo i trochę topornie wystruganą. Niewprawną ręką amatora. Szczęściem nie miałeś okazji zobaczyć tego sprofanowanego sąsiedztwa: koślawego, przykrojonego do wielkości malunku wysuszonego na wiór kawałka twardego drewna, z nierówno pokrytym olejną farbą brunatnym skrawkiem kartonowego opakowania po pomarańczach, pachnącego nieodmiennie dalekimi podróżami, hen...I paru zupełnie przypadkowych książek. Raczej przeczytanych. Bez większej satysfakcji zresztą. Raczej z potrzeby. Albo nawyku.

Oj Malarzu, chłopie z zielenią w oczach. Wiedziałeś jak namalować absurd?! Absolut absurdu; zmieścić na kilkudziesięciu centymetrach *kwadratowych*? – płótna, brystolu, tektury oderwanej z liściowej paczki cioteczki UNRRA? Jak w przypadku „Widoku z drugiego brzegu”; potrafiłeś zrobić, rzucając plamy farby na nieforemny ułamek rzeczywistości wciąż wabiącej nieznanym... Tower należał do tego gatunku. Był. Istniał. Pewnie kiedyś żył, tętnił. Ale postanowiłeś go uczynić outsiderem zarzucając paletę. Choć nie mogłeś wszystkiego przewidzieć, nawet tą swoją niezwykłą przenikliwością. Tower! Zwyczajna ceglana nieforemna wieża; duża, nawet wielka, ale zwyczajna; żadna tam królewska twierdza, a broń Panie Boże! więzień, kić, pierdel czy jakby zwał inaczej to intymne miejsce wiecznego etc. Ot – wieża ciśnień – zrozumiałe, co?! Żadne cudo natury. Raczej wybryk trochę świrniętego architekta. Chociaż strzelista jak należy; to fakt. Z grottem ku pełni światła skierowana. Pewnie to cię omamiło Malarzu?! Droga do światła, droga wyzwolenia.

Wcześniej wiedział, co będzie robił; co będzie chciał robić. Nie wiedział, co z nim zechcą zrobić; co mu potrafią zrobić; pewnie dobrze że tego nie pojmował. Dzięki temu mógł malować, ile dusza zapagnie. Dusza?! Może talent? Albo jedno i drugie. I zauroczenie też. Chyba ono najbardziej dawało mu przyspieszenia. Poganiało nieustannie. Jakby szeptało, że musi zdążyć zanim najlepsze światło zgaśnie, gdzieś za tamtym brzegiem rzeki, nad którą się wychował; która leżała w zasięgu ręki, a czasem nawet w niej zanurzał całe ciało, kiedy odkładał pędzel na zroszoną murawę. Aż zrobili mu to i przestał malować – i uwierzył draniom. *Po co komu uziemiony Malarz?! Który nie puścił farby...*

Tylko tower stał za nim murem; choć w poprzek szybko dojrzewającego zamiaru. Więc coraz częściej popatrywał tą swoją intensywną zielenią oczu, co już wymalowały wszystko o czym chciał powiedzieć; a teraz czekał na okazję i myślał jak to zrobić. Okropność. I ta wysokość. Nie jakaś tam Królewska Wysokość. Zwyczajna – ceglana. Po jasną cholerę upstrzył ją budowniczy tyłoma gzymsami ułatwiającymi wspinaczkę?! Dla dodania otuchy.? A Ty?! A może tylko korcił cię widok drugiego brzegu...Stamtąd... Kurważ mać była! – toż to Wieża Wysokich Ciśnień!

Ręka nie tylko potrafiła trzymać pędzel. Czyste światło nie poraziło źrenic. A ciemność przywitała bratnią duszę łagodną ciszą, wybrzmiewającą echem pytania: Komu potrzebna legenda o upadłym Malarzu?

Jestem Ci winien podziw... (aleś zmalował numer... !!!)

Andrzej Kasperek

WIĘZIEŃ NR 21319 – BALYS SRUOGA

*Kogo tęsknota wasza jeszcze chce odnaleźć,
Tego szukajcie tu, w Stutthofu dołach.
Czy słyszycie, co szumem swym „Las bogów” głosi?
Szukajcie w popiołach!...*

Jazeps Osmanis Stutthof¹

Kilka lat temu kolega powiedział mi, nieco podekscytowany, że w telewizji pokażą litewski film o obozie w Stutthofie. Podkreślił, że litewski a nie radziecki. Wtedy jeszcze zabrzmiało to nieco egzotycznie... Litwa dopiero niedawno wybiła się na niepodległość. Z filmu za wiele już nie pamiętam. W zasadzie tylko bluzgi, polskich przekleństw reżyser nie żałował widzom. Cóż, nie było to dzieło wielkiej klasy. Nie wiedziałem, że jest to adaptacja książki Balysa Sruogi pt. „Las bogów”. Minęło kilka lat (i nie szukając jej wcale) trafiłem na tę książkę.

Paweł Huelle powiedział mi, że Tomas Venclova w czasie swego pobytu w Gdańsku poprosił go, by mu towarzyszył w zwiedzaniu Muzeum Stutthof w Sztutowie. Chciał zobaczyć miejsce, w którym uwięziono na kilka lat Sruogę – postać znaną każdemu litewskiemu inteligentowi. Dodatkowo okazało się, że był to dobry znajomy jego ojca Anastasa Venclovy, kiedyś deputowanego do Sejmu Ludowego Litwy, ministra oświaty i autora słów hymnu Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Jego syn Tomas miał zgoła inne poglądy - od młodości był związany z litewską i rosyjską opozycją antykomunistyczną. Prześladowany w ojczyźnie wyemigrował do USA, gdzie zaprzyjaźnił się z Czesławem Miłoszem i Josefem Brodskim... Paweł opowiedział mi o wizycie w Stutthofie, były to jego kolejne odwiedziny w tym miejscu. Zaszokował go widok piecyka podgrzewającego komorę gazową, żeby podnieść temperaturę. To było konieczne, żeby Cyklon-B zaczął działać i zamienił się w trujący gaz. Okazało się, że zimne wiatry od morza przeszkadzały w dziele zagłady.



Portret Balysa Sruogi, fot. Internet

¹ Jazeps Osmanis Stutthof, przeł. Zygmunt Stoberski [w:] *Jak unieść wierszem twoją chwałę. Polska w poezji radzieckiej* [Antologia], wybrał i wstępem opatrzył Bazyli Białokozowicz, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1977.

Znalazłem w internetowym antykwariacie książkę „Las bogów” i zacząłem lekturę. Okazało się, że jest to świetna proza, stanowczo zbyt mało znana u nas, wybitne dzieło mówiące o czasy pogardy. Nie znamy literatury litewskiej, ktoś może czytał książki wspomnianego T. Venclovy lub Grigorija Kanowicza, ale proza i poezja sąsiadów nie jest w Polsce popularna. Książka ukazała się po polsku tylko raz – w 1965 r. wydała ją Wydawnictwo Morskie w tłumaczeniu z rosyjskiego².

Kim był Sruoga? Urodził się w roku 1896 na wsi niedaleko Birż, słynnej posiadłości Radziwiłłów. Kształcił się najpierw w Poniewieżu, potem w Petersburgu (studia w Instytucie Lekcyjnym oraz na Wydziale Historii i Filologii Uniwersytetu Piotrogrodzkiego) i Moskwie (literatura na tamtejszym uniwersytecie). Po odzyskaniu niepodległości wraca na Litwę i pracuje jako dziennikarz. W 1921 wyjeżdża na dalsze studia do Monachium (slawistyka i teatrologia). Po ich ukończeniu broni dysertację i zostaje doktorem filozofii a następnie habilituje się i zostaje docentem na Uniwersytecie Litewskim w Kownie. Awansuje na stopień profesora i od stycznia 1940 roku pracuje na uniwersytecie w Wilnie. Wykłada historię, literaturę rosyjską i teatrologię. Poza tym zajmuje się poezją i pisaniem sztuk teatralnych (m.in. dramaty psychologiczne oparte na motywach historycznych, np. „Kazimieras Sapięga”, opowiadający dzieje hetmana wielkiego litewskiego Kazimierza Jana Sapięhy) oraz krytyką literacką i przekładami.

16 marca 1943 roku zostaje aresztowany przez gestapo i wraz z grupą czterdziestu sześciu litewskich prominentów wysłany do Konzentrationslager Stutthof. W Archiwum Muzeum Stutthof znajduje się tłumaczenie zeznań, które Sruoga składał po powrocie na Litwę przed prokuratorem ZSRR. Zeznaje tam, co następuje:

„Powodem aresztowania było: pełne niepowodzenie mobilizacji młodzieży litewskiej do szeregów SS, rozwścieżone władze niemieckie zamknęły oba uniwersytety litewskie zrobiwszy pogrom w laboratoriach, bibliotekach i gabinetach naukowych. Przyczyny aresztowania:

1. *na otwarcie teatru litewskiego w Wilnie (LSRR) napisałem kantatę, która była wykonana w teatrze,*
2. *na dekadę sztuki litewskiej w Moskwie napisałem specjalnie zamówiony dramat,*
3. *otwarcie wypowiedziałem przekonanie, że Niemcy wojnę przegrają.*

W oficjalnych papierach przyczyna aresztowania była tak sformułowana: »osoba kierująca ruchem oporu«³.

Dla Litwy, Łotwy i Estonii czasy po wybuchu wojny należały do najtrudniejszych w krótkiej historii ich państwowości (pojawiły się przecież na mapie Europy po 1918 roku). Upadek Polski i jej kolejny rozbiór oznaczał dla Litwy odzyskanie Wilna, ale radość była krótka, bo już

² Balis Sruoga *Las Bogów*, tłumaczył z języka rosyjskiego Stanisław Majewski, Wydawnictwo Morskie, Gdynia 1965, s. 272. Książka miała 10 000 egzemplarzy nakładu. Dziś wydaje się on ogromny, wtedy był zwyczajny, ale dzięki temu można ją wciąż upolować w antykwariatach i na Allegro. Muzeum Stutthof przygotowuje reedycję tego wydania. Szkoda tylko, że nie znalazły się środki na nowe tłumaczenie z oryginału litewskiego pt. Dievų miškas. Mam nadzieję, że zostanie usunięty błąd w tytule: wszystkie słowniki ortograficzne podają, że słowo 'bóg' w religiach politeistycznych piszemy małą literą. A autor właśnie litewskich pogańskich bogów wspomina na początku swej książki. W tym wydaniu imię autora jest pisane: Balis. W swoim tekście używam obowiązującej obecnie litewskiej formy: Balys.

³ Archiwum Muzeum Stutthof (AMS), Materiały Prokuratury ZSSR, sygn. Z-V-24.

w czerwcu 1940 r. rozpoczęła się sowiecka okupacja Litwy i masowe wywózki na Sybir. Kiedy Niemcy ruszyli na Związek Sowiecki Litwa znalazła się pod okupacją hitlerowską. Niektórzy potraktowali ją jako mniejsze zło i mieli nadzieję, że uda się odtworzyć jakąś formę państwowości. Wielu Litwinów kolaborowało z Niemcami, wstąpiło do wojskowych i policyjnych formacji podlegających Hitlerowi i bez oporów brało udział w Zagładzie Żydów oraz prześladowaniu ludności polskiej. Traktowali to jako działalność patriotyczną, oczyszczanie kraju z obcych rasowo i narodowościowo elementów. Pewnie liczyli na urzeczywistnienie swych dążeń niepodległościowych. Symbolem litewskiej hańby jest cmentarz w Ponarach pod Wilnem, na którym spoczywa prawie sto tysięcy osób (szacuje się, że około 70% stanowią Żydzi a 17-18% Polacy). Wśród pomników na tym cmentarzu znajdziemy też monument upamiętniający żołnierzy litewskich zabitych przez Niemców za to, że odmówili złożenia przysięgi na wierność Hitlerowi. Byli i tacy Litwini.

Okazało się, że Niemcy oczekiwali bardziej entuzjastycznego poparcia swej polityki a że niemiecka armia miała kłopoty z rekrutem i brakowało rezerw bardzo liczyli na mieszkańców krajów nadbałtyckich. Fiasko tych oczekiwań sprawiło, że aresztowano kilkadziesiąt osób – posłów, profesorów, prawników, inżynierów, księży. Stali się oni zakładnikami. Uwięzieni w KL Stutthof zostali uznani za tak zwanych więźniów honorowych (*Ehrenhäftlings*). W późniejszym okresie dołączono do nich kilku wyższych oficerów litewskiego sztabu generalnego oraz kilkudziesięcioosobową grupę litewskich mężów stanu i członków organizacji niepodległościowych.

Obecnie literatura poświęcona hitlerowskim i sowieckim obozom koncentracyjnym to wielka biblioteka. Książki Tadeusza Borowskiego, Zofii Kossak-Szczuckiej, Krystyny Żywulskiej, Seweryny Szmaglewskiej, Zofii Posmycz, Wiesława Kielara oraz Primo Leviego, Jean Améry'ego, Eliego Wiesela i Imre Kertésza są uznanymi świadectwami epoki pieców. Autorzy, którzy przeżyli obóz koncentracyjny opisują swoje przeżycia, dają świadectwo prawdzie. Najczęściej utwory należące do literatury obozowej przybierają formę wspomnień więźnia, opisującego świat łagrów i łagrów ze swojej perspektywy. Czasem poza przekazem dokumentalnym autorzy podejmują próbę syntezy, pojawia się dążenie do zrozumienia, czym był obóz, dlaczego „ludzie ludziom zgotowali ten los”? Są także próby artystycznego ujęcia opisywanych zjawisk.

Jak na tym tle rysuje się książka Sruogi? Jej wyjątkowość nie polega tylko na tym, że opisuje ona Stutthof, podczas gdy większość wymienionych autorów zajmowała się KL Auschwitz. Autor sięga bowiem do swej pamięci nie tylko po to, żeby snuć wspomnienia. To książka napisana przez naukowca, który wykorzystuje swój syntetyczny umysł, żeby opisać mikrokosmos obozu koncentracyjnego. Zachowuje dystans charakterystyczny dla postawy badacza, analizuje postawy ludzi, jest bardzo wnikliwym obserwatorem, analizuje. Tym, co potrafił znakomicie wykorzystać, było jego zupełnie wyjątkowe usytuowanie w tym świecie.

Aresztowani Litwini na początku po przybyciu do kacetu byli traktowani jako zwykli więźniowie i przeszli „normalną gehennę więźnia politycznego”⁴. Później jednak sytuacja się zmieniła. Autor tak to opisuje: „Któregoś dnia znowu ustawiono nas pod płotem. Zjawił się sam komendant obozu i rozpoczął mowę: - Nie wiem, za co was tutaj wsadzono, ale otrzymałem dzisiaj rozkaz w waszej sprawie. Od tej chwili jesteście naszymi więźniami honorowymi- Ehrenhäftlinge. Będziecie

⁴ Krzysztof Dunin-Łasowicz *Obóz koncentracyjny Stutthof*, Wydawnictwo Morskie Gdynia 1966, s. 96.

mieszkać oddzielnie. Waszym bezpośrednim przełożonym będę ja. Nie macie obowiązku honorować innych rozkazów. Włosów możecie nie strzyc. Raz w tygodniu wolno wam pisywać do rodzin i otrzymywać od nich listy i przesyłki. [...] Utrzymywanie kontaktów i wymiana poglądów z innymi więźniami są surowo wzbronione. Samowoli tolerować nie będę. Każdy, kto nie podporządkuje się moim rozkazom, wróci do ogólnych baraków. Do roboty możecie od dzisiaj nie chodzić, lecz możecie sobie wybrać jakieś zajęcie zgodne z życzeniem. Noszenie numeru na piersi i trójkąta was nie obowiązuje. Możecie włożyć swoje marynarki z żółtą przepaską na rękawie. Nie wolno jednak zdejmować spodni od pasiaków. Jeśli chcecie, możecie otrzymać nową odzież, z żółtą przepaską na rękawie; pasiaki musicie jednak nosić. Dyscyplina obozowa obowiązuje was nadal! Jesteście więźniami honorowymi, ale więźniami - doch *Häftlinge!*⁵

Po prostu ktoś w centrali zorientował się, że zakładnicy poddani reżymowi obozowemu umierają i jeszcze kilka miesięcy w takich warunkach a ich grupa przestanie istnieć. Przy wszystkich ograniczeniach więźniowie honorowi byli w uprzywilejowanej sytuacji. Tadeusz Płużański, były więzień obozu, który napisał przedmowę do wydania z 1965 roku, zauważył, że: „[...] odtąd jego sytuacja radykalnie odmieniła się na korzyść. Praca w biurach komendantury obozu pozwoliła mu natomiast uzupełniać bezpośrednią obserwację szeregiem elementów nie znanych niemalże innym więźniom, pozwoliła również na bezpośredni kontakt ze sporą grupą esesmanów, których miał okazję poznać nie tylko »przy pracy«⁶. Ta wyjątkowość położenia – od szczebla najniższego, od statusu więźnia bitego i nieustannie pędzonego do wyniszczającej pracy w komandzie leśnym, do stanowiska pisarza w kancelarii obozowej dała autorowi możliwość pisania o całym obozie.

Balys Sruoga zauważa, że pracując w biurach kacetu mógł: „[...] jak z wysokiego szczytu [...] obserwować całe życie obozowe, śledzić wszystko, nawiązywać znajomości z najbardziej wpływowymi więźniami. Tutaj można było też poznać sylwetki miejscowych dowódców SS, którzy w różnych sprawach byli uzależnieni ode mnie. Ja osobiście ustalałem plan ich zajęć, dyżurów i czas urlopów. Oczywiście wszystko to przedkładałem do zatwierdzenia komendantowi obozu, który jedynie akceptował moje propozycje. Gdzie wyznaczę esesmana, tam musi pędzić służbę”. (s. 102) To nie pycha bije z tych zdań, ale mściwa satysfakcja niewolnika; jak najbardziej zrozumiała w tym momencie. Ten cytat pokazuje, że stosunki pomiędzy więźniami a esesmanami były bardzo różne. Czasem nawet było tak, jak to opisał w cytowanym fragmencie. Działo się tak, ponieważ: „Esesowcy mogli rozstrzelać więźnia, powiesić, zatłuc kijami, rzucić psom na pożarcie, obrabować, wymazać dziegiem – więzień był poza wszelkim prawem. Jego wartość była mniejsza niż jakiegokolwiek przedmiotu. Lecz jednak bez pomocy więźniów esesowcy nie zdołaliby utrzymać ustanowionego przez siebie porządku”. (s. 19)

Będąc więźniem honorowym wystarczyło ściśle przestrzegać przepisów obozowych, nie gadać za dużo i szanse na przeżycie zwiększały się ogromnie. Nie przypominam sobie innej książki wspomnieniowej, w której autor miałby tak szerokie pole obserwacji. Dzięki temu jego książka ma ogromną wartość dokumentalną. Autor przedstawia powody uwięzienia, opisuje szpital, miejsca pracy, sposoby zadawania śmierci, niesłychane złodziejstwo i korupcję panujące w obozie oraz portretuje oprawców (np. osławionego kapo Kozłowskiego, którego po wojnie osądzono i powieszono), esesmanów. Omawia stosunki pomiędzy więźniami różnej narodo-

⁵ B. Sruoga op. cit., s. 104-104. Dalej cytuję Sruogę podając numer strony w nawiasie.

⁶ Tadeusz Płużański *Las nędzarzy i bohaterów* [w:] B. Sruoga op. cit., s. 6.

wości i naprawdę nie mogę się zgodzić z autorem wstępu, że Sruoga jest nastawiony niechętnie wobec Polaków i neguje istnienie solidarności wśród uwięzionych. Wystarczy przeczytać, jak więzień Kamiński pociesza aresztantów nowoprzybyłych z Litwy: „*Nie traćcie otuchy Litwini. Damy sobie radę z obozem...*” (s. 76) Po czym następuje opis, jak zostali poczęstowani tytoniem i dostali butelkę wody mineralnej. A jak ciepło pisze o Szwarzbarcie (s. 77), z jakim współczuciem opowiada historię Sikorskiego i Nogajskiego (s. 134-135), czy opisuje życzliwość zaznaną od Kaszubów w czasie ewakuacji obozu (s. 240-241).

Zofia Kossak-Szczucka, autorka wspomnień oświęcimskich pt. „Z otchłani”, apelowała: „*Należy tedy pragnąć i domagać się, by powracający, cudem ocaleni oświęcimiaczy, opisali swe wspomnienia [...] Stanowi to obowiązek, od którego nikomu uchylać się nie wolno. Bóg po to pozwolił niektórym ludziom oglądać piekło za życia i wrócić, by dali świadectwo prawdzie*”⁷. Większość autorów książek wspomnieniowych, których tu wymieniałem ogranicza się tylko do wrywkowego obrazu, piszą o tym, co sami widzieli i przeżyli. I jeśli nawet ich utwory są bezkompromisowo szczerze i przestrzegają bezwzględnie nakazu realistycznego opisu obozowej rzeczywistości, to obraz, który dają jest (już ze swej natury) zawężony. To nie zarzut, a tylko stwierdzenie faktu.

Relacje obozowe najczęściej są rozwarte pomiędzy nutą heroiczną, gdzie ofiary są opisywane językiem patetycznym, a wielką wagę przywiązuje się do moralnej oceny katów i ofiar, for-

⁷ Cyt. za: *Antologia literatury łagrów i łagrow...*, wybór, wstęp i objaśnienia; Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 1997.

Tabliczka poświęcona Balysowi Sruodze na ścianie Zaułka Literatów w Wilnie, fot. Andrzej Kasperek



mułując jednoznaczne sądy. Często występują tu odwołania do wartości chrześcijańskich. Tak pisała autorka „Z otchłani” (sam tytuł jest wzięty z Psalmów). Na drugim biegunie jest świadectwo Tadeusza Borowskiego, który próbuje innej metody. Jego wizja to „świat odwróconego Dekalogu” (wedle określenia Barbary Skargi), w którym nie ma miejsca na współczucie, solidarność, empatię. Widzimy tu Zło w czystej postaci. Obóz koncentracyjny staje się modelem świata. W opowiadaniu „U nas w Auschwitzu” padają znamienne słowa: „Ale to jest nieprawda i groteska jak cały obóz, jak cały świat”. Takie podejście do tematu dla wielu czytelników było niemożliwe do zaakceptowania i spowodowało oskarżenia autora o cynizm a nawet zarzut kolaboracji w władzami obozowymi.

Sruodze bliżej do tej drugiej szkoły. Jego relacja jest pełna czarnego humoru i groteski. Silnie występuje ona w języku. Już na wstępie autor zgrzytliwie zauważa: „[...] na pierwszym miejscu znalazły się obozy koncentracyjne – kwiat, ozdoba i duma hitlerowskiej kultury”. Zauważmy, że pisze to człowiek, który tę prawdziwą niemiecką kulturę miał okazje dobrze poznać, studiował bowiem przez kilka lat w Niemczech. Nawet pracując ponad swe siły na wyrębie lasu nie użala się nad sobą, tylko stwierdza z sarkazmem: „[...] w jamie stała woda, mulista, rdzawobrunatna, jak nazistowskie koszule. [...] Podrepczesz w wodzie o wyraźnie faszystowskim zabarwieniu, podrepczesz i wylazisz na wierzch”. (s. 97) Takich przykładów jest wiele. Śmiech i ironiczny dystans są jedynym sposobem przetrwania w upadłym świecie zupełnej degradacji i dehumanizacji. Wydaje się, że taka poza – człowieka patrzącego na świat bez sentymentów, biorącego go na zimno, pomagała mu w przeżyciu tego piekła.

A przecież nie brak w książce przykładów, kiedy autor używa innego sposobu mówienia, np. w opisie umarłaków (rozdział pt. „Dola umarłych”), czy kiedy przywołuje los Żydów (s. 151, 217). Niekiedy język po prostu zawodzi. Narracja o horrorze Zagłady kończy się bezradnym stwierdzeniem: „Co przeżywali ci ludzie, to już ich sprawa. Osobom postronnym nie przystoi wtrącać się do intymnych dziedzin życia innego człowieka”. (s. 217)



Nagrobek Balysa Sruogi na Cmentarzu na Rossie w Wilnie, fot. Wikipedia

„Las bogów” został napisany zaraz po powrocie na Litwę, w ciągu kilku miesięcy spędzonych w sanatorium, w którym autor usiłował podreperować zdrowie zrujnowane podczas „pobytu” w obozie. Powrót na Litwę łączył się z tragedią osobistą autora. Jego żona i córka uciekły na Zachód w obawie przed aresztowaniem i wywózką na Sybir. On sam wysłał im ostrzeżenie, aby nie wracały do domu. Już nigdy nie zobaczył swojej rodziny.

Książka była pisana bez dystansu, na świeżo. Ale też w pośpiechu, fragmentami. Jakby zeznawał. Stąd powtórzenia. To kilkadziesiąt krótkich rozdziałów, napisanych jakby była to jedna wypowiedź, na jednym oddechu. Pewnie Sruoga zdawał sobie sprawę, że cudem ocalawszy życie w obozie koncentracyjnym i w czasie upiornego marszu na Zachód, prawdziwego marszu śmierci, musi zdać relację. Tak, jak Dwojra Zielona, bohaterka opowiadania z „Medalionów” Zofii Nałkowskiej, która mówiła: „[...] ja chciałam żyć. Nie wiem, bo nie miałam męża ani rodziny, ani nikogo, i chciałam żyć. Oka nie miałam, byłam głodna i chłodna – i chciałam żyć. Dlaczego? To pani powiem: po to, żeby powiedzieć wszystko tak, jak pani teraz mówię. Niech świat o tym wie, co oni robili”. Ten imperatyw był bardzo silny – dać świadectwo. Mówiąc za Zbigniewem Herbertem: „ocalałeś nie po to aby żyć / masz mało czasu trzeba dać świadectwo” („Przesłanie pana Cogito”).

Książka została źle przyjęta. Uznano, że nie zasługuje na druk. Sowiecka cenzura zarzuciła autorowi, że „cynicznie kpi z ofiar obozów koncentracyjnych”. „Las bogów” mógł się ukazać dopiero po okresie odwilży. W Wilnie wyszło wtedy wydanie oryginału litewskiego i tłumaczenie na rosyjski (przełożyli: G. Kanowicz i F. Szurawin). Potem były tłumaczenia na inne języki – polski, niemiecki, czeski, hiszpański, francuski. Na angielski pamiętniki przełożyła wnuczka autora Aušrinė Byla.

W lipcu zeszłego roku byłem tydzień na Litwie. Uczestniczyłem w seminarium „Miejsca pamięci jako klucz do przyszłej edukacji”. Organizatorami projektu były Międzynarodowe Centrum Edukacji o Auschwitz i Holokauście i Sekretariat Międzynarodowej Komisji ds. Badań Zbrodni Nazistowskich i Sowieckiego Reżimu Okupacyjnego na Litwie. Zwiedzaliśmy miejsca martyrologii Żydów, Polaków... Nie był to łatwy wyjazd. Wiele wówczas zobaczyłem. Ale żeby odreagować po raz kolejny chodziłem po Wilnie. Spacerowałem po sennym mieście. Starówka wileńska jest niewielka, ale ładna i zadbana. Poszedłem do Zaułka Literackiego. To piękne miejsce, gdzie na ścianie umieszczono kilkadziesiąt tabliczek poświęconych poetom, prozaikom. Każda tabliczka jest inna. Nazwiska najczęściej nic nam nie mówią (poza Czesławem Miłoszem oczywiście). Tym razem szukałem konkretnego literata. Po długim czasie i pomocy życzliwych wreszcie znalazłem. Na tabliczce jest motek, bo to po litewsku znaczy sruoga.

Warto zapamiętać to nazwisko, warto przeczytać tę książkę. Kiedy znowu będę w Wilnie pójde na cmentarz na Rossie i odszukam grób Balysa Sruogi – rzetelnego świadka i kronikarza czasów pogardy. Zakończę jeszcze jednym fragmentem wiersza Jazepsa Osmana:

Stutthof, „Las bogów” pod Gdańskiem

Na mapie mej pamięci oznaczany jest kółkiem czerwieni.

Wędrowki po prowincji

Jerzy Kosacz

UKRZYŻOWANA KSIĘŻNICZKA, CZYLI ZAGADKOWE MAŁOWIDŁO W KWIDZYŃSKIEJ KATEDRZE



Ukrzyżowanie. Katedra w Kwidzynie, fot. Konrad Kosacz

Pośród licznych malowideł ściennych w kwidzyńskiej katedrze jedno z nich zasługuje na szczególną uwagę. Pomiędzy oknami ponad północnym wejściem do katedry, w polu malarstwa rozdzielonym tzw. *zacheuszkiem* (znakiem konsekracyjnym), obok Św. Jana Ewangelisty patrona katedry widoczna jest scena ukrzyżowania. Bardzo nietypowa, gdyż adorowana przez dwa anioły ukrzyżowana postać ubrana jest w długą szatę, w koronie i z innymi atrybutami, zazwyczaj nie występującymi w obrazach Męki Pańskiej.

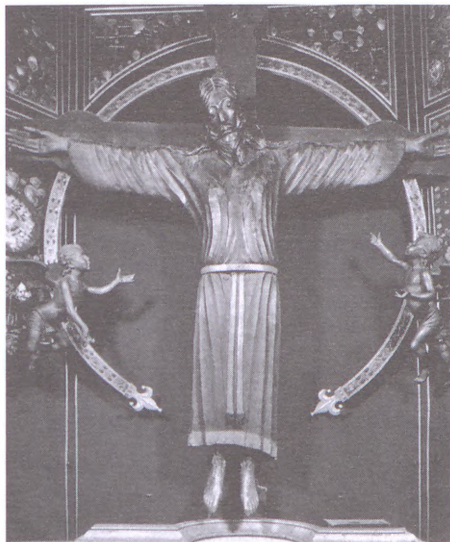
Zarówno sposób przedstawienia tematu, ukazanych postaci, zachowany napis oraz związana z nimi poplątana średniowieczna legenda składają się na dość skomplikowaną ich historię, trudną do jednoznacznego wyjaśnienia. We współczesnych przewodnikach, jak i w krajowych opracowaniach naukowych określa się rzeczony malowidło niewiele wyjaśniającym określeniem: „Ukrzyżowanie *Volto Santo*”, lub „*Krucyfiks z Lukki*”.

W tradycji niemieckiej przechowało się jednak stanowisko, iż obraz w Kwidzynie przedstawia męczeństwo świętej *Kummernis* zwanej także *Wilgefortis* i wieloma innymi imionami.

Encyklopedyczny skrót informuje iż: „Według legendy *Wilgefortis* była córką króla Luzytanii. Ojciec postanowił wydać ją za poganina, czego ona nie chciała. Skutkiem tego ojciec zamknął ją w ciemnicy. Przez noc żarliwie modliła się do Boga, aby uratował ją przed pogańskim ślubem. W wyniku długiej modlitwy wyrosła jej długa broda; oczywiście kandydat na męża nie chciał mieć brodatej małżonki i zrezygnował ze związku. Rozwścieczony, bezduszny ojciec dziewczyny kazał ją ukrzyżować. *Wilgefortis* zmarła na krzyżu. W rzeźbach i na obrazach jest przedstawiana jako brodata postać o rysach kobiety przybitej do krzyża, bez jednego buta (cudownie zrzucony).”

Legenda o świętej męczennicy krążyła po całej średniowiecznej Europie rozprzestrzeniając kult mitycznej postaci a której wizerunki jako ukrzyżowanej kobiety z brodą i bez zarostu były miejscem pielgrzymek. Wiele z nich zachowało się do czasów nowożytnych.

Ponieważ Kościół jest instytucją cierpliwą i powolną, więc ta legendarna postać o proveniencji sięgającej starożytności (*Androgyne*), uznawana w ludowej tradycji niektórych europejskich regionów za świętą, dopiero w 1969 r.



Krucyfiks w Lukce („Santo Volto”), Toskania



Pas-de-Calais (Francja), fot. Hilgertshausen

została przez papieża Pawła VI „wykreślona” z *Martyrologium Romanum* (oficjalny spis świętych czczonych w Kościele katolickim), choć jej kult zanikł już w połowie wieku XIX.

Niemieccy historycy sztuki średniowiecza Gustaw Schnürer i Joseph M. Ritz, prowadzący dogłębne badania „*Wilgefortisforschung*” dowiedli swoistej kompilacji kultu św. Wilgefortis z kultem „Santo Volto” z krucyfiks z Lukki. Nastąpiło to w XIV wieku we Flandrii, gdzie spotkały się: gotyckie wizerunki Jezusa odzianego jedynie przepaską na biodrach z wcześnieśredniowiecznymi przedstawieniami Chrystusa w królewskich szatach z *Krucyfiks z Lukki*. Ówczesna ludowa wyobraźnia mylnie uznała ukrzyżowaną postać w długiej szacie za kobietę, co podpowiadała krążąca już po Europie legenda. W kolejnych latach pojawiają się więc w europejskich kościołach wizerunki ukrzyżowanej „świętej”, często nazywane „krucyfiksem z Lukki” jak np. na drzeworycie z 1507 roku.

Opis obecnego stanu malowidła w kwidzyńskiej katedrze wypada poprzedzić związanymi z nim wydarzeniami sprzed półtora wieku. Gotyckie freski w katedrze pochodzące z XIV w. (1376-1414) zostały w całości pokryte zaprawą wapienną i zatynkowane w 1586 r. Przez ponad dwa i pół wieku pozostawały one niewidoczne. Ich odkrycia dokonał wizytujący w dniu 25 lipca 1862 roku prace modernizacyjnych i renowacyjnych w katedrze pruski konserwator zabytków Ferdynand von Quast. W kolejnych latach podjęto odnawianie malowideł, czego podjął się sprowadzony do Kwidzyna malarz Johann Fischbach. Niestety zagubił on rulony ze sporządzoną dokumentacją pozostałości polichromii i wkrótce po tym zmarł (19.6.1871).

Rozpoczęte prace malarskie kontynuował młody malarz kwidzyński Prohl Jr. pod kierunkiem Gustawa Reicherta. „Tak ogromne zadanie konserwatorskie przerosło możliwości wykonawcze ekipy i okazało się zgubne dla wartości historycznych malowideł. Wiele z nich zostało przemalowanych, zmieniając pierwotny wygląd i kompozycję.”¹

W wydanej w 1875 roku historii Kwidzyna, ówczesny dyrektor miejscowego Gimnazjum Królewskiego Maksymilian Toeppen napisał, że spod tynku ukazały się zaledwie fragmenty XIV-wiecznych malowideł zachowane w bardzo złym stanie. O omawianym tu „Ukrzyżowaniu” napisał zaledwie trzy zdania: „Malowidło pomiędzy 5 a 6 oknem podzielone jest pionowo na dwie nierówne części. W tej większej ukazano męczeństwo świętej Wilgefortis („die Marter der heiligen Wilgefortis”). Jest ona ukrzyżowana, z jej obu stron unoszą się dwa anioły, u stóp krzyża grajek i drugi pantofel, a księżniczka (?) pośmiertnie poświadcza niewinność grajka i świętość ukrzyżowanej. Powyżej jest stary napis: „Das crutze von Luca” (co jest dla mnie niezrozumiałe).” – s.241). W leksykonie zabytków powiatu kwidzyńskiego z 1898 roku Johann Heise przedstawia stan obrazu jaki po jego rekonstrukcji widzimy obecnie.

¹ A.Pawłowski w: „Kwidzyńska Diecezja Elblaska A.D. 1999” s. 18.

Sankt kummerus
 Etlica bilio drus in sancto suo
 Got würdt wunderbare ding in seinen heiligen



Hans Burgkmair „St. Kummeris”, drzeworyt 1507 r.

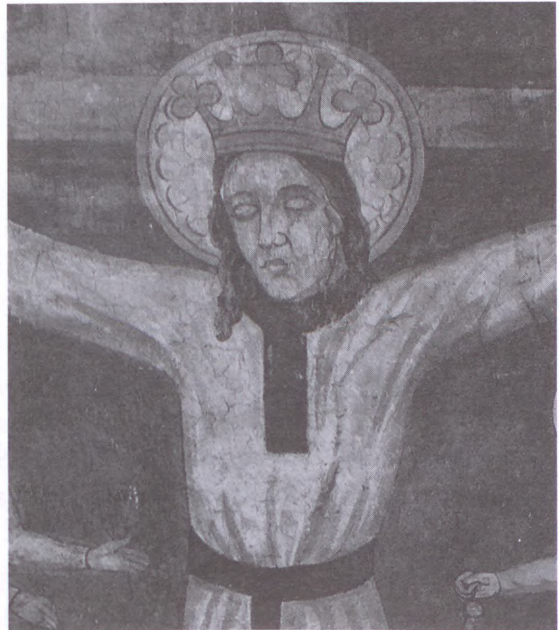
Heise uzupełnia zapis Toeppena wzmianką o widocznej modlącej się kobiecej postaci z opadającą koroną, i że cała kompozycja przedstawia męczeństwo św. Wilgefortis lub Kummernis. A widniejący powyżej napis „das cruxcze von Luca” odnosi do legendarnej relikwii rzeźbionego krucyfiksu w Lukce.

Także w polskiej literaturze naukowej przed 100 laty znano kwidzyńskie malowidło: „... obraz tej samej Świętej ma się też znajdować w dawnej katedrze kwidzyńskiej (*Marienwerder*) zamienionej na zbór protestancki.” (Stanisław Tomkowicz: „Legendaria ś. Wilgefortis albo Frasobliwa i obraz na Zwierzyńcu przy Krakowie”, *Rocznik Krakowski* T. XV – 1913 r.)

Współcześni autorzy piszą z pewnym uporem o tym obrazie jako wersji „Santo Volto” („Świętego Oblicza”) znanego z rzeźby postaci Chrystusa w Lukce.

Zastanawia jednak występujące ignorowanie stwierdzenia M. Toeppena, który wydobyte spod tynku malowidło opisuje jako męczeństwo św. Wilgefortis („die Marter der heiligen Wilgefortis”). Niestety, nie wyjaśnia on na czym oparł swoją opinię. Czy tworzył ją na podstawie odkrytych fragmentów średniowiecznej polichromii, czy widział i opisywał już zrekonstruowane na jego oczach malowidło, a może imię przywołanej „świętej” (*Sancta Wilgefortis*) widniało na wstędze, której pole jest dziś zamalowane na białe?

Kompilacja pomieszanych średniowiecznych tradycji ikonograficznych nie ułatwiała zadania pruskim konserwatorom katedry (jak i zapoznanemu w leksykonach malarzowi o niewiadomym imieniu: Prohl jr.) w odtwarzaniu odkrytego malowidła. Ponad to, z tego co zaprezentowali potomnym widzimy, że kwidzyńskie przedstawienie tematu różni się od znanych wizerunków *Santo Volto*, jak i św. *Wilgefortis*. Ewidentnym zapożyczeniem z pierworzoru z Lukki jest motyw trójlistnych zakończeń ramion krzyża. Także ukazanie



Ukrzyżowanie w katedrze w Lukce (z lewej) i w Kwidzynie (z prawej)

stojącego u stóp kielicha wydaje się zapożyczoną alegorią z legendy o św. Graalu, która wprawdzie nie występuje w Lukce, lecz kielich pojawia się już od pierwszych replik oryginału Santo Volto.

Ukrzyżowana postać bez zarostu na twarzy, w koronie i w długiej szacie, obuta jest w jeden trzewik, gdyż drugi leży w pobliżu klęczącej poniżej postaci grającej na skrzypcach.

Symetrycznie po drugiej stronie klęczy wyraźnie kobieca postać z rękoma złożonymi do modlitwy, spod których upada korona, a przy jej twarzy jest wstęga, obecnie bez napisu. Klęcząca u stóp kwidzyńskiej św. Wilgefortis osoba ze skrzypcami, wyraźnie posiada cechy żeńskie, w przeciwieństwie do wszystkich innych europejskich przedstawień tego tematu. Jest to zadziwiające, gdyż także wszystkie znane legendy mówią o młodzieńcu, który grał pod figurą świętej i został przez nią cudownie obdarowany złotym trzewikiem. Grajek oskarżony o jego kradzież i skazany na śmierć miał poprosić przed egzekucją o danie mu jeszcze szansy na powtórny występ pod krzyżem i wówczas to miał się powtórzyć ów cud z trzewikiem, co uratowało mu życie. Wyjątkowe jest także przedstawienie drugiej klęczącej kobiecej postaci, której spadająca korona zdaje się być alegorią rezygnacji z królestwa. (A może na kwidzyńskim malowidle właśnie w tej postaci ukazano jako św. Wilgefortis?) Ani grajek, ani trzewiki wszak nie należą do akcesoriów *Męki Pańskiej*, a pojawiły się wraz z legendą o ukrzyżowanej księżniczce. Nasuwa się hipoteza, że rekonstruktorzy polichromii w kwidzyńskiej katedrze, dziedzicząc średnio-wieczny galimatias ideowy i ikonograficzny rozwiązali go w wyżej opisane autorskie ujęcie. Podobnie jak przed wiekami scalono tu w jeden obraz zarówno kult „Santo Volto” z Lukki i legendę o św. Wilgefortis, a co wydało się niezrozumiałe M. Toeppenowi.

W najbliższej okolicy występuje jedynie wizerunek św. Wilgefortis na polichromiach w farze pod wezwaniem Św. Mateusza w Nowym n/Wisła, który odkryto tam w czasie prac renowacyjnych w 1913 r.

Najsłynniejszym krajowym zachowanym świadectwem dawnego kultu jest rzeźbiarskie przedstawienie świętej w Wambierzycach na Dolnym Śląsku, gdzie w 57 stacji tamtejszej Kalwarii ukazana jest jako „św. Wilgefortis – panna i męczennica”.

W pobliskich Cieplicach w klasztorze OO. Sercanów zachował się natomiast wizerunek Wilgefortis z brodą.



Ukrzyżowanie w katedrze w Kwidzynie



Wambierzyce



Klasztor w Cieplicach, fot. Agata Gryska

Imię legendarnej *świętej* utworzono z łacińskich słów *virgo fortis*, czyli dzielna dziewczyna. Traktowana była jako patronka nieszczęśliwych, trudnych małżeństw. Modliły się do niej też kobiety, które chciały uniknąć męskiego pożądania. Jej legenda także współcześnie inspirowała twórców różnych dziedzin: Teatr Wierszalin z Supraśla, Olga Tokarczuk „*Dom dzienny. Dom nocny.*”, opera „*Wilgefortis*” W. Wróblewskiego, a nawet rock-opera, oraz wielu malarzy. Szukają w niej patronki odłamy feministek, transwestyci i anorektyczki (istnieje w medycynie zespół *Wilgefortis*).

Pomijając nawet powyższe deliberacje o historycznych perypetiach kwidzyńskiego mallowidła, to z pewnością z powodu swej osobliwości zasługuje ono na włączenie do katalogu promującego zabytki Kwidzyna. Z pewnością warte jest ono dodatkowej uwagi turystów obok domniemanej celi pustelniczej bł. Doroty z Mątów Wielkich oraz ekspozycji pochówku trzech Wielkich Mistrzów w krypcie.

Lukasz Rzepczyński

ŻYWE WSPOMNIENIA

Niedawno obchodziliśmy kolejną rocznicę wybuchu II Wojny Światowej, więc postanowiłem napisać coś na ten temat. No, może nie o jej rozpoczęciu, ale o jej zakończeniu, a w zasadzie o konsekwencjach jaką poniosła pewna niemiecka rodzina zamieszkująca małe miasteczko Garnsee (Gardeja) w Prusach. Z tą rodziną jest spokrewniony Pan Piotr Rogowski z Krakowa, który to przesłał mi list. Napisał w nim o niezwyklej, a zarazem bardzo wzruszającej historii swojej Mamy i jej najbliższych. Za zgodą Pana Piotra mogę przedstawić jego treść.

„Mój dziadek Paul Sterling urodził się 2.3.1914 r. w Gross Ludwigsdorf (obecnie Elbląg). W październiku 1936 roku poślubił w Garnsee (Gardeja) moją Babcie: Helene Golembiewski, urodzoną 31.3.1917 r. w Niederzehren (obecnie Czarne Dolne). 21.3.1937 roku urodził im się syn Horst, a 31.3.1939 r. córka Ruth (moja mama).”



Rodzina Sterling: Helene (babcia), Ruth (mama), Horst (wujek), Paul (dziadek), fot. archiwum autora

Mieszkali w Garnsee przy ul. Inzelstrasse 1. Ulica ta do dziś ma nazwę Wolności. Mieszkali w pierwszym domu z brzegu, tuż obok kościoła. Widać to na zdjęciach zrobionych w 1990 roku, gdy mama pojechała odszukać grób swej mamy. Mój dziadek miał przyrodnią siostrę: Ursula Poszler z domu Janke ur.14.09.1927 r. w Gross Falkenau. Mieszkała w Wedel (okolice Hamburga). Zmarła po roku 1990. Dziadek Paul miał rodzonego brata Emanuela, który przeżył wojnę, ale zmarł nim mama odnalazła brata.



Babcia, mama i wujek, fot. archiwum autora

Nadeszła wojna i Paul Sterling został powołany do Wehrmachtu. Mamy zawiadomienie o jego śmierci napisane przez jego dowódcę (porucznik, szef kompani) w dniu 21.9.1942 r., w którym informuje: „podoфіcer Paul Sterling przy ciężkich walkach obronnych na płn.-zach. od Woroneża, wierny swemu sztandarowi w wypełnianiu żołnierskiego obowiązku, poniósł śmierć bohaterską w dniu 12.8.1942 roku”. I dalej: „został pochowany na cmentarzu bohaterów pułku przy płn.-wsch. drodze wyjściowej miejscowości Federowka w osobnym grobie”. Mam też zaświadczenie wydane przez: Niemiecki urząd d/s zawiadamiania najbliższej rodziny o poległym, byłych niemieckich sił zbrojnych. Informuje, że Paul Sterling służył jako podoфіcer w 9./Inf.Rgt.694 = Feldpost-Nr 03 727 i poległ 12.8.1942 pod Spasskoje. (Ta jednostka to 9 pułk piechoty, regiment grenadierów. O ile strony internetowe nie kłamią, to na podstawie Feldpost 03727 wynika, że to była 7 kompania.)

Dalej w tym zaświadczeniu podają, że zgon poświadczono urzędowo 2.12.1942 roku w Urzędzie Stanu Cywilnego w Garnsee pod numerem 28/1942 Księgi Zgonów. Zawiadomienie o śmierci Paula nie dotarło do Helene. Otrzymała je siostra Paula, czyli Ursula i zachowała to w tajemnicy. Do końca życia Helene nie wiedziała o tym i do swej śmierci czekała na powrót męża.

Kiedyś czytałem, że sowievi weszli do Garnsee w styczniu 1945, i dlatego tak datowałem śmierć swej babci Helene. Okazuje się z dokumentów, że zmarła pod koniec marca 1945. Być może właśnie wtedy sowievi złupili Garnsee? A może przez to miasteczko przechodziło kilka fal żołnierzy? Co się działo w marcu 1945 w Garnsee?

Moja mama miała wtedy już 6 lat i sporo pamięta. Pamięta, że nieco wcześniej uciekali z mamą i bratem na północ. Była ewakuacja, bo szły tłumy ludzi. Ich podwiózł ktoś fur-

manką do Starogardu Gdańskiego. Mama pamięta, że się bała, bo co chwilę były wybuchy. Być może bombardowano kolumny uciekinierów, a może to strzelała kawaleria. Ja myślę, że może próbowali zdążyć na ewakuację słynnym Gustloffem (zatopiony 30 stycznia 1945 roku). Nagle w Starogardzie Gdańskim moja babcia zdecydowała, że wracają do Garnsee. Nie wiem dlaczego, może droga ewakuacji była odcięta, może uznała, że nie zdążą? A może liczyła, że wróci Paul i postanowiła na niego czekać w domu. Wrócili do Garnsee pieszo (!) Kilkadziesiąt kilometrów w zimie, pod ostrzałem, z dwójką małych dzieci. Zamieszkali wtedy u Pana Krugera. Też nie wiem dlaczego. Być może ich dom zniszczono, ograbiono, a może ktoś go zajął? Pan Kruger ich przygarnął i dał im do dyspozycji pokój. W jakiś czas potem weszli sowietci. Mama pamięta, że mieli karabiny na sznurkach. Było ich około 20. Zgwałcili moją babcię zbiorowo. W nocy mama spała z nią, a Horst w osobnym łóżku. Mama pamięta, że Babcia miała poplamione krwią ubranie, krew była na podłodze. Babcia mocno się pocila, zapewne w gorączce. Tej nocy gospodyni obudziła mamę i kazała jej iść do łóżka Horsta, mówiąc, że jej mama umarła. Nad ranem, jeszcze przed świtem, przyszli dwaj chłopcy i wykopali płytki grób tuż przy ścianie na tyłach budynku gospodarczego. Za domem jest budynek, który pewnie był stajnią i to pod jego murem pochowano Helene.

Przy tym pogrzebie obecny był gospodarz Kruger, dwaj chłopcy, którzy wykopali dół, mama i Horst. Dzieci zostały sierotami, ale chyba nadal mieszkały u Pana Krugera. Pewnego dnia poszły po mleko. Wtedy to ktoś, kogo mama się bała i uważała za rzeźnika, zawołał po coś Horsta. Mama została na zewnątrz i czekała. Upływały godziny a Horsta nie było. Wreszcie poszła przed siebie i chyba zablądziła. Została sama. W jakiś czas potem trafiła do jakiejś kobiety, do której przychodzili często mężczyźni. Tam oprócz mamy było jeszcze 3-4 innych dzieci.

Któregoś dnia był u tej kobiety jakiś wojskowy. Byli mocno pijani. Mama pamięta, że miał szerokie wojskowe spodnie, ciemny mundur, czapkę z daszkiem i pistolet w kaburze przy pasie. Mama rozumiała, co mówi a on powiedział tej kobiecie, że zastrzeli jedno dziecko i wskazał na mamę. Usłyszała jak odbezpiecza broń. Kobieta mu przeszkodziła, a mama uciekła. Schowała się na wielkim polu kapusty.

Do dziś się zastanawiamy kto to mógł być. Policjant? Niemiec? Rosjanin? Mama myśli, że Niemiec, bo tak kojarzy ten mundur i dlatego też, że rozumiała jego mowę, ale mi się wydaje to mało prawdopodobne, bo to musiało być już tuż przed samym końcem wojny.

Potem mama trafiła do domu starców, gdzie byli, i Niemcy, i Polacy. Była tam służącą, podająca baseny itp. Przeniesiono ją wreszcie do Kwidzyna, do sierocińca. Mieścił się on w zamku z katedrą i wielkimi lukami. Prowadziło go wtedy Zgromadzenie Sióstr Benedyktynek Misjonarek. Mama pamięta, że siostry co tydzień biły wszystkie dzieci, które musiały w tym celu stać w kolejce, a mamy nigdy nie bito. Dlaczego, nie wiadomo.

Mam zaświadczenie od sióstr, że w ich rejestrze z roku 1947 pod nr 40 figuruje „Szterling Ruta” a w spisie z 1949/1950 już jej tam nie ma. Nie ma też żadnych dokumentów jak opuściła sierociniec, adopcja itp.

Jakiś czas potem adoptowała ją Irena Porajska, która była bezdzietną wdową (jej męża zabili „banderowcy” a ją samą postrzelili i w wyniku tego poroniła). Ona (będę ją nazywał

Babcią) postarała się o fałszywą metrykę, by udawać, że Mama jest jej rodzoną córką. Chodziło zapewne o to, by mamie nie dokuczano, że adoptowana, że sierota lub znajda. Jest to kolejna, długa historia którą może opowiem innym razem.



Ruth Sterling - Elżbieta Porajska (obecnie Rogowska),
fot. archiwum autora



Mama z polską babcią - Ireną Porajską, fot. archiwum autora

Mama pamiętała, że miała brata i chciała go za wszelką cenę odszukać i w ogóle ustalić, kim jest, i skąd pochodzi. Około 1988 roku napisała list do Romana Hrabara, który zajmował się odszukiwaniem (głównie polskich) dzieci zaginionych na wojnie. Po jakimś czasie udało się wreszcie nakłonić Babcię, by opowiedziała, jak było z tą adopcją i ustalić, że Elżbieta Rogowska przed adopcją nazywała się Ruth Sterling. Pan Hrabar ustalił, że Ruth jest poszukiwana przez Niemiecki Czerwony Krzyż, i że w Niemczech żyje rodzina Mamy (siostra jej ojca Ursel w Hamburgu oraz brat w Olsbrucken).

W 1990 roku doszło do spotkania mojej Mamy z bratem. Przyjechał do Krakowa, gdzie mieszkamy wraz z siostrą ojca Mamy. To spotkanie po 45 latach stało się głośne w tamtym czasie. Ukazał się reportaż w TV w programie „Zawsze po 21-ej” (do dziś mam to na kasecie video), była audycja radiowa, pisały o tym gazety (mam je do dziś).

Mama z bratem pojechali do Gardei (Garnsee), bo Mama pamiętała, gdzie pod osłoną nocy (skrycie) pochowano jej Mamę. Odnaleźli to miejsce. Jest to na podwórku gospodarza o nazwisku Kruger lub Kriger. Mamy zdjęcia z tej wyprawy, z tego miejsca. Na miejscu grobu znajduje się dziś gnojówka po której spacerują kury. Na filmie o którym wspominałem i na zdjęciach można zobaczyć Mamę zapalającą znicz za Matkę na brzegu gnojówki.



Mama Elżbieta (Ruth) z bratem Horstem tuż nad „pochówkiem” babci Helene Sterling. 1990 rok, fot. archiwum autora

Ciekawostką jest, że brat mamy Horst był w Polsce aż do 1957 roku. Co się z nim działo w czasie wojny po śmierci Helene i potem w Polsce, nie chciał mówić. Musiały to być bardzo przykre doświadczenia. Powiedział tylko, że wysłano go jako robotnika do budowy Nowej Huty. W 1957 roku odnalazła go tu Ursula (siostra Paula Sterlinga) za pośrednictwem Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Dodam jeszcze, że gdy w 1990 roku mama i Horst byli w Gardai to kobieta mieszkająca w domu Pana Krugera wskazała drzewko na terenie posesji, pod którym zostały zakopane w tamtym czasie dwie osoby. Wiem, że byli to Niemcy.

„Pytał mnie Pan, czy chciałbym przenieść kości Helene Golembiewski na cmentarz? Chciałbym i to bardzo, ale wiem, że mnie to przerasta. Nie stać mnie na to po prostu. Dziwię się mojej mamie i jej bratu, że nie zajęli się tym w 1990 roku. Nie rozumiem, dlaczego uznali, że ma tam pozostać. Mama mówi „a po co zakłócać spokój zmarłej”, „tam już pewnie nic z niej nie zostało” itp. A ja uważam że trzeba to zrobić, ale zwyczajnie brak mi pieniędzy by to przeprowadzić.”

Po przeczytaniu tej historii niezwykle się wzruszyłem. Sam mam dwójkę małych dzieci w wieku 7 i 1,5 roku. Przez chwile sobie pomyślałem, o Boże, co to by było, gdyby moje dwa małe skarby spotkał taki los? Faktem jest przecież, że to Niemcy (III Rzesza nazistowska) zaczęli II Wojnę Światową i popełniali tak samo wiele zbrodni. Nawet użyję słów znanego niemieckiego publicyście pochodzenia żydowskiego Ralpa Giordano: *„Bez zbrodni popełnionych przez Niemców, nie byłoby zbrodni popełnionych na Niemcach”*, ale chyba każdy kto ma sumienie nie przejdzie obojętnie obok takiej tragedii. Tym bardziej, że chodzi tu głównie o dzieci, które nie miały na nic wpływu.

Garnsee (Gardeja) niewielkie miasteczko przygraniczne (do września 1939 roku), zostało zajęte przez Sowietów 26.01.1945 roku. Jeszcze przez wiele miesięcy wojska sowieckie przewijały się przez Gardeję, która znajdowała się w połowie drogi między Grudziądem (Graudenz) a Kwidzynem (Marienwerder). Przewożono przez nią rannych żołnierzy z Grudziądza, gdzie toczyły się ciężkie walki, do Kwidzyna, w którym czerwonoarmiści utworzyli w opustoszałym mieście sieć szpitali wojskowych. Na terenie powiatu kwidzyńskiego Armia Czerwona przebywała do jesieni 1946 roku. W wyniku walk o miasto Garnsee zniszczeniu w około 80 proc. uległa zabudowa mieszkaniowo-usługowa, której nigdy nie odbudowano. Skutkiem takiego stanu rzeczy była utrata praw miejskich.

Bazując na informacjach od Pana Piotra postanowiłem odnaleźć dom, przy którym została pochowana Pani Helene Sterling. Nazwisko Krüger w Garnsee było dosyć popularne. Kilka rodzin posługiwało się tym nazwiskiem, nie które były ze sobą spokrewnione. Na dostępnym mi planie Garnsee są podpisane dwa domy nazwiskiem Krüger, ale niestety umiejscowienie nie pasuje do fotografii, które dostałem od Pana Piotra. Nie pozostało mi nic innego jak znaleźć charakterystyczne punkty na zdjęciach i wyruszyć w teren. Po niepełnej półgodzinnych poszukiwaniach na obrzeżach Gardei ukazał się moim oczom dom. Był w pół otynkowany, ale to ten sam dom ze zdjęcia. Budynek gospodarcze zostały jakiś czas temu rozebrane i obecnie te miejsce jest porośnięte krzakami.



Dom pod Gardeją, fot. Ł. Rzepczyński

Pięknym zakończeniem tej niesamowitej historii rodzinnej byłoby przeprowadzenie ekshumacji i ponownego pochówku, ale już na cmentarzu. Nie ukrywam, iż pewne kroki w tym kierunku zostały przeze mnie poczynione, jest już zgoda właściciela posesji na przeprowadzenie prac. Po załatwieniu innych formalności może wiosną przyszłego roku szczer-

ki Pani Sterling będą ekshumowane. Byłby to symboliczny gest skierowany do wszystkich ludzi zamieszkujących te ziemie przed 1945 rokiem, których dotknęła podobna tragedia.

Sowieci wzięli krwawy odwet na ludności cywilnej na zajętych terenach Rzeszy, między innymi w Prusach. Przykładem może być wieś Nemmersdorf, która stała się symbolem takich wydarzeń. Podobnych historii zapewne było dużo więcej. Sam zetknąłem się jeszcze z innymi, ale nigdy z taką samą jak ta powyższa. Niedawno ukazał się film produkcji polskiej pt. „Róża” z doborową obsadą. Pokazuje los Mazurów, jaki ich spotkał po wejściu Armii Czerwonej na tereny Prus Wschodnich. Niektóre sceny są bardzo drastyczne, ale doskonale oddają to, przez co przeszła miejscowa ludność od czasu przejścia frontu do wysiedleń. Wszystkim zainteresowanym gorąco polecam. Podobnie było i w naszych okolicach. Oprócz gwałtów, mordów, rabunków czy podpaień w Górkach powstał obóz pracy dla Niemców, który działał około 2,5 roku do czasu pierwszych wysiedleń. Ponadto wielu Niemców (kobiet i mężczyzn) wysłano na Sybir na okres kilku lat ciężkich robót. Należy tu też wspomnieć o samej ewakuacji – „ucieczce”, podczas której poniosły śmierć tysiące cywilów. W zasadzie wydarzenie to zasługuje na oddzielny temat.

Po zakończeniu II Wojny Światowej około 11 milionów dzieci zostało sierotami. A ile poniosło śmierć?! Dużo się mówi, że każda wojna jest zła i okrutna. Są to stwierdzenia ogólne, między innymi takie historie jak powyższa docierają do ludzkiej świadomości. Uważam, że o takich wydarzeniach powinno się mówić, pisać i pokazywać jak najwięcej. Mają być przestrogą dla następných pokoleń.

Składam serdeczne podziękowania Panu Piotrowi Rogowskiemu za wyrażenie zgody na opublikowanie treści listu.

Aleksandra Paprot

O EDYCIE KOZAKIEWICZ Z TUJSKA



Edyta Kozakiewicz podczas prac na cmentarzu w Tujsku, fot. A. Paprot

Obok działań wynikających z potrzeby organizowania aktywności społeczności lokalnych, można wyróżnić inicjatywy oddolne, rozumiane jako niesformalizowane i niezinstytucjonalizowane działania osób prywatnych. Osoby te można określić mianem liderów lokalnych. Są to przodownicy, którzy na scenie lokalnej mają formalny lub nieformalny autorytet. Ich aktywność skupiona jest na dobru społeczności lokalnej i reprezentowaniu jej wewnątrz i na zewnątrz grupy. Przejawy takiej działalności mogą być również pojmowane jako swoisty kapitał społeczny, który może być mierzony poprzez aktywność na rzecz środowiska lokalnego i pełnienie w nim funkcji społecznych, łączonych z zaufaniem do ludzi.

Liderzy wywodzą się z grup lokalnych, a ich aktywność jest dobrowolna i określona przez społeczne przyzwolenie. Początkowo jest ona zwykle spontaniczna, znacznie później może być środkiem do osiągnięcia pewnych celów na rzecz wspólnoty. Taka postawa jest przejawem świadomości bycia członkiem społeczeństwa obywatelskiego. Działanie pozbawione organizacyjnej hierarchiczności umożliwia bycie blisko społeczności lokalnej i szybkie reagowanie na jej potrzeby oraz problemy.

LIDERKA SPOŁECZNOŚCI LOKALNEJ Z TUJSKA

Tujsk (niem. Tiegenort) to wieś znajdująca się w gminie Stegna w powiecie nowodworskim. Obecnie mieszka tam ponad 350 osób. Wieś została założona już w XIV w., a w XVII w. rozpoczęła się tam akcja kolonizacyjna. Przed II wojną światową mieszkali w niej katolicy, ewangelicy, menonici i Żydzi. W Tujsku znajdował się wówczas cmentarz ewangelicki. Dziś mieszka w nim osoba niezwykła – Edyta Kozakiewicz, która jest otwarta na problemy swojej miejscowości, zaangażowana w działania na rzecz regionu, a przy tym pełna ciepła i zrozumienia. Co ciekawe, nie jest ona rodowitą Żuławianką. Na Żuławach mieszka stosunkowo od niedawna. Pochodzi z Ożarowa w woj. Świętokrzyskim, a do Nowego Dworu Gdańskiego przeprowadziła się w 1998 r., gdy poznała męża. W Tujsku mieszka od 2006 r., gdzie postanowiła poszukać z rodziną domu na sprzedaż. Przypadek sprawił, że kupiła poniemiecki drewniany dom z 1880 r. Jak przyznaje: *„w domu tym mieszkały przed wojną dwie rodziny: Brand, co był stolarzem, a ten drugi miał sklep. Tu różne rzeczy kolonialne były do kupienia, fajne napisy były. A potem po wojnie też był sklep”*.

Z wypowiedzi Edyty Kozakiewicz wynika, że po zakupieniu domu dokonała znacznej przebudowy budynku: *„nie znaliśmy wartości tych wszystkich ozdób, detali, tapet przedwojennych”*. Dziś żałuje, że ociepliła dom, przez co została ukryta zabytkowa struktura elewacji zewnętrznej.

Dopiero po kilku latach, gdy zaczęła interesować się historią regionu, podjęła poszukiwania informacji na temat historii swojego domu, wsi i jej mieszkańców. Obecnie posiada już sporą kolekcję zdjęć i materiałów archiwalnych. Te działania sprawiły, że postanowiła zrobić coś dla swojej miejscowości. Wstąpiła do Stowarzyszenia Miłośników Nowego Dworu Gdańskiego w 2008 r., by chronić lokalne dziedzictwo. W 2012 r. podjęła się również prac porządkowych na stacji kolejki wąskotorowej w Tujsku. Zbiera przedmioty związane ze swoją miejscowością, które przynoszą jej mieszkańcy, ale również szuka różnych obiektów na okolicznych polach. Dotychczas znalazła np. fajkę z pruskim orłem czy dzwonek do

roweru, który był wytwarzany w dawnym niemieckim Tujsku (Tiegenort) przez Heinricha Folherta. To sprawiło, że w listopadzie 2011 r. postanowiła założyć fanpage swojej miejscowości na Facebooku, by promować Tujsk i nawiązywać kontakt innymi pasjonatami Żuław oraz osobami, które mogą coś wiedzieć na temat jej wsi.

Będąc w Klubie Nowodworskim brała udział w porządkowaniu lapidarium w Cygan-ku. W 2012 r. jeździła ze swoimi dziećmi, już jako osoba prywatna, do Mirowa pomagać porządkować cmentarz menonicki (prace te zaaranżowało wówczas Stowarzyszenie Inicjatywa Aktywny Malbork). Jak sama przyznaje: „*Udział w porządkowaniu w Mirowie sprawił, że dojrzałam do takiej myśli, by coś zrobić tutaj. Bo już samo uczestnictwo tam pokazało mi, że można coś wyczyścić, postawić do pionu, więc dlaczego tego nie zrobić w Tujsku*”.

TWORZENIE LAPIDARIUM W TUJSKU

Podjęmowane przez Edytę Kozakiewicz działania sprawiły, że zaczęła zastanawiać się nad tym, jak dawniej wyglądał cmentarz ewangelicki w Tujsku. Znaczące dla niej było również spotkanie z byłym mieszkańcem okolicznej wsi, które opisuje ona w następujący sposób: *Mam takiego kolegę, który urodził się w Mikoszewie. Starszy facet, który ma ponad siedemdziesiątkę. Jest pochodzenia niemieckiego, bo wyjechał stąd po wojnie. (...) On u mnie stał na podwórku i mówi: tam leży moja babcia na cmentarzu. I w międzyczasie jak zaczęłam odkrywać różne takie rzeczy, jakieś tam zdjęcie, czy szukałam materiałów o Tujsku, to wiedziałam, że był po prostu duży cmentarz, piękny. Zaczęłam rozmawiać z różnymi ludźmi, ktoś widział jakieś*



Lapidarium w Tujsku, fot. A. Paprot

tam zdjęcia, miał świadomość jak wyglądają te nagrobki i przy okazji gdzieś tam szukając znalazłam nagrobki u kogoś na podwórku. To tak to się rozwija, że zaczynasz z kimś rozmawiać, później wszystko składa ci się w jedną całość i potem przechodzisz do działania.

Pierwsza inicjatywa na rzecz stworzenia miejsca pamięci na terenie dawnego cmentarza ewangelickiego miała miejsce 30 czerwca 2012 r. Edyta Kozakiewicz zaprosiła wówczas do współpracy członków Stowarzyszenia Inicjatywa Aktywny Malbork. Wcześniej rozpropagowała akcję na portalu Facebook, na którym napisała: *W miejscu cmentarza ewangelickiego utworzono obecny – czynny [cmentarz katolicki – A.P.]. Niestety nie ekshumowano zwłok. W miejscu starych powstają nowe groby, a znalezione kości są zbierane w miejscu pamięci na cmentarzu. Zgromadzono tam również pozostałości dawnych nagrobków, jakie przetrwały. W ostatnim czasie dotarły do mnie informacje (...), że przetrwały w różnych miejscach stele i nagrobki z tego cmentarza. (...) Pragniemy przywrócić im należne miejsce i przetransportować na cmentarz. Chcemy zająć się również nagrobkami które leżą za ogrodzeniem i odnowić napisy na grobowcu Hermana Schalta (...). Całość trzeba zagospodarować i ułożyć. Zapraszam wszystkich chętnych do pomocy.*¹

W pracach tych uczestniczyło kilku mieszkańców wsi, którzy pomogli przetransportować nagrobki odnalezione na obrzeżach posesji sołtysa i jednej z mieszkanek wsi. Z relacji osób, które pomagały tego dnia w Tujsku, wynika, że nagrobki z cmentarza ewangelickiego pełniły w gospodarstwach różne funkcje. W jednym z przydomowych ogrodów fragmenty stel nagrobnych stanowiły element kompozycji ogrodowej. Jednak, gdy właścicielka posesji dowiedziała się, że są to nagrobki, przekazała je osobom porządkującym teren nekropolii. Warto dodać, że teren byłego cmentarza ewangelickiego należy obecnie do parafii rzymsko-katolickiej w Tujsku, która nim zarządza. Dlatego wszelkie sprawy natury prawnej rozstrzygano z miejscowym proboszczem.

Drugi raz w Tujsku spotkano się 14 lipca. Tym razem ponad dziesięć osób m.in. z Malborka, Nowego Stawu, Nowego Dworu Gdańskiego, Starej Kościelnicy i Gdańska pracowało na cmentarzu. Oczyszczono nagrobki oraz przygotowano miejsce, w którym zostały one ustawione. W pobliskim rowie próbowano także odkuć fragmenty stel, które były zabetonowane w wielkiej bryle. Z opowiadań uczestników wynika, że była to



Prace na cmentarzu w Tujsku - lipiec 2012 r., fot. A. Paprot

¹ <https://www.facebook.com/events/271757119598847/>

niegdyś podstawa obelisku: *Ktoś kiedyś powiedział, że to był obelisk, taki denkmal podczas II wojny światowej. Ale mi się nie wydaje, żeby Niemcy kruszyli stare, zabytkowe nagrobki, które przecież były jakby wtopione w tę bryłę. Niemcy tu żyli – ewangelicy, trudno uwierzyć by to oni zniszczyli takie piękne stele.*²

Inicjatywa, jaka miała miejsce w Tujsku pokazała, że w trakcie tylko dwóch spotkań można było wiele zdziałać na rzecz cmentarza. Zintegrowała ona grupę uczestników, którzy do dziś podejmują pomniejszych działania na rzecz cmentarzy na Żuławach. Jednak, jak ocenia główna organizatorka, mieszkańcy wsi byli sceptycznie nastawieni do jej zaangażowania: „ci ludzie nie są do końca zadowoleni z tego, co ja tutaj robię. Oni nadal uważają, że chcą im tutaj Niemców ściągnąć do Tujska. (...) Być może jeszcze się boją, że ktoś tu przyjedzie i coś im zabierze”. Dlatego też w działaniach w Tujsku wzięło udział niewielu mieszkańców. Bardziej widoczne było tu zaangażowanie osób spoza wsi i spoza regionu. Zaskakujący jest jednak fakt, iż Edyta Kozakiewicz zaobserwowała, że mieszkańcy z czasem zaczęli stawiać przy nagrobkach ewangelickich znicze: *Zaobserwowałam, że to miejsce, które zrobiliśmy, pani obsadziła kwiatami. Zrobiła to sama od siebie. Pani, taka staruszka ze wsi, która mogła mieć to tak naprawdę gdzieś. (...) I to jest najfajniejsze, ponieważ w niedalekim otoczeniu jest grób jej męża, więc ona też tym się zajęła no i oczywiście, jak było Święto Zmarłych, to zauważyłam świeczki. (...) Myślę, że to mieszkańcy postawili świeczki. Generalnie zdarza się, że ktoś tu przyjedzie, czyli jacyś potomkowie kogoś tu pochowanego. (...) To jest reakcja na to, że szacunek do tego jest.*

Może to świadczyć o budzącej się powoli wśród mieszkańców Tujska świadomości historycznej i potrzeby zachowania pamięci o byłych mieszkańcach wsi.

EPILOG

Aktywność Edyty Kozakiewicz z Tujska pokazuje, że przeszłość i historię można wykorzystywać w działaniach na rzecz własnej miejscowości oraz społeczności lokalnej. Przeszłość jest tutaj traktowana autotelicznie – jako wartość sama w sobie – oraz instrumentalnie – gdy służy do realizacji określonych celów, ważnych społecznie.

Osoby, które działają na rzecz cmentarzy to przeważnie pasjonaci lokalnych historii. To również osoby, które można uznać za miłośników cmentarzy. Zależy im na tym, by upowszechniać wiedzę o regionie wśród współczesnych Żuławiaków. Stanowi to nadal duży problem, szczególnie wśród osób starszych. W związku z powyższym, działania na rzecz nekropolii żuławskich należy traktować jako formę rozwoju lokalnego zwiększającej świadomość kulturową mieszkańców poszczególnych miejscowości. Choć zainteresowanie mieszkańców Tujska cmentarzem było dość niewielkie, aktywiści uczestniczący w opisywanych pracach podkreślali, że najważniejsze było zwrócenie uwagi na sam problem istnienia nekropolii w przestrzeni wsi. Mieszkańcy Tujska zauważyli bowiem, że zdewastowany uprzednio cmentarz, który był miejscem zapomnianym, nabiera obecnie zupełnie nowego znaczenia.

² Wywiad z Karoliną Manikowską przeprowadzony 28.12. 2012 r. w Malborku.

Izabela Chojnacka-Skibicka

POZBAWIONY ROZSĄDKU MIESZCZUCH WYPROWADZA SIĘ NA ŻUŁAWSKĄ WIEŚ

CHAŁUPKA Z CZERWONEJ CEGŁY

Początek brzmi jak bajka: za żadnymi górami, za dwiema rzekami... Jakim wariatem trzeba być, żeby zrezygnować z wygodnego życia w mieście, gdzie w razie braku cukru za każdym rogiem jest sklep?! A może wystarczyło zakochać się... w żuławskiej wsi...

- Nie wiem co robić na tym urlopie - marudziła moja „miastowa” znajoma. - Książek nie chce mi się czytać, do lasu, nad jezioro daleko. Może skoczę na zakupy...

I co ja miałam jej odpowiedzieć? Jak można się nudzić? Boże, kiedy ja ostatni raz się nudziłam? Na wsi słowo „nuda” nabiera innego znaczenia, jest obce. Kasia była jedną z wielu osób, które nie mogły zrozumieć, jak można żyć bez marketu pod nosem, smrodu spalin i wrzasku przechodniów za oknem?! A ja byłam tym wszystkim mocno zmęczona. Picie porannej kawy przy kuchennym stole wydawało mi się już bardzo nudne. Któregoś poranka, jak zwykle zaparzyłam kawę i usiadłam z kubkiem przy stole.

- Wredna małpo jedna! Ja cię utrzymuję!

- To pójdę do pracy i będę cię miała w dupie!

No tak, sąsiedzi za ścianą wstali dziś w wyjątkowo kiepskich humorach. Na pozór porządna rodzina, on pracował od rana do wieczora, ona zawsze elegancka zajmowała się domem i dziećmi. W każdą niedzielę biegali do kościoła, a latem wyjeżdżali na weekendy za miasto. Jednak pozory często mylą, czego dowód miałam w postaci akustycznej za ścianą o siódmej rano. Otworzyłam na oścież okno, słońce przygrzewało wiosennie, mimo wcześniejszej pory było dość ciepło.

- Pani Władziu kochana, od rana drą się niemiłosiernie.

- Kochaniutka moja, on chyba ma kochankę...

- Co też pani powie?

Spojrzałam w dół na dwie starsze panie stojące pod domem. Swoją drogą jak niezwykłą sztuką jest szeptanie ploteczek w taki sposób, żeby było je słychać na pierwszym piętrze.

Usiadłam zrezygnowana przy stole i otworzyłam laptop. Tym razem nie sprawdzałam wiadomości w kraju i na świecie. W wyszukiwarkę wpisałam hasło „sprzedaż domów na wsi”. Kiedy na chodniku, przed nami pojawia się wielka kałuża, to rzeczą naturalną jest jej

ominięcie. I chyba tak samo naturalne dla mnie było w tamtym momencie wyprowadzenie się z miasta na wieś...

W ciągu tygodnia obejrzałam cztery domy. Na dwa z nich nie było mnie stać, jeden okazał się... stodołą, a ostatni nie zrobił na mnie wrażenia.

- Daj sobie spokój i tyle - Kaśka nadal nie mogła zrozumieć mojego pomysłu - Źle ci tu? Chcesz mieszkać na jakimś zadupiu, a do sklepu jeździć na rowerze?

Dość nieudolnie starała się odwieść mnie od pomysłu kupna domu na wsi, bo perspektywa robienia zakupów w małym sklepiku i wozenia ich w rowerowym koszyku dodała mi energii do dalszego szukania domu swoich marzeń.

Kolejne ogłoszenie i kolejna wizyta, tym razem dom na wsi za Malborkiem. Zabrałam marudę ze sobą, żeby dotrzymała mi towarzystwa. Trzydzieści kilometrów od Tczewa, za Wisłą i Nogatem, więc nic dziwnego, że dla mojej przyjaciółki był to koniec świata.

- Zgłoszę cię na leczenie - stwierdziła, kiedy z głównej drogi skręciliśmy na bruk - Kompletnie straciłam rozum.

Droga była koszmarna, więc zaczęłam się zastanawiać, czy zapisałam w telefonie numer znajomego mechanika i, czy facet ma wolną lawetę, bo jak amen w pacierzu załatwię na bruku miś olejową. Po kilometrze okazało się, że przy odrobinie szczęścia i wyjątkowo ostroż-



Dom na Żulawach, fot. J. Chojnacka-Skibicka

nej jeździe auto może z tej podróży wyjść bez większego szwanku. Za kolejnym zakrętem oczom naszym ukazała się chałupa z czerwonej cegły. Przy wjeździe na podwórze stały dwie stare lipy. Dom piętrowy, pod dachem na bocznej ścianie wypisana data: 1921. Spory, choć bardzo zaniedbany ogród i wałca się stodoła. Kaśka chwyciła mnie za rękaw i przerażona pociągnęła w stronę auta.

- Kobieto, ty masz obłąd w oczach! Chodźmy stąd jak najszybciej!

W tym momencie z budynku wyszła młoda kobieta z dzieckiem na ręku.

- A dzień dobry pani - przywitała się - I jak widzi się pani nasz domek? Trochę zaniedbany, bo nikt tu nie mieszka od pięciu lat. Kupiliśmy z mężem, ale nie ma za co remontować i tak stoi sobie i powoli marnieje. Jeśli się pani zdecyduje, to spuścimy z ceny. Szkoda, żeby chałupa się zawaliła, w końcu to solidna, niemiecka robota.

Nie wiem, czy przekonały mnie jej słowa, czy data wymalowana na murze, czy zaniedbany, ale piękny na swój sposób ogród, w każdym razie następnego dnia podpisywałam w banku umowę kredytową, a miesiąc później otrzymałam decyzję. Dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia wprowadziłam się do mojej wymarzonej „chałupki z czerwonej cegły”.

Teraz poranną kawę pijam w ogrodzie ubrana w pizamę i kalosze. Do sklepu jeżdżę rowem, a tam przemiła pani Bożenka podejmuje za mnie decyzję:

- Pani Izo, tego sera, co zawsze? I mam taką szyneczkę dobrą, to też nakroję.

Nie znam najnowszych plotek, bo mój dom stoi na odludziu i wścibskie sąsiadki tu nie zaglądną, a jedyni sąsiedzi, starsze małżeństwo nie ma czasu na plotkowanie. Zaglądam do nich wraz z synkiem, który gania za kurami i kaczkami, podczas, kiedy my pijemy kawę pod jabłonią. Sąsiad daje nam w prezencie miód z własnej pasieki, a sąsiadka częstuje racuchami. Czy są złe strony mieszkania na wsi? Niech pomyślę...

...myślę...

...myślę...

...myślę...

Nic nie przychodzi mi do głowy. Czasem przeszkadzają odrzutowce z sąsiedniego lotniska, marzę wtedy o jakiejś wiatrówce, ewentualnie planuję nocną eskapadę, żeby spuścić im paliwo... Jednak szybko przypominam sobie samochód sąsiada w mieście, który przez pół roku jeździł z zepsutym tłumikiem, ciężarówka z hałaśliwymi, skaczącymi na boki przyczepami i „Wolne Radio Maryja”, które plotkowało na wszystkich dookoła pod moim oknem. Wówczas F-16 przestają mi być straszne...

Zaprzyjaźniłam się też ze swoim „dzikim” lokatorem”, duchem polskiego jeńca, który w 1944 roku uciekł z malborskiego Stalagu XXB, a którego dusza krąży teraz po moich pokojach... Ale o tym będzie zupełnie inna książka...

Agata Weydmann, Adrian Zwolicki

BÓBR Z DELTY WISŁY



Bóbr w trakcie posilku, fot. K. Najda



Bóbr na łądzie, fot. K. Najda

Do niedawna rzadko spotykany, obecnie pospolicie występujący na obszarze całego kraju, jest jednym z niewielu przykładów udanych działań ochrony przyrody. Na Żuławach Wiślanych witany niechętnie, bardzo często kojarzony wyłącznie z zagrożeniem. Ważny składnik krajowej fauny i gatunek kluczowy dla funkcjonowania ekosystemów dolin rzecznych, a przy tym popadający w konflikt z człowiekiem. Bóbr - kłopotliwy sąsiad, czy element dzikiej przyrody na wyciągnięcie ręki?

ŻUŁAWSKI BÓBR

Pocięte gęstą siecią rzek i kanałów, Żuławy Wiślane stanowią dogodne miejsce dla prowadzących ziemno-wodny tryb życia bobrów. Jest tutaj wystarczająca ilość pożywienia, a wysokie brzegi cieków oraz wały przeciwpowodziowe, nierzadko położone blisko wody, umożliwiają gryzoniom kopanie rozległych nor. Niestety, ten idylliczny obraz psuje fakt, że zwierzęta kopiąc nory uszkadzają wały, zwiększając w ten sposób prawdopodobieństwo powstania szkód, które mogą zakończyć się wystąpieniem lokalnej powodzi.

W ramach projektu „Bóbr z delty Wisły”, a dokładniej „Inwentaryzacja populacji bobra europejskiego – Żuławy Wiślane w obszarze województwa pomorskiego z określeniem sposobu minimalizacji szkód” zleconego przez Zarząd Melioracji i Urządzeń Wodnych Województwa Pomorskiego w Gdańsku i Regionalną Dyрекcję Ochrony Środowiska w Gdańsku zbadaliśmy podstawowe parametry populacji żuławskich bobrów i zaproponowaliśmy systemy zapobiegania szkodom czynionym przez te zwierzęta.

Przez dwa kolejne sezony jesienno-zimowe w każdy piątek, pakowaliśmy w porannym chłodziu canoe na dach samochodu i wyruszyliśmy na Żuławy Wiślane badać ślady pozostawione przez te największe europejskie gryzonie. Jesień to bowiem najlepszy czas na obserwowanie śladów aktywności i liczenie bobrów.

BOBRZA JESIEŃ

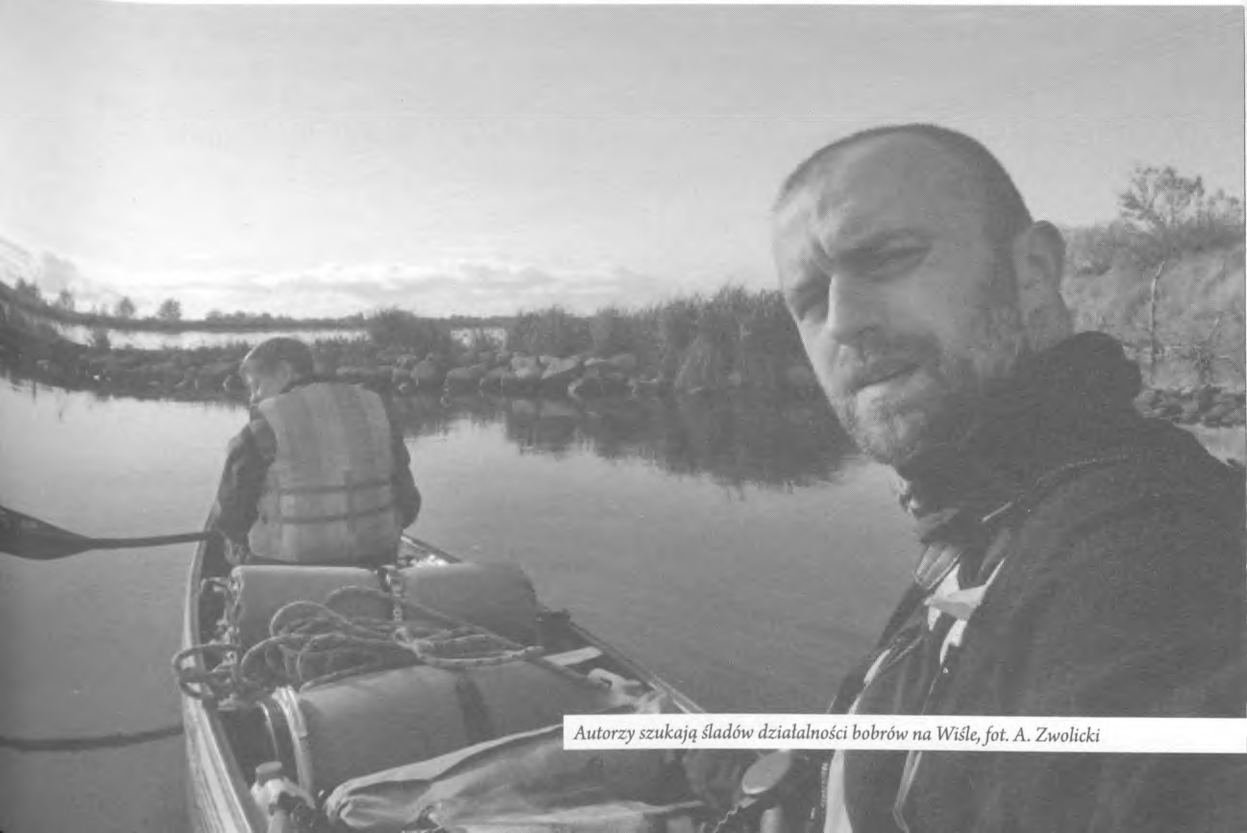
Zazwyczaj czujne i ostrożne, jesienią częściej niż w innych porach roku, wychodzą na ląd, pośpiesznie gromadząc zapasy i poprawiając schronienia, zanim wody zostaną skute lodem. W październikowe i listopadowe noce, kiedy dźwięki niosą się daleko po wodzie, można usłyszeć przypominające chrupanie odgłosy żerowania i ścinania drzew. Największym przysmakiem bobrów są osiki, jednak na Żuławach najczęściej żerują na wierzbach, choć nie pogardzą również innymi drzewami i krzewami. Na spotkanie zimy bobry przygotowują się na dwa sposoby: intensywniej niż w pozostałych porach roku odżywiają się powiększając swoje zapasy tłuszczowe oraz ścinają i transportują w wybrane miejsce gałęzie, które ułożone w wodzie w wielki stos, tworzą tak zwany magazyn zimowy. Dla zwierząt stanowi on spiżarnię na długie zimowe miesiące, a dla badaczy jest pewnym znakiem, że dane terytorium zamieszkuje bobrza rodzina. Bobry należą do niewielu gatunków monogamicznych, stąd też takie stanowisko zamieszkałe jest przez rodziców, ich tegoroczne młode oraz potomstwo z poprzedniego sezonu, które wspólnie dbają o zapasy na zimę i o stan rodzinnego schronienia.

BÓBR BUDOWNICZY

Za schronienie bobrom służą nory i żeremia, do których wejścia znajdują się pod wodą, umożliwiające szybką ucieczkę w razie niebezpieczeństwa, bo choć te trzydziestokilogramowe gryzonie świetnie pływają, to na lądzie są dość niezdarne. Żeremie, podobnie jak magazyn zimowy, jest stosunkowo łatwo zauważyć, bo przypomina kopiec zbudowany z gałęzi i pni drzew, uszczelniony za pomocą dostępnych w okolicy materiałów, takich jak glina i błoto. Co sprytniejsze gryzonie używają w tym celu także wyrzucanych przez ludzi kawałków folii czy butelek. Z kolei wejścia do nor widać dopiero przy niskim stanie wody albo gdy już się zapadną. Bobry kopią nory w miejscach, gdzie brzegi zbiorników wodnych są wysokie i jest pod dostatkiem pożywienia. Jeśli brzegi danego kanału lub rzeki są porośnięte roślinami, które bobry uważają nie tylko za smaczne, ale też za wystarczająco bogate, to poszerzają nory tworząc w ten sposób nory mieszkalne. Takie nory to prawdziwe apartamenty, często wielo-poziomowe, z kilkoma komorami, a długość ich korytarzy może dochodzić nawet do kilkudziesięciu metrów.

ILE JEST BOBRÓW NA ŻUŁAWACH?

Żuławy Wiślane zostały skolonizowane przez bobry w połowie lat 90. XX wieku, jako jeden z ostatnich obszarów na niżu Polski, zaś pierwsze stanowiska bobrów zaobserwowano w ujściu Wisły oraz w pobliżu mostu w Kiezmarku. Obecnie, podczas badania objętych projektem 28 żuławskich rzek i kanałów, stwierdziliśmy łącznie 177 czynnych stanowisk rodzinnych. Ponieważ przyjmuje się, że na czynne stanowisko, czyli terytorium rodzinne, przypadają cztery osobniki, daje to około 700 bobrów. Najwyższe zagęszczenie tych gryzo-



ni oraz liczbę stanowisk rodzinnych zaobserwowaliśmy na dużych rzekach takich jak Wisła, Szkarpa i Nogat. Podczas wybierania terenów do osiedlenia się, bobry wyraźnie preferowały obszary z dużą ilością drzew i krzewów, unikały natomiast sąsiedztwa gruntów ornych i zabudowań ludzkich. Najkorzystniejsze warunki pokarmowe dla bobrów stwierdzono na Wiśle i Nogacie, których brzegi są bogato porośnięte zaroślami wierzbowymi, co przekłada się na wysokie zagęszczenie gryzoni na tych ciekach.

Duża liczba zwierząt na Wiśle wynika nie tylko z bogatych zasobów pokarmowych na tej rzece oraz w jej międzywalu, ale również z tego, że królowa polskich rzek jest ważnym szlakiem migracyjnym, dzięki któremu bobry wędrują w obrębie całego dorzecza. Drugim ważnym szlakiem wędrówek bobrów jest system rzek Nogat – Szkarpa, który pozwolił na zasiedlanie także takich cieków jak np. Wisła Królewiecka czy Tuga. Na Żuławach można spotkać bobry w różnych odmianach barwnych: od czarnych po płowe, co może dowodzić, że Żuławskie bobry pochodzą od różnych populacji wyjściowych.

JAK POWSTAJĄ SZKODY?

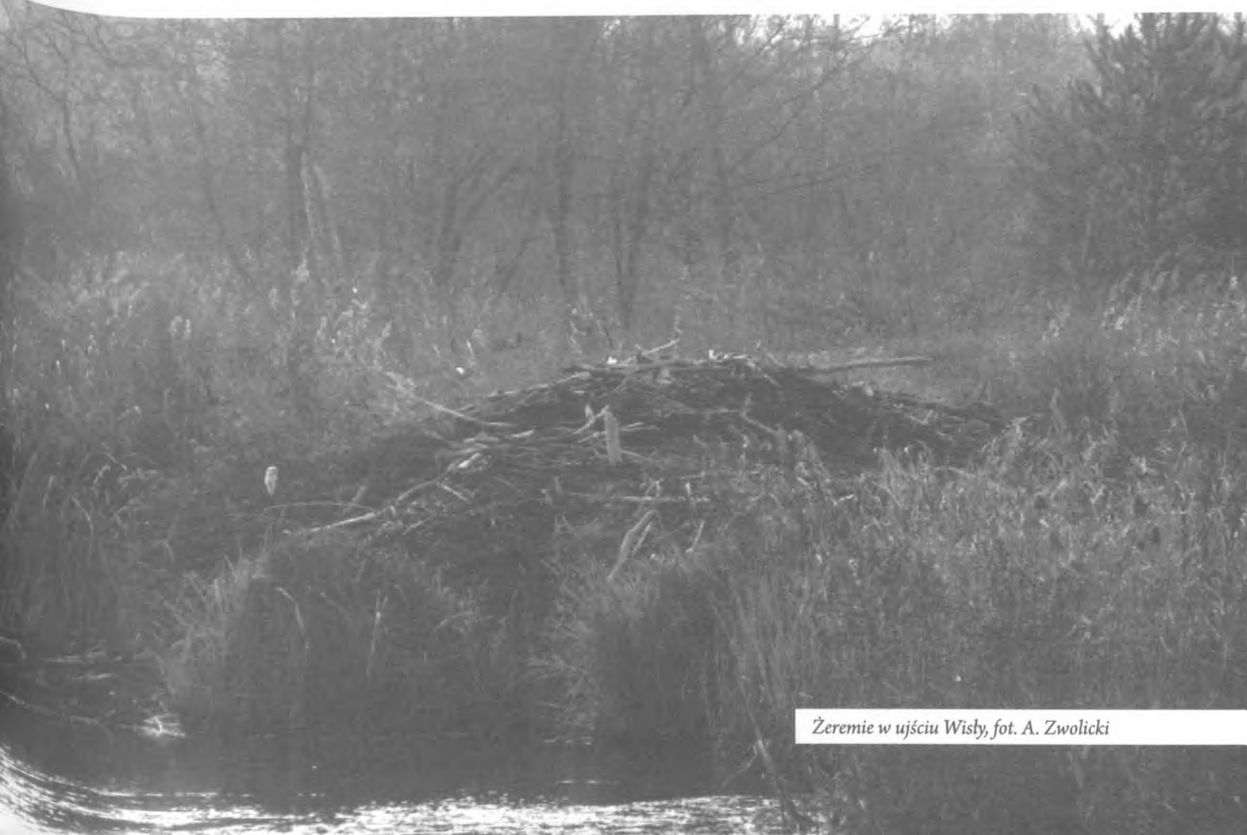
W związku ze zwiększaniem się ich liczby, bobry wędrują wzdłuż cieków i poszukują dogodnych dla siebie terenów do osiedlenia się, w których najpierw kopią norę, a potem ją powiększają lub budują żeremie. Bobry, w przeciwieństwie do innych norowców, kopią nory dość płytko pod powierzchnią ziemi, więc po pewnym czasie zapadają się one na skutek erozji. Jeśli zasoby pokarmowe w okolicy są wystarczające, to bobrza rodzina wykopuje nowe schronienie w pobliżu poprzedniego. Schemat ten może powtarzać się wielokrotnie, czego konsekwencją jest powstanie wielu zapadniętych nor na małej przestrzeni, co może znacznie osłabiać strukturę brzegów oraz wałów przeciwpowodziowych. Wały położone blisko cieku są wręcz doskonałym typem brzegu, który umożliwia kopanie rozległych nor. Uszkodzone przez bobry wały przeciwpowodziowe, zaprojektowane na konkretne warunki hydrologiczne panujące w danym miejscu, mogą okazać się niewystarczające, żeby powstrzymać wysoką wodę. Przykładem miejsca, gdzie w styczniu 2012, podczas tzw. cofki, woda przeciekła przez osłabiony norami bobrowymi wał przeciwpowodziowy, jest Łaszka nad Zalewem Wiślanym.

Na zbadanym terenie Żuław Wiślanych zarejestrowaliśmy łącznie 1888 nor tych gryzoni, z czego 431 na samej Wiśle, gdzie jednak nie stanowią one szkód, ponieważ były wykopane w brzegu rzeki, a nie w oddalonych wałach przeciwpowodziowych. Dopiero wysoka fala powodziowa mogłaby spowodować, że wypędzone ze swoich siedzib bobry złączą kopanie nowych schronienia bezpośrednio w wale. W warunkach Żuław Wiślanych, aby w danym miejscu doszło do szkody, muszą być spełnione dwa warunki: niezabezpieczony wał przeciwpowodziowy położony wystarczająco blisko cieku, lub wręcz stanowiący brzeg cieku, oraz dostępna baza pokarmowa dla bobrów. Warunki te spełniały 123 zarejestrowane nory, zlokalizowane głównie w dolnych biegach: Szkarpawy, Tugi, Nogatu, Motławy i Czarnej Łachy oraz praktycznie wzdłuż całego biegu Kanału Wielkiego i Wisły Królewieckiej. Co warto podkreślić, za praktycznie wszystkie powyższe szkody odpowiedzialnych jest jedynie tylko 10% rodzin bobrowych, pozostałe 90% rodzin zasiedla obszary, gdzie kopanie nor nie ingeruje w strukturę wałów przeciwpowodziowych.

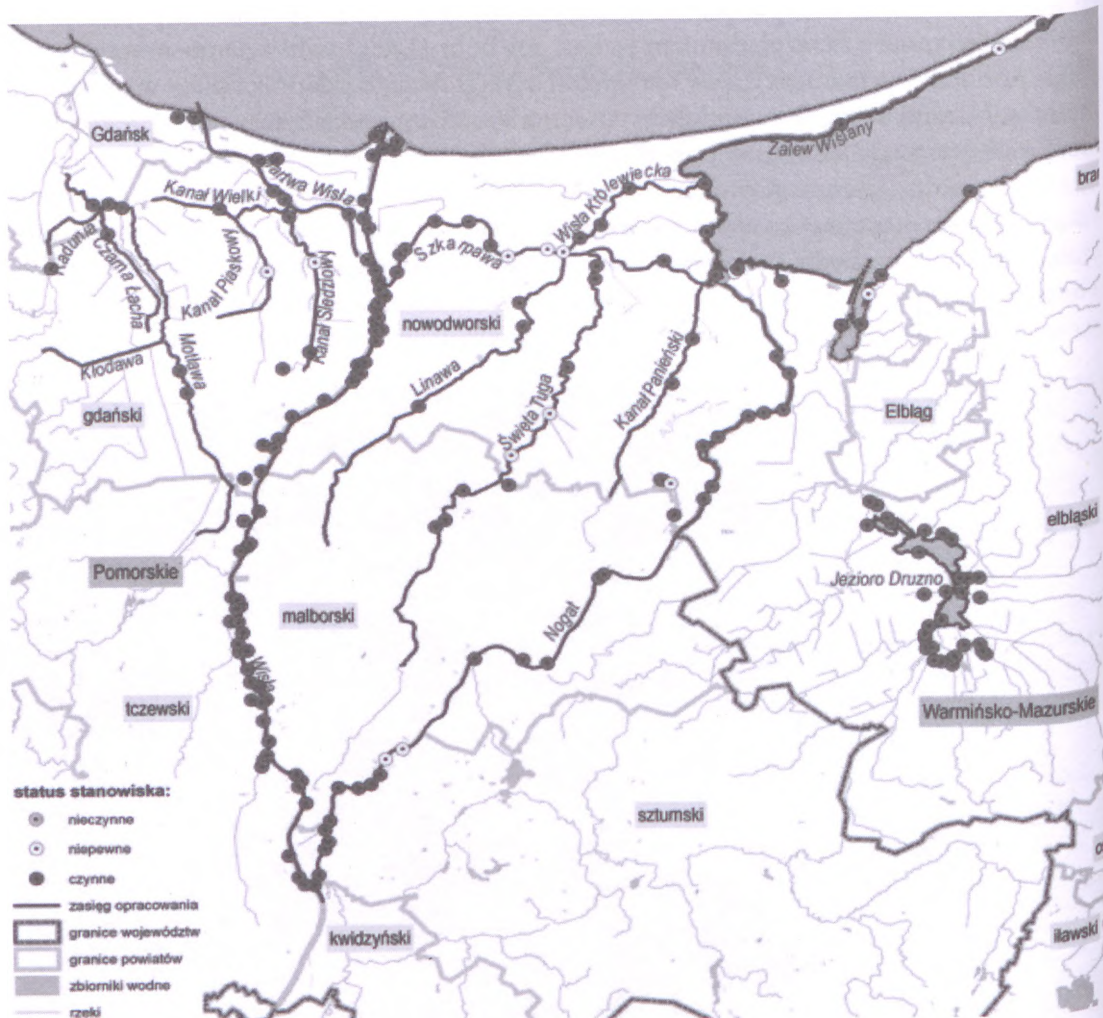
JAK ROZWIĄZAĆ SYTUACJE KONFLIKTOWE?

W większości krajów, gdzie populacja bobrów rośnie, prowadzone są działania mające na celu, z jednej strony zapobieganie powstawaniu szkód (np.: mechaniczna ochrona brzegów zbiorników wodnych i wałów przeciwpowodziowych), czy zniechęcanie bobrów do osiedlania się w danym miejscu (np.: poprzez redukcję bazy pokarmowej), a z drugiej redukcję populacji bobrów poprzez odłowy, odstrzał lub przesiedlanie w inne miejsca.

Problem bobrów na Żuławach charakteryzuje się wyjątkową specyfiką, sprawia to bogata sieć cieków, obszary położone poniżej poziomu morza i stosunki wodne wymagające stałej kontroli człowieka. Konflikt między bobrami a człowiekiem nie jest związany ze szkodami dominującymi w innych obszarach. Konsekwencje szkód powodowanych przez bobry, związane z przerwaniem wałów np. w sytuacji fali powodziowej, czy znanej mieszkańcom Żuław tzw. cofki, mogą mieć zupełnie inną skalę niż w pozostałych regionach kraju. Dlatego warunkach Żuław Wiślanych, minimalizacja szkód powinna obejmować jednocześnie działania związane z zabezpieczaniem wałów, aby bobry i inne zwierzęta nie mogły w nich kopać nor oraz wycinaniem drzew i krzewów, czyli głównego składnika diety w okresie zimowym. Natomiast redukcja populacji powinna być stosowana jedynie w przypadku braku możliwości zastosowania rozwiązań alternatywnych. Działania te, aby przyniosły wymierny efekt, powinny być przeprowadzone głównie w miejscach wysokiego ryzyka powstania szkody, czyli w pierwszej kolejności w obrębie funkcjonujących stanowisk bobrów, na których stwierdzono szkody. Precyzyjne reagowanie w konkretnych lokalizacjach konfliktów z bobrami pozwoli na skuteczne zapobieganie powstawania szkodom w przyszłości, zmniejszy ingerencję w ekosystem dolin rzecznych i zoptymalizuje koszty prewencji.



Jedną z przyczyn niechęci do bobrów jest to, że ze swoim niezwykle dużym potencjałem do przekształcania otaczającego je środowiska, są bardzo podobne do człowieka. Zazwyczaj jesteśmy skłonni chronić przyrodę, ale tylko w sytuacji, kiedy nie ponosimy specjalnych kosztów, a gatunki które chcemy chronić żyją bezpiecznie na obszarach chronionych, z dala od ludzi. Jeżeli chcemy bezpośredniego kontaktu z dziką przyrodą w najbliższym sąsiedztwie, to musimy znaleźć sposób, aby współistnieć obok siebie. Dzikie przyrody ma również swoje „ciemne strony”, a bóbr jest takim gatunkiem, który nie pozwoli o sobie zapomnieć. Warto jednak pamiętać, że poza miejscami, gdzie ich działalność może powodować szkody, żuławskie bobry to zupełnie niegroźne zwierzęta, których ślady można bardzo łatwo zaobserwować. Dlatego wybierzmy się jesienią nad rzekę i spróbujmy znaleźć żeremie, magazyn zimowy, lub choćby zgryzione drzewa i krzewy, ciesząc się, że tuż obok nas żyje gatunek chroniony, który znalazł dogodne dla siebie warunki w Deltie Wisły.



Mapa stanowisk rodzinnych bobrów, rys. autorzy

Na tropach historii

Jurgen Weigle

O MENONITACH

ŻUŁAWY MALBORSKIE

Zawsze jest trudno stwierdzić, gdzie i kiedy coś się zaczęło, ponieważ każde wydarzenie ma swoją historię. Moje opowiadanie o menonitach zacznę od tego, co się wydarzyło dwieście lat przed ich pojawieniem się, daleko na wschodzie, dokąd później wyemigrowali.

Około roku 1300 Delta Wisły i Nogatu składała się z ogromnej liczby rzek, jezior, bagien oraz zalewisk. Na te tereny w roku 999 po raz pierwszy przybyli do Gdańska kupcy i rzemieślnicy. Książęta Gdańska byli bardzo otwarci na przybyszy z Niemiec, czy też ze Skandynawii. Jednak dopiero rok 1178 przyniósł znaczną migrację niemieckich kupców do Gdańska, którzy w roku 1190 wybudowali swój pierwszy kościół - kościół Świętego Mikołaja, który pod koniec XIV wieku został zastąpiony nowym kościołem. W roku 1263 Gdańsk otrzymał od księcia Świętopełka prawa miejskie według prawa lubeckiego.

Dnia 28 grudnia 1446 roku zostało wprowadzone w całych ówczesnych Prusach prawo chełmińskie, a zakon krzyżacki otrzymał zwierzchnictwo nad całym obszarem. Miasto i zamek Elbląg zostało zbudowane w roku 1237. W roku 1280 został powołany pierwszy wielki mistrz, komtur Heinrich von Wilnowe, z częścią konwencji Malborka. Pod przewodnictwem i aktywnej współpracy Niemieckiego Zakonu rozpoczęła się pierwsza kolonizacja Delt Wisły i Nogatu. Zakon werbował osadników w swojej ojczyźnie, przede wszystkim w Niemczech Środkowych, Westfalii oraz w Rheinlandzie. Pierwsze osiedlenia były na wyżej położonych obszarach. Wtedy wzniesiono nad rzekami i ich dopływami wały oraz osuszono kraj. Przez kilka stuleci zakon krzyżacki założył 1400 wiosek z 60 000 włók. Było też prawie milion hektarów gruntów ornych i pastwisk.

Na przełomie XIV/XV wieku zakon krzyżacki był u szczytu swojego panowania. Jego władza rozciągała się od Pomorza przez Prusy Wschodnie, Kurlandię (Łotwa), aż do Inflantów (Estonii - Łotwy), z jednym wyjątkiem Litwy, która nie podporządkowała się zakonowi. W 1386 roku Litwa zawarła z Polską unię. Wspólnie prowadzili wojnę przeciw zakonowi krzyżackiemu, który w 1410 roku przegrał bitwę pod Grunwaldem.

Z powodu tej wojny, jak i następnych wojen, zarazy w latach 1416 i 1427, jak również w roku 1433 najazdu husytów i dokonanej przez nich dewastacji regionu oraz trzęsienia ziemi, które zrównało z ziemią Tczew i wiele wiosek nad Wisłą, doszło do drastycznego zmniejszenia ludności. To wszystko doprowadziło również do przerwania wałów. Między rokiem 1403 a 1465 rzeki zalały kraj 14 razy, co cztery lata.

Gdy zakon krzyżacki na mocy pokoju w Toruniu w 1466 roku utracił Malborskie Żuławy, były one wtedy spustoszone i prawie bezludne. Stuletnia kolonizacja Delt Wisły i Nogatu została zniweczona. Niestety, w latach: 1491, 1494, 1514, 1529, 1549 i 1564 znowu panowała zaraza. W latach 1472, 1526, 1528, 1529, 1533, 1540, 1542 i 1543 z powodu prze-

rwania odnowionych wałów, doszło do wielkich powodzi. Władcy Żuław stawiali zdecydowane wymagania wobec osadników: „Kto nie chce usypać wałów, musi ustąpić”.

CHRZEŚCIJAŃSKI PROCES

Między rokiem 1330 a 1384 żył w Anglii pewien teolog John Wycliffe. Dłuższy czas był profesorem teologii i filozofii w Oxfordzie. Wycliffe był również reformatorem. Uznał tylko Pismo Święte jako podstawę chrześcijańskiej nauki i nabożeństwa. Przetłumaczył Biblię. Odrzucił hierarchię kościoła, celibat, odpusty. Papieżowi nie udało się, aby Wycliffe w Anglii został osądzony jako heretyk. Jego nauka była tłumiona, ale mimo to miała swoich gorących zwolenników w Czechach, tak zwanych Braci Czeskich, do których dołączył się Jan Hus żyjący od 1370 do 1414 roku. Od Braci Czeskich pochodzą husyci, którzy podczas wojen dewastowali obszar Gdańska. Inna grupa utworzyła na początku XVIII wieku w pobliżu Drezna Wolny Kościół Braci Luterskich, którzy rozpowszechnili się w Holandii, Anglii i w Ameryce, jak również w Danii i Szwecji, gdzie ich wyznanie było także zabronione.

Kościół katolicki, skazując Husa na spalenie na stosie w Konstancji, chciał stłumić reformację, jednak ta śmierć spowodowała ogromny sprzeciw i postulaty reformacji nie zostały stłumione.

W 1517 roku Marcin Luter przybił swoje 95 tez do drzwi kościoła w Wittenberdze. W 1520 roku nastąpił przełom w reformacji z powodu trzech pism Lutera, dotyczących politycznych, dogmatycznych i etycznych spraw kościoła. Przyłączyli się do niego również inni chrześcijanie, m.in. Ulrich Zwingli, który był kaznodzieją w Zurychu. W 1523 roku Rada Miejska Zurychu przyjęła program Zwinglego, uznając kolektywnie jego 67 tez, co otworzyło drogę reformacji.

W różnych miejscach w obrębie obszaru niemieckojęzycznego powstał nowy ruch, zwany anabaptyzmem, albo „nowo ochrzczoneymi”. Anabaptyści sprzeciwiali się wszelkiemu świeckiemu wtrącaniu się w ich wiarę oraz przyporządkowaniu kościołowi. „Ponownie ochrzczeni” wierzyli w osobiste Objawienie. To wszystko zaczęło się w Zurychu i bardzo szybko rozprzestrzeniło się do Czech, na Morawy, do Wirtembergii, Alzacji, Harzu, Turynгии i Holandii. Jedna z grup szwajcarskich „ponownie ochrzczoneych” wyemigrowała do Alzacji, gdzie niejaki Jacob Ammann był ich prezbiterem. Dzisiaj nazywa się ich amiszami.

W styczniu 1525 roku Rada Miejska Zurychu zdecydowała stłumić grupę anabaptystów, którą złożyli: Conrad Grebl, Felix Manz i Georg Blaurock. Ta grupa sprzeciwiała się ochrzcić swoje dzieci, uważała, że tylko dorośli mogą być ochrzczeni. Ponieważ publicznie bronili swoich poglądów, Rada Miejska zabroniła im się spotykać i nauczać swojej wiary. 21 stycznia 1525 roku spotkali się jednak na modlitwie, aby szukać boskiego prowadzenia. Po modlitwie zgromadzeni byli już świadomi, że będą ścigani nie tylko przez katolicki ale również przez protestancki kościół. I tak się stało. Conrad Grebel został aresztowany w październiku 1525 roku, ale udało mu się uciec. Umarł latem 1526 r. na dżumę. Felix Manz został aresztowany w grudniu 1526 roku, a 5 lutego 1527 roku został stracony przez utopienie w rzece Limmat w Zurychu. Był pierwszym „ponownie ochrzczoneym”, który został stracony przez protestantów. Georg Blaurock został spalony na stosie przez katolików dnia 6 września 1529 roku.

Kilka tygodni po utopieniu Manza, Michael Sattler powołał szwajcarskich i południowoniemieckich braci na potajemny synod w Schleithem. Sattler był przeorem klasztoru benedyktynów w Schwarzwaldzie, mimo to ochrzcił się ponownie w roku 1525.

SCHLEITHEIMSKIE ARTYKUŁY

Dnia 24 lutego 1527 roku zebrani „ponownie ochrzczeni” wyznali „artykuły schleitheimskie” jako dogmat wiary Braci Szwajcarskich. Sattler został stracony dnia 25 maja 1527 roku w katolickim Rottenbergu nad rzeką Necka. Kilka dni później utopiono jego żonę.

„Artykuły Schleitheimskie” omawiały następujące zagadnienia: chrzest wierzących (chrzest dorosłych), ekskomunika i wspólnota (kontakt z członkami gminy, którzy żyją w grzechu), komunia (Wieczera Pańska), oddzielenie (stosunek do kościoła papieskiego), prowadzenie wspólnoty (predyspozycja i zadania), stosunek do świeckiego zwierzchnictwa, odmówienie przysięgi. Anabaptyści dążyli do wspólnoty Bożej, która przywróciłaby naukę Nowego Testamentu, naukę Jezusa oraz apostołów. Ich wiara opierała się przede wszystkim na Kazaniu na Górze, ale także na Ewangelii Marka i Jana, historii apostołów, listów do Koryntian, listów Tymoteusza i na Objawieniu. To wszystko było również cytowane w „Artykułach Schleitheimskich. „Ponownie ochrzczeni” uważali Pismo Święte jako jedyny autorytet dla chrześcijanina.

Ważną przyczyną powstania „Artykułów Schleitheimskich” były różnorodne poglądy wśród anabaptystów odnośnie zastosowania władzy. W uproszczeniu można stwierdzić, że były trzy podstawowe nastawienia: odrzucenie każdej przemocy, fundamentalnie i bez wyjątku, użycie siły w interesie wspólnoty, użycie siły do tworzenia Królestwa Bożego.

Do ostatniej grupy należeli hoffmannici albo melchiorici utworzeni przez protestanckiego świeckiego kaznodzieję Melchiora Hoffmanna ze Strasburga. Jego zwolennik, Jan Matthijs zajął w 1534 roku Münster w Westfalii i utworzył tam „Nową Jerozolimę”. Niechęć do starego porządku doprowadziła do spalenia ksiąg i fanatycznego niszczenia obrazów. Po śmierci Matthijsa, jego następca Jan van Leiden nazwał samego siebie „nowym Dawidem”. Wraz z wdową po Matthijasi opowiedzieli się za wielożeństwem, miał wówczas piętnaście żon. Nie podobało się to cesarzowi, jego wojska próbowały zdobyć miasto i po szesnastu miesiącach oblężenia zajęły Münster. Jan van Leiden i jego dwóch zwolenników zostało wtedy straconych.

Dwa lata przed katastrofą w Münster mała grupa wśród melchioritów wzbraniała się pójść za radykalnym kaznodzieją Janem van Leiden. W roku 1533 utworzyła ona w Leeuwarden własną gminę. Jako swoich starszych wybrali Obbe Philipsa i Dirka Philipsa. Tę wspólnotę nazywano obbenitami. Oni wybrali drogę odrzucenia wszelkiej przemocy, podobnie jak Sattler, czy Bracia Szwajcarscy w Schleithem.

MENNO SIMONS

Około 30 kilometrów na południe od Leeuwarden żył w Wirtmarsum młody katolicki ksiądz, który się nazywał Menno Simons. W pierwszym roku swojego urzędowania zaczął wątpić w przemienienie Chleba i Wina w Ciało i Krew Chrystusa. Wtedy zdecydował się

przeczytać Biblię, ponieważ słabo ją znał. Uważał, że Kościół katolicki jest nieomylny i że nie jest potrzebna własna interpretacja Biblii. Nie znalazł w Nowym Testamencie nauki o przemianie Chleba i Wina w Ciało i Krew. Sześć lat później zwątpił w następną katolicką doktrynę – chrzest dzieci. W Piśmie Świętym nie znalazł nauki o chrzcie dzieci, ale mimo to nie opuścił katolickiego Kościoła. Dopiero gdy Jan Matthijs i melchiorici wprowadzili w błąd kilka setek wierzących i ci zginęli w katastrofie w Münster, wystąpił z kościoła. Został ochrzczony ponownie przez Obbe Philipsa w styczniu 1536 roku w Leeuwarden. Później został jednym ze starszych gminy obbenitów. Niezmordowanie głosił odrzucenie każdej przemocy. Pisał pamflety, artykuły, książki. Głosił przesłanie pokoju: „Ci którzy ponownie narodzili się w Chrystusie nie ciągną do wojny, nie kłócą się, są dziećmi pokoju, które przekują swoje miecze na lemiesz a swoje włócznie na sierpy i nie będą znać wojny.” Odstąpił definitywnie i bez wyjątku od wszelkiej przemocy. Obbenici i Menno Simons łączyli swoją naukę z Kazaniem na Górze oraz z apostołami. Sami siebie nazywali braćmi w Chrystusie i podobnie jak Bracia szwajcarscy różnili się w siedmiu punktach od katolickiego i protestanckiego kościoła:

- uważali, że chrzest powinien być wtedy, gdy się jest wystarczająco dojrzałym aby przyjąć naukę Chrystusa oraz samemu ją wyznać,
- przyjęcie do wspólnoty i wygnanie tych, którzy grzeszą i nie chcą się zmienić,
- Komunia Święta jest przyjmowana przez członków wspólnoty,
- wybór starszego do kierowania wspólnotą,
- absolutna odmowa noszenia broni i jej stosowania,
- absolutna odmowa składania przysięgi i obejmowania urzędów,
- wspólnota w Chrystusie oraz wzajemna odpowiedzialność za każdego.

Wymienione zasady wiary oraz przekonanie, że Pismo Święte jest największym autorytetem było dla braci w Chrystusie absolutne. Nie byli oni skłonni do kompromisu w tej kwestii. Gdyby nie mogli żyć według swoich zasad, woleli opuścić swój dom, niż swoją wiarę.

Za panowania niemiecko-rzymskiego cesarza Karola V (1516-1556), będącego również Carlosem I, królem Kastylii i Aragonii, odbył się 23 kwietnia 1529 roku 2 Sejm Rzeszy w Spirze. Wówczas zdecydowano, że każdy anabaptysta i „ponownie ochrzczony” pełnoletni mężczyzna czy kobieta, zostaną skazani na śmierć. Mogą być spaleni na stosie, albo ścięci. Wszyscy bez względu na to, czy stosują przemoc, czy też głoszą pokój, będą surowo ścigani. Z tego czasu pochodzi nazwa „menonici”. Na przełomie roku 1544/1545 pojawiło się określenie „mennit”, jako ochronna nazwa „Braci w Chrystusie” używana przez policję wschodnio-fryzyjską, aby nic złego ich nie spotkało.

Dwa lata wcześniej w 1542 roku został wydany nakaz aresztu dla Menno Simonsa. Musiał uciekać ze swoją żoną i małymi dziećmi. Nigdzie nie czuł się bezpieczny. Przez Fryzję Wschodnią, Kolonię i Mecklenburgię przybył w 1533 roku do Holstein, gdzie „nowo ochrzczeni” mogli mieć od roku 1543 schronienie i opiekę u Bartolomeusa von Ahlefeld z Fresenbura w pobliżu Oldesloe. Menno Simons żył na wsi Wuostenfelde, która podczas wojny trzydziestoletniej została zniszczona, a do tego trzęsienie ziemi zrównało ją z ziemią.

Syn Karola V i jego następca Filip II (1527-1598) nie był łagodniejszy od swojego ojca. Zabronił wolności religijnej i politycznej w Holandii. Utworzył nawet w 1567 roku militarną dyktaturę. Dowodzenie nad nią powierzył księciu Albie, który wprowadził wyjątkowy terror. Okrutna władza Alby trwała do roku 1573. Został on odwołany z powodu powstania, którego nie udało mu się stłumić. Podczas władzy księcia Alby bardzo dużo menonitów wyemigrowało na Gdańskie i Malborskie Żuławy.



Migracje menonitów w XVI wieku, fot. z archiwum autora

HOLENDERSKIE WIOSKI

Polscy królowie z powodu braku pieniędzy brali pożyczki i dawali w zastaw całe wioski, także bogatym kupcom i bankierom. Już podczas wojny 13-letniej (1453-1466) król Kazimierz Jagiellończyk dał w zastaw wieś Scharpau (Szkarpowo), a potem w 1472 roku wieś Schoensee (Jeziernik). W 1510 Zygmunt I dał w zastaw wsie Schoeneberg (Ostaszewo), Ladekopp (Lubiszewo), Orloff (Orłowo) i Tiegenort (Tujsk). Wobec nowej pożyczki w wysokości 40000 talarów, król Zygmunt II August dnia 26 lipca 1569 roku dał w zastaw dożywotnio Hansowi von Loitz prowadzenie całej ekonomii wsi Tiegenhof (Nowy Dwór Gdański). Ten zastaw obejmował również wioski: Orloff (Orłowo), Reimerswalde (Cygan-ka), Petershagen (Żelichowo), Tiegenhagen (Cyganek) i Neu-Altendorf. Duża część tego obszaru była zaniedbana i wyludniona z powodu wojny, zarazy oraz dawała niewielkie dochody.

Pod koniec XIV wieku zaczęło się w Holandii systematyczne budowanie tam, aby wyrwać ziemię morzu. To wymagało współpracy oraz technicznych innowacji w budowie wałów i osuszania morskiej ziemi. Duże obszary były poniżej poziomu morza i musiały być osuszane. Na początku XVI wieku rozwinęło się osuszanie terenu przez młyny odwadniające napędzane wiatrem.

W tym samym czasie przybyli do Gdańska pierwsi menonici. Wśród nich był Dirk Philips z Leeuwerden, który utworzył w Gdańsku menonicką wspólnotę. Menonici z powodu swojej pracowitości i skromności byli, niestety, tylko połowicznie tolerowani. Swoją kościół musieli wybudować poza murami miasta, między Radunią a Biskupią Górką, gdzie jest on do dzisiaj.

W roku 1543 przybyli pierwsi menonicki koloniści na Żuławy Gdańskie, czyli na teren leżący na zachód od Wisły. Wały i kanały zostały ponownie naprawione, nowoczesne wiatraki na pompę z kołami łopatkowymi odwadniały pola i pastwiska. Zniszczone wioski zostały odbudowane. W ciągu pierwszych dziesięciu lat pobytu menonitów wartość ziemi wzrosła dziesięciokrotnie. Ich sukcesy doprowadziły do tego, że zabiegali nie tylko o Nizinę Gdańską ale później o Mierzeję. Widoczny wynik ich pracowitości oraz umiejętności spowodował, że Hans von Loitz wezwał ich do Tiegenhof (Nowego Dworu Gdańskiego) oraz na Żuławy Malborskie. Być może von Loitz ujrzał szansę dla siebie, aby dzięki menonitom uzyskać dobre dochody i dlatego zaproponował polskiemu królowi pożyczkę, a menonitom schronienie.

Prusy gwarantowały wolność religijną a w Holandii panował okropny ucisk pod rządami księcia Alby, co skłoniło menonitów do wędrówki. Wiedzieli też, że krajobraz jest podobny do ich ojczyzny i że mogą mieć tam takie same warunki ekonomiczne, jak uprawę ziemi i gospodarstwa mleczarskie. Pod rządami księcia Alby ich osiedlenie w obszarze gdańskim osiągnęło punkt kulminacyjny. Od tego czasu aż do końca II Wojny Światowej wioski holenderskie dominowały na Gdańskich jak i Malborskich Żuławach.

SKĄD PRZYBYLI KOLONIŚCI?

Największa część menonitów na obszarze gdańskim ma holenderskie pochodzenie. Według badania z roku 1912 około 10 000 menonitów w Zachodnich i Wschodnich Prusach miało 369 holenderskich nazwisk. Prawie połowa – 5000 menonitów, miała następujące nazwiska: Penner, Wiens (Wiehns), Dueck (Dicklas, Dieck, Dyck), Claassen (Klaassen), Wiebe, Janzen (Jantzen), Enss (Entz, Ehn), Janz, Freese, Regehr (Regier), Harder, Ewert, Paul, Neufeld, Fast, Frantz, Friesen, Reimer, Epp, Feiguth, Albrecht, Nickel Und Peters. Prawie wszyscy byli ze sobą spokrewnieni, chociaż pochodzili z różnych grup etnicznych. Menonitów można podzielić na trzy grupy:

- 1) Kupców i rzemieślników, którzy osiedlili się w Gdańsku i Elblągu. Pochodzili z większych holenderskich miast, to byli: van Almonde, van Amersfort, Backrach, de Beer, van Benningen, Conwentz, van Duchern, Dunckel, van Dyck, Eggerath, Engman, van Eck, Focking, van Haegen, Hansen, van Kampen, Kauenhoven, Lamberts, Momber, van Roy, Rutenberg, van Steen, Utesch. Te nazwiska pojawiły się tak samo szybko jak i zniknęły, ponieważ ta grupa w XVII wieku osiedliła się między Gdańskiem a Holandią.
- 2) Flamandzkie rodziny pochodziły z dzisiejszej Zelandii (krajiny w południowej Holandii). Byli przede wszystkim rolnikami, później też rzemieślnikami. Nazywali się: Classen (Klassen), Dueck (Dick, Dieck, Dyck), Enss (Entz, Ehn), Epp, Esau, Fieguth, Hamm, Harder, Neufeld, Penner, Regehr (Regier), van (von) Riesen, Thiessen, Toews, Warkentin, Wiens (Wiehns, Wienz), Willer (Wieler, Wiehler), Woelke (Woelcke, Wilke, Wilken).

3) Fryzyjskie rodziny pochodziły przede wszystkim z obszaru von Leeuwarden, były również rolnikami i rzemieślnikami. Jednak kilka nazwisk nie jest pochodzenia holenderskiego tylko południowoniemieckiego. Goertz nazywa tę grupę „Frisian – High German.” Do tej grupy należały takie nazwiska jak: Adrian, Albrecht, Allert, Balzer, Bartel, Bestvater, Dau, Dirksen, Ewert, Franz, Fresk (Froese, Vrees), Friesen, Funk, Goertz (Goertz), Grunau (Gronau), Harms, Janssen (Jantzen, Janzen), Kerber, Kliwer, Kopper, Mekelberger, Martens, Nickel, Pauls, Quapp, Quiring, Schroeder, Stobbe, Unger, Unrau.

Smith przyporządkuje jeszcze część tych nazwisk czwartej grupie, której nie nadaje żadnego pochodzenia, to są: Adrian, Balzer, Bartel, Ewert, Franz, Goertz, Kerber, Kliwer, Kopper, Schroeder, Stobbe, Unrau, Voth. Przypuszcza się, że te rodziny pochodzą z południowych Niemiec, z Moraw, z Fryzji Wschodniej ewentualnie z Westfalii.

Pomieszanie tych grup zdarzyło się dopiero na początku XIX wieku. Śluby z protestantami były trochę później. Jednak nie było żadnych przeszkód, aby menonici byli pochowani na katolickich albo protestanckich cmentarzach.

JĘZYK MENONITÓW

Językiem, którym w Gdańsku mówiono i którym mówili menonici był język dolnoniemiecki. 14 marca 2001 roku Ingmar Karlsson w gazecie „Svenska Dagbladet” napisała: „W okresie rozkwitu Hanzy był ten dialekt stosowany w mowie i w piśmie w całym obszarze Bałtyku i Morza Północnego. Kupcy, dyplomaci i prawnicy używali go w owym czasie.” Język dolnoniemiecki był również wiodącym językiem miast na wybrzeżu Szwecji. Nawet prawa miejskie były XVIII wieku napisane w tym dialekcie. Był on stosowany nie tylko na co dzień, ale też w kazaniach. We wspólnocie w Hamburgu -Altona, którą utworzono w 1601 roku, używano języka dolnoniemieckiego w kazaniach do roku 1795. Gdy byłem mały, na wsi mówiono codziennie w tym dialekcie, chociaż znano język literacki, tzw. język wysokoniemiecki.

Gdy menonici w XVIII i XIX wieku wyemigrowali do Rosji i Ameryki wzięli ze sobą swój dialekt, czyli język dolnoniemiecki. Zanim dzieci poszły do szkoły uczyły się wersów w tym dialekcie, jak relacjonuje C. H. Smith. Poniższy wers jest tego przykładem:

Huśtawka, huśtawka
 W Wielkanoc jemy jajka,
 W Zielone Świątki biały chleb,
 Nie umieramy, będziemy duzi,
 Przecież umrzemy,
 Wtedy do dziury pójdziemy.

Podczas gdy dialekt menonitów powoli wymierał, w USA, to w Niemczech nastąpił jego renesans. Nie powinno się jednak zapomnieć, że język dolnoniemiecki nie jest jednolitym językiem, lecz składa się z wielu wariantów. Nie można mylić gdańskiego dialektu z gdańską mieszanką. Ale to już jest całkiem inną historią.

EKONOMIA

Menonici uciekający z powodu własnej wiary nie byli bogaci, czy też wykształceni, jak również zdolni do działania. Dzięki kontaktom z rodakami, którzy już żyli w Gdańsku, wiedzieli co ich czeka i jakie będą mieć możliwości w ich nowej ojczyźnie, do której na ogół przybywali statkiem. Wprawdzie mogli tylko zapłacić za podróż, ale w gruncie rzeczy byli bez środków do życia. Zawierali z właścicielami ziemskimi pewną formę umowy dzierżawy, która nie była znana w Zachodnich Prusach. Była to tak zwana emfiteuza, szczególna forma czasowej umowy. Grupa ludzi dzierżawiła całą wioskę albo majątek na pewien czas, w zasadzie od 30 do 40 lat, aby nie płacić rocznych odsetek, które były przeznaczone na dobra ziemskie oraz na doprowadzenie do ponownej użyteczności gruntów.

Uprawa oraz rodzaj i sposób użytkowania ziemi był sprawą emfiteuzy. Menonici odpowiadali solidarnie za odsetki dzierżawy, byli regularnie uwalniani od podatków w naturze, jednakże ponosili opłaty, jak podatki albo pieniądze na kościół. Emfiteuci byli uprawnieni do przekazania nawet na trzecie pokolenie wykonania swoich praw oraz alienowania albo dziedziczenia prawa wśród żyjących. Ponieważ menonici „przynieśli” ze sobą formę tej dzierżawy i wytargowali rabat u posiadaczy ziemskich, nazywano także emfiteuzę „osiedleniem według prawa holenderskiego.” Ta forma osadnictwa została uchylona przez królewski edykt z dnia 14 września 1811 roku.

Emfiteuza określała myślenie i życie menonitów:

- Kolektywna odpowiedzialność za każdego wzmacniała możliwości przeżycia całej grupy.
- Uwolnienie od podatków w naturze gwarantowało ich niezależność od właścicieli ziemskich.
- Prawo dziedziczenia emfiteuzy gwarantowało im mobilność, jeśli byłaby ograniczona ich wolność religijna.
- Długi okres dzierżawy gwarantował im ciągłość.

Gdy Melchior von Weiher zmienił swoje wyznanie na katolicyzm i spróbował zabrać w 1618 roku menonitom ich wolność religijną, oni wtedy poskarżyli się polskiemu królowi, a on ponownie potwierdził ich przywileje. Katolicki król oceniał niewątpliwie wyżej zasługi menonitów jako podatników, od gorliwości właściciela ziemskiego dla „prawdziwej” wiary.

Innym przykładem wspólnego działania menonitów było utworzenie już w roku 1623 własnego towarzystwa ubezpieczeniowego od pożarów, z siedzibą w Cyganku (Tiegenhagen).

Jak dochodowi byli menonici dla wydzierżawiających, albo odwrotnie, jak efektywnie wykorzystywali menonici ziemię, którą dzierżawili?

W roku 1578 menonici płacili rocznie za każdą włókę, co odpowiadało około 16,67 ha, 52 gdańskie guldeny jak również 13 kur. Dwadzieścia lat później (1602) były już roczne podatki między 600 a 1000 guldenów za włókę.

Inną miarą ekonomicznego sukcesu menonitów była ich zdolność płacenia podatków, albowiem byli uważani przez władców jako „podatkowe obiekty”. W roku 1627 było głośno o tym jak osiem protestanckich wiosek, które obejmowały 351 włók, zostało opodatkowane kwotą 9000 guldenów, podczas gdy trzynaście wiosek holenderskich, mających

tylko 178 włók, musiało zapłacić podatek w wysokości aż 10000 guldenów, czyli dwa razy więcej za włókę.

We wrześniu 1772 roku Fryderyk Wielki wydał ustawę dzięki której prawo własności nie uwzględniło zagród rolników menonickich. Przez to menonici zostali zrównani w prawie własności z rolnikami protestanckimi i katolickimi.

Menonickie rodziny były wielodzietne i potrzebowały więcej ziemi dla swoich potomków. Ponieważ nowe tereny nie mogły być już więcej wydarte morzu, menonici dzierżawili najpierw nieuprawne pola protestanckich wiosek i założyli nowe zagrody. Potem dobrze sytuowani menonici kupowali ziemię i całe wioski. Na Żuławach Malborskich na południe od Tiegenhofu (Nowego Dworu Gdańskiego) leżało około 2400 włók w obrębie wspólnot protestanckich, z czego menonici posiadali w roku 1748 około 400 włók, w roku 1772 około 600 włók, a w roku 1788 około 700 włók. Niejeden menonita podwoił swoją własność. Ich gospodarstwa były bogate, miały od 12 do 17 włók, co odpowiadało około 200 do 280 ha. Menonici nie byli żadnymi biedakami, co widać na tym zdjęciu, to jest dom moich dziadków w pobliżu Jeziernika (Schoensee).

Od 1773 roku menonici musieli płacić corocznie podatek od zwolnienia ich od służby wojskowej w Wschodnich i Zachodnich Prusach. Podatek był w wysokości 5000 talarów.

Gospodarstwo menonickie dziadka autora w Jezierniku (Schoensee), fot. z archiwum autora



W 1780 roku Fryderyk Wielki udzielił menonitom wiecznego zwolnienia od służby wojskowej, wolność religijną i ochronę ich pracy.

W roku 1789 następca Fryderyka Wielkiego, Fryderyk Wilhelm II wydał edykt na mocy którego każdy zakup przez menonitę od nie-menonity wymagał specjalnego zezwolenia, chyba że kupujący rzeknie się swojego przywileju zwolnienia ze służby wojskowej, co dla menonity było nie do przyjęcia. Edykt doprowadził do pierwszej wielkiej migracji menonitów do Rosji. Caryca Katarzyna Wielka zaproponowała im dobre warunki: pomoc finansową, ziemię, wolność religijną, autonomię kościoła, szkoły oraz własne zarządzanie, pożyczanie i zwolnienie ze służby wojskowej. Od roku 1787 do roku 1796 wyemigrowało nie mniej niż 423 rodzin, tj. około 2000 osób, z Zachodnich Prus do Rosji. Wędrowna menonitów do Rosji utrzymywała się w XIX wieku, aż do uchylecia edyktu w roku 1868.

KU ZACHODOWI

Gdy kwakier William Penn o podobnych zapatrywaniach zjednoczył się ze starym światem, aby stworzyć w religijnym kontekście tolerancyjne społeczeństwo, przybyli wtedy pierwsi południowoniemieccy menonicy do Ameryki Północnej. 6 października 1683 roku osiągnęli oni ziemię obiecaną i utworzyli wspólnotę Germantown. W latach od 1707 do 1766 przybyło znacznie więcej menonitów. Pewna część z nich uciekła później z powodu amerykańskiej wojny secesyjnej do Kanady.

Gdy rosyjscy menonicy obawiali się utracenia swoich przywilejów opuścili Rosję, aby zjednoczyć się ze swoimi braćmi w USA i Kanadzie. Między rokiem 1873 a 1884 wyjechało 8000 menonitów do Kanady, a 13000 do USA. To było możliwe dzięki menonitom z USA, którzy zebrali ponad 100000 dolarów amerykańskich na ich przyjazd i początek w nowej ojczyźnie. Gdy menonicy w Rosji po rewolucji ponownie czuli się niepewnie, wyemigrowało ich wtedy około 21000 do Kanady, dzięki pomocy ich braci z Zachodu. W 1930 roku Stalin zabronił wszelkiej emigracji menonitów.

Ostatnia wielka wędrowna menonitów zdarzyła się po II Wojnie Światowej. Wielu rosyjskich menonitów przyłączyło się do niemieckiej armii, gdy powracała z Rosji. Grupa tych menonitów była nazywana „wielką kolumną”, około dwóch trzecich z tej grupy zostało złapanych przez Czerwoną Armię i wypędzonych.

Jednak około 12000 menonitów osiągnęło wolność na Zachodzie, emigrując do Kanady, Paragwaju, Urugwaju i USA. Także menonicy z obszaru Gdańska uciekali przed Czerwoną Armią. Ci którzy zostali, byli deportowani później w ramach wielkiej czystki etnicznej. Jednym z dokumentów o ucieczce jest wiersz „Abschied von Rosenort” („Pożegnanie z Różewem,”) datowany dnia 24.01.1945 r. przez Ernsta Regehra, który był ostatnim gospodarzem tej wspólnoty. Został on pochowany na cmentarzu w Kolonii Delta w Urugwaju.

MENONICI DZISIAJ

Obecnie na całym świecie żyje około miliona ochrzczonych menonitów. Większość z nich mieszka w Północnej i Południowej Ameryce. W Europie żyje około 100 000, przede wszystkim w Holandii oraz w Niemczech, dokąd wielu menonitów wyemigrowało ze

Związku Radzieckiego w roku 1972, gdy ponownie zezwolono im na wyjazd. Osiedlali się oni z reguły w tej samej miejscowości i tworzyli własne wspólnoty, zamiast przyłączyć się już do istniejących gmin.

A jak jest w mojej wcześniejszej ojczyźnie? Gdy mój brat w 1984 roku po raz pierwszy po wojnie odwiedził Gdańsk oraz ojczyznę naszych praojców, aby zrobić zdjęcia, gdzie wyrośliśmy, pojechał też do Pordenowa. Tam przy lokalnej drodze i kolei wąskotorowej, między dwoma wioskami stał kościół menonicki, którym opiekował się nasz dziadek.



Kościół menonicki w Pordenowie (Pordenau), fot. z archiwum autora

Budynki były zburzone, cmentarz zaniedbany, nagrobki poprzewracane. Gdy mój brat powrócił z Gdańska, w domu przedstawił swoje ukochane wspomnienia z dzieciństwa, które sobie przypomniał będąc przy kościele dziadka, jego mieszkaniu, czy też stolarni, a nawet przy kurniku ...

W opowiadaniu Stół, polski pisarz Paweł Huelle, opisuje scenę, która pewnego razu zdarzyła się w sąsiedniej wiosce mojego dziadka: „Pan Kaspar zaczął mówić szybkimi zdaniem, że oni śnią mu się po nocach, że widzi ich jak na jawie gdy w czarnych kapotach przekraczają bramy obozów, gdy w tych czarnych kapotach zdążają prosto do nieba a tam, w górze, otwierają się wrota i Pan Bóg wita ich z uśmiechem. Bo któż miałby mu być miłszy Bogu niż oni, którzy uprawiali tłustą ziemię w pocie czoła i z miłością, oni, którzy przekopywali pracowicie kanały, budowali słuzy, stawiali wiatraki, śpiewali psalmy i hymny i nigdy, pod żadnym pozorem, nie chcieli brać broni do ręki?

Oni? - zapytał nieśmiało ojciec, przymykając drzwiczki pieca, a wtedy Pan Kaspar westchnął cicho i mówiło o menonitach, po których nie został prawie żaden ślad...¹

Tłumaczenie Małgorzata Rysicka

¹ Paweł Huelle, *Byłem samotny i szczęśliwy*, Rosner & Wspólnicy, 2003 r.

Izabela Lewandowska

ORAL HISTORY, SZTUMSKIE HISTORIE MÓWIONE

Oral history to technika badawcza we współczesnej praktyce historycznej, opierająca się na zbieraniu ustnych relacji świadków wydarzeń historycznych. Już pierwszy historyk – Herodot, opisując wojny perskie, powoływał się na przeprowadzone przez siebie wywiady. Gdy dziś mowa o *oral history*, chodzi z reguły o nagrywanie, archiwizowanie i analizowanie wywiadów (relacji) z uczestnikami/świadkami przeszłych wydarzeń. Nieco ściślejsza definicja brzmi: *oral history* to samoświadoma, poddana pewnej dyscyplinie, rozmowa między dwoma ludźmi na temat niektórych aspektów doświadczonej przeszłości uważanych za historycznie istotne, prowadzona z zamiarem jej zarejestrowania. Filozofia *oral history* opiera się na przeświadczeniu, że ludzka pamięć może być równie wartościowym źródłem historycznym jak dokumenty archiwalne.

Pojęcie *oral history* używane w krajach angielskojęzycznych, jest słabo przetłumaczalne na język polski. Najczęściej tłumaczy się je jako – historia mówiona, historia ustna, rzadziej – historia oralna. Przekazy ustne wykorzystywane są w badaniach innych dyscyplin naukowych. W związku z tym i pojęcia bywają różne. Literaturoznawcy podejmują takie zagadnienia jak wywiad prasowy, wywiad-rzeka czy pamiętnik mówiony; analizą tekstów opartych na przekazie ustnym, głównie baśni, legend i przysłów; etnologowie i antropologowie kulturowi zajmują się tradycją ustną ludów przedpiśmiennych; stosunkiem oralności do piśmienności; analizą tekstów piosenek i przyspiewek ludowych; psychologowie badają problemy pamięci i sposoby zapamiętywania; socjologowie wykorzystują wywiady jako techniki empiryczne w metodzie biograficznej; pedagodzy zaś w badaniach jakościowych i empirycznych nazywając to otwartym wywiadem pogłębionym, czy wywiadem narracyjnym. W większości tych badań metodologia jest podobna, choć w szczegółach różna i zależna od specyfiki danej dyscypliny naukowej.

Oral history nie jest dyscypliną zarezerwowaną dla historyków, gdyż uprawiają ją częściej socjologowie i antropologowie. Od nich możemy czerpać doświadczenie i wzorce metodologiczne, stopniowo dopracowując się własnych. W perspektywie historycznej relacje traktowane są jako dodatkowe, uzupełniające, podrzędne wobec pisanych, źródło historyczne. Przyjmując perspektywę socjologiczną w relacjach historii mówionej nie szuka się odpowiedzi napytanie o to, jak było „naprawdę”, lecz o to, co i jak jest przez rozmówców pamiętane i opowiadane, jak to oceniają, jaki sens przywoływanym zdarzeniom przypisują. Relacja odsłania tożsamość rozmówcy, może stać się więc źródłem do badań interdyscyplinarnych. Może też być źródłem w różnych badaniach: historycznych, socjologicznych, antropologicznych, psychologicznych i innych. Stąd bierze się trudność z jednoznacznym wpisaniem historii mówionej w obszar zainteresowań jednej, zwłaszcza ciasno pojmowanej dyscypliny akademickiej.

Oral history a wywiad narracyjny (jednostkowy). Istotą wywiadu narracyjnego jest otrzymanie opowieści o życiu, nie będącej sumą odpowiedzi na stawiane pytania, lecz spontaniczną narracją. Celem jego jest uzyskanie od jednostki – nazywanej tu narratorem a nie respondentem – relacji o własnym życiu lub wybranych jego fazach. Efektem jest zwarta, niekiedy kilkugodzinna, opowieść narratora utrwalona w formie dźwiękowej. Wywiad ten składa się z trzech części:

1. Przedstawienie celu badań – jakim jest wysłuchanie i analiza opowiedzianej historii życia, zwrócenie uwagi na chronologię.
2. Wysłuchanie opowieści – badacz powstrzymuje się od pytań, a dba jedynie o podtrzymanie narracji.
3. Pytania wyjaśniające – mające na celu uszczegółowić bądź wyjaśnić niezrozumiałe dla badacza kwestie. Dzielimy je na pytania wewnętrzne, które dotyczą problemów wspomnianych przez respondenta, ale nie do końca wyjaśnionych, oraz pytania zewnętrzne, których tematyka w ogóle nie została poruszona w narracji.

Oral history a wywiad grupowy (zbiorowy). Polega na zorganizowaniu spotkania dla wielu rozmówców w jednym miejscu i czasie. Jest on o wiele trudniejszy niż rozmowa z jedną osobą. Trzeba ustalić kolejność wypowiedzi i zasady wzajemnego wysłuchania się bądź zadawania wzajemnych pytań. Czasami wywiad grupowy przeradza się w dyskusję, jest więc trudny do transkrypcji. Powinna ona przyjąć formę stenogramu uwzględniającego nazwiska nie tylko wszystkich osób zabierających głos, ale także ich emocji. Osoba transkrybująca powinna też w nawiasach kwadratowych zapisywać wszelkie odgłosy płynące z sali, które słychać na nagraniu, a więc oklaski, wzburzenie, szepty itp. Brak ich uwzględnienia w tekście pisanym nie odda prawidłowego nastroju rozmowy/dyskusji, co może spowodować błędy w interpretacji.

Oral history a tradycja ustna. Tradycja to przekazywane z pokolenia na pokolenie treści kultury, takie jak: obyczaje, poglądy, wierzenia, sposoby myślenia i zachowania, normy społeczne. Uzyskiwane tą drogą informacje są źródłem pośrednim (o nieznanym liczbie informatorów), podlegającym procesowi deformacji związanej ze sprawą indywidualnego i społecznego zapamiętywania i zapominania. Jest nie adresowana, a człowiek przejmując ją w sposób naturalny, poprzez rodzinę, szkołę i środowisko, w którym przebywa. Natomiast relacja ustna przekazywana jest na żywo badaczowi i tym samym jest silnie adresowana. W przypadku relacji (wywiadu) informator jest znany i można do pewnego stopnia przeprowadzić ocenę jego wiarygodności.

GMINA SZTUM – HISTORIE MÓWIONE

Celowość zastosowania wspomnień uczestników wydarzeń do pracy badawczej historyka jest oczywista. Wymienić tu należy chociażby:

1. Posługiwanie się relacjami przy analizie wiarygodności materiałów bezpośrednich, jako jednym z pomocniczych elementów.
2. Uzupelnienie luk w informacjach dotyczących przebiegu wydarzeń, zwłaszcza dla okresów nie źródłotwórczych, posiadających mało materiału bezpośredniego.

3. Pomoc relacji w ustalaniu motywów działania, w rozumieniu aktorów działających na historycznej scenie.
4. Odtworzenie atmosfery epoki, która jest wręcz niezauważalna w dokumentach oficjalnych.
5. Nawiązanie bezpośredniego kontaktu ze świadkiem, „otworzenie” go na przeszłość, często przez wiele lat skrywaną i utajnioną, co może być także formą psychoterapii i leczenia traumy.
6. Nawiązanie więzi międzypokoleniowych i bliskich relacji między badaczem a badanym.

W obecnych czasach badacze, a nie zawsze są to zawodowi historycy, wykorzystują źródła mówione do: 1) napisania pracy naukowej z historii powojennej, 2) napisania biografii osób lub książki wspomnieniowej o danej osobie, 3) opisanego życia, np. w czasach PRL, z perspektywy wielu osób, 4) opisanego małej społeczności w jej różnych wymiarach.

W ten ostatni nurt wpisuje się książka *Gmina Sztum – historie mówione*¹. Jakiś czas temu Andrzej Lubiński, historyk, prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej przysłał mi ową książkę z prośbą o opinię. Byłam z jednej strony zaskoczona, że podjęto tu tak ważną inicjatywę, a z drugiej wielce uradowana, bowiem oprócz kilku artykułów powstałych na bazie wywiadów ze świadkami historii, jest to jedna z niewielu tego typu pozycji książkowych o naszym regionie².

Publikacja została współfinansowana ze środków Unii Europejskiej Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich. Nad całością projektu czuwał Andrzej Lubiński, który przeprowadzał wywiady, spisywał je, dokonywał wyboru fragmentów do druku, całość redagował. W ramach programu zorganizowano 10 wywiadów grupowych i osiem indywidualnych w 15 miejscowościach gminy Sztum. Na ponad 70 uczestniczących osób, do publikacji wybrano relacje 38 mieszkańców.

W słowie wstępnym Burmistrz Miasta i Gminy Sztum Leszek Tabor podkreślił, że „każdy z nas przechowuje w zakamarkach pamięci różne historie... Wszystkie one mają jedną wadę – są ulotne i nieutralne bezpowrotnie przepadają”. W efekcie zaangażowania wielu osób powstało piękne dzieło, które choć niezbyt obszerne objętościowo (ss. 54) posiada wielki ładunek emocjonalny i faktograficzny. Książka ma czytelny układ: najpierw miejscowości wraz z krótkim opisem ich historii, potem relacje osób związanych z daną miejscowością. Całość uzupełniają stosunkowo dokładnie podpisane zdjęcia, które zostały przekazane do publikacji przez rozmówców. Są one doskonałym uzupełnieniem narracji i stanowią wręcz odrębne źródło ikonograficzne.

¹ *Gmina Sztum – historie mówione*, wywiady, opracowanie i redakcja Andrzej Lubiński, Sztum 2013, ss. 54.

² W formie pracy zbiorowej została wydana książka: *Przeszłość zapamiętana. Narracje z pogranicza. Materiały pomocnicze do analizy polsko-niemieckich stosunków narodowościowych na przykładzie warmińskiej wsi Purda Wielka*, red. R. Traba, A. Sakson, Olsztyn 2007. Zob. krytyczne omówienie zastosowanej tam metody: I. Lewandowska, *Głos w dyskusji o źródłach mówionych (oral history) na kamwie pracy Przeszłość zapamiętana. Narracje z pogranicza*, „Komunikaty Mazursko-Warmińskie” 2008, nr 4, s. 509-513. Por. inne teksty: E. Cyfus, *Butryny we wspomnieniach mieszkańców*, w: *Trwanie Warmii. 600 lat Butryn*, red. I. Lewandowska, Purda-Olsztyn 2012, s. 91-114; I. Lewandowska, *Instytut Mazurski w relacji jego współtwórcy – Hieronima Skurpskiego*, „Echa Przeszłości”, T. 7, 2006, s. 137-158; teje, *Lata 1946-1956 na Warmii i Mazurach z perspektywy Władysława Ogrodzińskiego, historyka i bibliotekarza w Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie*, „Studia Historyczne” 2006, nr 3-4, s. 319-337.

Wydanie tej książki – albumu to dopiero początek. Ani historycy, ani socjologowie, nie mogą sądzić – jak pisał francuski badacz *oral history* Joseph Goy – że kiedy dowiedzieliśmy się z relacji z życia tego, czego chcielibyśmy się dowiedzieć, kiedy już uporządkowaliśmy wiadomości w formę dogłębnego opisu zmian w badanych stosunkach społecznych – analiza jest już skończona. To dopiero początek krytycznej analizy źródła mówionego. Stawianie mu pytań, szukanie potwierdzeń i analogii, wysuwanie wniosków i głębszych uogólnień.

W tym miejscu warto wyjaśnić pytanie postawione w temacie naszego spotkania: *Oral history* źródłem wiedzy obiektywnej czy subiektywnej? Otóż osobiste relacje ustne otrzymane w formie historii mówionej to prawdy subiektywne, natomiast relacje opatrzone komentarzem historyka, a przede wszystkim odwołaniem do innych źródeł – archiwalnych, drukowanych, skonfrontowanych z relacjami innych świadków tego samego zdarzenia – nabierają dopiero cech obiektywizmu. Obiektywne mogą być tylko fakty, opinie o faktach czy opisy zdarzeń przywoływane z pamięci – nigdy obiektywnymi nie będą.

Jak powinien zatem przebiegać proces uzyskiwania wiarygodnych relacji? Po pierwsze trzeba się do rozmowy przygotować – ustalić miejsce i czas spotkania, wybrać rozmówców, dowiedzieć się o ich życiu, by skonkretyzować pytania. Potem przychodzi sam moment nagrania – trzeba stworzyć odpowiednią, miłą atmosferę, aby rozmówca czuł się swobodnie i chciał opowiadać. Nagrany wywiad należy następnie transkrybować, to znaczy dosłownie przepisać. Ważna jest też autoryzacja, czyli przeczytanie własnych słów przez rozmówcę i zgoda na opublikowanie. Tekst po transkrypcji to tak zwana surówka. Takiego tekstu nie dajemy do druku, bo jest on odbiciem żywego języka. Przepisany wywiad trzeba więc poddać korekcie językowej i stylistycznej. To jest drugi etap. Czasami poprawek jest tak dużo, że rozmówca może mieć wrażenie, że on tak nie powiedział. Trzecim etapem jest wybranie odpowiednich fragmentów do publikacji.

Niestety z omawianej pracy *Gmina Sztum – historie mówione*, czytelnik nie dowie się jak przebiegała praca nad wywiadami, z jakimi trudnościami spotkał się redaktor, jaki był klucz wyboru tekstów do druku. Co prawda na końcu książki jest spis miejscowości i nazwiska rozmówców, ale to za mało, aby dokonać krytyki źródła mówionego. Rozmówcy powinni posiadać dłuższe notki biograficzne, np. ile mają obecnie lat, skąd pochodzą, jakiej są narodowości, gdzie pracowali. Te informacje, a także kto organizował spotkania, kto prowadził wywiady i kto je transkrybował, powinno się umieścić w metodologicznym wstępie lub aneksie podsumowującym. Warto by także umieścić mapkę gminy z zaznaczeniem opisywanych miejscowości. Mimo że nie jest to praca naukowa będzie czytana przez wiele osób także spoza gminy Sztum, będzie polecana uczniom i studentom, będzie analizowana przez badaczy *oral history* z całej Polski, a może także spoza jej granic. Takich książek nie pisze się tylko dla mieszkańców, aby poczytali, jak się kiedyś żyło. Ta książka jest swoistym źródłem, a od źródła wymaga się rzetelności metodologicznej.

Do publikacji zawierającej relacje ustne konieczne jest dołączenie płyty z nagranymi wywiadami. Inną możliwością jest umieszczenie wywiadów na stronie internetowej, o czym czytelnik dowiaduje się na s. 54. Tam też można dopisać omówienie przebiegu badań. Tylko czy pełne relacje oraz zdjęcia zmieszczą się na serwerze gminy i będzie gwarancja, że nie

zostaną stamtąd po jakimś czasie usunięte? Wytłoczenie nagranej płyty i dołączenie jej jako stałego elementu do książki jest chyba lepszym i trwalszym rozwiązaniem.

Z publikacji mogą korzystać osoby zbierające dane do historii jakiejś rodziny, konkretnej postaci, czy dziejów miejscowości. Można też wyłowić informacje dotyczące poszczególnych zagadnień, np. pracy na roli, życia codziennego autochtonów czy ludności napływowej, spędzania wolnego czasu, a nawet zabytków. Z książki powinni korzystać nauczyciele, by przekazać uczniom wiedzę o mieszkańcach ich gminy i poszczególnych wsi, a także zachęcić do dalszego zbierania relacji od swoich babć i dziadków.

Mnie w tej książce najbardziej zainteresowały informacje o stosunku do pozostawionego tu dziedzictwa poprzednich pokoleń, czy to materialnego czy duchowego. Wiele z wypowiedzi mogę potwierdzić *per analogiam* na innym terytorium państwa pruskiego. Poniżej zestawienie kilku takich fragmentów:^{3 4 5}

Imię i nazwisko rozmówcy	Fragment wypowiedzi z książki <i>Gmina Sztum – historie mówione</i>	Potwierdzenie w innych badaniach
Paweł Buchliński	„Razem z tatą podjąłem pracę w majątku, gdzie administratorem był pan Meller, przedwojenny rządcą, u wielkich właścicieli ziemskich... Był wymagającym administratorem, ale też dbał o załogę” (s. 4).	Powszechna jest negatywna opinia o PGR-ach jako użytkownikach pojunkierskich dworów i pałaców. Tak jednoznaczna ocena nie jest jednak oczywista. Znamy bowiem przypadki, że w pierwszych latach powojennych na zarządców wybierani byli dawni właściciele lub zarządcy, którzy najlepiej znali potrzeby ochrony pałacu i parku ³ .
Teresa Koza	„W parku czernińskim jest kaplica grobowa Donimirskich. Znajdowały się tam trzy trumny małe i jedna duża. W latach siedemdziesiątych kaplica została zdewastowana, trumny zniszczone, kości walały się po krypcie” (s. 6).	Opis tragicznych losów kaplicy rodowej von Redecker przy pałacu w Nakomiadach. Dewastacja grobów Döhnów w Kwitajnach ⁴ .
Roch Kielkowski, Józef Mazurkiewicz	Zdjęcie wiatraka w Białej Górze (s. 18). „Na początku nie mieliśmy szatni, przy boisku stał drewniany wiatrak (koźlak), gdzie zawodnicy przebierali się na mecze” (s. 19). „W Gościszewie działał drewniany wiatrak, mielono w nim mąkę” (s. 21).	Przeznaczenie wiatraka w Bęsi, działania F. A. Klonowskiego na rzecz ratowania wiatraków.
Stanisław Laskowski	„Od jesieni 1945 roku zacząłem chodzić do szkoły podstawowej. Kierownik Jan Rutkowski, nauczyciele: Joachim Dumalski, Leon Kauczor, Teresa Rajska” (s. 21).	Praca Leona Kauczora w szkołach polskich na Warmii, głównie w Stanclewie ⁵ .
Romuald Wyszomirski	„Na majątku gospodarowali Rosjanie, gospodarstwo zaopatrywało w środki żywnościowe garnizon rosyjski stacjonujący w Malborku” (s. 27).	„Rosjanie rozlokowali się w dawnych majątkach junkierskich, na co mieli oficjalną zgodę podpisaną przez wicepremiera i ministra rolnictwa tymczasowego rządu, Stanisława Mikołajczyka... rekwirowali jedzenie, zboże, trzodę chlewną, ale też i wyposażenie wnętrz”.

³ W. Knercer, Losy założenia pałacowo-parkowych i dworsko-parkowych na terenie województwa olsztyńskiego, w: Wspólne dziedzictwo? Ze studiów nad stosunkiem do spuścizny kulturowej na Ziemiach Zachodnich i Północnych, red. Z. Mazur, Poznań 2000, s. 277.

⁴ I. Lewandowska, Trudne dziedzictwo ziemi. Warmia i Mazury 1945-1989, Olsztyn 2012, s. 166-167. Wywiad z Czesławem Dziemidowiczem, Bydgoszcz 13 XI 2011 r., nagranie dźwiękowe, transkrypcja autoryzowana w zbiorach autorki.

⁵ I. Lewandowska, J. Chłosta, Śladami polskich szkół na południowej Warmii 1929-1939. W 80-lecie ich utworzenia, Olsztyn 2010 (plus płyta CD), s. 168-169.

Imię i nazwisko rozmówcy	Fragment wypowiedzi z książki <i>Gmina Sztum – historie mówione</i>	Potwierdzenie w innych badaniach
Władysława Sadowska	„Zadziwiły mnie tutejsze zwyczaje noworoczne. Dla mnie to było coś dziwnego, wcześniej tego nie znalazłem. W sylwestra przed północą wszystkich mężczyzn jakby wymiotło, a oni poszli psocić! To klamki czymś wymazali, to na oknach wypisywali „Witamy Nowy Rok”, „Zegnamy Stary Rok”. Wyprowadzali też z gospodarstw sprzęt, wóz, albo jakieś narzędzia wynosili. Potrafili wejść na Jaś szepę i tam to postawić. Rano gospodarz wstawał, patrzył, a tam jego wóz, czy taczka stoi na dachu! Kupa śmiechu z tego była (s. 35).	Szerzej te zwyczaje opisuje Edward Cyfus w książce <i>Moja Warmia</i> , w rozdziale: <i>Co surkinadokazuwali</i>
Tadeusz Radtke	„W okresie międzywojennym, za czasów proboszcza Pawła Mateblowskiego, tata grał w kościele na organach. Ten ksiądz wyraził zgodę, ab oddać Niemcom na cele wojenne dzwony, żyrandole i żołnierza za pomnika ku czci poległych podczas I wojny” (s. 39)	„Do hutniczych pieców wędrowały żelazne parkany z cmentarzy i spiżowe pomniki z miejskich placów oraz mosiężne dzwony z kościołów. [W Olsztynie] wszystkie dzwony z brązu, których waga przekraczała 10 kg. 10 marca 1943 r. zdemontowano i zdjęto z wieży nowego ratusza 30 dzwonów stanowiących wyposażenie ratuszowych kurantów”.
Gertruda Lubowiecka	„Świat, który skończył się dla nich nagle, ten mroźny styczeń, zapamiętałam jako spokojny i szczęśliwy. Gdzie katolicy żyli zgodnie z protestantami, Polacy z Niemcami” (s. 51).	Atmosferę panującą na warmińskiej wsi, gdzie żyli zgodnie Niemcy i Polacy, oddaje też autor trzynastowiecznej książki <i>A życie toczy się dalej</i> .

WIARYGODNOŚĆ WYWIADÓW

Zagadnienie wiarygodności materiału dostarczonego przez rozmowę, dialog, wywiad to pytanie o obiektywność i rzeczowość informacji zawartych w treści wypowiedzi, a także wiarygodność i zaufanie do osoby badanej. Prowadząc wywiad możemy mieć do czynienia z wieloma sytuacjami, które obniżają wiarygodność wypowiedzi, a tym samym naszych badań naukowych.

Jedną z nich może być sytuacja, w której osoba badana przedstawia jakieś fakty niezgodne z rzeczywistością, subiektywnie, ale szczerze, przekonana, że mówi prawdę. Zadaniem badacza jest dotarcie do „prawdy obiektywnej” i możliwość ustalenia, dlaczego respondent w inny sposób zinterpretował dany fakt, wydarzenie lub zjawisko. Uwaga badacza powinna być szczególnie wyczulona na niezgodność treści informacji zawartych w rozmaitych wypowiedziach tej samej osoby. Ważnym kryterium wiarygodności jest fakt zaistnienia wypowiedzi, które się wzajemnie potwierdzają lub sensownie, logicznie uzupełniają, tworząc zwartą, konsekwentną całość treściową.

W niektórych wypowiedziach występują treści odzwierciedlające pewne, dość powszechne w określonych grupach stereotypy. Zgodność wielu wypowiedzi, które uzyskujemy od rozmaitych osób przynależnych do tej samej grupy, nie stanowi sygnału wiarygodności. Przeciwnie – wskazuje na istnienie stereotypowych poglądów, opinii, interpretacji faktów, ich znaczenia itp. Ważnym znaczeniem jest ustalenie, czy rozmówca miał bezpośredni dostęp do zdarzeń, o których mówi. Czy miał długotrwały kontakt z określoną sytuacją, uczestniczył w niej bezpośrednio, miał możliwość obserwowania wydarzeń, przemyślenia ich i refleksji nad nimi.

Do innych przyczyn braku wiarygodności danych możemy zaliczyć obawę osób badanych przed sankcjami społecznymi, które mogą im grozić w wypadku, gdy poruszą pewne tematy. Może to dotyczyć faktu czy zdarzenia, który nie jest zgodny z przyjętymi zwyczajami, prawem moralnym czy obyczajowym, np. bicie zatrzymanego w areszcie czy „pałowanie” strajkujących robotników. Może również dotyczyć innej osoby, którą trzeba by przedstawić w złym świetle, np. komendanta Milicji Obywatelskiej, który dopuszczał się wykroczeń wobec zatrzymanych i nakazywał swoim podwładnym podobne zachowanie. Respondent może nie zawsze chcieć powiedzieć prawdę, ponieważ krępuje się, że usłyszy go ktoś, na czyjej opinii mu zależy, np. jego przełożony, współmałżonek czy znajomi.

Innym powodem udzielenia nieprawdziwej informacji może być przekonanie respondenta, że milczenie, przyznanie się do braku wiedzy, postawi go w niekorzystnym świetle. Aby tego uniknąć, omawia on wydarzenia, o których nic nie wie. Przyczyną takiego zachowania może być pragnienie wyświadczenia przysługi prowadzącemu wywiad, zwłaszcza jeżeli jest życzliwy i przyjazny dla rozmówcy. Inną przyczyną może być obawa badanego, że będzie posądzony o ukrywanie czegoś, że osoba badająca nie uwierzy, iż naprawdę nie posiada on informacji, które by umożliwiły przedyskutowanie danego zagadnienia.

Stopień wiarygodności zależy również od zastosowanej techniki kierowania przebiegiem rozmowy (wywiadu), od charakteru zadawanych pytań i od umiejętności nawiązania i utrzymywania kontaktu z osobą badaną. Do najczęstszych błędów popełnianych przez prowadzących wywiad należy posługiwanie się niezrozumiałym językiem, niezadbanie o dogodne warunki do prowadzenia wywiadu (cisza, względne odizolowanie, możliwość długotrwałego skupienia uwagi), nie przygotowanie merytoryczne. Do innych błędów należy tak zwane „błędne założenie znawstwa”, gdy badający spodziewa się, iż badany ma wystarczające wiadomości na dany temat, choć w rzeczywistości rozmówca zna go ogólnikowo i nie może udzielać wyczerpujących odpowiedzi. Także używanie pytań zawierających terminy nieostre powoduje, że odpowiedzi na nie mogą być niekonkretne. Każdy bowiem inaczej interpretuje „głębiej” słowa – bardzo, często, znacznie itp. Jeżeli nie zada się pytań kontrolnych czy filtrujących, może to zmniejszyć wiarygodność uzyskiwanego materiału.

Wiarygodność danych otrzymanych z wywiadu zmniejszają wypowiedzi częściowe. Co prawda zawarta w nich treść odpowiada rzeczywistości, jednak ponieważ jest niekompletna, nie zawiera całej treści, którą można by usłyszeć. Część materiału została w nich opuszczona z rozmaitych powodów, niekiedy także celowo. Powstałe w ten sposób wypowiedzi cechują się zniekształceniami o różnym zasięgu i znaczeniu.

Drugi rodzaj – to wypowiedzi niecisłe, w których obraz nie jest zupełnie zgodny z rzeczywistością i nie odpowiada faktom. Dzieje się tak wtedy, gdy rozmówca nie zetknął się bezpośrednio z faktami, których dotyczy pytanie, albo brał udział w zdarzeniach krótko, przypadkowo, nie poświęcając im większej uwagi. Taki materiał łatwo ulega zniekształceniom, bowiem na pamięć oddziałują również nastawienia emocjonalne, uprzedzenia, cudze sugestie itp.

Trzeci rodzaj wypowiedzi niewłaściwej to relacja nie związana z tematem zawartym w treści postawionego pytania. Osoba badana mówi dużo, wypowiada się bardzo swobodnie, posługuje się szczegółami opisywanych faktów, jest ożywiona i zainteresowana swoim tematem, jednak celowo lub też bezwiednie omija tematykę najbardziej istotną.

Kolejnym rodzajem jest brak wypowiedzi na temat wysunięty w rozmowie. Otrzymuje się wówczas odpowiedzi typu: „nie wiem”, „nie widziałem”, „nie spotkałem się z tym”. Dochodzi wówczas do blokady porozumienia, a więc chwilowego lub dłużej trwającego zawieszenia kontaktu, głównie emocjonalnego. W takiej sytuacji najważniejsze jest ponowne nawiązanie kontaktu i wzbudzenie zaufania. Trzeba zmienić rozpoczęty wątek, zadać inne pytanie, rozładować napiętą atmosferę. Niewątpliwym utrudnieniem dla prowadzenia wywiadu jest brak pozytywnej motywacji. Osoba badana nie robi żadnego wysiłku, by odtworzyć posiadane doświadczenia, nie stara się nic przypomnieć ani wyrazić własnego zdania, ponieważ jej na tym nie zależy. Cechuje ją bierność i niechęć do podjęcia wysiłku. Przy dłuższym trwającym badaniu jest to poważny znak, że rozmówca jest zmęczony i wywiad należy zakończyć.

W toku wywiadu mogą pojawić się uprzedzenia, które niewątpliwie zniekształcają uzyskiwany materiał. Jednym z nich jest dostrzeżenie różnic między rozmówcą a prowadzącym badania, które ten pierwszy interpretuje niekorzystnie dla siebie. Różnice te mogą dotyczyć np. wieku, płci, wykształcenia, różnorodnych opinii, często nie dających się ustalić przed przystąpieniem do właściwych badań, a ujawniających się dopiero w czasie rozmowy. Źródłem uprzedzeń może być także sam badacz, szczególnie mniej doświadczony i nie umiejący całkowicie panować nad swoim postępowaniem. Jeżeli zostanie on onieśmielony osobą swojego rozmówcy, może zabraknąć mu odwagi, aby wymagać uzupełnienia, uściślenia czy w ogóle poprawienia jakichś wypowiedzi, albo powtórzenia którejś z nich. Bardzo ważne są cechy osobiste badacza – jego kultura, takt, poziom intelektualny, umiejętność porozumiewania się z ludźmi.

Dużej ostrożności wymaga konieczność interpretowania na bieżąco wypowiedzi rozmówców już w toku prowadzenia wywiadu. Występuje tu niebezpieczeństwo rozumienia wypowiedzi w myśl własnych oczekiwań. Dlatego też nie można dopuścić do wyrobienia sobie powierzchownej, opartej na intuicji lub pierwszym wrażeniu, stereotypowej opinii o badanych. Nie można więc próbować ich sklasyfikować jako interesujących lub nieciekawych, wiarygodnych lub niewiarygodnych, sympatycznych lub niesympatycznych. Często bowiem dopiero przy dłuższej lub wielokrotnej rozmowie, przy lepszym poznaniu, nasz rozmówca „otwiera się”, jest bardziej gotowy do współpracy, wydobywa ze swojej pamięci coraz ciekawsze informacje.

Bardzo ważnym elementem jest także umiejętność odkodowania informacji zawartych w treści wywiadu. Historyk musi wykazać się umiejętnością odczytania np. 1) kodu języka etnicznego informatora (kod lingwistyczny); 2) języka epoki (kod terminologiczny); 3) kodu psychologicznego; 4) kodu pisma i ewentualnie innych symboli notowanych (o ile takie w wywiadzie wystąpią).

GŁÓWNE ZASADY OPRACOWYWANIA WYWIADÓW

1. Nagranie na nośniku elektronicznym (teraz MP3, dyktafon) musi być przepisane dosłownie do komputera i dane rozmówcy do autoryzacji. Trzeba pamiętać o nietrwałości zapisu na nośnikach elektronicznych i konieczności ich przegrywania co kilka lat.
2. Każda relacja powinna być opatrzona numerem inwentaryzacyjnym, który pozwala na łatwe korzystanie z powiększającego się archiwum historii mówionej.
3. Ton, siła i intonacja głosu, rytm i prędkość mówienia, przerwy – wszystko to jest częścią komunikacji i nośnikiem znaczeń. Nie sposób oddać tego w transkrypcji, dlatego warto stosować nagrania video. Podczas przepisywania należy zaznaczyć emocje respondenta – śmiech, płacz, krzyk, podenerwowanie, dłuższe przerwy – najlepiej w nawiasach kwadratowych.
4. Zawsze trzeba zapisać dokładną datę i miejsce uzyskania relacji, a także imię, nazwisko i wiek interlokutora.
5. Relację należy przepisać najpierw dosłownie – z zachowaniem błędów i potknięć językowych – pozwoli to na ewentualne badania lingwistyczne. Jeżeli robimy badania w jakiejś grupie etnicznej, wywiad będą mogli wykorzystać badacze gwary lub regionalnych dialektów.
6. Następnie, w drugiej wersji, maszynopis należy poprawić pod względem ortograficznym i interpunkcyjnym, rzadziej stylistycznym, bowiem język i używane słownictwo także oddają osobowość człowieka.
7. Jeżeli relacja jest długa, możemy zastosować streszczenie, pomijając wątki niepotrzebne lub powtórzenia. Jeżeli są to tylko niektóre wyrazy lub pojedyncze zdania, to nie musimy zaznaczać w tekście pominięcia, jest to zabieg czysto korektorski.
8. Jeżeli piszemy pracę naukową i wplątamy wypowiedzi z wywiadu, to koniecznie trzeba je zaznaczyć kursywą i przypisie podać kto i kiedy udzielił wywiadu. Taki zapis jest wówczas traktowany jak źródło, a nie jak ubarwienie toku naszej narracji.
9. W wersji roboczej maszynopisu, tj. w materiale surowym, powinno się zapisywać również pytania badacza. Po skompilowaniu narracji w spójną i logiczną całość, pytania są już zbędne.
10. Niektóre charakterystyczne a godne uwagi wyrażenia respondenta można pozostawić biorąc je w cudzysłów.
11. Układ treści publikowanych relacji nie zawsze odpowiada kolejności uzyskiwanych wypowiedzi w czasie przeprowadzania wywiadu. Często respondent wielokrotnie wraca do tych samych wątków lub omawia je nie chronologicznie lub nie logicznie. Stąd też zachodzi potrzeba poszatkowania tych wypowiedzi i ułożenia według planu, który sobie założymy.
12. W pracy edytorskiej, gdzie podstawowym źródłem są relacje ustne, należy stosować szeroki aparat wyjaśniający w postaci przypisów – wyjaśnienie pojęć, nazw instytucji, osób, okoliczności, konfrontacji z innymi źródłami lub literaturą.
13. W analizie treściowej należy oddzielać komentarz respondenta od opisywanej historii.

14. Należy pamiętać o tzw. „współczynniku humanistycznym” Floriana Znanieckiego – czyli przekonaniu, że każdy człowiek jest ekspertem, najlepszym znawcą swojego świata i jemu należy oddać głos i pierwszeństwo w opisie tego świata.

KONTROWERSJE I ELEMENTY DYSKUSYJNE

Co tak naprawdę jest źródłem mówionym? Nie ma chyba w Polsce takiego autorytetu, który potrafiłby jasno i kategorycznie dać odpowiedź na to pytanie. Różni profesorowie będą się spierać w zależności od obranej opcji badawczej czy przeczytanej akurat literatury zachodniej. Nie budzi kontrowersji na pewno najwęższe rozumienie źródła oralnego, tj. wywiad lub rozmowa nagrana na nośnik elektroniczny. Przechowywany w formie dźwiękowej i w ten sposób odtwarzany – jest na pewno źródłem oralnym. Ale już dalsze modyfikacje tego przekazu mogą (raczej powinny!) budzić kontrowersje:

- wywiad prasowy, który wcześniej był przecież nagrywany lub wypowiedź respondenta była notowana,
- stenogram dyskusji,
- przemówienia sejmowe, na zjazdach partii lub organizacji,
- wykłady profesorów, czasami wydane w formie drukowanej,
- reportaże radiowe i telewizyjne, w których często dochodzi do rozmów i wywiadów,
- książki mówione, inaczej zwane wywiady-rzeki lub pamiętniki mówione,
- folklor i literatura ludowa, tj. piosenki i przysłówki, anegdota i przypowieści, przysłowia i legendy, tzw. mądrości ludowe przekazywane z pokolenia na pokolenie,
- wspomnienia kombatantów i uczestników wydarzeń historycznych wygłaszane w zaciśnięciu domowym, bądź przy większym audytorium.

Ta różnorodność zapisu pierwotnych materiałów dźwiękowych powoduje, że prace oparte o źródła mówione są klasyfikowane w oparciu o tematykę, a nie o rodzaj źródła. Tak jest chociażby w zasobach Biblioteki Narodowej, gdzie większość książek napisanych na podstawie wywiadów czy rozmów klasyfikowana jest jako publicystyka, rzadziej jako pamiętnik, praca naukowa czy literatura faktu.

Dalsza sporna kwestia dotyczy ilości respondentów objętych badaniami. Wydaje się, że liczba wywiadów w badaniach historycznych powinna być uzależniona od koncepcji przyjętej przez historyka. Nie musi być ona duża, wystarczy zaledwie kilka lub kilkanaście, jeżeli ma służyć tylko weryfikacji wypowiedzi badanych z innymi źródłami, głównie archiwalnymi. Wywiady stanowią mogą także bazę, podbudowę pod przyszłą syntezę pewnego fragmentu dziejów. Wówczas powinno być ich dużo więcej.

Kolejne kontrowersje dotyczą ilości i jakości zapamiętanych faktów przez naszych rozmówców. Kiedyś zarzucano badaczom historii mówionej, że osoby starsze mało pamiętają, a dużo konfabulują dodając lub ubarwiając wydarzenia. Dzisiaj coraz częściej dochodzi do głosu stwierdzenie, że ilość i jakość zapamiętanych faktów nie zależy od wieku badanego, lecz od emocji, które wówczas przeżywał. Traumatyczne wydarzenia dotykają dużo głę-

szych pokładów świadomości ludzkiej i są o wiele trudniejsze do zniwelowania. Tym samym sytuacje, gdzie wszystko przebiegało „normalnie”, nie było żadnego zaskoczenia lub przeżyć – pozytywnych albo negatywnych, są z reguły słabo zapamiętywane.

Przeciwnicy historii mówionej zarzucają badaczom wiarę w informacje podawane przez respondentów. Dotyczy to zarówno faktów, dat, nazwisk, jak i okoliczności zapamiętanych wydarzeń. Przyznać należy, że informacje te są w dużej mierze subiektywne. To od badacza zależy, czy potrafi je odpowiednio ocenić, poprzez porównania, analogie z innymi źródłami zarówno oralnymi, jak i pisanymi. Drugą kwestią jest nastawienie samego historyka. *Oral history* służy nam do poznania innej sfery ludzkości – tej wewnętrznej, a więc mówiącej o uczuciach, doznaniach, wrażeniach, w dużo dalszej kolejności – o faktach. Tomasz Strzembosz wyraźnie podkreśla walory tej metody pisząc: „Owemu zbieraniu relacji zawdzięczam to, że poznałem setki ciekawych, niezwykle wartościowych ludzi oraz to, że poznałem, więcej – zrozumiałem ich punkt widzenia, poglądy i odczucia. Powoli (...) nauczyłem się słuchać tego, co oni mają mi do powiedzenia, nawet niekoniecznie w warstwie faktograficznej. Co dla nich jest naprawdę ważne, co jest >ich prawdą< i co chcieliby przekazać historykowi. (...) Nauczyłem się patrzeć na wydarzenia historyczne ich oczami, odczuwać je sercem. Dzięki tym rozmowom nie byłem intelektualistą patrzącym na >procesy historyczne< z góry, zimnym okiem. Zaczynaliśmy się rozumieć, powstawało swoiste braterstwo broni: te rozmowy były dla mnie i dla nich bardzo ważne – i oni o tym wiedzieli. (...) Dla takich przeżyć warto było harować latami, zbierać odpryski, budować zamek z ziaren piasku”⁶.



Podczas prezentacji „Gmina Sztum - historie mówione: Piotr Ostrowski pokazuje powojenną tablicę, fot. J. Ryszkowski

⁶ T. Strzembosz, *Z przygód historyka...*, s. 684-685. Mówiąc o przeżyciach, autor ma na myśli nie tylko osobiste kontakty z respondentami, często bardzo znanymi, z którymi rozmawiał jako jedyny lub też jako ostatni przed ich śmiercią, ale także odkrywanie tajemnic, prawd skazanych na całkowite zapomnienie.

Marta Chmielińska-Jamroz

JAK ZNALEZIONO SZCZĄTKI MAJORA ŁUPASZKI



Odkryty grób majora Łupaszki w Warszawie, fot. M. Chmielińska-Jamroz

Pamięć o żołnierzach Podziemia Niepodległościowego zaczęto przywracać w naszym kraju po 1989 roku. Wtedy też, gdy zlikwidowany został komunistyczny Urząd d/s kontroli publikacji i widowisk, rozpoczęto publikowanie wspomnień ocalałych partyzantów, świadków wydarzeń, członków rodzin konspiratorów. Pojawiły się także pierwsze prace historyków, a w wielu miejscach naszego kraju powstawały pomniki i tablice pamiątkowe poświęcone żołnierzom tzw. „drugiej konspiracji”. Gdy historycy dotarli do dokumentów zgromadzonych w archiwach, do świadomości ogółu społeczeństwa dotarła skala prowadzonych w latach 1944 – 1956 działań, wymierzonych w różnego rodzaju formacje walczące z narzuconym siłą systemem komunistycznym. Kilka tysięcy wykonanych wyroków śmierci, dalsze tysiące poległych w bezpośredniej walce i zaledwie nieliczne, rozrzucone w całym kraju pojedyncze mogiły. Najczęściej tych, którzy polegli na samym początku walki z „utrwalaniem władzy ludowej”, później – tu mam na myśli okres od 1945¹, polegli i pochowani po ludzku partyzanci, najczęściej byli przez komunistów wydobywani z grobów i zakopywani w takich miejscach, aby nigdy nikt ich nie odnalazł. Dla zbrodniczego systemu, nawet polegli i miejsca ich pochówku były niebezpieczne. Nie wystarczyło zniszczyć ich fizycznie, zatarciu miały ulec wszelkie ślady po „wrogach ludu”. W wielu pojawiających się publikacjach, przybliżających postacie ludzi, oddziały i organizacje, znajdowaliśmy takie oto stwierdzenie: miejsce pochówku nieznane... Zdaliśmy sobie sprawę, że być może nigdy nie uda się odnaleźć szczątków takich ludzi jak gen. „Nil”, major „Łupaszka”, „Zapora”, „Ogień” i wielu, wielu innych polskich patriotów wdeptanych w ziemię przez zbrodniczy system.

Na początku lat 90, gdy historycy poznali nazwiska żyjących jeszcze „zasłużonych” funkcjonariuszy UB, sędziów i prokuratorów stalinowskich, rozpoczęto próby uzyskania od nich informacji o miejscach pochówku – niestety bezskuteczne. Zasłaniali się oni niepamięcią, brakiem wiedzy, czy też zwyczajnie odmawiali współpracy. Takie były realia młodej demokracji i okrągłostołowych ustaleń. Dawni funkcjonariusze komunistycznego aparatu represji czuli się bezkarni i doskonale odnajdywali się w nowej rzeczywistości. Na przykład, dyrektor owianego ponurą sławą więzienia karno-śledczego przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, gdzie zamordowane zostały najważniejsze osoby Podziemia Niepodległościowego, na pytania historyków, gdzie się podziały ciała, odpowiedział, że... nie wie, bo wywózką zwłok zajmował się kto inny, a on odpowiedzialny był „tylko” za przeprowadzenie egzekucji. Te i inne przypadki nakazywały zwątpić w powodzenie poszukiwań. Pytana niedawno przez dziennikarzy towarzyszka życia słynnego majora „Łupaszki” - Lidia Lwow, ps. „Lala”, stwierdziła, że po wyjściu na wolność w roku 1956 nigdy nie podejmowała prób poszukiwań, ponieważ nie wierzyła, że kiedykolwiek możliwe będzie dotarcie do ich grobów. Snuto przypuszczenia, domysły, powtarzano zasłyszane gdzieś pogłoski, jednak nic ponadto. Od czasu do czasu, przy okazji przypadkowych odkryć, np. przy pracach remontowych w pobliżu dawnych siedzib UB czy NKWD, znajdowano szczątki osób, które z racji zachowanych fragmentów obuwia, odzieży czy przedmiotów osobistych kwalifikowano jako szczątki ofiar represji komunistycznych, jednakże jakakolwiek identyfikacja była prawie na pewno wykluczona.

Przełomem okazały się poszukiwania prowadzone przez Krzysztofa Szwagrzyka z wrocławskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Odkrył on, iż na Cmentarzu Osobowickim we

¹ Należy pamiętać, że tereny obecnej wschodniej Polski już w 1944 roku były „wyzwalane” przez Armię Czerwoną, tam również, jak np. na Białostocczyźnie czy Lubelszczyźnie rozgorzała walka podziemia niepodległościowego z nowym okupantem.

Wrocławiu w dwóch obszernych kwaterach w latach 1945-1956 grzebano bezimiennie ofiary egzekucji wykonywanych w miejscowym więzieniu. Pochówków dokonywano co prawda skrycie, ale w księgach cmentarnych mogiły posiadały swoje numery i daty utworzenia. Odnalezione w archiwach protokoły wykonanych wyroków śmierci zgadzały się datami i ilością utworzonych w poszczególnych dniach grobów. Odnalezieni krewni ofiar udostępnili swój materiał genetyczny do badań porównawczych. W ten sposób, po wielu latach, anonimowe szczątki odzyskały imiona i nazwiska pomordowanych przez zbrodniczy komunizm polskich patriotów.

Sukcesy prac prowadzonych przez prof. Krzysztofa Szwagrzyka zachęciły do rozszerzenia poszukiwania miejsc pochówków na teren całego kraju. 28 września 2012 roku Instytut Pamięci Narodowej podpisał umowę z Pomorskim Uniwersytetem Medycznym w Szczecinie, w wyniku czego powstała Polska Baza Genetyczna Ofiar Totalitaryzmów. Baza ta, to strategiczny etap projektu naukowo-badawczego „Poszukiwania nieznanymi miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956”. Jest to ogromne przedsięwzięcie, którego ideą jest zgromadzenia możliwie największej ilości materiału genetycznego od rodzin osób, które straciły życie w wyniku represji komunistycznych. Co ważne nie dotyczy to jedynie postaci znanych, i z „pierwszego planu”, jak wspomniany już generał Fieldorf „Nil”, czy rotmistrz Witold Pilecki. Twórcy Bazy poszukują wszystkich osób, których bliscy stracili życie, walcząc w podziemiu, czy też w katowniach i więzieniach UB. Jak wyjaśnił w rozmowie ze mną dr Andrzej Ossowski, baza ta ma służyć teraz, a także w przyszłości.

Wróćmy jednak do największego dotychczas odkrycia ekipy Krzysztofa Szwagrzyka – 22 sierpnia środowisko osób pasjonujących się historią najnowszą Polski obiegała informacja o zidentyfikowaniu szczątków mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Szkielet dowódcy 5. Wileńskiej Brygady AK wykopany został na warszawskich Powązkach w miejscu nazywanym „Łączką”.



Kiedy pojechałam tam w sierpniu ubiegłego roku zobaczyłam wykopy, w których bezładnie, jak śmieci, leżały ludzkie szkielety. Nieco dalej na stołach ułożone były kompletne szczątki ludzkie, resztki ubrań, zelówki butów... Skojarzył mi się Katyń. To było ogromne przeżycie, tym bardziej, że podejrzewaliśmy, iż w miejscu tym mogą spoczywać najważniejsze dla nas osoby.

Nieco później spotkałam ekipę poszukującą w białostockim Areszcie. Tam nieopodal więziennej psiarni odkryte zostały kolejne szczątki. Czyje? Tego jeszcze nie wiadomo, pewne jest jednak, że życie stracił tam Kazimierz Kamieński „Huzar” i wielu innych członków podziemia.

Obecnie środowisko zajmujące się podziemiem niepodległościowym ponownie zastygło w oczekiwaniu, bo prace poszukiwawcze trwają na terenie Cmentarza Garnizonowego w Gdańsku, gdzie odnaleziono dokument, w którym jeden z pracowników więzienia informował wdowę po Feliksie Selmanowiczu „Zagończyku” o miejscu pochówku jej męża. List ten nigdy nie został wysłany, zachował się jednak z nieznanymi powodów w archiwaliach. Ten ślad pozwolił przypuścić, gdzie pogrzebane zostały szczątki „Zagończyka” a co za tym idzie, prawdopodobnie Danuty Siedzikówny „Inki”, która zginęła wraz z nim. Miejsce to jest dość prawdopodobne, ponieważ nekropolia ta znajduje się dość blisko więzienia na Kurkowej, gdzie wykonana została egzekucja. Po wstępnych ustaleniach w listopadzie tego roku wiadomo już, że na terenie, który brany jest pod uwagę występują liczne anomalie, które świadczyć mogą o pochówkach. Prace poszukiwawcze ruszą w tym miejscu wiosną 2014 roku.

Na naszym terenie również znajdują się szczątki jednego z partyzanów. Piszę tu o Zdzisławie Badosze „Żelaznym”, który zginął w majątku w Czerninie. Jego szczątki zostały zabrane na UB w Sztumie i stamtąd wywieziono w nieznanne miejsce. Wiele osób przypuszcza, że pochowany mógł zostać na pobliskim cmentarzu w bezimiennej mogile. Być może kiedyś uda się odnaleźć jego szczątki. W sztumskim więzieniu również wielu więźniów politycznych zmarło w czasie odbywania kary więzienia. Oni również w wielu przypadkach pochowani zostali w bezimiennych mogiłach. Zapewne jeszcze dziś żyją osoby, które posiadają wiedzę lub domyślają się, gdzie takie groby się znajdują – prosimy ich zatem o kontakt i podzielenie się tą wiedzą. Jednocześnie chcę zaapelować do wszystkich rodzin lub osób znających członków rodzin żołnierzy podziemia o zgłaszanie się do Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów. Przekazanie materiału genetycznego jest niezwykle proste. Osoby otrzymują zestaw do pobrania wymazu z jamy ustnej, a następnie odsyłają go pocztą. To bardzo ważne, bo może pomóc za kilka lat ustalić dane poszukiwanej osoby. Tu mogę podać przykład niezwyklego zbiegu okoliczności związanego z materiałem genetycznym Zygmunta Szendzielarza. Jak wiadomo, major miał jedną córkę – Barbarę, która żyła na Podlasiu, a następnie w Warszawie. Jeden z mieszkańców Malborka postanowił odwiedzić ją i zadzwonił do Domu Pomocy Społecznej, w którym żyła i tam usłyszał, że pani Szendzielarz zmarła, a pogrzeb odbędzie się w ciągu kilku dni. Podzielił się tą wiedzą z członkami Stowarzyszenia Historycznego im. S. Wileńskiej Brygady AK, którzy poinformowali o tym Krzysztofa Szwagrzyka, on zaś pobrał materiał genetyczny od zmarłej. Dzięki temu rok później udało się ogłosić odnalezienie majora „Łupaszki”.

Wszystkie osoby mające jakąkolwiek wiedzę na temat losów zwłok Zdzisława Badochy lub też miejsca jego pochówku, proszę o kontakt chmielinska.marta@gmail.com. Proszę też o podzielenie się wiedzą na temat tego, gdzie w Sztumie grzebane były ciała więźniów politycznych ze sztumskiego więzienia.



Odnalezienie szczątki majora Łupaszy, fot. M. Chmielińska-Jamroz

Piotr Ostrowski

Z KART KRONIKI SZKOLNEJ W GOŚCISZEWIE

Niewielka wieś Gościszewo w powiecie sztumskim przed wojną nazywała się Braunschwalde. Zaraz po wojnie nazwa niemiecka wsi została spolszczona na Bruszwald. Dopiero w 1947 roku nazwę wsi zmieniono na Gościszewo.

Mieszkam w Gościszewie od 1948 roku. W latach 1955 - 62 byłem uczniem tutejszej szkoły. Po ukończeniu Liceum Pedagogicznego w Tczewie podjąłem pracę nauczyciela w mojej miejscowości i wytrzymałem w niej do przejścia na emeryturę. Stąd mój sentyment do szkoły w Gościszewie oraz wydarzeń z nią związanych. Od 1971 roku stałem się „kronikarzem” szkolnym. Kronika prowadzona była przez nauczycieli i kierowników od 1945 roku, od momentu kiedy powstała szkoła. To bardzo ciekawe źródło historyczne. Wybrałem z pierwszej kroniki szkolnej te fragmenty, które najbardziej odzwierciedlają nastrój pierwszych lat powojennych 1945 – 1952. W wybranych fragmentach zachowana została oryginalna pisownia ówczesnych kronikarzy.

FRAGMENTY KRONIKI SZKOŁY W GOŚCISZEWIE (BRUSZWAŁDZIE)

ROK 1945

Po upadku Niemiec hitlerowskich Polska odzyskała dawne prastare ziemie piastowskie, między innymi również powiat sztumski znalazł się w nowych granicach państwa polskiego. Państwo polskie objęło administrację tych terenów. Obywatele niemieccy wyemigrowali do Rzeszy, a ich miejsce zajęli osadnicy z centralnej Polski i repatrianci z za Buga. Wieś Bruszwald przejęła od razu oblicze polskie. Szkołę zapełniły dzieci polskie. Pierwszą nauczycielką została ob. Poklewska, żona miejscowego ogrodnika. Nauka w szkole rozpoczęła się z dniem 1 grudnia 1945 roku.

ROK 1946

Z dniem 1 grudnia 1946 roku rozpoczął się w szkole w godzinach wieczornych kurs repolonizacyjny dla autochtonów. Na kurs zapisało się 22 słuchaczy. Na program kursu składają się następujące przedmioty: język polski, historia i geografia Polski, matematyka i przyroda. Razem 9 godzin tygodniowo. Kurs potrwa do końca marca 1947 roku.

Dnia 22 grudnia urządziła dziatwa szkolna przedstawienie gwiazdkowe w sali dla publiczności. Dzieci odegrały trzyaktowe jasełka oraz program urozmaicono deklamacjami i kolędami. Dochód przeznaczono na zakup zeszytów dla biedniejszej dziatwy szkolnej.

ROK 1947

Od 28 stycznia 1947 roku szkoła rozpoczęła dozywiać 35 dzieci szkolnych. Dzieci otrzymują w szkole śniadanie w postaci zupy UNRRA, kakao, kawy, kaszy, herbaty i konserw. Dożywianie prowadzi Komitet rodzicielski, finansuje Inspektorat szkolny, jak również dostarcza produktów żywnościowych.

Inspektorat szkolny pismem z dnia 1 marca 1947 roku L.dz.659/47 doniósł, że na podstawie zarządzenia Urzędu Wojewódzkiego Gdańskiego nazwa wsi naszej Bruszwald została zmieniona na Gościszewo.

Dnia 4 maja odbyło się Święto Oświaty. W dniu poprzednim zawiązał się lokalny komitet obywatelski Święta Oświaty, w skład którego weszli przedstawiciele samorządu oraz miejscowi obywatele. Komitet przyjął na siebie zadanie zorganizowania w dniu 4 maja zbiórki ulicznej pod hasłem odbudowy książki polskiej i bibliotek publicznych. Komitet zebrał za rozprzedane nalepki 600 zł.

Dnia 7 września odbyły się w Gościszewie pierwsze dożynki w Odrodzonej Polsce. Stronę artystyczno-dekoracyjną uroczystości przygotowała szkoła. Po nabożeństwie uformował się pochód. Na przedzie szły dzieci szkolne. Pierwsza grupa dzieci ubrana w stroje narodowe i ozdobione girlandami z kwiatów. Następna grupa dzieci to grabiarki z ozdobionymi grabiami, trzecia to kosiarze z kosami. Przy każdej kosie bukiet z kwiatów i wstążki o barwach narodowych. Reszta dzieci jechała na pięknie udekorowanym drabiniastym wozie ze zbożem. Za dziećmi szły organizacje i obywatele gminy Gościszewo. Pochód udał się na salę, gdzie ob. Starosta wręczył chłopom prawa własności. Dzieci deklamowały wiersze oraz odśpiewały okolicznościowe pieśni. Komitet Obywatelski dożynek ugościł dzieci cukierkami, bułkami i kawałkami kielbasy.

ROK 1948

Dnia 19, 22 i 26 kwietnia zostały wszystkie dzieci szkolne badane i szczepione przeciw gruźlicy. Szczepienie przeprowadził duński Czerwony Krzyż. Badania wykazały, że przeszło 50 % wszystkich dzieci jest zagrożonych gruźlicą. Badania i szczepienia były bezpłatne.

Rok szkolny rozpoczął się 1 września 1948 roku. Szkoła liczy 116 uczniów, 6 klas przy dwóch salach nauczycielskich. Klasy 7-mej nie zorganizowano z braku uczniów.

W czasie od 5.X do 12.X dzieci klasy szóstej i starsze dzieci kl. V wybierały ziemniaki w majątku państwowym Węgry. Wybrano ok. 10 ha ziemniaków.

Do Sztumu przybył wojewódzki ambulans dentystyczny. Dzieci szkolne powiatu sztumskiego kolejno przywożono do przeglądu dentystycznego. Bezpłatnie leczono i wyciągano zęby. Od 7 grudnia dzieci szkolne z Gościszewa udawały się do Sztumu do przeglądu. Z braku czasu pominięto dzieci kl. pierwszej.

W ciągu miesiąca listopada i grudnia zelektryfikowano wieś Gościszewo. Również szkoła została zelektryfikowana.

W okresie od 28 grudnia 48 r. do 15 stycznia 1949 r. gościła w gmachu tutejszej szkoły obóz społeczny „Służba Polsce”. Obóz zajął wszystkie ubikacje przeznaczone dla szkoły.

ROK 1949

Dnia 16 stycznia odbyło się w całej Polsce otwarcie bibliotek gminnych. Również gmina Gościszewo posiada 200 tomową bibliotekę ufundowaną z akcji 333. Na uroczystość urządzoną w szkole przybył podinspektor oświaty dorosłych ob. Rydzewski oraz bibliotekarka powiatowa.

W dniu 1 maja wszystkie dzieci szkolny udały się na wozach ozdobionych zielenią i czerwonymi chorągiewkami na uroczystość do Sztumu

Dzieci szkolne zorganizowane w drużynie szkolnej ZHP brały udział w zbiórce ulicznej na Centralny Dom Młodzieżowy.

W tym roku szkolnym uruchomiono po raz pierwszy od czasu odzyskania Niepodległości klasę siódmą. Uczniów zapisało się 12. W szkole uczy 3 nauczycieli i kierownik szkoły. Każda klasa pobiera naukę oddzielnie.

Z okazji 70-tej rocznicy urodzin generalissimusa Stalina odbył się dnia 21 grudnia uroczysty poranek w szkole. Dzieci deklamowały wiersze o Stalinie, odegrały krótką prelekcję z życia Stalina.

ROK 1950

Zgodnie z powziętymi zobowiązaniami dnia 12 lutego przygotowały dzieci uroczysty poranek w dniu 8 marca jako w Międzynarodowym Dniu Kobiet. Liczne wiersze, inscenizacje, dialogi oraz tańce ludowe złożyły się na program uroczystości. Licznie przybyłe matki oklaskiwały występ dzieci.

Dnia 4 czerwca odbył się w całym kraju Międzynarodowy Dzień Dziecka. Dzień ten w szczególności obchodzony był w naszej szkole. Nowe harcerstwo w dniu tym składało przyrzeczenie. Uczeń Wojtachnia odczytywał tekst przyrzeczenia, a za nim powtarzało 48 harcerzy.

Na terenie szkoły istnieje ZHP i koło szkolne Odbudowy Warszawy, do którego należą wszystkie dzieci szkolne.

3 grudnia odbył się w całej Polsce powszechny spis ludności, gospodarstw, domów mieszkalnych i zwierząt domowych. W spisie brało udział trzech nauczycieli tej szkoły jako komisarzy spisowi. Spis zakończono w czterech dniach.

ROK 1951

We wtorek dnia 9 stycznia odbyła się w tej szkole uroczystość noworoczna. W uroczystości wzięły udział wszystkie dzieci szkolne, licznie przybyli rodzice, przedstawiciele władz. Na dziedzińcu choinka ozdobiona emblematami ilustrujące dorobek planu 6-letniego. Uroczystości zagał kierownik Szkoły, przedstawiając dorobek Polski Ludowej oraz rozwój w planie 6-letnim, walkę o pokój oraz stosunek do ZSRR.

Dnia 1 maja wzięły dzieci udział w pochodzie oraz akademii urządzonych na sali. W godzinach popołudniowych udała się grupa artystyczna dzieci szkolnych do P.G.R. Węgry, gdzie powtórzyły swój program. Robotnicy P.G.R.-u rzesistymi oklaskami dziękowali dzieciom za występy. Po uroczystości dzieci i mieszkańcy Węgier wspólnie zabawili się w świetlicy majątku.

W niedzielę dnia 2 września odbyły się w Gościszewie dożynki gminne. Program artystyczny na tej uroczystości wypełniły dzieci szkolne.

W okresie miesiąca pogłębienia przyjaźni polsko-radzieckiej, tematyka pogadank, wypracowań, czytanek, śpiewu koncentrowała się koło zagadnień na temat rewolucji, jej osiągnięć oraz budowy pierwszego kraju socjalistycznego na świecie.

ROK 1952

W niedzielę dnia 13 stycznia odbyła się w tut. szkole choinka noworoczna. Zorganizowaniem choinki zajął się Kom. Rodzicielski. Przygotowano paczki dla wszystkich dzieci szkolnych... Na program uroczystości złożyły się występy dzieci, które odegrały „Nowy Rok idzie”, następnie wygłaszały wiersze i śpiewały przy choince. Na zakończenie „Dziadek Mróz” zajechał na sałę sankami, przywożąc kosz z paczkami. Po obdarowaniu wszystkich dzieci, rodzice licznie zebrani jak i dzieci w wesołym nastroju wracali do domu.

W związku z ogólnonarodową dyskusją nad projektem konstytucji odbyło się 27.II nadzwyczajne uroczyste zebranie rady gminnej w Gościszewie. W zebraniu wzięły udział dzieci szkolne z kl. VII-mej. W udekorowanej sali szkolnej zebrali się licznie obywatele gminy Gościszewo. Referat o projekcie konstytucji wygłosił Przewodn. Pow. Rady Narod. Ob. Pietruszka. Po referacie dyskutowano nad projektem konstytucji.

9.I.1958 R.

Blisko pięć lat minęło od ostatniego wpisu w kronice. Dzień 9 stycznia 1958 r. jest dniem wznowienia niniejszej kroniki szkolnej. Ostatniego zapisu w kronice dokonał były kierownik tut. szkoły ob. Górecki.



Szkola w Gościszewie w 1953 r. Siedzą - kierownik szkoły - E. Pawłowski, nauczycielki - M. Tarkowska, J. Angryk, E. Galicka., fot z archiwum szkoły

Prowincje dalekie i bliskie

Dorota Maluchnik

NIE GNIEWAJ SIĘ NA MNIE, POLSKO

Jak informuje portal MojaWyspa.co.uk, po otwarciu granic w roku 2004 liczba imigrantów z Europy Środkowo-Wschodniej była tak duża, że dopiero spis powszechny, dokonany w roku 2011 ujawnił prawdziwe dane. Okazało się, że było ich o pół miliona więcej, niż wskazywały na to obliczenia szacunkowe. Najbardziej intensywny napływ obcokrajowców do Wielkiej Brytanii miał miejsce w latach 2002-2010. Jako ciekawostkę można podać fakt, iż – jak podają brytyjskie media - w 2010 r. Polki urodziły na Wyspach 19 762 dzieci, podczas gdy jeszcze w 2001 r. - tylko 896.

Przyznam się do czegoś: mam fobię samolotową. Dlatego tak rzadko bywam w Anglii, chociaż mieszka tam prawie cała moja rodzina. Parę anegdotek, które zamieszczę poniżej, zilustruje moją fobię, a także stanie się przyczynkiem do refleksji na temat: „Co by było, gdyby...”

Gdy w sierpniu 2008 roku czekałam na lotnisku im. Wałęsy w Gdańsku na przylot swojego syna Grzegorza, przez głowę przelatywały mi wizje najrozmaitszych katastrof. Według czasu przylotu podanego mi sms-em, samolot powinien był już być, dlatego moje zdenerwowanie rosło z sekundy na sekundę. W pewnym momencie powiedziano przez megafon: „The Ryanair from London Stansted has just landed” i było to najpiękniejsze zdanie angielskie usłyszane przeze mnie w życiu.

Gdy zimą 2011 roku moja siostra wraz z moim synem lecieli do Polski, samolot miał awarię silnika i został cofnięty na lotnisko w London Stansted. J. opowiadała mi o chwili strachu, jaki przeżyła w powietrzu, ale - jak powiedziała - była taka wczesna pora, a ona wstała o czwartej rano i była tak śpiąca, że było jej poniekąd wszystko jedno. ”Zbyt piękny dzień na umieranie”- pomyślała sobie i zasnęła. Przygoda ta skończyła się dobrze - wylądowali w Londynie i kazano im się przesiąść do innego samolotu.

Gdy w kwietniu 2010 moja siostrzenica ze swym tatą i młodszym bratem lecieli do Polski, na Heathrow była bardzo duża mgła i Anglicy zdecydowali, że nie wypuszczą samolotu. Wszyscy się trochę zdenerwowali, ale noc minęła im szybko - grali w karty na lotnisku do rana, a przed południem polecili do Gdańska innym kursem. Tymczasem Polską w godzinach porannych wstrząsnęła wieść o katastrofie Tupolewa z prezydentem i „kwiatem polskiej inteligencji” na pokładzie.

Otóż chcę poruszyć temat rozstań i powrotów, jak w piosence studenckiej z dawnych lat:
*A my wracamy tu co roku, każdego lata, każdej zimy/ do tego miejsca ze łzą w oku/ niemądrze
jakoś tak tęsknimy.*

Powitania, pożegnania, emocje, chwile zadumy, refleksji, czasem odrobina strachu, gądzety dawane na szczęście. Tak wyglądają obecnie kontakty rodzinne sporej grupy Polaków,

w tym również moje. Ziomkowie przyjeżdżający do Polski na wakacje są z reguły zakręceni, mają swoje plany, chcą gdzieś pojechać - wszak gdy mieszkali tutaj, nie było ich stać na nic: wyjazd do Krakowa, Zakopanego, Sopotu, na Mazury? Niegdyś było to tylko marzenie, teraz mogą je urzeczywistnić, dzięki emigracji.

Parę lat wstecz, przed kryzysem, to były fajne czasy. Na lotnisko jeździło się wynajętym mercem albo *bmwuchą* za 150 zeta. W tej chwili w krajach Wspólnoty panuje kryzys, wszyscy oszczędzają. Przyjeżdżający do Polski ziomkowie mają w planach wypady do sklepów, dentysty, do fryzjera, nawet do ginekologa. Zabierają stąd papierosy, polski chleb, mięso.

Stamtąd przywożą prezenty dla bliskich - ciuchy, kosmetyki, alkohol - kupione za „ichnie” funty, pachnące innością, chociaż – wcale nie lepsze od tego, co można kupić w Polsce. Spotykając się kilka razy w roku z „moimi” emigrantami lub - obserwując takowych w pociągach relacji Elbląg - Gdańsk myślę: czy za czymś tęsknią? Czy jest im czegoś żal? Tęsknota jest wszakże sprawą indywidualną. Obserwuję ją u moich znajomych i krewnych, przyjeżdżających dwa razy w roku do kraju.

M. tęskni bardzo, przylatuje do Polski co 3 miesiące i za każdym razem deklaruje, że zostanie, ale po kilku dniach : - ”Co ja tutaj będę robić”, „Boję się” - niezmiennie ta sama śpiewka. Oznacza ona, iż osoba ta dała się wkręcić w wir emigracji. Im więcej się ma, tym chce się więcej, apetyt rośnie wraz z jedzeniem - te truizmy sprawdzają się w tym przypadku znakomicie. Pobyt w Polsce mija sympatycznie, lecz gdy zaczynają się kończyć funty...

A. pracowała w sklepie spożywczym w Polsce po 10 godzin dziennie, zarabiała kilkaset złotych, była wciąż zmęczona, miała krwotoki z nosa. Do Anglii ściągnęła ją koleżanka. Dramatycznym momentem było, gdy w 2007 roku zmarła mama i dziewczyna przeżyła szok. Ale czas leczy rany, minęło kilka lat. A. pracuje w Cambridge w małym prywatnym hotelu, wyszła za męża, urodziła dziecko, jest szczęśliwa.

D. mieszkając w Sztumie chodziła do zawodówki, do słynnego „Cambridge” za torami, nawet powtarzała drugą klasę. W myśl polskich kryteriów oceny człowieka była „gorsza”. Tymczasem, gdy wyjechała do „prawdziwego” Cambridge, poradziła sobie świetnie. Jest bardzo pracowita, zaradna. Po 4 latach pracy w Anglii kupiła sobie pierwszy porządny samochód - nowe BMW, ma duże piękne mieszkanie, śliczną córkę, męża. Gdyby pozostała w Sztumie, w tej chwili pracowałaby za najniższą krajową, płaciłaby połowę swej pensji za wynajem mieszkania, ewentualnie byłaby osobą oczekującą na przydział lokum od miasta.

K. wybrała wolność - wiecznie podróżuje. Ostatnio była w Kanadzie, Egipcie, Hiszpanii; wyjechała do UK tuż po maturze mając 5 funtów w kieszeni, jako pierwsza z moich krewnych. Wówczas Polska nie była jeszcze członkiem UE i na granicy „trzepano”, to znaczy - część rodaków była odstawiana do Polski. K., dzięki temu, że dość dobrze znała angielski, po krótkim „stażu” w pubie awansowała na stanowisko recepcjonistki. Obecnie pracuje jako „umysłowa” (*white collar worker*) - pracownik biurowy w szpitalu (zatrudniającym sporą ilość Polaków, w tym również sztumiaków) - K. zajmuje się między innymi testowaniem leków.

R. zaczął od zmywaka, oszczędzał, razem z kolegą kupił stary dom, który wyremontowali i tak się zaczął ich business, który bardzo dobrze prosperował przez parę lat; jednak R. tęsknił za krajem i w końcu zdecydował się powrócić do Polski. A. pracując w UK jako zwykły „fizyczny” (*blue collar worker*) podróżował do Grecji, Hiszpanii, etc. Do dziś powtarza z uporem licznym niedowiarkom, że podróż z Anglii do Hiszpanii to tak jak od nas ze Sztumu do Malborka.

Kiedyś mój syn - rocznik 1988 - napisał w mailu, że emigracja jest najlepszą rzeczą, jaka mu się w życiu przydarzyła. Oburzyło mnie to, jako patriotka i harcerka wychowana za tzw. komuny, wysłałam mu linki do youtube, sugerując mu posłuchanie nagrań z piosenkami zespołów Manchester i Sztynny Pal Azji („Arek jedź do Anglii”, „Nie gniewaj się na mnie, Polsko”). Nie wiem, czy zrobiło to na nim wrażenie, gdyż nie pochwalił mi się.

Polacy w Cambridge pracują wszędzie - od poczty, po hotel, restaurację, sklep. Część z nich kończy w Anglii różne przydatne kursy, studia, etc. Młode małżeństwa,

zwłaszcza z dziećmi lub z niepełnosprawnym dzieckiem, mają wielką szansę na szybkie otrzymanie mieszkania bądź domku, podobnie - rodziny wielodzietne po kilku latach pracy.

Są różne typy emigrantów. Jedni nastawiają się na krótki pobyt stricte zarobkowy, wyznaczają sobie cel - na przykład zarobić na mieszkanie i szybko wrócić do kraju, lub - zarobić, wrócić, otworzyć firmę, etc. Pobyt w Anglii jest dla nich swego rodzaju antidotum na bezrobocie i realizacją słynnego hasła „Polak potrafi”.

Inny typ emigranta to osoba, która rozsmakowała się w konsumpcjonizmie - tacy szybko nie wracają, gdyż większość zarabianych pieniędzy wydają na przyjemności, podróże, etc. Warto nadmienić, iż wielu młodych Polaków po kilku latach pobytu i pracy w UK stara się o obywatelstwo brytyjskie, co jest możliwe do uzyskania po pomyślnym zdaniu egzaminu państwowego.

Inną sprawą dotyczącą emigracji jest tzw. szok kulturowy. Jak działa szok kulturowy? Definicja słownikowa tego zjawiska brzmi: reakcja na kontakt z inną kulturą, a według antropologów, polega on na swoistym czasowym zaburzeniu funkcjonowania organizmu. Jest to z reguły proces kilkufazowy. Miałam okazję się o tym przekonać na własnej skórze, będąc w Anglii w styczniu 2004 roku. Przejazd przez wielkie miasta typu Amsterdam, Bruksela (jechałam autokarem) zrobił na mnie wrażenie, lecz to jeszcze nie było to. Dopiero w Londynie poczułam, że jestem w Europie. W moim przypadku szok kulturowy polegał na tym, że początkowo wszystko mnie zachwyciło, byłam w stanie euforii, a w drugim tygodniu mojego pobytu tam zaczęłam strasznie tęsknić.

„Mieszanka kulturowa” - to brzmi super, jednak jeżdżąc codziennie zatłoczonym autobusem w Cambridge i słysząc wszystkie języki świata człowiek ma poczucie, że znalazł się na wieży Babel i - zaczyna tęsknić za polską mową. Przebywając w środowisku emigrantów z różnych stron świata musiałam rozmawiać po angielsku, a zatem - wracając do kraju po dwóch tygodniach pobytu w Cambridge, usłyszałam język polski dopiero na Victoria Station w Londynie. Spotkałam tam kobiety wracające z wizyty u swych mężów, które z kolei skarżyły się, że w ogóle nie miały sposobności porozmawiania po angielsku.

Niestety, większość osób wyjeżdżających do pracy w Anglii w sposób zorganizowany, na farmy, do fabryk, etc., często w ogóle nie ma okazji rozmawiania w ojczystym języku Szekspira.

Media alarmują, że ilość emigrantów w najbliższej przyszłości wzrośnie. Nie ma się czemu dziwić. Wiele rodzin decyduje się na emigrację z powodu rozlicznych *social benefits*, na które mogą liczyć w UK oraz w innych krajach Wspólnoty. Ważną instytucją w UK jest Council House - w uzasadnionych przypadkach można dzięki niej otrzymać mieszkanie oraz *support* w przypadkach, na przykład opieki nad niepełnosprawnym członkiem rodziny.

Podsumowując, chciałoby się rzec: „Kraju mój, kraju barwny, pelargonii i malwy.....” (taki wiersz niegdyś recytowałam na szkolnej akademii). Dokąd to wszystko zmierza?

Piotr Piesik

Z PROWINCJI NA IGRZYSKA

ROZMOWA Z PODRÓŻNIKIEM KRZYSZTOFEM SKOKIEM

Krzysztof Skok pochodzi z Dąbrówki Malborskiej, jego rodzina mieszka tam od 1907 roku. Pracuje w Trójmieście, lecz nader często odwiedza swoje rodzinne strony. Zastąpił nie tylko w naszym regionie z racji dalekich rowerowych wypraw, by wspomnieć tylko podróże do Pekinu, Ziemi Świętej, czy nad Jezioro Bajkał. Napisał dwie książki - „Rowerem na igrzyska” oraz „Rowerem przez świat”.

- Czy jest pan podróżnikiem?

- Za podróżnika się nie uważam, rowerowe wyprawy to nie jest mój sposób na życie. Na fajne wakacje, na oderwanie się od otaczającej rzeczywistości, poznanie ciekawych ludzi, zobaczenie interesujących miejsc z całkiem innej perspektywy - to na pewno.

- Co uznaje pan za pierwszą swoją wyprawę?

- Zdziwi się pan, ale nie był to wcale wyjazd rowerem. W 2004 pojechałem pociągiem do Kazachstanu, zaliczyłem nawet część trasy kolei transsyberyjskiej, od Moskwy to Jekaterynburga. Stamtąd „odbiłem” do Astany. Wybrałem pociąg ponieważ samolot był znacznie droższy. A pierwsza wyprawa rowerowa to na igrzyska do Pekinu.

- Muszą paść pytania, na które pewnie często pan odpowiadał - dlaczego akurat rowerem i jak wyglądały przygotowania?

- Skąd pomysł? Rok wcześniej znalazłem się na konferencji studenckiej w Kijowie i tam pojawił się projekt wyjazdu rowerowego na olimpiadę. Miałem kontakt z ludźmi jeżdżącymi na dalekie podróże, przeczytałem, policzyłem wszystkie za i przeciw, no i wyszło mi, że czteromiesięczna wycieczka rowerowa będzie kosztować tyle, co wyjazd samolotem na tydzień. Najważniejsze były igrzyska, niepowtarzalna impreza, sposób dotarcia już stał na dalszym planie.

Jak się przygotowywałem? Przed podjęciem decyzji, że wyruszam do Chin rowerem, mój jedyny dłuższy wyjazd rowerowy prowadził z Dąbrówki za Susz. Potem co drugi weekend robiłem przejażdżki po 60 kilometrów, to 80. Nie czułem lęku przed wyjazdem, że nie dam rady. Owszem, respekt przed długą trasą był, ale dopiero po powrocie uświadomiłem sobie, że miałem więcej szczęścia niż rozumu.

- Czteromiesięczna podróż rowerem wymagała na pewno przygotowania logistycznego, organizacyjnego, a pan nie miał jeszcze w tym doświadczenia?

- Najbardziej cieszyłem się z tego, że dostałem wizę rosyjską i mogę jechać przez Rosję. Potrzebowałem wizy ważnej pół roku. Jadąc przez Rosję, codziennie pokonywałem około 130 - 140 kilometrów. Średnia całej trasy wynosiła około 100 kilometrów na dobę. Już na



АЗИЯ

POLSKA

KOSTRZEWSKI
8
POLSKA
SYBERIA

Granica Europy i Azji. Krzysztof Skok trzeci z lewej, fot. archiwum K. Skoka

pustyni Gobi tempo znacznie spadło, natomiast po przejechaniu granicy chińskiej utrapieniem były policyjne kontrole na każdej granicy prowincji. Dochodziła do tego bariera językowa i zdarzało się, że pokonywałem tylko 60 kilometrów na dobę. Jednak wrażenia po dotarciu na miejsce były niezapomniane.

- Dokąd dojechał pan rowerem?

- Byłem w Pekinie, w Ziemi Świętej, w Egipcie, w Kazachstanie, w Grecji, w tym roku na Syberii. Trochę już się tego zebrało (śmiech). Każda wyprawa była inna. Wyjazdy na Zachód są kosztowniejsze, większe zurbanizowanie kraju powoduje czasem trudności z przejazdem rowerem. Jednak z wysokości siodełka można zobaczyć o wiele więcej niż zza szyby samochodu. Na Wschodzie zmiany zachodzą bardzo szybko, ale wciąż pozostało mnóstwo miejsc, gdzie negatywne strony cywilizacji nie dotarły. Każda wyprawa jest inna. Choćby z tego względu, czy jedzie się w pojedynkę, czy w grupie. Do Ziemi Świętej pojechaliśmy w szóstkę, w tym roku na Syberię w jeszcze liczniejszym gronie. W grupie można osiągać większe przebiegi dobowe, ponieważ osoby w dobrej kondycji „ciągną grupę”, słabsi mogą się w niej schować i pokonywać kilometry mniejszym wysiłkiem. W takim układzie można pokonywać nawet 180 kilometrów na dobę. Dam przykład - trasa naszej tegorocznej wyprawy do Wierszyny nad Jeziorem Bajkał liczyła 8380 kilometrów, przeciętna długość jednodniowego etapu to 172 kilometry, najdłuższy przelot dobowy to 316 kilometrów. Grupa jechała na zasadzie „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Sam miałem dwa dni kryzysowe, kiedy nie byłem w stanie prowadzić grupy pod silny wiatr.

- Miewał pan chwile kryzysu, załamania? Zdarzały się bolesne upadki albo kraksy z samochodami? Kłopoty z policją?

- Jadąc do Ziemi Świętej miałem chwilę kryzysu na granicy Rumunii i Bułgarii, zastanawiałem się, po co tam jedziemy. Jednak nigdy nie zrezygnowałem, nie zmogły mnie też kłopoty zdrowotne. Upadki miałem tylko trzy przez wszystkie moje wyjazdy. Pewnie kiedyś odezwią się dolegliwości stawów albo reumatyzm, ale na razie - odpukać - nie mam na co narzekać. Urazowość podczas takich wyjazdów występuje rzadko i najczęściej z powodu naszych błędów. Przy zwykłym rekreacyjnym jeżdżeniu tylko wywrotka może spowodować poważniejszy uraz. Jeżeli będziemy pokonywać 100 - 120 kilometrów dziennie, nie forsując nadmiernego tempa, organizm o średniej kondycji powinien sobie poradzić.

Oczywiście podczas podróży trzeba zachowywać zdrowy rozsądek. Generalnie ciężko jeździ się po dużych miastach, jazda rowerem po Pekinie to wręcz sport ekstremalny. Słynna jest Turcja z lekceważeniem zasad ruchu przez kierowców. Co chyba istotniejsze, nie spotykałem się z przypadkami bezinteresownej niechęci, agresji, zamiaru ograbienia. Naturalnie lepiej nie pokazywać większej gotówki albo cennych przedmiotów. Na wyjazdy nigdy nie brałem nowego telefonu komórkowego. Waluty lokalne wymieniałem na granicach, nawet mongolską.

Fatalną opinię mają w naszym kraju rosyjskie drogi oraz tamtejsza milicja. Po drogach jeździłem i oceniam je podobnie jak polskie - są odcinki znakomite, są wręcz tragiczne. Milicjanci jeżeli nas zatrzymywali, to zwracali uwagę na to, by grupa rowerzystów nie była

licniejsza niż 10 osób, takie są tam przepisy.

- Co się jada w trakcie takiej wyprawy? Czy miejscowi częstują lokalnymi specjałami? Jak odbierają rowerzystów z tak daleka?

- Kto zapomni o właściwym odżywianiu, daleko rzecz jasna nie zajedzie. Mięso jem tylko po zakończonej jeździe, wcześniej makarony, płatki, dżemy. Kiedy ktoś częstuje lokalnymi potrawami, nie odmawiam. W Chinach nawet nie bardzo wiem co jadłem, ale żadnych negatywnych skutków nie było.

Ludzie na trasie są najczęściej niezwykle gościnni. W Rosji pytali nas, dokąd jedziemy. Odpowiadamy - nad Bajkał. A skąd jesteście? Z Polski. Ojej, coście takiego zrobili, że musicie jechać taki szmat drogi na rowerach? Ostatnie 18 kilometrów do Wierszyny, osady założonej w 1907 roku przez dobrowolnych emigrantów z Zagłębia Dąbrowskiego, którym car nadał ziemię, jechaliśmy polną drogą. Podobno kiedy spadną ulewne deszcze, bywa nieprzejezdna. Potomkowie emigrantów sprzed stu lat nadal mówią po polsku, choć ten język oczywiście mocno różni się od naszego potocznego. Na miejscu jest polska szkoła, przedszkole, polski kościół. Dwoje uczestników wyprawy wzięło tam ślub!

- Czy takie długie wyprawy mają wyłącznie pozytywne strony?

- Dla mnie powodują trudności z zatrudnieniem (śmiech). Kiedy postanowiłem pojechać do Pekinu, zwolniłem się z pracy w oddziale sztumskiego Banku Spółdzielczego



Krzysztof Skok na Placu Czerwonym w Moskwie, fot. z archiwum K. Skoka



Krzysztof Skok nad Jeziorem Bajkał, fot. archiwum K. Skoka

w Gdyni. Potem przyłgnęła do mnie latka podróżnika i zdarzało się, że kiedy poszedłem w sprawie pracy, na samym początku słyszałem pytanie, gdzie i kiedy zamierzam teraz pojechać. Pracodawcy zaglądają do internetu, wystarczy wpisać do wyszukiwarki moje nazwisko, a pojawią się same informacje o podróżach. Dlatego spoglądają na takiego człowieka z obawą, że kiedy wdroży się do swoich obowiązków, siądzie na rower i trzeba będzie szukać nowego. To chyba jedyny kłopot, jaki pojawił się po moich wyprawach.

Owszem, dzięki podróżom prowadzę zajęcia na Wydziale Turystyki AWFIS w Gdańsku, ale najważniejsze dla mnie to dom i praca. Podróże same przyjdą. Z kolegą umówiliśmy się, że jak już będziemy na emeryturze, pójdziemy pieszo z Polski do Santiago de Compostela, 4 tysiące kilometrów w jedną stronę. Czasu będziemy mieli wtedy w bród (śmiech).

- Przychodzą do pana ludzie pytający jak się przygotować do długiego wyjazdu rowerowego, bo taki akurat planują?

- Owszem. Na początku sam robiłem mnóstwo błędów, na swoich pomyłkach zdobywałem doświadczenie. Zwykłym rowerem turystycznym, nawet z marketu, da się pojechać na wyprawę, ale po co? Większość doświadczonych „jeźdźców” ma rowery skompletowane z różnych części, dobrej jakości. Nie opłaca się oszczędzać. Lepiej kupić dobrą, chociaż droższą oponę, która zużywa się trzy razy wolniej. Po raz ostatni złapałem gumę w 2009

roku, całe 8 tysięcy kilometrów do Wierszyny nie miałem defektu roweru.

Doświadczenie przydaje się też podczas kompletowania bagażu. Na początku zawsze wozi się o wiele więcej kilogramów, niż naprawdę potrzeba. W trakcie dalekich wypraw kapitalne znaczenie ma higiena ciała. Doświadczeni rowerzyści korzystają z każdej okazji, by się umyć i odświeżyć, po wysuszeniu skóry użyć pudru czy talku. To dlatego można wysiedzieć na rowerowym siodełku przez trzy tygodnie bez przerwy.

- Choć nie jestem potencjalnym pracodawcą, zapytam - dokąd teraz poprowadzi wyprawa?

- Na razie niczego nie planuję. Po powrocie z Syberii uczestniczyłem w tak wielu spotkaniach, tak często o tym opowiadałem, że już mam dosyć (śmiech). Pomysły na wyjazdy same przyjdą.



Grupa rowerzystów ruszająca w liczącą 8380 km trasę do Wierszyny nad Bajkałem. Pierwszy z prawej Krzysztof Skok., fot. z archiwum K. Skoka

Anna Karpenko

HISTORIA „CERKIEWNEJ PRYWATYZACJI” W KALININGRADZIE

W ostatnim czasie miałem okazję uczestniczyć w kilku konferencjach i spotkaniach na terenie Obwodu Kaliningradzkiego, poświęconych wymianie kulturalnej oraz ratowaniu dziedzictwa kulturowego. Przy okazji – dzięki uprzejmości gospodarzy – mogłem obejrzeć przykłady zachowanych zabytków na terenie obwodu. Głównie ruiny zamków, kościołów bądź pozostałości XIX-wiecznych umocnień Kaliningradu, częściowo zaadaptowane dla celów muzealnych, bądź kulturalnych. W każdym przypadku mnie – Polaka, ogarniał nastrój smutku i przygnębienia na widok niszczących szczątków średniowiecznych budowli, porzuconych wśród chaotycznej zabudowy wsi i miasteczek. W myślach pojawiało się również pytanie: dlaczego? Czasy komunizmu mięły 20 lat temu, ludzie, z którymi się spotykam mówią o kulturze i wiele dla niej robią. Skąd więc bierze się obojętność wobec dziedzictwa na terenie obwodu? Niemało czasu minęło, zanim na podstawie rozmów oraz artykułów publikowanych głównie w internecie poznałem przyczynę nie tyle obojętności, co niemocy samorządów oraz środowisk związanych z ochroną dziedzictwa kulturowego. Poznanie prawdy uświadomiło mi jeszcze jeden fakt. My Polacy, przyzwyczajeni do ciągłych remontów, rewitalizacji, rewitalizacji a nawet rekonstrukcji obiektów zabytkowych nie wiemy nic na temat realiów ochrony zabytków w Obwodzie Kaliningradzkim, który coraz częściej odwiedzamy. Próbuje uczestniczyć w dyskusji, wymieniać się doświadczeniami a nie znamy podstawowej różnicy, jaka dzieli teren byłych Prus Wschodnich (w odniesieniu do dziedzictwa kulturowego) na dwa różne i jakże odległe światy. Mam nadzieję, że artykuł udostępniony przez p. Annę Karpenko, którą miałem okazję poznać podczas jednej z konferencji pomoże zrozumieć trudną – jeśli nie beznadziejną sytuację kaliningradzkich zabytków i środowiska kulturalnego, związanego z ich ochroną.

Arkadiusz Dzikowski

Zewnętrzne podłoże wydarzeń kaliningradzkich z jesieni 2010 roku, wygląda dla człowieka postronnego wysoce paradoksalnie. Władza obwodowa i samorządowa przekazała Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej cały szereg znajdujących się w posiadaniu państwa obiektów dziedzictwa kulturowego, historycznie z cerkwią w żaden sposób niezwiązanych. Zamki zakonu krzyżackiego, były wschodniopruskie, protestanckie i katolickie kościoły, budynki wspólnot kościelnych, kaplice, domy pastorów otrzymały nowego właściciela. Władze rozwiązały problem szybko i w kuluarach, motywując pośpiech przy podejmowaniu decyzji „geopolitycznym zagrożeniem”. Jako zagrożenie przyjęły tę sytuację liczni Kaliningradzcy, tyle, że w niebezpieczeństwie – z ich punktu widzenia – poprzez „cerkiewno-kulturo-

wą prywatyzację” znalazło się środowisko kulturalne. Przeciwnostawność dwóch systemów wpłynęła na poziom emocji i dalszy rozwój wydarzeń.

KALININGRADZKA SPECYFIKA: KONTEKST WYDARZEŃ

Obwód Kaliningradzki podobny jest do okruszyny w skali ogólnorosyjskiego bochna. Jego obecne zaludnienie, nieco ponad 900 tysięcy mieszkańców stanowi mniej niż 1% zaludnienia Rosji - wkład do ogólnonarodowego dochodu to mniej niż pół procenta. Jednak ta statystyczna skromność nie odgrywa większej roli w tym, jak widzą siebie sami Kaliningradczycy. „Nie jesteśmy tacy, jak wszyscy” – uważa wielu z nich, wiążąc swoją pozycję i z historią, i z obecną sytuacją regionu.

Obwód Kaliningradzki powstał po zakończeniu II wojny światowej z 1/3 obszaru byłych Prus Wschodnich. Od roku 1945 na jego terytorium napływać zaczęli przesiedleńcy z ziem całego Związku Radzieckiego, głównie z terenów okupowanych w czasie wojny przez nazistów. Niemcy ostatecznie opuścili tę krainę do końca lat 40-tych. Niewielu z nich zdołało wrócić w charakterze „nostalgicznych turystów” w latach 90-tych. Wydaje się jednak, że po wojnie Königsberg zabrali z sobą. Na tym miejscu powstał Kaliningrad – obszar z nową ludnością, nowym językiem, nową ideologią, nową władzą.

Władze przekonywały nowych mieszkańców, że wszystko, co niemieckie jest obce i wrogie. Zakaz pozytywnego stosunku do przedwojennej przeszłości charakteryzował politykę oficjalną przez długie lata. Jednocześnie badania historyków pod kierownictwem J. Kostjaszowa pokazują, że postawy przesiedleńców wobec Prus Wschodnich były daleko niejednoznaczne i często odległe od oficjalnych doktryn. (...)

Miejscową społeczność zawsze charakteryzowała wysoka intensywność kontaktów z „obcą” kulturą i otwartość na wzajemne oddziaływanie. Pomimo przedwojennej przeszłości, wpływał na to portowy charakter miasta, migracyjny charakter zaludnienia oraz bliskość granic. Żadna z etnicznych bądź społecznych grup nie mogła pretendować do specjalnego, zakreślonego w historii regionu, statusu. W czasach radzieckich, było tu wielu marynarzy i żołnierzy i to potęgowało różnorodność i dynamikę. W czasach postsowieckich do obwodu znów



Władymirowo (Tarau) kościół z XIV w. - własność Cerkwi, fot. M. Dzikowska

przybyli imigranci, jednak tym razem z terenów byłego Związku Radzieckiego, przeważnie Rosjanie z republik środkowoazjatyckich i Kazachstanu. Często u Kaliningradczyków – od początku lat 90-tych - stały się podróże do sąsiadów, bliższych – Polaków i Litwinów oraz dalszych – mieszkańców krajów Europy zachodniej i Skandynawii.

Przemiany początku lat 90-tych przekształciły obwód w enklawę, terytorium zagraniczne, nieposiadające żadnych lądowych połączeń z innymi regionami Rosji. Taka izolacja wiąże się z licznymi problemami, takimi jak przemieszczanie się ludzi, tranzyt ciężarówek, opłaty celne, taryfy i podatki. Wyjątkowość położenia wpływa nie zawsze w sposób pozytywny na społeczny i ekonomiczny rozwój regionu. Spojrzenie władz centralnych nie uwzględnia, z nielicznymi wyjątkami, kaliningradzkiej izolacji, a tym bardziej, korekt federalnego prawa z uwzględnieniem interesów tak małego podmiotu. Często Kaliningradzcy odczuwają, że ich sytuacja jest dalece gorsza w porównaniu z innymi rejonami Rosji i oczekują od centrum środków rekompensujących dysonans, wywołany schematycznym podejściem. (...)

Kontakty z religią miały tutaj także charakter odrębny. W jakim jeszcze rejonie Rosji można spotkać prawosławne cerkwie, działające w gotyckich obiektach? Historia ich pojawienia się jest szczególnie godna uwagi. Sowiecki oficjalny ateizm nie przewidywał budowy świątyń i publicznego manifestowania religijności. Dlatego pierwsza prawosławna cerkiew, Sobór Świętego Nikoły, pojawiła się w centrum obwodu już w połowie lat 80-tych, w odrestaurowanym przez wiernych dosłownie „po cegielce” kaliningradzkim kościele św. Judyty. W następnych dziesięcioleciach cerkwie prawosławne otwierano w licznych byłych kościołach, które w czasach sowieckich służyły za sale sportowe lub magazyny zbożowe albo po prostu były opuszczone. „Przeprofilowywanie” obiektów przedwojennej architektury w świątynie prawosławne nie wywoływało wewnętrznych sprzeciwów ani protestów – przeciwnie ich przeznaczenie na miejsca modlitwy, a nie do celów świeckich wyglądało w oczach mieszkańców na w pełni uprawnione. Wysiłki Cerkwi w kierunku utrzymania takich obiektów w dobrym stanie wywoływały szacunek u większości społeczeństwa. (...) Po roku dwutysięcznym wizualna obecność prawosławia w rosyjskiej enklawie znacząco rosła: teraz krzyże prawosławne na spadzistych gotyckich dachach oraz nowo budowane tradycyjne formy architektury prawosławnej miały stać się dowodem postsowieckiego „odrodzenia religijnego”. Do 2005 roku prawosławie stopniowo stało się nie tylko religią, ale także jedną z symbolicznych gwarancji rosyjskiej państwowości w regionie. Od roku 2006 główną przestrzeń Kaliningradu determinuje - białokamienna o złotych kopułach - dominanta nowego Soboru Chrystusa Zbawiciela. Można bezsprzecznie stwierdzić, że do 2010 roku prawosławni Kaliningradzcy nie odczuwali niedostatku miejsc kultu i praktyk religijnych wynikających z potrzeby wiary.

Masowe przekazanie obiektów dziedzictwa kulturowego z rąk państwa we władanie Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, którego Kaliningradzcy doświadczyli w 2010 roku, stało się powodem wielu sporów i po dziś dzień nierozwiązanych konfliktów. Jeden z pierwszych wybuchów kryzysu został sprowokowany decyzją Dumy Obwodu Kaliningradzkiego z 28 października 2010 roku, zgodnie z którą we władanie Cerkwi Prawosławnej przekazano 15 pomników dziedzictwa kulturowego, które sklasyfikowano jako „obiekty przeznaczenia religijnego”. Wśród przekazanych budynków znalazły się nie tylko ruiny i zaniedbane budow-

le, ale także obiekty, które przez dziesięciolecia podkreślały specyficzny wizerunek obwodu i pozostawały ważnymi obiektami kultury dla całego społeczeństwa. Dokładnie w ramach zapisów znalazły się jedne z głównych symboli miasta – sala organowa filharmonii i teatr lalek. W spisie były ruiny krzyżackich zamków a także średniowieczny kościół Arnau z uniikatowymi freskami. (...) Wywołało to w społeczeństwie głęboki rezonans. Według różnych danych socjologicznych liczba tych, którzy nie popierali decyzji władz wynosiła od 40 do 60 procent.

SPÓŁCZNA NIEZGODA

Masowe odczucie niezadowolenia, które odnotowały ośrodki badania opinii, bazowały na dwóch kluczowych motywach. Niezgoda większości niezadowolonych była spowodowana samym faktem kolejnej prywatyzacji państwowej i samorządowej własności, tym razem na rzecz organizacji religijnej. Główna przyczyna przekazania obiektów w ramach ich logiki zawierała się w terminach „lobbingu cerkiewnego” lub „najazdu”. Głównego interesu Cerkwi upatrywano w nabyciu faktycznych, konkurencyjnych korzyści na zasadzie monopolu, drogą masowego, bezpłatnego przejęcia nieruchomości na własność z możliwością czerpania z nich dochodów, na przykład poprzez otrzymanie federalnych, celowych dotacji budżetowych na poprawę stanu obiektów i dalsze ich „efektywne wykorzystanie”. Pośpiech decyzji władze wyjaśniały tym, że z przyjęciem federalnego prawa o „kościelnej restytucji” Rosyjska Cerkiew Prawosławna, wobec braku historycznych korzeni w Obwodzie Kalinińskim, okaże się słaba, jak nigdzie indziej w Rosji. (...) Interes władz z kolei polegał na zrzuceniu ze swoich ramion „balastu” obowiązków związanych z ochroną pomników historii i kultury, a także przekazania części obowiązków i funkcji społecznych w zakresie „wychowania patriotycznego” na ideowym gruncie „prawosławnej duchowości”, na lojalną instytucję religijną.

Początkowo znacząca część środowiska działaczy kultury, zdecydowanych publicznie wyrazić niezgodę na działania władzy, była ukierunkowana na taktykę „pokojowego dialogu” i dystansowała się od udziału w ulicznych akcjach i idei związku z siłami politycznymi, przedstawianymi jako zorganizowana, jak i niezorganizowana opozycja partii „Jedyna Rosja”. Podstawowa taktyka wybrana przez tę grupę zakładała składanie wspólnych odezwo do władz.

Reakcja na publiczne wystąpienie nastąpiła niezwłocznie. Literalnie w ciągu kilku dni od wysłania „listu pięćdziesięciu” wszystkich, którzy podpisali petycję zaproszono do siedziby władz obwodu. To spotkanie i następne wydarzenia rozwiały wszelkie iluzje, co do poważnego traktowania przez władze i Rosyjską Cerkiew Prawosławną działalności pracowników i działaczy kultury, i rozpoczęcia z nimi rzeczowej dyskusji. Na pytania stawiane podczas spotkania przedstawiciele władz (...) odpowiedzi nie udzielili, za to powtórzyli ogłoszone wcześniej w prasie stanowisko o „geopolitycznym zagrożeniu” i koniecznych pilnych działaniach „dla dobra ogólnospołecznego”. Niektórzy przedstawiciele Diecezji Kalinińskiej odmówili odpowiedzi na pytania, sugerując przeniesienie dyskusji „na ekrany telewizorów”. Sugestia ta została podana w sposób lekceważący. Okazało się, że to spotkanie inteligencji z władzami posłużyło wyłącznie dla „wypuszczenia pary”. Oprócz tego, fakt zor-

ganizowania spotkania okazał się ważny dla kolejnych oświadczeń władzy o tym, że w siedzibie odbyło się „spotkanie ze społeczeństwem”, dzięki czemu przyjęcie zapisów nastąpiło w toku obywatelskiej dyskusji.

Mówiąc o podmiocie obywatelskiej inicjatywy, należy zauważyć nieobecność wśród protestujących tych, których interesy, wydawałoby się, były bezpośrednio zagrożone decyzją o zmianie właściciela. Wśród protestujących nie było kierowników takich budżetowych instytucji kultury, jak filharmonia i teatr lalek. Kierownictwo muzeum historii i sztuki, którego interesy były zagrożone przekazaniem filii muzeum – kościoła Arnau i możliwym przekazaniem kościoła-muzeum Donelajtisa, także nie przejawiało szczególnego zaniepokojenia sytuacją. Oczywiście władze postawiły w pierwszym rzędzie na neutralizację niezadowolonych państwowych instytucji kultury, drogą podjęcia poprzedzających rozmów z ich kierownictwem. Niestety, rozmowy te przyniosły odwrotny skutek: nie patrząc na sytuację współpracy dyrektora teatru lalek z władzami, jego pracownicy podpisali wspólny list protestacyjny.

Wyjątkiem – być może – była pozycja organizacji społecznej – niekomercyjnej fundacji „Dom-Zamek”, od 13 lat aktywnie pracującej na zamku Insterburg w Czerniachowsku. Fundacja jest bodajże pierwszą w Rosji organizacją niekomercyjną, w której użytkowanie został przekazany pomnik historii o znaczeniu państwowym (już później, w sierpniu 2009 roku zamek krzyżacki Insterburg został przekazany z rąk państwa władzom obwodowym).



Ruiny kościoła w Romanowie (Pobethen) - własność Cerkwi Prawosławnej, fot. M. Dzikowska

„Dom-Zamek”, to silna organizacja, wpływająca na konsolidację środowiska kulturalno-historycznego drugiego, co do wielkości miasta obwodu – Czerniachowska. W orbicie jej działań znalazły się tysiące ludzi z różnych rejonów Rosji, Europy i całego świata. Jednak pozycja tej organizacji społecznej nie została doceniona przez władze, które nie uznawały za istotne, aby w poważny sposób rozmawiać z „trzecim sektorem”. Niepaństwowy status użytkownika sprawił, że zabezpieczenie dalszej działalności fundacji nie zostało ujęte w punkcie o „obciążeniach” nowego właściciela w tekście zapisów. W porównaniu ze wspomnianymi państwowymi instytucjami kultury i innymi rodzajami organizacji budżetowych, w nowym prawie organizacja niekomercyjna została postawiona w niezwykle delikatnym położeniu. (...) Zmiana właściciela wpływała na perspektywy współpracy z funduszami Unii Europejskiej. Ponieważ przepisy tych funduszy nie pozwalają na finansowanie infrastruktury organizacji religijnych, głęboko zagrożone zostały już rozpoczęte i przyszłe projekty rekonstrukcji i odbudowy obiektów dziedzictwa kulturowego. Jednym z pierwszych postawionych w trudnej sytuacji wobec powyższego prawa był projekt odbudowy kompleksu zamkowo-parkowego Neuhausen. Samorząd Rejonu Guriewskiego, na terytorium którego położony jest zamek krzyżacki, w połowie września 2010 roku, wspólnie z Europejskim Funduszem Ochrony Pomników Historii złożył wnioszek o utworzenia ekologiczno-turystycznej trasy, przewidujący odbudowę zamku, w oparciu o program współpracy przygranicznej pomiędzy Polską, Litwą i Obwodem Kaliningradzkim. Pierwsza transza na rekonstrukcję zaplanowana była w wysokości 3,5 mln euro. W tym wypadku zmiana właściciela oznaczała niemożność rozpatrzenia wniosku, wobec naruszenia warunków uczestnictwa w projekcie.

Równoległe z „pokojowymi inicjatywami” artystycznej inteligencji działała grupa aktywistów skłonna do bardziej tradycyjnych form publicznego protestu. Od połowy listopada do końca roku zorganizowanych zostało sześć akcji ulicznych (spotkań, pikiet i zgromadzeń obywateli) w centrum miasta. W każdej z akcji – wyłączając ostatnią - uczestniczyło około 150-200 obywateli. W akcjach udział brali przedstawiciele partii politycznych i niezorganizowani opozycjoniści, jak i zwykli Kaliningradzcy, niezadowoleni z procesu prywatyzacji kultury na rzecz Cerkwi. Uzgodnienia szczegółów akcji, szczególnie ostatnich, z zarządem miasta były bardzo trudne. Do uzgodnienia pikiety zaplanowanej na 19 grudnia, kiedy to organizowano ogólnorosyjski protest przeciw prawu restytucyjnemu w ogóle nie doszło. W efekcie sześciu aktywistów, próbujących tego dnia rozprowadzić ulotki, powiesić plakaty i zbierać podpisy aresztowała milicja. W styczniu również podejmowano próby organizacji zgromadzeń obywateli i pojedynczych pikiet: wszystkie zakończyły się zatrzymaniami aktywistów. Tradycyjne akcje obywatelskie w przestrzeni miejskiej spotkały się ze znacznymi ograniczeniami, które z wielkim prawdopodobieństwem mogą się w przyszłości nasilać.

(...)

KOŚCIÓŁ – MUZEUM DONELAJTISA: ZEWNĘTRZNY WPŁYW W „HISTORII SUKCESU”

Jeden z głównych epizodów, ocenianych jako zwycięstwo przez przeciwników przekazywania pomników kultury Cerkwi, związany jest z obiektem muzeum ojca literatury litewskiej Kristijonasa Donelajtisa. Ten muzealno-memoriałowy kompleks znajduje się daleko

na północnym wschodzie obwodu we wsi Czystyje Prudy (lit. Tolminkiejmy). Zlokalizowany jest w „kościel”, wzniesionym specjalnie dla celów muzealnych jeszcze w czasach sowieckich (Donelajtis był pastorem luterańskim), i stał się istotnym pomnikiem zarówno dla Litwy jak i Obwodu Kaliningradzkiego. Nie zważając na fakt, że „muzealny kościół” nigdy nie był „obiektem religijnego przeznaczenia”, został on umieszczony na liście obiektów przeznaczonych do przekazania Cerkwi 28 października 2010 roku. Już w czasie posiedzenia Dumy decyzja w sprawie muzeum została odroczone z inicjatywy gubernatora N. Cukanowa. Przez kilka tygodni sytuacja pozostawała nierozwiązana. Diecezja Kaliningradzka wywierała naciski na przejęcie obiektu, co jednak ostatecznie nie powiodło się. Oficjalnie stanowisko Dumy Federacji Rosyjskiej o tym, że muzeum nie będzie przekazane, zostało przedstawione przez posłów Sejmu Litwy 25 listopada 2010 roku. W ten sposób muzeum zachowało swój status filii obwodowego muzeum historii i sztuki finansowanego z funduszy obwodowych.



Kościół z XIV w. w Melnikowie (Rudau), fot. M. Dzikowski

Taki bieg wypadków związany był z aktywnością czynników wewnętrznych jak i zewnętrznych. Na gruncie kaliningradzkim najbardziej aktywną rolę odegrał Związek Literatów Rosji i jego przewodniczący B. Bartfeld. Pisarzom udało się przyciągnąć uwagę czynników oficjalnych oraz działaczy kultury na Litwie i w Rosji. Zaowocowały także kontakty polityczne. Problem osiągnął poziom polityki zagranicznej i został rozwiązany w sferach dalekich od władzy obwodowej.

Interesujące są efekty uboczne tych wydarzeń: planowane przekazanie obiektu w ręce Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej wywołało inicjatywę obchodów 300-lecia urodzin poety w roku 2014. Status obchodów osiągnął poziom międzynarodowy. Zostały uruchomione dwustronne procedury przygotowania jubileuszu, dzięki którym stosunki kulturalne Litwy i Obwodu Kaliningradzkiego mogą osiągnąć w najbliższej przyszłości nowy poziom.

PROGNOZY ROZWOJU SYTUACJI

Jesienią 2010 roku temat „cerkiewnej prywatyzacji” i „obrony dziedzictwa kulturowego” dał impuls dla rozwoju nowej warstwy obywatelskich inicjatyw w obwodzie. Społeczna aktywność pomogła wnieść do sfery publicznej zagadnienia pamięci i kultury. Zainteresowanie Kaliningradczyków tą problematyką umożliwiło znalezienie wyjścia nie tylko poprzez

prywatne niezadowolenie, lecz także w zorganizowanych formach protestu przeciw temu, w jaki sposób przyjęto decyzje władz. Ta aktywność wywarła niewątpliwy wpływ na władze i społeczeństwo. Przy czym, skoncentrowanie wysiłków na przygotowaniu listów otwartych do władz pozostawiło na uboczu inne formy działania zespołowego. Przede wszystkim, praktycznie nie próbowano działać na płaszczyźnie prawnej i sądowej, mogącej zakwestionować prawomocność przyjętych praw. Nie został wykorzystany potencjał twórczy, który wydaje się głównym zasobem opozycji. Jeden z najważniejszych kierunków dalszego postępowania mógłby polegać na systematycznej, społecznej kontroli dalszego rozwoju sytuacji i wypełnienia wszystkich obowiązków przyjętych przez Rosyjską Cerkiew Prawosławną, w tym także restaurowania i odbudowy przejętych pomników architektury z zachowaniem ścisłych reguł konserwatorskich. Konieczny jest pozytywny program ochrony dziedzictwa kulturowego. Oprócz tego należy koniecznie kontrolować gwarantowane prawem warunki kontynuacji działalności instytucji kultury i edukacji oraz organizacji społecznych. W toku historii zaszła dehermetyzacja wcześniej silnie zamkniętego środowiska ludzi zawodowo zajmujących się kulturą. Powstała sytuacja stała się impulsem do przemyślenia celów i zadań miejscowego środowiska kulturalnego. Czy kultura może stać się fundamentem rozwoju regionu? Jeśli tak, to jakimi cechami powinni charakteryzować się liderzy działań? Jakie powinny być wzajemne stosunki władzy i sfery kultury? W jakiej relacji pozostaje religia i społeczeństwo? Czy można kulturę zastąpić ideą duchowości? Jak powinien wyglądać model funkcjonowania religii w społeczeństwie? Czy ostrożne wejście z działalnością polityczną do przestrzeni publicznej może przerodzić się w bardziej zorganizowane formy działania i świadomą zespołową solidarność? Sprawdzenie odpowiedzi na te pytania wyznaczy wymiar i trwałość efektu obywatelskiej inicjatywy, zrodzonej jesienią 2010 roku w Kaliningradzie.

SMUTNA KONKLUZJA

W rezultacie podjętych zmian, Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej na terenie Obwodu Kaliningradzkiego przekazano w posiadanie ponad 600 samorządowych i 14 obwodowych pomników kultury i architektury. W ostatnich latach (2010-2013) nie można mówić o jakimkolwiek polepszeniu sytuacji pomników, przekazanych cerkwi. Przeciwnie – sytuacja ta systematycznie się pogarsza, obiekty rujnowane są w katastrofalny sposób, a niektóre po prostu wyburza się (np. były kinoteatr Barykada). Prowadzi to do bezpowrotnej utraty dziedzictwa kulturowego całego regionu.

Tłumaczył Arkadiusz Dzikowski

Wiesław Olszewski

WSPOMNIENIE O KSIĘDZU KARBAUMIE

Ksiądz Ernst Karbaum, kapłan niemiecki, został bestialsko zakatowany jako więzień obozu Stutthof 19 grudnia 1940 roku. Z przekazów wynika, że był duchownym dla którego nie istniał cel wyższy ponad niesienie wiary, nadziei i miłości.

Przez dwadzieścia lat pracował na różnych placówkach duszpasterskich Ziemi Gdańskiej. Choć nie znał języka polskiego, podjął starania o pozwolenie na prowadzenie mszy świętej dla polskich robotników przymusowych w swojej parafii w Niedźwiedzicy. Mimo otrzymania pozwolenia odprawione nabożeństwo uznane zostało za zdradę, księdza aresztowano. Miał wówczas 50 lat, od 24 był kapłanem.



Ks. Ernst Karbaum, fot. archiwum

Karbaum urodził się 4 lutego 1891 roku w Mingajnach koło Ornety, w diecezji warmińskiej jako syn Józefa - rencisty z Reszla i Marty, z domu Wichert. Ochrzczony został 5 lutego 1891 r. w miejscowym kościele. Po maturze studiował teologię i filozofię w Braniewie, w latach 1912 – 1917. 3 lutego 1917 roku otrzymał święcenia kapłańskie we Fromborku z rąk Augustyna Bludau'a, biskupa warmińskiego (1908 – 1930). W czasie I wojny światowej (od kwietnia 1917 roku do listopada 1918) ks. Karbaum służył jako sanitariusz, za co został odznaczony Krzyżem Żelaznym II klasy. Następnie pracował jako wikariusz w parafiach: w Grzędzie, w Nowej Cerkwi, w Unikowie, ponownie w Nowej Cerkwi i w Gdańsku – Emaus. W latach 1928 – 1931 był kuratusem¹ kaplicy sierocińca dla chłopców w Gdańsku – Szkotach. W uznaniu zasług za misję duszpasterską 1 maja 1931 roku bp. Edward O'Rourke mianował księdza kuratusem z tytułem proboszcza w Niedźwiedzicy (Bärwalde) na Żuławach, gdzie duszpasterzował od 2 czerwca 1931 do 22 listopada 1940 roku.

Ks. Karbaum wykazywał wielki zapał ewangelizacyjny, był kapłanem skromnym i wstrzemięźliwym. Ze względów duszpasterskich i dla dokonania ekspiacji wyrzekł się palenia papierosów i picia alkoholu, a w ostatnich latach swego życia także spożywania potraw mięsnych. Unikał występów publicznych, odpowiadał mu natomiast bliski, osobisty kontakt z parafianami. Jego gorliwość kapłańska, połączona z powściągliwym trybem życia, została ozdobiona koroną męczeństwa.

Na terenie parafii Niedźwiedzica, jak na całych Żuławach, już w okresie międzywojennym przebywali corocznie sezonowi pracownicy z Polski. Również jesienią 1940 roku przywieziono wielu polskich robotników, tym razem przymusowych. Władze zabroniły

¹ Kuratus (rektor kościoła) – w Kościele katolickim duchowny, który sprawuje opiekę nad kościołem nie należącym do parafii ani do żadnej innej wspólnoty.

im uczestniczenia w niedzielnych nabożeństwach razem z ludnością niemiecką. W trosce o ich życie duchowe ks. Karbaum wszczął, za pośrednictwem kurii biskupiej w Gdańsku, starania u odpowiednich władz niemieckich o pozwolenie na nadzwyczajną mszę dla polskich robotników. W końcu uzyskał zgodę na nabożeństwo jednak bez możliwości głoszenia kazania. Przebieg owej mszy obserwował urzędnik Gestapo. Po odczytaniu ewangelii w języku niemieckim, ksiądz popatrzył po zatroskanych twarzach i powiedział na koniec: „Nie zwieszajcie głowy, bo znowu kiedyś będzie wszystko inaczej i dla was nastąpią lepsze czasy”.

To zdanie poczytali mu naziści za zdradę ojczyzny, toteż wkrótce, 22 listopada 1940 roku, został aresztowany. Kilkakrotne interwencje przedstawicieli kurii gdańskiej, w tym pismo biskupa Karola Marii Spletta z 16 grudnia tegoż roku, okazały się bezskuteczne. Aresztowany proboszcz osadzony został w obozie Stutthof i 19 grudnia okrutnie zamordowany. Pochowano go 20 grudnia w zbiorowej mogile na cmentarzu na gdańskiej Zaspie.

21 grudnia 1940 roku tajna policja powiadomiła kłamliwie władzę kościelną Gdańska, że proboszcz Ernst Karbaum został 2 grudnia 1940 roku wezwany do dobrowolnego opuszczenia terenu parafii. Gdy tego nie uczynił umieszczono go w obozie Stutthof, gdzie 20 grudnia zmarł na serce². W obozie hitlerowskim więziony był w tym czasie również ks. Bruno Schliep z Berlina, który był naocznym świadkiem męczeńskiej śmierci ks. Ernsta Karbauma. W swym świadectwie opisał prawdziwy przebieg wypadków: „Tydzień przed Świętami Bożego Naro-

² ks. Zygmunt Iwicki, „Niewyniesiony na ołtarze”, Pomerania, nr 12/2009.



Kościół św. Jakuba w Niedzwiedzicy, fot. W. Olszewski

dzenia 1940 roku został przywieziony przez gestapo z Niedźwiedzicy do obozu w Stutthofie ks. proboszcz Karbaum. Około godz. 14.00, pracowałem wówczas przy wyrobie płytek, doniesiono mi, że proboszcz Karbaum będzie »święcony«, to znaczy »przejdzie przez kozła«, otrzyma 25 uderzeń batem. Po tej procedurze, którą musiał przejść każdy więzień, rozebrali go SS-mani i pozostawili nago na 15-stopniowym mrozie przed łaźnią i ubieralnią. Wieczorem widziałem osobiście ks. Karbauma. Nie mógł już stać i był wspierany przez dwóch więźniów. Zgromadzono wszystkich więźniów, około 4000 mężczyzn i 60 kobiet. Ks. Karbaum przeszedł jeszcze raz przez kozła, do którego został zawleczony. Dwaj współwięźniowie bili go na polecenie komendanta obozu. Gdy był bity i kopany w podbrzusze Karbaum milczał. Współwięźniowie modlili się za niego i odetchnęli, gdy powrócił na swoje miejsce. Pamiętam także, że komendant obozu z pejcem stanął przed ks. Karbaumem i wyżywał go słowami »polski klecha« oraz »Upiłeś się winem i bronisz to łajno, Polaków. Opowiedz, z czego spowiadali się!«. Karbaum, chociaż został uderzony pięścią, milczał i w ciszy modlił się. Stałem oddalony od niego około 10 metrów. Z jego twarzy poznałem, że te ciosy już nie sprawiały mu bólu. Jego twarz była zakrwawiona, zupełnie zniekształcona(...). Noc spędził ks. Karbaum w baraku numer 34. Rankiem został przydzielony do pracy w karnej kompanii. Kompania karna składała się z »bumelantów«. Każdy, kogo gestapo dostarczyło jako »bumelanta«, musiał przez sześć tygodni pracować w biegu. Wielu nie wytrzymało mordęgi i po kilku dniach wynoszono ich zwłoki. Szefem tej kolumny był SS-man Wolf, incarnatiodiaboli (wcielenie diabła), który szczególnie nienawidził katolickich księży i na jego konto należy zapisać ofiary, jakie poniosło duchowieństwo. Karbauma powierzono więc katu. Na obiad przywieziono ks. Karbauma do obozu na wozie. Cóż się stało? Wolf prowadził prace przy wyrębie drzew. Jak donieśli mi współwięźniowie, Karbaum położył się w lesie na śniegu. Wolf stanął na nim nogą i kijem uderzył go w kręgosłup. Koniec kapłana był bliski. Chociaż ks. Karbaum nie mógł już stanąć na nogi, został jeszcze zabrany do popołudniowej pracy. Sześć godzin leżał przy 18-stopniowym mrozie na śniegu. Wieczorem ponownie przywieziono go do baraku numer 34. Mężczyźni położyli go na prycy. Następnego dnia ks. Karbaum nie stawiał się do pracy. Zmarł w nocy z powodu odniesionych ran. Współwięzień, ks. Konak, jeszcze wieczorem przed śmiercią udzielił mu abszolucji³.

Jan Paweł II w trakcie siódmej pielgrzymki do Ojczyzny, 13 czerwca 1999 roku, w trakcie mszy beatyfikacyjnej na Placu Marszałka Piłsudskiego wyniósł na ołtarze 108 polskich męczenników z czasu II wojny światowej. Byli wśród nich polscy kapłani z diecezji gdańskiej zamordowani w obozach koncentracyjnych: Marian Górecki, Bronisław Komorowski i Franciszek Rogaczewski. Nie było w tej grupie ks. Ernsta Karbauma ponieważ nie był on Polakiem. Mimo, że w opinii świadków – współwięźniów szykany, maltretowanie i śmierć księdza nosiły znamiona męczeństwa za wiarę. Wykluczając księdza Karbauma z grona kandydatów na ołtarze zaprzeczono wtedy wielką szansę, aby poprzez beatyfikację wszystkich kapłanów gdańskich zamordowanych w czasie II wojny w obozach koncentracyjnych, niezależnie od ich przynależności narodowej, budować pomosty i pojednanie. Trudno o lepszy symbol.

W publikacjach można znaleźć informacje wyjaśniające brak Ernsta Karbauma wśród beatyfikowanych faktem, że pracując w diecezji gdańskiej, cały czas pozostawał kapłanem kurii warmińskiej. Czy był to powód wystarczający?

³ Gość Niedzielny Posłaniec Warmiński, nr 14, rok 2012.



Kościół św. Wawrzyńca w Mingajnach, fot. W. Olszewski

Staraniem obecnego proboszcza parafii Niedźwiedzica, 18 grudnia 2005 roku wmurowana została w prezbiterium tamtejszego kościoła tablica pamiątkowa, opiewająca w języku polskim i niemieckim męczeńską śmierć byłego kapłana. Treść tablicy jest wymowna:

1891 – 1940

Pamięci księdza Ernsta Karbauma, proboszcza parafii Niedźwiedzica w latach 1931 – 1940, zamęczonego w obozie koncentracyjnym Stutthof (numer obozowy 10 288), w dniu 18.12.1940 roku przez niemieckich nazistów za głoszenie Ewangelii i wspieranie na duchu polskich robotników przymusowych na tych ziemiach.

W listopadzie 2011 roku w Olsztynie uroczysto zakończono diecezjalny etap procesu beatyfikacyjnego 46 męczenników warmińskich II wojny światowej – 34 księży, siostry zakonnej i 11 osób świeckich. Wśród męczenników jest 9 ofiar niemieckiego nazizmu oraz 37 ofiar komunizmu. W tej pierwszej grupie jest również ks. Ernst Karbaum. Proces rozpoczęty został 15 września 2007 r. przez abp. Wojciecha Zięmbę, metropolitę warmińskiego. Tego dnia został ustanowiony trybunał, którego zadaniem było stwierdzenie męczeństwa Sług Bożych: ks. Bronisława Sochaczewskiego i 8 towarzyszy – ofiar nazizmu, oraz ks. Józefa Steinki i 36 towarzyszy – ofiar komunizmu⁴. Po zakończeniu etapu diecezjalnego akta sprawy przekazano do Kongregacji do Spraw Świętych Stolicy apostolskiej.

- Teraz możemy tylko czekać – poinformował w rozmowie telefonicznej ks. dr Janusz Ostrowski, postulador etapu diecezjalnego.

W archiwum Muzeum Stutthof brak dokumentów potwierdzających pobyt księdza Karbauma. Jedyne świadectwo potwierdzające opisane wydarzenia jest wypis z księgi grabarza cmentarza na Zaspie, na którym został pochowany.

⁴ <http://archwarmia.pl/>

Bogumił Wiśniewski

MOJE SPOTKANIA Z KSIĘDZEM PROF. JANUSZEM ST. PASIERBEM

Do napisania wspomnień o księdzu profesorze Januszu St. Pasierbie, skłoniła mnie okrągła rocznica jego śmierci oraz ogłoszony przez Zrzeszenie Kaszubsko- Pomorskie - 2013 Rokiem księdza Janusza Pasierba

Kim był dla mnie ksiądz Janusz? Po latach coraz częściej nad tym się zastanawiam. Na pewno kimś ważnym. Na pewno pozytywnie wpłynął na moje życie. Nie ulega wątpliwości, że dzięki niemu moje spojrzenie na otaczającą rzeczywistość zmieniło się. Jednak od tak - w krótkim tekście - trudno wszystko zawrzeć, napisać ponieważ sprawa nie jest prosta. Wspominam go w tej mało obszernej notatce jako zwykłego i zarazem niezwykłego człowieka. W mojej ocenie takim rzeczywiście był. Piszę o księdzu Januszu bez podbarwiania, piszę jakim go zapamiętałem. Nie posiłkuje się w swoim tekście cytatami z jego twórczości literackiej, nie podaje jego zasług dla polskiej literatury czy archeologii, uciekam także od patosu. Po prostu kreślę plastyczny obraz księdza Janusza Pasierba, jakiego znałem. Proszę również potraktować moje wspomnienia - o tym niezwykłym człowieku - jako swoiste zapisane widokówki w kolorze sepia przysłane od mnie do Was.



Bogumił Wisniewski z ks. Januszem Pasierbem na Dobrej 8-10 w salonie., fot ze zbiorów autora

Byłem młodym człowiekiem, kiedy go poznałem. Mój sąsiad - kolega Leszek, który próbował w tamtym okresie pisać poezję, mieszkał w tym samym bloku. Ja też coś tam zacząłem pisać. Któregoś dnia powiedział mi, że ma kontakt z pewną siostrą zakonną, która nasze wiersze dała do przeczytania jakiemuś księdzu poecie.

Po pewnym czasie - ku naszemu zaskoczeniu, ksiądz poeta napisał list do nas. Stwierdził w nim, że mamy dość interesujące teksty. Właśnie przez naszą nazwijmy to „twórczość”, nawiązaliśmy znajomość z księdzem Januszem St. Pasierbem. W tym czasie trwał stan wojenny, było smutno i dla młodych ludzi świat stawał się bez perspektyw. Moje wierszyki były nasiąknięte młodzieńczym buntem, reakcją na to co się wokoło działo. Znajdowały się w nich także klimaty religijne.

Pewnego dnia w następnym liście, otrzymaliśmy zaproszenie do odwiedzenia księdza Janusza w Pelplinie. Zaprosił kolegę Leszka i mnie do swoich „Aten”, w których się bardzo dobrze czuł. W liście znalazła się także prośba, abyśmy przywieźli ze sobą nasze teksty. Do wyjazdu pchała nas ciekawość: kim był ten człowiek? Nie wiem dlaczego, ale wydawało nam się, że jest to zwykły ksiądz siedzący na parafii, uczący kleryków i że musi być mało komunikatywny.

W maju w 1983 r. po raz pierwszy przyjechaliśmy do Pelplina, małego urokliwego miasteczka. Wydawało się nam bardzo ciekawym miejscem. Dużo zieleni i kwitnących kwiatów. Przy pracującej cukrowni zapytaliśmy przechodnia o drogę. Od dworca PKP na ulicę Kanoniczną nie było daleko. Mała uliczka naprzeciw bazyliki, przywitała nas szpalerem liściastych drzew. Na samym jej końcu, odnaleźliśmy murowany, otynkowany dom do którego zadzwoniliśmy. Po chwili drzwi kanonii otworzył nam ksiądz Janusz. Pamiętam pierwsze wypowiedziane słowa - przedstawiliśmy się: to my Bogumił i Leszek z Kwidzyna.

Szczerze się ucieszył i zaprowadził nas przez umeblowane pokoje na nieosłonięty przed słońcem taras. Okazało się, że nie byliśmy sami, ksiądz Janusz już miał dwóch gości, którzy zajęci byli rozmową. Przywitaliśmy się. Okazało się, że jednym z nich był prof. Jerzy Limon z Gdańska. Dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, że ksiądz Janusz jest profesorem. Rozmawialiśmy na temat współczesnych kierunków w literaturze polskiej. Na nasze teksty nie było czasu. W międzyczasie ksiądz Pasierb, postawił na stół artystycznie powyginaną butelkę, w której znajdowało się oryginalne hiszpańskie wino Sangria. Pamiętam je do dzisiaj, a szczególnie jego aromatyczny zapach wydobywający się z odmrażającej się, otwartej butelki.

Następne spotkanie z księdzem Januszem miałem w sierpniu 1983 r. Przyjechałem do Warszawy z myślą zaprezentowania mu swoich nowych tekstów. Nie był ze wszystkich zadowolony. Kazał mi dużo czytać, ale podsumowując powiedział, że były niezłe: - *Tylko trzeba jeszcze trochę nad nimi popracować.*

W tym samym roku razem z kolegą Leszkiem ponownie udaliśmy się do księdza Janusza. Nasze wrześnie odwiedziny w małym kociewskim miasteczku też dobrze zapamiętałem. Pogoda dopisywała. Panowała typowa złota polska jesień.

Ksiądz Janusz przyjechał do Pelplina z Warszawy wraz z panią Drobińską. Starsza pani, opiekowała się księdzem, tak mówiła, a mi się wydawało - że jest odwrotnie. Była bardzo sympatyczna, przypominała mi moją babcie Stanisławę. Zastaliśmy ją podczas cerowania.

Cerowała Januszowi skarpetę, a że miała już swoje lata - około osiemdziesiątki, w pewnym momencie zawołała profesora, aby wetknął jej nitkę w ucho igielne. Było w tej scenie coś bardzo rodzinnego, ksiądz Janusz okazał się ciepłym, zwykłym człowiekiem. Wyglądało to - jakby mały Janusz pomagał swojej mamie w pracy.

Profesor siedząc na tarasie, czytał nasze teksty. Rozmawiał z nami. Zastanawiał się, co w nich zmienić. W pewnym momencie - z oddali, dało się słyszeć miarowe szufłowanie o betonowe podłoże. Ksiądz Janusz zasępił się, po chwili podnosząc głowę znad kartki powiedział, że - *To idzie śmierć, która kosi po drodze napotkane ludzkie głowy.* - Kolega Leszek nie wytrzymał i z całą otwartością stwierdził, że to nie żadna śmierć idzie, to tylko robotnik wrzuca łopatą węgiel do piwnicy. Tym stwierdzeniem wybił go z zadumy. Ksiądz Janusz lekko obruszył się na te odkrycie. Nie był zły. Powiedział mu tylko: - *Czy ty Leszku musisz mi psuć nastrój?*

Po przeprowadzonej krytyce naszych tekstów, udaliśmy się na przechadzkę do sadu, który znajdował się za kanonią. Chodząc po ogrodzie w pewnym momencie ksiądz Janusz zniknął nam z oczu. Przysłowiowo rozplynął się. Zauważyliśmy go dopiero po pewnej chwili. Ku naszemu zaskoczeniu, ksiądz Janusz unosił się nad ziemią, uczeplił się dłońmi o gruby konar drzewka owocowego. Z nieukrywanym zdziwieniem podchodząc do niego bliżej, zapytałem się. Co on ma teraz na myśli? Machając nogami w powietrzu, opowiedział: - *Młodzi rosną, a ja już nie, ale jak na drzewie dobrze się wyciągnę - to czuję, że rosnę jak oni.* Scena ta zapadła mi głęboko w pamięć, zaskoczenie było zupełne: - Jakiś fajny odlotowy profesor - pomyślałem.

Po powrocie do kanonii, pani Drobińska ugościła nas obiadową kolacją. Trzeba było ruszać z powrotem do Kwidzyna przez Tczew i Malbork. Może droga niedaleka ale za to dużo przesiadek do celu. Udałem się do łazienki. W łazience na zlewie zauważyłem jakieś gryzmoły na kartce papieru. Podniosłem kartkę na której znajdował się nie ukończony wiersz. Po czasie przypomniał mi się tekst księdza Janusza, że nie potrzebuje żadnej wyjątkowej samotni, kiedy tworzy, wystarczy mu nawet łazienka.

Z księdzem Januszem wielokrotnie widziałem się w Warszawie, czy w Pelplinie, ale tylko raz miałem sposobność spotkać się z nim w czasie moich studiów w Toruniu. Ksiądz Janusz miał coś do załatwienia na uczelni. Umówiliśmy się, że po załatwieniu sprawy na uniwersytecie spotkamy się przy Bramie Klasztornej na Starym Mieście. Nie miał dużo czasu, ale zdążyliśmy zjeść obiad u jakiegoś księdza proboszcza. Plebania mieściła się przy Nowym Rynku. Później przed wyjazdem księdza Janusza z Torunia, odwiedziliśmy pracownię witraży na Starym Mieście.

W roku w 1988 r., miesiąca już dobrze nie pamiętam, ale chyba odbyło się to w lutym, współorganizowałem w Toruniu reaktywowaną IV ogólnopolską edycję konkursu pt. „Scheda Steda”. Odpowiadałem za sprawy organizacyjno-literackie. Przed imprezą udałem się do Warszawy, aby szukać między innymi sponsorów. W tym celu spotkałem się z prezesem Stanisławem Bębenkiem z Wydawnictwa „Czytelnik”. Po przeprowadzonej rozmowie ze mną, pan prezes - zgodził się na objęcie honorowego patronatu nad imprezą pod nazwą „Scheda Steda” w Toruniu, która miała się odbyć w klubie studenckim „Od Nowa” oraz ufundować nagrody dla zwycięzców.

Podbudowany znakomitą wiadomością z „Czytelnika” udałem się na ul. Dobrą i poprosiłem księdza Janusza o objęcie dodatkowo „duchowego” patronatu nad literacko-fotograficzną imprezą, aby wszystko wyszło jak należy. Bez wahania zgodził się. Zauważyłem, że był bardzo zadowolony. W minionych czasach księża nie pojawiali na tego typu imprezach, tym bardziej patronując – „duchowo”.

Znacznie później z Torunia, kilka dni przed konkursem zadzwoniłem pod warszawski numer telefoniczny księdza Janusza 022 266968. Powiedziałem mu, że rano na żywo przed godziną siódmą w Polskim Radiu, zostanie przeprowadzony ze mną w Programie Trzecim - pięciominutowy wywiad na temat konkursu „Scheda Steda”. Redakcja terenowa Trójki znajdowała się w Toruniu, chyba na placu św. Katarzyny.

W czasie rozmowy telefonicznej poinformowałem go, że mam zamiar powiedzieć o nim na antenie radiowej. Zapytał się: - *A co chcesz powiedzieć?* - A ja mu na to, że powiem o jego duchowym patronacie nad imprezą. Ztroskał się. W słuchawce nastąpiła cisza. Nie wiedziałem o co chodzi. Po pewnej chwili powiedział mi przez telefon: - *Może lepiej nie mów o tym. Nie chcę abyś miał przez mnie jakieś kłopoty.* - *Ale jakie kłopoty?* Nalegałem. Zaproponował kompromis. Rozwiązaniem sprawy miało być powiedzenie, że duchowy patronat na studencką imprezę objął profesor Janusz St. Pasierb, bez podania księdza. Widocznie martwił się o mnie.

Obecnie żałuję, że spełniłem prośbę księdza, ale z perspektywy czasu myślę, że ks. Janusz widział lepiej, jak mam postąpić w danej chwili. Podczas emisji radiowej redaktor Zbigniew Ostrowski pytając mnie, kto jest patronem imprezy. Odpowiedziałem, że obok Wydawnictwa „Czytelnik” jest także prof. Janusz St. Pasierb, który objął duchowy patron nad całą imprezą. Mój pierwszy ogólnopolski debiut w Polskim Radiu, zakończył się tak jak chciał ksiądz Janusz.



Ks. Janusz Pasierb przy pracy w bibliotece, fot Bogumił Wiśniewski

Parę dni później już po imprezie, przyjechałem do Warszawy na ul. Dobrą. Ksiądz Janusz już w drzwiach przywitał mnie z uśmiechem. Podziękował mi za pamięć. Cieszył się, że powiedziałem o nim w Trójce: - ... którą słucham jak jestem w Polsce. - Widocznie moje publiczne wystąpienie poszło po jego myśli.

Innym razem, po przyjeździe z Rzymu do Warszawy, dał mi znać, że ma kilka dni wolnych w Polsce. Umówiłem się na spotkanie. Zawiozłem mu miód z pasieki mojego ojca. Pamiętam, zawsze się cieszył z tego słodkiego prezentu, mówił: - *To miód z mojego Pomorza.*

W czasie mojej rozmowy z księdzem rozdzwoniły się telefony. Okazało się, że „mój” ksiądz profesor przywiózł nominację biskupią z Watykanu, albo wiedzę o duchownym, kto ma zostać nowym biskupem w Polsce. Teraz już nie pamiętam z jakiej diecezji miał pochodzić nowy purpurat. Bezustannie dzwonił telefon w tej sprawie. Widziałem, że cała ta niezręczna sytuacja irytowała go. Na początku rozmawiał uprzejmie, z pewną wyrozumiałością. Jednak im więcej telefonów odbierał, tym stawał się coraz bardziej szorstki wręcz nie miły w głosie. W końcu nie wytrzymał i w pewnym momencie komuś do słuchawki w kolorze czerwonym ze złością powiedział: - *Przykro mi. Nie wypytuj mnie, i tak ci nic nie powiem. Zapewniam, nie musisz obszywać swoich majteczek czerwoną koronką.*

Następnie odłożył słuchawkę, uśmiechnął się do mnie i zapytał: - *Na czym to zakończyliśmy?* - Przyznam się, że byłem wtedy w lekkim szoku, z powodu słów wypowiedzianych do być może przyszłego biskupa. To jednak nie był lekki szok – to był szok.

Przy okazji muszę się tu przyznać, że w mieszkaniu przy ul. Dobrej, któregoś razu, wcieliłem się w rolę ministranta podczas odprawianej przez księdza Janusza mszy świętej. Po mszy kapłan zapytał mnie: - *Czemu nie przyjąłeś komunii świętej?* - Odpowiedziałem, że nie jestem wypowiadany. - *A chcesz być wypowiadany?* - zapytał. Zbladłem i powiedziałem: nie, nie. Na te słowa ks. Janusz powiedział do mnie: - *A ty czorcie.*

Powyższe wydarzenie mocno utkwilo mi w pamięci. Było bardzo wyjątkowe. Ponieważ wyjątkowy był odprawiający, wyjątkowe miejsce i oprawa ceremonii. Przypominam sobie panująca w tamtym czasie atmosferę, południowe drzwi balkonowe były lekko otwarte. Przez nie do wnętrza pokoju wpływały fale ciepłych podmuchów wiatru, szarpały i wybrzuślały białe firany, a z niedalekiego mostu kolejowego wcale nie dyskretnie - wpadały do pokoju szумы przejeżdżających pociągów. Za oknem panowało słońce, w pokoju powaga, mimo powagi można było już poczuć ducha zbliżających wakacji. Od księżowskiego kielicha, odbijały się promienie słoneczne, tworzyły w pokoju złocistą aureolę, która szczególnie owijała prowadzącego poranną mszę. To była prawdziwa scena jak z jakiegoś filmu dokumentalnego. Była tam - jak dla mnie - atmosfera niepowtarzalna.

Wyjeżdżając od księdza Janusza otrzymałem w paczce tomiki wierszy pt. „Kategoria przetrzeni”. Były to egzemplarze autorskie. Zeszliśmy do piwnicy, skąd wyciągnął zapakowane w szary papier poezje. Powiedział: - *Może ci się uda je sprzedać. Pieniądze ze sprzedaży zostaw dla siebie.* Nie zgodziłem się. Na dziedzińcu kamienicy, pożegnaliśmy się robiąc jak zawsze przysłowiowego misja. Wziąłem pakę - była dość ciężka. Idąc na dworzec PKP w Warszawie, pomyślałem - widząc bardzo wielu sprzedawców handlujących na łózkach polowych

artykuły spożywcze, ubrania i książki, że może i mi się uda coś sprzedać w tym wyjątkowym miejscu. Będę miał trochę łżej – pomyślałem. Lekko rozerwałem pakunek i wyłożyłem trzy egzemplarze. Stojący koło mnie mężczyzna, zapytał, co za książki chcę sprzedać? Odpowiedziałem, że poezje księdza Janusza St. Pasierba. Odpowiedział, że taki gatunek literacki tu nie idzie. Tym niemniej czekałem. Przy prowizorycznych ustawionych „straganach” przewijało się wielu ludzi. Stałem na ul. Marszałkowskiej, pomiędzy Rotundą PKO BP, a sklepem zwanym „Smykiem”. Po jakieś godzinie dałem sobie spokój. Tym bardziej, że zaraz miałem pociąg do Prabut. Rzeczywiście na warszawskiej ulicy nic nie sprzedałem. Książki zabrałem ze sobą do Kwidzyna, gdzie mój znajomy Władysław Zdanowicz, prowadzący księgarnię przy ul. Chopina w Kwidzynie, wyłożył je na ladę - tworząc oddzielne pudełeczko na pieniądze ze sprzedaży, które miały się pojawić. W księgarni większość książek została sprzedana. Uzyskane pieniądze z utargu, później wysłałem przekazem pocztowym do ks. Janusza.

Innym razem zaprosił mnie i Leszka do Warszawy, był znowu na przysłowiowych walizkach. Miało być szybkie spotkanie - jednak takie nie było, w mieszanu przy ul. Dobrej, zagadaliśmy się. A na ostatni pociąg „Stocznowiec” wyjeżdżający z Warszawy Zachodniej już nie mieliśmy szans. Musieliśmy przenocować u księdza. Gdy o tym mu powiedzieliśmy, ksiądz Janusz był lekko zakłopotany, ponieważ nie zdążył zrobić żadnych zakupów od przyjazdu do Polski, krótko mówiąc - nic nie miał do jedzenia.

Spojrzałem do lodówki, gdy duchowny wyszedł z kuchni do pokoju. Lodówka rzeczywiście świeciła pustkami, oprócz dwóch puszek, niczego tam nie było. Sytuację uratowały nasze przywiezione ze sobą bułki z serem. Tak więc kolację mieliśmy uratowaną. Ksiądz Janusz był nawet zadowolony. - *Dawno nie jadłem tak dobrej kolacji.* W trakcie wspólnego wieczornego biesiadowania powiedział: - *Jutro bez śniadania nie wypuszczę was w daleką podróż.* - Siła wyższa. Z samego rana, chcąc nie chcąc, a była to wolna sobota, kolega Leszek, został wytypowany do zrobienia zakupów. Ksiądz Janusz dał mu pieniądze, a my czekaliśmy. Ksiądz Janusz poszedł popracować, a ja zająłem się przeglądaniem nowości wydawniczych, które leżały na stoliku w bibliotece. Minęła godzina, następna, aż w końcu kolega Leszek zjawił się z kilkoma bułkami, pasztetem i trzema pomidorami. Ks. Janusz odetchnął: - *Myslałem, że się zgubiłeś* - powiedział.

Kolega Leszek swego czasu był zachłyśnięty muzyką punkową. Któregoś razu przyjechaliśmy do ks. Janusza z powyższą muzyczką zapisaną na płycie winylowej. Była to składanka polskiej muzyki punkowej. Leszek chciał koniecznie zaprezentować księdzu profesorowi nowe kierunki w sztuce muzycznej. Ksiądz Janusz jak zawsze był bardzo otwarty na wszelkie nowinki. Ciekawy był - ale do pewnego momentu, po kilku minutach prosił kolegę Leszka, aby *to niemiłosierne piłowanie wyłączył*. Nie był zachwycony muzyczką. Później dla ukojenia nerwów, puścił swoje ulubione „Cztery pory roku” Vivaldiego.

Leszek nie odpuszczał, zostawił mu płytę na pamiątkę, chociaż przed przyjęciem podarunku ksiądz się wzbraniał. Pewnie Leszek pomyślał sobie, że tym heroicznym czynem zmieni gust przewielebnego.

Ostatnio, po latach - jak wspominaliśmy księdza Janusza - powiedział mi, że jest mu głupio. Do tej pory nie wie, jak mógł się dopuścić tego dziwaczego czynu i zaproponować

profesorowi słuchanie takiej ostrej muzyki. Obecnie z perspektywy czasu wydaje mu się, że było to głupie i dziecinne.

Myślę, że ten wielki naukowiec, mistrz słowa, myśliciel, nie był zły na kolegę - widział po prostu w nim młodego zbuntowanego człowieka, który szuka swojej drogi w życiu. Miał widocznie dużo cierpliwości w sobie.

W 1996 r. przeprowadziłem z księdzem Januszem wywiad radiowy w Warszawie. Wybrałem się do niego pociągiem. Uzbrojony w magnetofon kasetowy i w mikrofon postanowiłem uwiecznić mojego znajomego na taśmie. Oczywiście poprzedzone było to rozmową telefoniczną oraz jego zgodą. Wyjechałem do Warszawy z Torunia. Przyjechałem późnym popołudniem. Jak zawsze na powitanie: kawa, herbata, coś na ząb. Rozpocząłem wywiad z księdzem Januszem około godziny 21. Zadawałem pytania i wsłuchiwałem się w ich odpowiedzi. Szybko przeleciało pół godziny. W pewnym momencie zauważyłem, że w kasecie taśma magnetofonowa nie kręci się, zatrzymała się nie wiadomo kiedy. Po przesłuchaniu nagrania okazało się, że wypowiedź księdza Janusza została urwana na jakieś piętnaście minut, czyli w pewnym momencie mówił sobie i muzom. Trochę był zły na mnie, że nie panuję nad sprzętem. Jednak bez problemu dokończył brakujące wątki na drugiej stronie taśmy. Po godzinie wywiad się skończył. Obecnie bardzo żałuję, że przy sobie nie miałem więcej kaset magnetofonowych. Po przyjeździe do Torunia nagrany wywiad został wyemitowany jedynie we fragmencie w studenckim Radio Bielany.

Zawsze zastanawiałem się, dlaczego taki wspaniały człowiek, niemający tak naprawdę dużo czasu dla siebie, znajdował czas dla tzw. młokosów. Do dzisiaj nie mogę na to pytanie sobie opowiedzieć. Przecież, ani ja – ani kolega Leszek, nie posiadaliśmy żadnych tytułów naukowych, nie byliśmy „wielcy tego świata”, a mimo to - bardzo często i chętnie z nami się spotykał.

Wydaje mi się, że ksiądz Janusz Stanisław żył po prostu na skrzyżowaniu dróg. Stał tam po to, aby ludzie szukający swojej drogi mogli ją odnaleźć. Był otwarty na młodość, był otwarty na człowieka. Do niego przychodziło się i odchodziło, ale zawsze o nim się pamiętało.

Pamiętam jak z aprobatą przyjął informację, że wybieram się na archeologię, a wcześniej jeszcze w Liceum Ogólnokształcącym, dopingował mnie, abym rozwiązał zagadkę miejsca pochówku Bł. Doroty z Mątówów oraz wielkich mistrzów w kwidzyńskiej Katedrze, w tej sprawie polecał mnie nawet profesorowi Karolowi Górskiemu z Torunia. To był wyjątkowy człowiek. Pobudzał mnie do działania.

Trzeba było być na bieżąco nowościami wydawniczymi. Lubił jak go się zaskakiwało w tej materii. Zawsze powiadał: - Czytaj póki jesteś młody, jak przyjdzie rodzina, to czasu na czytanie ci zabraknie.- Miał racje. Ostatni raz rozmawiałem telefonicznie z księdzem Januszem wiosną 1992 roku. Nie mogłem już do niego pojechać, urodziła mi się druga córka, zacząłem pracować, a czasu na odległe spotkania w Warszawie było coraz mniej.

Ksiądz Janusz St. Pasierb był człowiek wielkiego formatu, zawsze miał swój czas otwarty dla wędrujących przez życie ludzi. I dla mnie miał ten czas otwarty. Takiego go zapamiętałem.¹

¹ Całego wywiadu można posłuchać na mojej stronie internetowej: <http://www.bogumil.wisniewski.ckj.edu.pl/6.html>

Leszek Sarnowski

ŻADNEGO ZE SWOICH WYBORÓW NIE ŻAŁUJĘ

WYWIAD Z O. MICHAŁEM NOWAKIEM, FRANCISZKANINEM



Na szlaku w Bieszczadach, fot. z archiwum M. Nowaka

- Pamiętam jak byłeś moim uczniem w sztumskiej podstawówce - bardzo aktywny, ambitny, z oratorskim zacięciem, dusza towarzystwa, wianuszek dziewcząt, etc., a tu proszę ojciec Michał, franciszkanin. Pewnie to nie koliduje, ale przecież mogłeś właściwie pójść każdą drogą. Zostałeś jednak zakonnikiem. Jak to się zaczęło?

- Hahaha... Panie Leszku szanowny... Pan widocznie dysponuje jakimś innym pakietem wspomnień, niż ja. Zwłaszcza, jeśli chodzi o ten wianuszek dziewcząt. A mówiąc poważnie, jako człowiek wierzący, określam to, co stało się w moim życiu takimi słowami - Pan Bóg mnie sobie wziął. Faktem jest, że okres mojej wczesnej młodości, to czas wielu dobrych doświadczeń. O niektórych z nich już Pan wspomniał. Uczyłem się niezłe, śpiewałem w znakomitym, sztumskim chórze „Every Late”, który odnosił sukcesy na festiwalach w kraju i za granicą. W liceum śpiewałem poezję i zdobywałem nawet jakieś laury. Jednak moje życie już wówczas niewątpliwie kręciło się wokół Kościoła i Jego spraw. Od wczesnego dzieciństwa byłem ministrantem, potem udzielałem się w różnych grupach duszpasterskich. W parafii znajdowałem przyjaciół, sensowne zajęcia, okazję do służby swoimi talentami. Okazało się to szczególnie ważne po śmierci mojej mamy w 1996 roku. Jako że wychowywała mnie sama, w moim życiu nastąpił okres usamodzielnienia i, jak powiadam, wówczas moja parafia (a pisząc to mam przecież na myśli ludzi), okazała mi wiele wsparcia. W tym całym dorastaniu niewątpliwie sporą rolę odegrał nieodżałowanej pamięci ksiądz prałat Antoni Kurowski, u którego zawsze znajdowałem wsparcie i którego przykład z pewnością stoi również u fundamentu mojego powołania. Ono bowiem przyszło w sposób niezauważalny bardzo wcześnie. Pierwszą świadomą decyzję o tym, że zostanę zakonnikiem datuję na jakiś czternasty rok życia. Ta decyzja nigdy już potem nie uległa zmianie. Podkreślam, że od początku chciałem zostać zakonnikiem, mimo że przecież wywodziłem się z parafii diecezjalnej. I to jest jakaś tajemnica. Może po prostu chciałem mieć braci, których nigdy nie miałem. A może Pan Bóg uznał, że łatwiej uświęcę się w zakonnym środowisku. Jak wspomniałem, moja decyzja raczej dojrzewała, niż się zmieniała, ale od kiedy ją podjąłem, wszystko było jej podporządkowane. Dał mi Pan Bóg dar jakiejś konsekwencji, który pozwolił mi na przykład w klasie maturalnej zrezygnować z dobrze zapowiadającej się kariery wokalnej (miałem już obiecany indeks na uczelnię muzyczną) i zrobiłem to zupełnie bez żalu, ponieważ świat, który wybierałem był i nadal jest dla mnie niezwykle fascynujący. Zawsze podkreślam, że nie jestem „książkowym przykładem”, ponieważ moja historia jest bardzo prosta i nie pojawiają się w niej żadne większe tąpnięcia. Choć oczywiście wątpliwości nie brakowało. Ale fakty są takie - jestem franciszkaninem od czternastu lat, od ośmiu kapłanem i mogę zupełnie spokojnie powiedzieć, że żadnego z moich wyborów nie żałuję, co więcej, czuje się w swoim życiu bardzo szczęśliwy.

- Jakie twoim zdaniem cechy charakteru przydatne są żeby być dobrym księdzem?

- Niejeden raz o tym myślałem. Zwłaszcza w tym czasie, kiedy z woli przełożonych pełniłem urząd Prowincjalnego Asystenta do spraw Powołań. To taki człowiek w zakonie, który odpowiada za młodych, którzy interesują się naszym życiem. Moim zadaniem było pomóc im rozeznąć, czy rzeczywiście do naszego zakonu są powoływani, czy też powinni poszukać czegoś innego. Wiele spotkań z młodymi, obserwacja i rozmowy, częstokroć przywodziły mi na myśl podjęty przez pana problem. Jestem głęboko przekonany, że przede wszystkim księdzem może zostać tylko człowiek głęboko wierzący. Mówiąc „głęboko” mam na my-

śli żywą relację z Bogiem, a nie tylko uznanie faktu Jego istnienia, czy działania w świecie. Tylko mając osobiste doświadczenie Jego bliskości, będę mógł coś z tego przekazać innym. Tylko dysponując Jego prawdziwym obrazem, będę ten prawdziwy obraz przekazywał innym. Obserwujemy, że coraz częściej właśnie nad tym osobistym spotkaniem z Bogiem trzeba się w pracy z kandydatami do kapłaństwa skupić. Po wtóre dobry kapłan to ktoś, kto lubi ludzi. Pamiętam jakąś wypowiedź bł. Jana Pawła II, w której wspomina o tym, że ludzie go nigdy nie męczyli. I to jest istotne... Ktoś, kto ucieka od ludzi, nie lubi ich, tudzież reprezentuje na przykład postawę podejrzliwą, nie będzie dobrym duszpasterzem. Duszpasterstwo bowiem to nieustanna praca z ludźmi, bardzo różnymi, dodajmy, ludźmi, która domaga się takiej naturalnej i jak najszerszej otwartości, życzliwości, zainteresowania. Bez tego kapłaństwo będzie z pewnością jakoś „kulawe”. Po trzecie wreszcie, przyszły kapłan musi być zdolny do podejmowania całego pakietu wymogów, które stawia przed nim Ewangelia i Nauczanie Kościoła. Nie tylko części wymagań, ale dokładnie wszystkich. Musi je więc poznać (co dokonuje się podczas formacji seminaryjnej) i przyjąć je jako swoje, bo będzie w chwili przyjmowania święceń przyrzekał, że ich dotrzyma. Czy to zdolność do życia w celibacie, czy to posłuszeństwo swoim przełożonym, czy wreszcie rezygnacja z wielu być może ciekawych zajęć, ale nie mieszczących się w ramach posługi kapłańskiej, muszą być świadomie rozeznane i podjęte. Jest to zupełnie oczywiste, jeśli zrozumiemy, że kapłaństwo nie jest niczyją własnością i nikt nie bierze go sobie sam. Każdy kapłan jest posyłany przez Kościół i ma posługiwać w duchu tego Kościoła, który go posyła. Koniecznym więc musi sprostać wymaganiom tej misji.

- Mówi się o tym, że nabór do seminariów jest coraz mniejszy, i niestety, jakoś ciężej coraz gorszy. Najczęściej pada odpowiedź, że takie jest społeczeństwo, czyli co, jesteśmy coraz marniejsi? A może problem tkwi w systemie naboru, kształcenia, etc.?

- Nie wydaje mi się, żeby zarówno jedna, jak i druga odpowiedź była wyczerpująca i całkowicie prawdziwa, choć pewnie w każdej z nich ziarno prawdy tkwi i należy te prawdy cząstkowo jakoś zbierać, aby uzyskać ostatecznie wiarygodny obraz. Społeczeństwo się zmienia, a wraz z nim wartości, którym hołduje. Przychodzą więc do seminarium ludzie, którzy odkrywają w sobie jakieś szlachetne wezwanie, ale są już częstokroć uformowani przez otaczający ich świat, który, powiedzmy sobie szczerze, jakoś odbiega od wizji ewangelicznej. Jest to tym wyraźniejsze, że do seminaryjnej furty pukają ludzie coraz starsi, częstokroć po studiach, a co za tym idzie, dużo bogatsi w doświadczenia, które bywają pomocą, ale również przeszkodą w ich dalszej formacji. Wyobraźmy sobie dwudziestopięciolatka, który doświadczał samodzielności, posiadał samochód, sam decydował o sobie, o swoim czasie wolnym, o doborze towarzystwa. Spędzał podczas studiów noce całe w klubach, miał dziewczynę (może również jakieś doświadczenia seksualne), pracował popołudniami, żeby dorobić do swojego utrzymania i tak dalej. Taki człowiek przybywa do zakonu. Ma dużo dobrej woli, ale... Zamknięty w murach klasztornych ma za zadanie zgłębiać duchowość wspólnoty, do której dołączył, spędza dużo czasu w kaplicy, jego środowisko jest ograniczone do kilku towarzyszy, którzy podobnie jak on rozpoczynają to życie, jego kontakt ze światem zewnętrznym jest mocno ograniczony (komórka, internet są używane okazjonalnie), a o możliwość wyjścia na spacer musi spytać swojego wychowawcę. Trzeba przyznać, że te

dwa modele życia różnią się od siebie znacząco. Opisuję oczywiście naszą zakonną rzeczywistość, w seminariach diecezjalnych może to wyglądać nieco inaczej. Ale co do zasady - to życie musi się różnić od życia „w świecie”. Nic więc dziwnego, że dla niektórych jest ono niemożliwe, mimo ich szczerych chęci, a nawet mimo ewidentnych znaków powołania, które posiadają. I to może być ta istotna przeszkoda. Atutem zaś bywa zwykle większa dojrzałość i świadomość tego „czego się chce”. To może pomóc pokonać wspomniane przeciwności.

Jeśli chodzi o model formacji... Wiele się w tym względzie zmieniło. O ile niegdyś bywało, że w formacji pracowały osoby przypadkowe, o tyle obecnie zwraca się baczną uwagę na przygotowanie formatorów i o ich właściwe wykształcenie. Powstają nawet specjalne szkoły. Sam miałem okazję skończyć dwuletnią Szkołę Wychowawców Seminaryjnych prowadzoną przez księży salwatorianów w Krakowie. Wykłady z duchowości, z psychologii i inne miały nam pomóc w prowadzeniu tych, którzy przychodzą do nas zrealizować swoje powołanie. Można więc powiedzieć, że ludzie pracujący w formacji są coraz lepiej przygotowani. Uprzedzając może nieco kolejne rodzące się pytanie - czy nie należałoby więc tej formacji zmienić, dostosować do ducha czasów, chcę zacytować mocne słowa G. K. Chestertona, na które się niedawno natknąłem - Kościół nie może iść z duchem czasów - z tego prostego powodu, że duch czasów donikąd nie idzie. Kościół może co najwyżej ugrzęznąć w bagnie razem z duchem czasów. By razem z nim cuchnąć i gnić. - Może nieco kontrowersyjne słowa, ale wyrażające prawdę, że Kościół nie ulega ulotnym modom, ani doraźnym oczekiwaniom. Decyzje, zwłaszcza w tak istotnych kwestiach jak formacja przyszłych duchownych, muszą być podejmowane z rozwagą i powoli. A z pewnością jakieś zmiany następują. Kiedy ja wstępowałem do zakonu, nikt z nas nie miał telefonu komórkowego, komputer w domu - tylko nieliczni. Nikt nie odczuwał ducha rezygnacji w tym względzie. Dziś jest inaczej i ten duch rezygnacji jest bardziej dotkliwy. Dlatego też mądrość formatorów nakazuje zmierzyć się z tymi wyzwaniem, a nie tkwić mentalnie w czasach dawniejszych. Jak jednak się z nimi zmierzyć? To wciąż pozostaje pytanie otwarte...

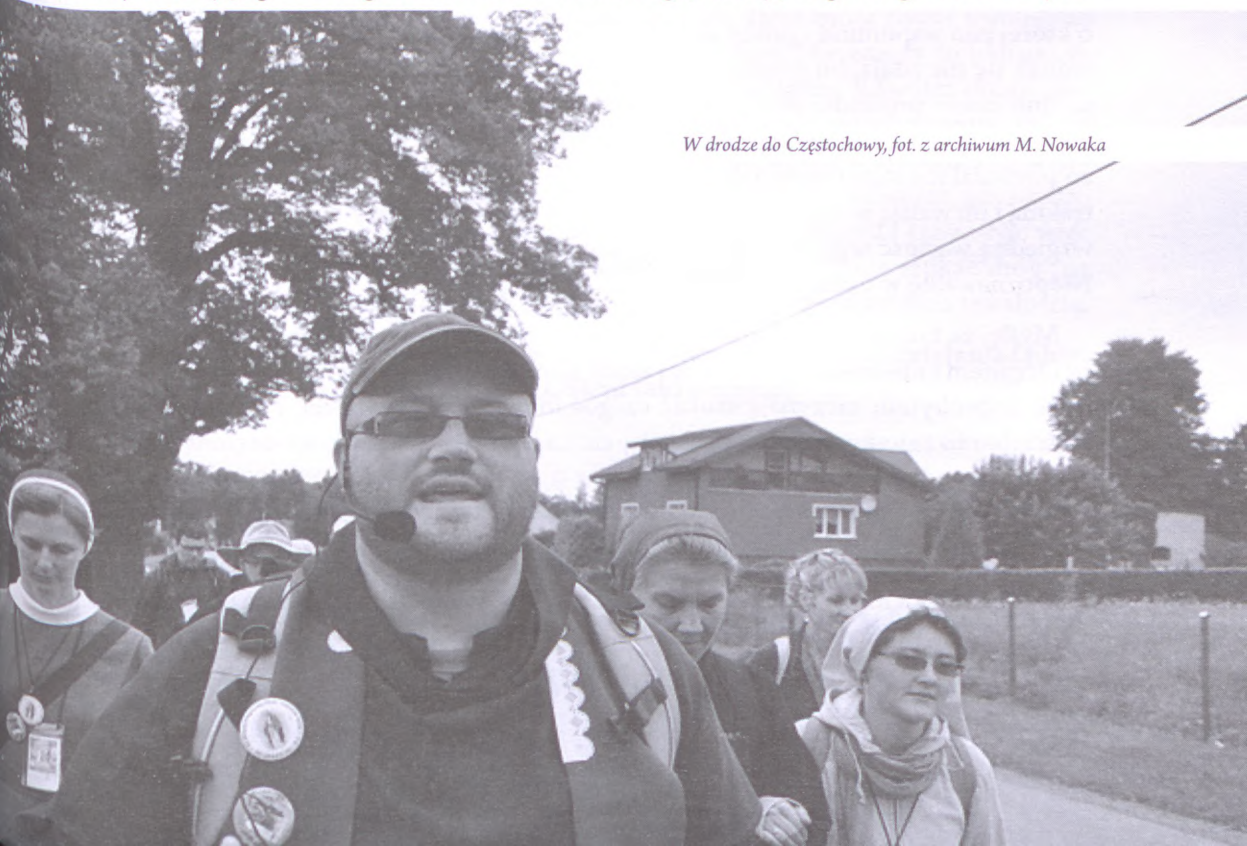
- Mam takie wrażenie, że Kościół czasem sprawia wrażenie oblężonej twierdzy - na słowa krytyki reaguje alergicznie, czasem dość wrogo...

- Unikając wszelkich „spiskowych teorii dziejów” trzeba chyba powiedzieć, że żyjemy w epoce programowego niszczenia autorytetów. Kościół zawsze był jednym z nich. Ale przecież nie tylko o Kościół chodzi. Wystarczy porównać rolę i autorytet szkoły, powiedzmy sprzed dwudziestu lat, z tym, który ma ona współcześnie. Znakomicie pokazywał to pewien obrazek, na który natknąłem się w internecie, zestawiający te dwie rzeczywistości. Na jednym, dawniejszym, nauczyciel wraz z rodzicami surowo upomina ucznia za jego słabe oceny, na drugim jest zgoła inaczej - to rodzice i uczeń wrzeszczą na nauczyciela z tego samego powodu. Anegdota? A może obserwacja rzeczywistości. Wracając jednak do Kościoła. Tak żywe ostatnimi czasy zainteresowanie Jego sprawami określam dla potrzeb własnych mianem „polowania”. Niemal za każdym rogiem kamera i mikrofon i prawdziwy triumf, kiedy uda się „złapać” księdza na jakimś zachowaniu nie licującym z jego powołaniem. Myślę, że dla baczących obserwatorów nie ulega wątpliwości, że nie chodzi tu o niczyje dobro. Absolutnie niczyje. Chodzi o newsa i... No właśnie. O co jeszcze? Armaty, z których się strzela w kierunku duchownych są armatami dużego kalibru. Orzeka się na antenie o winie naj-

częściej bez jakiegokolwiek próby uwzględnienia głosu samego zainteresowanego. Kiedy coś okazuje się nieprawdą, nikt nie zadaje sobie trudu, żeby rzeczywistość prostować. Pamiętam jedno takie drobne wydarzenie, kiedy jednego z moich współpracowników oskarżono o nielegalne użycie cudzego zdjęcia. Sprawa trafiła do mediów. Po jakimś czasie okazało się, że była wyszana z palca, ale mimo protestów nie udało się uzyskać żadnego sprostowania. Poszło w świat, że ten i ten franciszkanin ukradł zdjęcie i użył go dla własnych celów. Trudno chyba się dziwić, że wielu księży żywi dużą nieufnością do mediów i raczej unika kontaktów z nimi, a krytyka w nich wyrażana raczej smuci i irytuje, niż przyczynia się do konkretnej zmiany. Skupiam się na tych medialnych kwestiach, mimo że wcale nie ich dotyczy to pytanie. Ale to dlatego, że w osobistych rozmowach to najczęściej te medialne przekazy stają się źródłem zarzutów, które nawet sami wierni podejmują wobec duchownych. Niestety, tak już jest, że to, co mówią w telewizji dla wielu osób jest zawsze prawdziwe. I czasem trzeba włożyć wiele trudu w wytłumaczenie, że czarne w istocie jest czarne, a nie białe, mimo że w telewizji mówili inaczej. Daleki jestem przy tym od kwestionowania ludzkiej inteligencji. Chodzi mi raczej o to, że wiele osób przyjmuje pewien schemat myślenia - skoro tak dużo o tym mówią, to coś w tym musi być... Niestety, ma to swoje znaczące konsekwencje, które obserwowałam na przykład w Irlandii. Pracując tam, przekonałam się, że poprzez zmasowaną krytykę Kościoła, skutecznie zamknięto Mu usta. Katolicy nie liczą się z głosem swoich pasterzy, bo skutecznie wmówiono im że księża są niegodni zaufania i nie warto ich słuchać.

Oczywiście nie zmienia to faktu, że żyjąc w społeczeństwie pluralistycznym, musimy się liczyć z krytyką i baczną obserwacją naszych poczynań. Próżno się na to obrażać. Należy chyba raczej wkładać wielki wysiłek w przygotowanie ludzi Kościoła do odważnej i merytorycznej obrony Jego dobrego imienia oraz właściwego, umiejętnego reagowania w sytu-

W drodze do Częstochowy, fot. z archiwum M. Nowaka



acjach kryzysowych. Ja wciąż ufam, że prawda broni się siłą samej prawdy i nadal istnieją ludzie prawdą zainteresowani. A dla Kościoła musi to mieć również znaczenie motywujące, bo „prawdziwa cnota krytyk się nie boi”.

- Żyjemy w trudnych czasach-liberalnych, przekraczania granic, praktykowania wolności we wszystkich sferach życia społecznego, politycznego, moralnego, naginania wartości do swoich potrzeb. Trawestując słynne już pytanie skierowane do Premiera przez jednego z mieszkańców zalanego przez powódź domu zapytam, jak żyć ojcze Michale?

- Dla mnie odpowiedź jest zupełnie oczywista, choć zdaję sobie sprawę, że nie dla wszystkich w równej mierze satysfakcjonująca! Mam na myśli oczywiście Ewangelię, która jest znakomitą receptą na życie i każdego dnia przekonuję się na nowo, że ci, którzy zaczynają ją stosować w swoim życiu nie tylko nic nie tracą, ale zyskują zupełnie nową jakość. Co więcej, ewangeliczne wskazania mogą być również realizowane przez ludzi niewierzących, ale poszukujących trwałych wartości i szlachetnych przekonań. I na tym z pewnością świat nie traci, a wręcz przeciwnie, zawsze zyskuje. Odchodząc jednak od tej oczywistości, mam takie głębokie przekonanie, że nie da się dobrze przeżyć życia nie uwzględniając ludzkiej duchowości, a co za tym idzie, jakiejś formy nadprzyrodzoności. To oczywiście rodzi pytania fundamentalne - o sens życia, o szczęście, o wieczność... Bez próby jakiegoś ustosunkowania się do tych kwestii, człowiek naraża się na życie niesłychanie powierzchowne, życie, które być może będzie bogate w przyjemności, ale czy będzie szczęśliwe? Nie uwzględnianie duchowych potrzeb obecnych w każdym z nas owocuje jałowością i dramatycznym zawężeniem świata do jego materialnych wymiarów. W konsekwencji te granice ludzkiej egzystencji stają się coraz bliższe i zaczynają człowieka krępować. Może stąd tak duża szamotanina, o której pan wspomina - próby eksperymentowania, przekraczania tych granic. Na nic one jednak się nie zdają, bo przekraczając jedne, natychmiast natykamy się na następne, co po jakimś czasie prowadzi do chronicznej frustracji mogącej przerodzić się w nihilizm. Myślę sobie, że sporo już wokół nas życiowych rozbitków, którzy spróbowali już wszystkiego, na co pozwalał ich statut materialny, a nadal nie czują się usatysfakcjonowani. Wciąż za czymś tęsknią i utrwalają w sobie poczucie bezsensu. Duchowość te granice przekracza pokazując względną wartość tego, co ziemskie i materialne i kierując wzrok na to, co Inne, Większe, Niepoznawalne w pełni...

Myślę, że taki czas przebudzenia nadejdzie. Miałem ostatnio okazje kilkakrotnie gościć za Oceanem i obserwacja kapłanów i siostr tam pracujących jest dość zbieżna. Ludzie zmęczeni dobrobytem zaczynają szukać czegoś innego, czegoś więcej. Nie zawsze trafiają do Kościoła i to już zupełnie inna kwestia, ale zaczynają szukać jakiejś duchowości. A to jest jakieś istotne źródło nadziei.

- Mówi się dziś wiele, choć ja nie do końca zgadzam się z tak pesymistyczną diagnozą, o trudnej młodzieży, czasem nawet beznadziejnej, mało wrażliwej, mało empatycznej, a raczej agresywnej, bez zasad i wartości, etc. Od wielu lat masz sporo kontaktów z młodymi ludźmi, choć może są to ludzie, którzy w jakimś sensie są przy wartościach, przychodzą do Kościoła, są inni od swoich rówieśników. Jak oceniasz dzisiejszą młodzież?

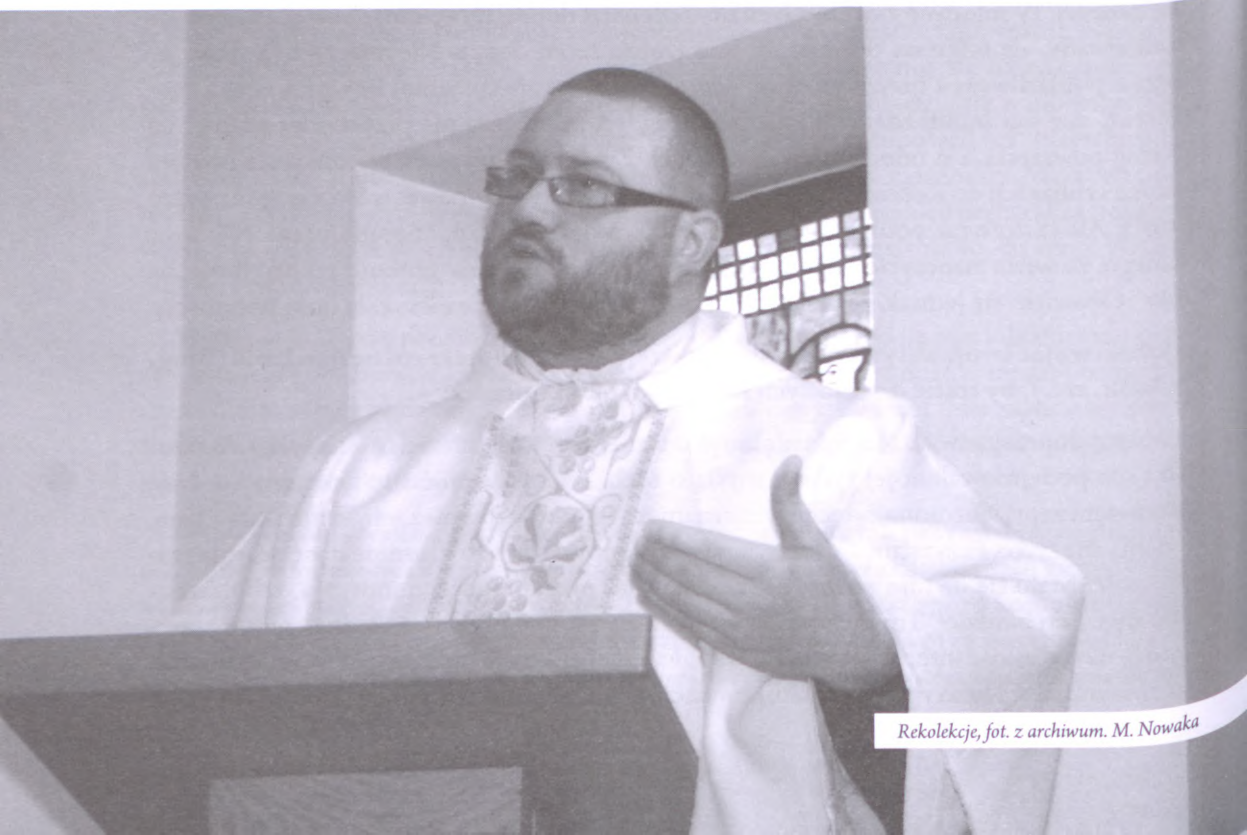
- Spotykałem rzeczywiście bardzo różnych młodych ludzi. Nie tylko tych ułożonych i grzecznych. Przez chwilę katechizowałem w szkole zawodowej, w środowisku dość trudnym. Poza tym wygłosiłem bardzo wiele rekolekcji, na które przychodziła młodzież bardzo różna i z bardzo różnym nastawieniem. Czasem domagało się to okazania wielkiej, heroicznej wręcz cierpliwości. Mam jednak takie doświadczenie, że kiedy zaczynałem mówić, nagle w kościele zalegała cisza, czym niejednokrotnie dziwili się sami nauczyciele i wychowawcy. Nie chcę powiedzieć przez to, że jestem tak wybitnie uzdolniony, nie... Chodzi raczej o to, że mówiłem o rzeczach, które ich bezpośrednio dotyczyły, a co za tym idzie - interesowały. I to jest pewnie istota tego kontaktu - zainteresować i pokazać, że Jezus, że Jego Ewangelia, ma coś istotnego i ważnego do powiedzenia im, młodym. To niesłuchanie trudne, bo ilość bodźców, które do nich docierają jest ogromna i przebić się przez to z przesłaniem o Bogu naprawdę czasem graniczy z cudem, ale jest możliwe. Daleki jestem więc od stwierdzenia, że młodzież jest zła. Bardzo daleki. Powiedziałbym raczej, że jest dziś niesłuchanie zagubiona. Rodzice, którzy częstokroć nie potrafią z nimi rozmawiać (daleki jestem od uogólniania, ale przecież z rodzicami też mam kontakt i słyszę wiele na ten temat); otaczający świat, który chce na nich „coś ugrać”, zarobić; szkoła, która czasem stawia wymagania nie potrafiąc ich właściwie uzasadnić; no i jeszcze Kościół, który przez większość z nich jest błędnie kojarzony z zestawem martwych zwyczajów i przepisów, które nic, ale to absolutne nic w życie nie wnoszą... Pokonać stereotypy - to wielkie wyzwanie... Jak tego dokonać? Ja mam taką swoją zasadę, którą stosuje nie tylko wobec ludzi młodych, ale staram się jej przestrzegać wobec każdego - słuchać cię i okazać, że jesteś dla mnie ważny. Nie jest to jakaś gra, nieszczerłość, udawanie... Tak po prostu postrzegam kontakty z ludźmi i mój w nich udział. Kosztuje to bardzo dużo, ale jest skuteczne... Bo od tego pierwszego kontaktu zależy wszystko, co dokonana się później. W młodych tkwi niesłuchany potencjał dobra, które może zostać uwolnione i zrealizowane, ale tylko na drodze... dobra. Dobro rodzi dobro. Nie znaczy to jednak, że chodzi o pobłażliwość i brak wymagań. Tak się efektów nie osiągnie. Również droga „koleżeństwa” nie jest moim zdaniem najlepsza (nigdy z młodzieżą nie przechodzę na „ty”, co jest dość powszechne u młodych duszpasterzy). Życzliwość ukazana w konkretnie otwiera młodych i zbliża ich do Kościoła. Szacunek i próba zrozumienia - nawet wówczas, gdy bardzo się mylą. Ale jeszcze raz podkreślam - to kosztuje. Wiele wysiłku, energii i czasu. Nic więc dziwnego, że wielu nauczycieli, wychowawców, księży, rodziców próbuje szukać dróg „na skróty”. Obawiam się jednak, że efekty w ten sposób osiągnięte nie cieszą się dużą trwałością.

- Obserwując twoją aktywność w sieci widzę, że podejmujesz różne działania (blog, facebook, etc.), by trafić do młodych ludzi. Skąd taki pomysł?

- Muszę doprecyzować. Moja działalność internetowa nie jest skierowana tylko do młodych i nie podejmowałem jej tylko z myślą o nich. Rzecz jasna jest to grupa najbardziej z internetem zaprzyjaźniona, więc pewnie mam czytelników również wśród nich, ale z tego, co wiem - nie tylko. Przyznam szczerze, że świat komputerowy to dla mnie dość odległa rzeczywistość. Mało się na nim znam i nie widzę wciąż przekonującego motywu, żeby zaznajomić się z nim bardziej. Trochę szkoda mi na to czasu. Nie przeczy to jednak wcale temu, że widzę użyteczność internetu w dziele współczesnej ewangelizacji. Inspiruje mnie mocno św. Maksymilian. Dużo o nim czytam, bo chciałbym, aby moja rozprawa doktorska (jeśli

dane mi będzie zakończyć nią studia, które właśnie obywam na KUL-u) dotyczyła właśnie jego apostołstwa. On miał prostą zasadę - wynalazki nie są ani dobre, ani złe. Wszystko zależy od tego w jaki sposób ich użyjemy. Jeśli więc internet jest miejscem przekazywania wielu informacji, to dlaczego nie może być również miejscem ewangelizacji? Moja codzienność od dawna jest oparta o rozważanie Słowa Bożego. Od niego rozpoczynam każdy mój dzień. Pomyślałem więc sobie - dlaczego nie mógłbym służyć w ten sposób. Może to moje medytowanie pomoże komuś sięgnąć po Pismo Święte, może stanie się inspiracją, może jakimś wsparciem. W zwyczajnym duszpasterstwie parafialnym można się tym podzielić na ambonie. Zwłaszcza w naszych kościołach franciszkańskich, w których głosimy kazania codziennie. Ale ja już od kilku lat nie pracuję tak zwyczajnie, na parafii. Zrodziła się więc idea bloga - takiego miejsca w internecie, w którym mógłbym się tym wszystkim podzielić. I tak powstał blog pod tytułem „Być dla... wnętrzem także...” (od niedawna pod adresem www.ojciecmajk.blogspot.com). Idea od początku jest jasna - dzielić się... Nie ma tam zbyt wielu odniesień do spraw bieżących, którymi żyje świat. O nich można poczytać w innych miejscach. Przede wszystkim jest komentarz do Słowa Bożego no i trochę informacji z mojego duszpasterskiego życia. Bloguję od czterech lat, a liczbę wejść w tym czasie liczniki komputerowe szacują na ponad 200 000. Ktoś więc to czyta. Każdego dnia zagląda tam około 100 osób i to jest niesłychanie motywujące. Bo jeśli komuś się to do czegoś przydaje, z tym większą radością to dzieło kontynuuję. Dlatego też regularnie, najczęściej co dwa dni, zamieszczam tam krótszy lub dłuższy wpis.

Podobnie było z Facebookiem, choć przed nim broniłem się długo, przewidując, że będzie to przysłowiowy „złodziej czasu”. I tak jest w istocie. Bo zawsze można wrzucić tam coś



jeszcze i zawsze można sprawdzić, co wrzucili inni (wszak i ja korzystam z cudzych odkryć). Muszę się więc czasem skutecznie hamować, bo moje życie nie ogranicza się tylko do siedzenia przed komputerem. Zdecydowanie nie.

- Czy Kościół ze swoją misją ewangelizacyjną nadąża dziś za społeczeństwem, czy trafia do niego?

- W tym względzie dzieje się bardzo wiele i nie ukrywam, szalenie mnie to cieszy. Od lat jestem zaangażowany w różne grupy zajmujące się nową ewangelizacją i widzę, jak wiele na tym polu się zmieniło. Przede wszystkim jest bardzo wiele możliwości odprawienia znakomitych rekolekcji ewangelizacyjnych, które są coraz częściej organizowane w parafiach. Już nie trzeba jeździć, szukać... Czasem wystarczy po prostu przyjść do swojego parafialnego kościoła i posłuchać. Bo to jest pierwszy i najważniejszy sposób ewangelizacji. Św. Paweł pisze, że wiara rodzi się ze słuchania i tak w istocie jest. Wszelkie inne formy, wizualizacje, filmy itp., są tylko uzupełnieniem głoszenia Słowa Bożego, bo to w nim i tylko w nim tkwi zdolność obudzenia wiary w człowieku. Takich rekolekcji jest coraz więcej i to cieszy. Może kogoś dziwić, że są one adresowane do ludzi, którzy przecież już do kościoła chodzą, więc są wierzący. Ale musimy sobie postawić pytanie o jakość tej wiary. Czy ona rzeczywiście jest żywa i naprawdę wpływa na wszystkie sfery ludzkiego życia? A może opiera się bardziej na tradycji, zwyczaju, sposobie wychowania? Ta wiara, o której mówi Jezus, rodzi się tylko w kontekście prawdziwego spotkania z Nim, spotkania, które przemienia całe życie. Mógłbym godzinami opowiadać o przykładach ludzi, których osobiście spotkałem, którzy chadzali co niedzielę do kościoła, a którzy doznali całkowitej przemiany pod wpływem Słowa Bożego, które usłyszeli na wspomnianych przeze mnie rekolekcjach. To głoszenie jest oczywiście połączone z pewnymi dynamikami, które bezpośrednio angażują każdego z uczestników, a jednocześnie pozwalają mu odkryć Boga jako żywego i działającego dzisiaj. A przede wszystkim uczą rozważać Słowo Boże codziennie, co powinno być absolutną podstawą chrześcijańskiego życia. Ale nowa ewangelizacja to tylko wyjątek z życia Kościoła. Jego codzienna działalność apostołska też staje się coraz bardziej dynamiczna. może to dlatego, że powoli w tej sztafecie dziejowej zaczynają biec księża, którzy znają już siłę oddziaływania różnych bodźców na współczesnego człowieka i wiedzą, że „czekać w kościele aż przyjdą” już po prostu nie można. Organizuje się więc coraz więcej inicjatyw, które mają zainteresować wiarą ludzi stojących zupełnie z boku. I w tym niezaprzeczalna i wielka rola ludzi świeckich. Dlatego właśnie ewangelizujemy tych, którzy są w Kościele, aby oni - mocni i świadomi tego, w co wierzą, mogli pójść do tych, którzy są daleko. Sami księża, choćby nawet pracowali 24 godziny na dobę, nie są w stanie tego zrobić.

Odpowiadając więc wprost na pańskie pytanie - myślę, że Kościół dociera do współczesnego człowieka na wielu różnych drogach i stara się nadążyć. Choć z pewnością wciąż się tej trudnej sztuki uczy...

Żeby jednak obraz nie był zbyt sielankowy, to i ja pozwolę sobie nieco ponarzekać... Na poziom kaznodziejstwa. Jest to jedna z głównych i najważniejszych działalności duszpasterskiej Kościoła, a wydaje się być czasem traktowana dość niefrasobliwie. Pisze o tym odnosząc się do własnych obserwacji, głosów, które słyszę od wiernych i refleksji, którą prowadzi-

my na uniwersytecie, bo studiuje homiletykę właśnie (czyli innymi słowy - kaznodziejstwo). Jestem bardzo krytycznym słuchaczem i boleję nad każdym nieprzygotowanym kazaniem. Nie można stanąć i mówić czegokolwiek. To zbyt ważna dziedzina naszego życia z wiary... Dlatego, póki co, mogę tylko dbać o przygotowanie własne i bić na alarm, a gdyby to kiedyś ode mnie zależało, to obiecuję włożyć wiele wysiłku, żeby ten stan rzeczy zmieniać.

- Przesłanie nowego papieża Franciszka, nawet Jego imię, trafiają w ducha twojego zgromadzenia kościoła ubogiego, empatycznego, wrażliwego i otwartego na człowieka. Czy obserwujesz już jakieś zmiany w tej materii w kościele polskim czy światowym, bo przecież wędrujesz sporo po świecie i obserwujesz?

- To, co widzę, to wielki entuzjazm wśród wiernych dotyczący postaci papieża Franciszka. Jego liczne niekonwencjonalne gesty, czy śmiałe wypowiedzi zjednują mu wielu, nawet zdystansowanych dotychczas od spraw Kościoła wiernych. Najbardziej ostrożną grupą są chyba duchowni. Ale wcale nie dlatego, że papież mówi o sprawach, które można by odczytać jako krytykę duchowieństwa. Sądzę, że po prostu wynika to z naszej formacji, w której papież, jako najwyższy zwierzchnik Kościoła, jawił się w historii jako postać może odrobinę niedostępna, otoczona nimbem podziwu i uwięziona wśród wymagań etykiety dworskiej. Powściągliwość i pewien delikatny dystans to zjawiska naturalnie kojarzone z papiestwem. Myślę, że taki model obserwowaliśmy przez ostatnie lata. Dla duchownych obraz papieża z różańcem na uchu, czy z plastikowym czerwonym nosem jest... niecodzienny. I pewnie jeszcze trochę potrwa zanim przyzwyczaimy się do tej „bliskości majestatu”. Osobiście słucham z wielkim zainteresowaniem papieskich homilii, które są żywe i wyzwolone z „niewoli kartki”, a jego gesty wobec zwykłych ludzi są dla mnie wielce poruszające. Rzeczywiście, ma pan rację, że zyskuje on powoli miano „współczesnego świętego Franciszka” i przypomina nam prawdę o tym, że Bóg jest bliski i naprawdę interesuje się każdym, absolutnie każdym człowiekiem i każdy jest Mu drogi... Na szczęście wszyscy zaczynamy to coraz lepiej rozumieć. I ci żyjący w Polsce i na Malcie i w Stanach Zjednoczonych i w Jerozolimie.

- Dziękuję za rozmowę.

Muzyka-Plastyka-Teatr-Film

Wacław Bielecki

**MOJA MUZYCZNA
PROWINCJA JESIENIĄ**



Koreanka Zheeyoung Monn, zwyciężczyni IX Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. I. J. Paderewskiego w Bydgoszczy, fot. W. Bielecki

Moja muzyczna prowincja jest znacznie większa niż obszar Dolnego Powiśla i Żuław. Konieczność jej powiększenia wynika z braku możliwości słuchania muzyki na żywo. W Kwidzynie, Sztumie, Malborku i Nowym Dworze bardzo rzadko odbywają się koncerty muzyki klasycznej, dlatego trzeba jeździć na nie do Gdańska, Elbląga, Bydgoszczy, Torunia i Olsztyna. Takie są mniej więcej granice mojej muzycznej prowincji, w której zawsze dzieje się coś ciekawego.

NOWA MUZYKA W GALERII EL

W Elblągu, na przykład, miałem możliwość posłuchania najnowszej muzyki, która nie często jest tu wykonywana. Stało się to za sprawą Elbląskiej Orkiestry Kameralnej, która zamówiła u młodego kompozytora Cezarego Duchnowskiego utwór zatytułowany „Muzyka form przestrzennych” w ramach projektu dofinansowanego przez Instytut Muzyki i Tańca w Warszawie. Nazwa utworu nawiązuje do kilkudziesięciu rzeźb znajdujących się na terenie Elbląga. Kompozytor pochodzi z tego miasta, a pracuje w Akademii Muzycznej we Wrocławiu, gdzie zajmuje się muzyką elektroniczną i algorytmiczną. Nic więc dziwnego, że wykonane na początku września dzieło było wręcz awangardowe. Elbląską Orkiestrą Kameralną dyrygował jej nowy szef Marek Moś (tak, tak, to ten sam dyrygent, który jest dyrektorem bardzo znanej Orkiestry Kameralnej Miasta Tychy zwanej AUKSO), a solistami byli: Agata Zubel – głos, Andrzej Bauer – wiolonczela elektryczna i sam Cezary Duchnowski grający na komputerze – syntezatorze.

Kompozytor w drukowanym programie do koncertu wyjaśnia, że od lat zajmuje się tzw. muzyką algorytmiczną, a jego *„kompozycja jest skonstruowana z prostych zależności matematycznych wynikających z przetworzenia czterech par liczb: 1 - 7, 2 - 6, 3 - 5, 4 - 4. Mam bowiem głębokie przekonanie, że matematyka, najbardziej abstrakcyjna z nauk, jest najbardziej odpowiednim źródłem inspiracji”*.

A jak te założenia, nawiązujące do starożytnej teorii muzycznej Pitagorasa, sprawdzają się w odbiorze? Cały utwór trwa około 22 minut i można wyróżnić nim sześć części. Zaczyna się od partii wiolonczeli solo trwającej około 5 minut. Wiolonczela gra pizzicato, najpierw normalnym dźwiękiem, a potem coraz bardziej przekształcanym komputerowo. Druga część jest najdłuższa (ok. 9 min.). Wypełnią ją partia głosu. Jest to wokaliza w której śpiewaczka używa prawie wszystkich samogłosek. Jej głos jest bardzo różnorodnie zmieniany przez syntezator i wzmacniany przez głośniki. W trzeciej części (ok. 2 min.) znowu gra wiolonczela ze smyczkami. Część czwarta (ok. 1 min.) to muzyka wykonywana przez wszystkich. Po niej następuje nie trwające całej minuty solo głosu - szybka wokaliza, zakończona gwałtownymi glissandami i krótką pauzą, ciszą. Gwałtowne zakończenie (nieco ponad 1 min.) należy już do całej orkiestry.

Utwór niemal przez cały czas jest głośny, dynamiczny i burzliwy. Brak w nim dłuższych fragmentów granych cicho. To trochę nie bardzo zgadza się z zapowiedzią kompozytora odnotowaną przed koncertem na stronie „Elbląskiej Gazety Internetowej portEl”. Duchnowski głosi tam, że jego kompozycję *„należy odbierać: jak szum lasu czy fal morskich, odgłosy maszyn czy śpiew ptaka. Nie opowiada dramatycznej fabuły, nie ilustruje żadnych pozamuzycz-*

nych zjawisk. Jej brzmienie czyli treść uformowana w precyzyjnie zaprojektowane struktury będzie przemawiać samą sobą.”

Sprzecznie z kompozytorem wypowiada się tam wykonawczyni partii głosowej Agata Zubel. Zaprasza na koncert takimi słowami: „Przyjdźcie świętować narodziny nowej muzyki! Szczególnie, że jej twórca, urodzony w Elblągu, nosi w sobie te same pejzaże, te same skwery, te same skrzyżowania, te same Formy Przestrzenne - wśród których mogliście spotkać się z nim przez wiele lat.” I tak chyba trzeba odbierać tę muzykę - jako swojego rodzaju muzykę programową, a nie absolutną. Już sam tytuł jednoznacznie sugeruje program utworu, a ujednoznaczniają go wyświetlane w trakcie wykonywania wizualizacje autorstwa Marcina Rupońskiego. To zupełnie nowa, inna muzyka niż dotychczas wykonywana w Galerii El. Myślę, że część słuchaczy mogła być nią wręcz zaszokowana. Mnie osobiście utwór bardzo się spodobał. Zarówno soliści, jak i orkiestra oraz syntezator - komputer zagrali wspaniale. Dobrze, że ten awangardowy utwór został zamówiony przez Elbląg i tu wykonany. Ciekawe, jaki będzie jego dalszy los, tzn. czy i jak często będzie wykonywany poza Elblągiem.

PANEL GOLDBERGOWSKI

Na początku września udałem się do Gdańska, aby posłuchać Bacha i o Bachu. W ramach Festiwalu Goldbergowskiego przysłuchiwałem się wypowiedziom muzykologów podczas dyskusyjnego panelu odbywającego się w kamiennicy niedaleko fontanny Neptuna.

Ten panel naukowy, na temat dawnej muzyki w Gdańsku odbyty 7 września, był jedną z imprez towarzyszących 8 Festiwalowi Goldbergowskiemu. Jego organizatorem była spirytyus movens festiwalu, klawesynistka dr Alina Ratkowska z UMFC w Warszawie. Zaczęła ona spotkanie od wykładu na temat „Johann Gottlieb Goldberg i słynne Wariacje Goldbergowskie J. S. Bacha”. Jak wiadomo, wariacje zostały zamówione przez hrabiego Carla von Keyserlinga, dyplomatę i mecenasa sztuki. Cierpiał on na bezsenność a młody Goldberg grywał mu je nocami na klawesynie w pokoju obok, za co otrzymał niemałe honorarium - złoty kubek i 100 luidorów, równowartość ówczesnych 5 klawesynów lub 300 beczek piwa.

Kolejny mówca, mgr Jerzy Marian Michalak, badacz muzyki Gdańska, zastanawiał się nad „Rozrywką na każdą kieszeń. Opery i balety w dawnym Gdańsku”. Prelegent zwrócił uwagę, że jedyny spektakl dworski w Gdańsku w ciągu 2 i pół wieku został wystawiony w 1646 r. z okazji przybycia Marii Ludwiki, żony Władysława IV. Była to opera „Le nozze d'Amore e di Psiche” („Wesele Amora i Psyche”) nie wiadomo czyjego autorstwa.

Dr Piotr Kociumbas z UW, germanista, badacz kultury muzycznej Prus Królewskich, przedstawił i zilustrował muzycznie temat: „Okazja czyni muzykę. O muzyce okolicznościowej w dawnym Gdańsku.” Słuchacze mogli zobaczyć reprodukcje rękopisów muzycznych oraz wysłuchać nagrań kilku fragmentów utworów gdańskich. Były to ody, epitalamia (pieśni weselne) i kantaty pisane ku czci różnych osób lub na wesela i pogrzeby.

Ostatni wykład wygłosiła muzykolog dr Alina Mądry z UAM Poznaniu, zajmująca się muzykaliaми na Jasnej Górze w Częstochowie. Mówiła ona na temat: „Gdańskie dziedzictwo muzyczne na tle XVIII-wiecznej Rzeczypospolitej”. Między innymi, zwróciła uwagę na bardzo bogaty zbiór utworów muzycznych dla kapeli miasta Gdańska działającej nieprze-

rwaniu przez ponad 250 lat i obejmujący 8736 utworów (w Częstochowie zachowało się ok. 3000 utworów).

Jeszcze tego samego dnia panel został muzycznie „zilustrowany” trwającym aż trzy kwadransy koncertem na carillonie Ratusza Głównego Miasta Gdańska. Wykonawczynią była dr Monika Kaźmierczak, asystentka tutejszej Akademii Muzycznej. Koncert zaczął się od czterech polonezów skomponowanych przez patrona festiwalu J. G. Goldberga, a zakończył kilkoma „Wariacjami Goldbergowskimi” J. S. Bacha. Carillonu słuchałem w jednej z bocznych uliczek, bo na Długim Targu bardzo przeszkadzał gwar wycieczek oraz muzyka popowa dochodząca z licznych lokali. Natomiast wieczorem, we franciszkańskim kościele św. Trójcy, niedaleko siedziby Muzeura Narodowego, miałem możliwość wysłuchania w całości „Wariacji Goldbergowskich”. Jak wiadomo utwór składa się z niedługiego tematu – arii oraz 30 wariacji na jej temat i trwa ponad godzinę. Zagrał je młody klawesynista ze Stuttgartu - Jörg Halubek.

KONCERT NA 70 ROCZNICĘ URODZIN ELŻBIETY SIKORY

Był to ostatni koncert trzydniowego festiwalu muzyki współczesnej pod nazwą „Spektrum Muzyki Nowe”, odbywający się po raz drugi w Gdańsku. Na zaproszenie muzyków z kameralnego zespołu NeoQuartet, przybyła na koncert kompozytorka Elżbieta Sikora. Jest ona w Gdańsku osobą dobrze znaną, bo dwa lata temu w Operze Bałtyckiej doszło do wystawienia polskiej premiery jej najnowszej opery „Madame Curie”. Na program koncertu złożyły się dzieła smyczkowe Elżbiety Sikory - dwa utwory kameralne - kwartet i sekstet oraz dwa utwory solowe - na skrzypce oraz wiolonczelę. Spośród nich najbardziej zapadł mi w pamięci „III kwartet smyczkowy - In memoriam Ursula” z 1998 r. Kompozycja trwa około kwadransa i składa się z pięciu części. Ostatnia z nich zaczyna się niezwykle oryginalnie - od szmerów wydobywanych przez smyczki w czasie których pojawiają się też delikatne „popiskiwania” strun. Potem muzyka nabiera dynamiki i tempa i kończy się znowu cichymi szmerami. Jest to najbardziej oryginalna i – moim zdaniem - najładniejsza część kwartetu. Okazało się, że nie tylko normalnie wydobywane dźwięki, ale i szmery mogą być bardzo piękne, podobnie jak szmery, szумы i szelesty słyszane w naturze.

Koncert odbył się w niedzielę 6 października w sali mieszczącej Ratusza Staromiejskiego w Gdańsku przy ulicy Korzennej. NeoQuartet zagrał w składzie: Karolina Piątkowska-Nowicka, I skrzypce, Paweł Kapica, II skrzypce, Michał Markiewicz, altówka, Krzysztof Pawłowski, wiolonczela. Po koncercie członkowie kwartetu zaprosili Jubilatkę oraz publiczność na lampkę wina z okazji 70 rocznicy urodzin kompozytorki.

GALA VERDIEGO W OLSZTYNIE

Koncert, nazwany „galą”, został zaplanowany na czwartek 10 października, a więc dokładnie na dwusetną rocznicę urodzin największego kompozytora operowego, Giuseppe Verdigo. Ponieważ w Olsztynie nie ma opery, wykonano takie utwory, na jakie pozwalały tutejsze „siły wykonawcze”. Były to trzy uwertury do: „Traviaty”, „Nieszporów sycylijskich” i „Nabucca” oraz chóry z „Traviaty”, „Don Carlosa”, „Nabucca”, „Trubadura” i „Aidy”. Program bardzo atrakcyjny. Same verdiowskie hity.

A jak było z wykonaniem? Orkiestra rozgrzewała się powoli, prawie przez całą pierwszą część koncertu. Muzycy okazywali mało zaangażowania związanego z wykonywaniem swoich partii instrumentalnych. Większość z nich siedziała sztywno, patrząc tylko w nuty. Widać po nich było, a co gorsze - słycać, brak większego zaangażowania i pasji. A może mają taki, mało porywający słuchaczy sposób gry? Nielicznymi wyjątkami byli dyrygent i pierwszy skrzypek. Być może było tak dlatego, iż uwerturę do „Traviaty” zaczął dyrygent Piotr Sułkowski w spowolnionym tempie. Kotły występujące na początku uwertury do „Nieszporów sycylijskich” były wyraźnie niedostrojone, a kowadło (!) w chórze Cyganów z „Trubadura”, brzmiało mało dźwięcznie. Po przerwie było już lepiej. Rozegrały się instrumenty blaszane, często wykorzystywane przez Verdiego, w tym pięknie zabrzmiały dwie trąbki w „Marszu tryumfalnym” z „Aidy”, które dyrygent umieścił na balkonach filharmonii. To właśnie ten fragment, a nie chór z „Nabucca” został wykonany na bis.

Koncert był okazją do zaprezentowania się olsztyńskich chórów. Na scenie był to jeden chór utworzony z trzech zespołów śpiewaczych - Chóru przy Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej (dyrygent Benedykt Błoński), Olsztyńskiego Chóru Collegium Baccalarum (Agata Wilińska) i Chóru Lekarzy Medici pro Musica (Małgorzata Wawruk). W sumie na estradzie śpiewało około 75 osób. Zdecydowanie przeważały głosy żeńskie - soprany i alt. Przewaga pań była nie tylko liczebna, ale i ich głosy były ładniejsze, np. w prześlawnym „Va pansiero”, śpiewanym unisono, czyli jednym, tym samym głosem. Panowie - tenory i basy - nie dość, że byli w mniejszości, co jest normą w chórach amatorskich, to w ich głosach brakowało dużej głębi, masy dźwiękowej i dynamiki tak potrzebnej, np. w chórze z „Aidy”.

Wychodząc z koncertu, z jednej strony miałem poczucie niedosytu związanego z problemami wykonawczymi, które zasygnalizowałem, a z drugiej strony byłem zadowolony z faktu, że na żywo mogłem posłuchać utworów mojego ulubionego kompozytora operowego, urodzonego na głębokiej włoskiej prowincji, w małej wiosce Le Roncole koło Busseto w księstwie Parmy, który nazywał siebie „wieśniakiem z Parmy”.

III MIĘDZYNARODOWY BAŁTYCKI KONKURS PIANISTYCZNY

W tym mało znanym konkursie, organizowanym przez Akademię Muzyczną w Gdańsku, wzięło udział 24 pianistów z 11 państw Europy, Azji i Ameryki. W pierwszej części uczestnicy konkursu, oprócz utworów dowolnych wykonywali jedną z sonat Beethovena. Do półfinału, który oglądałem na żywo w przepięknej sali koncertowej w dniach 24 - 25 października, jury dopuściło dwunastu młodych pianistów: 4 z Japonii, 3 z Polski, 2 z Rosji i po jednym z Włoch, Finlandii i Chin. Każdy z nich zagrał recital trwający od 60 do 70 minut. Musiał on obowiązkowo zawierać utwór Chopina. Przewodniczącym jury był inicjator konkursu - prof. Waldemar Wojtał, kierownik katedry fortepianu w gdańskiej Akademii Muzycznej. Pozostali jurorzy pochodzili ze Słowacji, Bułgarii, Włoch, Irlandii, Meksyku i Taiwanu, czyli zupełnie międzynarodowe gremium.

W finale znalazło się trzech pianistów. Każdy z nich wykonał wybrany przez siebie koncert fortepianowy Mozarta z towarzyszeniem Orkiestry Symfonicznej Akademii Muzycznej w Gdańsku pod dyrekcją Sylwii Janiak.

Zwycięzcą konkursu został Kanji Kozuta z Japonii (nagroda 30 000 zł). Duży sukces odniósł Adam Piórkowski, student gdańskiej Akademii Muzycznej zajmując drugie miejsce (20 000 zł). Na trzecim miejscu uplasowała się niewidoma pianistka japońska Nozomi Iwai (10 000 zł).

Konkurs był sprawnie przeprowadzony od strony muzycznej, jednak w czasie eliminacji publiczności było bardzo niewiele. Zupełnie zawiodła strona informacyjna, na przykład wyniki konkursu pojawiły się na stronie internetowej Akademii dopiero po pięciu dniach (!). Szkoda też, że wzorem innych konkursów muzycznych, np. Chopina, Wieniawskiego, Paderewskiego, Fitelberga, nie przeprowadzono transmisji internetowej na żywo.

IX MIĘDZYNARODOWY KONKURS PIANISTYCZNY IM. I. J. PADEREWSKIEGO W BYDGOSZCZY

W niedzielę 17 listopada miałem dużą przyjemność usłyszenia w Filharmonii Pomorskiej w Bydgoszczy pięciu laureatów IX Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego imienia Ignacego Jana Paderewskiego. Ten konkurs bardzo różni się od najbardziej znanego u nas konkursu pianistycznego Fryderyka Chopina, albowiem młodzi pianiści mogą przygotować dowolny repertuar, z zastrzeżeniem, aby znalazły się w nim utwory z co najmniej trzech stylów muzycznych, i tylko w drugim etapie muszą zagrać przepiękne miniatury skomponowane przez Paderewskiego nietrwające dłużej niż dziesięć minut. Zupełnie inaczej wyglądają przesłuchania, w czasie których selekcjonuje się uczestników. W tym roku odbyły się one w siedmiu światowych metropoliach: Nowym Jorku, Tokio, Seulu, Moskwie, Wiedniu, Londynie i Warszawie. Do eliminacji zgłosiło się prawie dwieście osób. Z tej grupy do Bydgoszczy przyjechało 34. Najwięcej było Rosjan (11), Koreańczyków (6) i Polaków (5). Przewodniczącym jury był znakomity polski pianista prof. Piotr Paleczny, który za pracę przy organizacji konkursów od 2003 roku, został honorowym obywatelem Bydgoszczy. Pierwsze trzy etapy konkursu odbywały się w nowej auli Akademii Muzycznej, a finał – koncert z orkiestrą - w znanej ze znakomitej akustyki Filharmonii Pomorskiej.

Pianistów występujących w aż czterech etapach słuchałem i oglądałem za pośrednictwem internetowej transmisji na żywo. Grali przez dwa tygodnie, od dziesiątej rano do dwudziestej wieczorem, wykonując po trzy recitale trwające od 30 do 50 minut z ułożonym przez siebie repertuarem oraz w wybrany kwintet (do wyboru były kwintety Brahmsa, Dworzaka, Francka, Mendelsshona, Schumanna), wykonywany z instrumentalistami z „Kwartetu Śląskiego”. W kolejnych etapach było ich coraz mniej, w pierwszym – 34, drugim - 21, trzecim, czyli w półfinale 11, i w finale 5. Wysłuchanie recitali zajęło mi sporo czasu. Teraz lepiej rozumiem, jak ciężką pracę mają jurorzy. Wydaje mi się, że śledzenie występów pianistów przypomina oglądanie transmisji meczów piłkarskich z mistrzostw świata, z tym że jest tu zasadnicza różnica. Piłkę nożną na stadionach i telewizorach oglądają miliony widzów, tymczasem zmagania pianistów odbywa się na oczach niewielu słuchaczy, w niewielkich salach

koncertowych. Nie będę tu opisywał szczegółów dotyczących sześćdziesięciu poszczególnych recitali oraz emocji związanych z kolejnymi etapami konkursu i losem moich faworytów. Przedstawię tylko, w największym skrócie, parę uwag i wyniki końcowe.

Do finału doszło pięciu pianistów, w tym cztery panie i tylko jeden przedstawiciel płci brzydkiej. Wielki odsiew przeżyli Rosjanie, z jedenastu do finału dostały się tylko dwie kobiety. Niestety, najlepszy Polak Krzysztof Książek, student z Krakowa, zakwalifikował się tylko do półfinału. Pierwszą nagrodę zdobyła Koreanka Zheeyoung Moon (30000 euro), drugą – Dinara Klinton z Ukrainy (15000 euro,) trzecią Daiki Kato z Japonii (7000 euro). Młodzi laureaci oprócz nagród pieniężnych otrzymali także – co moim zdaniem jest dla nich ważniejsze - wiele zaproszeń na koncerty i recitale w Polsce, Europie, Stanach Zjednoczonych, Japonii i Gruzji. Ciekawe, jak potoczą się ich muzyczne kariery.

Obowiązki rodzinne nie pozwoliły mi na wyjazd do pobliskiego Waplewa Wielkiego, gdzie 11 i 12 października odbyły się **VII Dni Chopinowskie**. Odnotuję tylko, że w pierwszym dniu recital chopinowski zagrał Radek Kurek, młody pianista z bydgoskiej Akademii Muzycznej, gdzie jest asystentem znanej profesor Katarzyny Popowej-Zydroń, nauczycielki Rafała Blechacza, zwycięscy Konkursu Chopinowskiego w 2005 r. Drugi dzień, zgodnie z tradycją, stał pod znakiem jazzu. Wykonawcami byli dwaj przeświecni muzycy z Gdańska – Bogdan Hołownia fortepian i Maciej Sikała saksofon. Z kilku ust słyszałem, że oba koncerty podobały się słuchaczom.

Jacek Albrecht

KASZUBSKI KAMIENNY KRAĞ PAMIĘCI

SPONTANICZNY HAPPENING TYLKO NA PÓL ŻARTEM

Tradycja po to jest, by z niej czerpać



Są sytuacje, gdy narasta wśród ludzi specyficzny nastrój przerysowanych emocji. Buduje się on stopniowo wiele dni, czasem dłużej i szuka ujścia w akcji, szuka rozładowania. Może zaowocować chociażby pijacką awanturą, ale może też niespodziewaną akcją artystyczną. Nastrój taki nie ogarnia też naraz wszystkich, ale ci, co go poczują, próbują pociągnąć innych za sobą.

Przydarzyło mi się doświadczyć tego zjawiska w lipcu 2013 roku na Kaszubach podczas pleneru twórców Pomorza organizowanego przez Kaszubski Uniwersytet Ludowy w Wierzyca. Nastrój jaki budował się tam od samego początku naładowany był tak ogromną pozytywną energią, że nic nie było w stanie go zakłócić. Otrzymałem wielki prezent mający bardzo mało wspólnego ze standartowymi warunkami pobytu. Może sam też przyjechałem szczególnie pozytywnie naładowany poprzedzającym mój przyjazd tutaj plenerem w Stężyca. Może wreszcie to ta szczególna ilość i jakość muzyki wieczornej, bo i koleżanka nasza

Ala z akordeonem i keyboardem i Wołodia z harmonią guzikową, potężnym głosem i tęsknymi klimatami wschodu. W efekcie przełamałem nieśmiałość i strach przed śmiesznością i zdobyłem się na zakończenie na próbę przeprowadzenia spontanicznej i improwizowanej akcji artystycznej mieszczącej się w definicji happeningu.

A są na Kaszubach kamienne, kręgi o których pochodzenie i znaczenie wciąż spierają się badacze. Ale mam wrażenie że ich tajemnicza aura oddziałuje i dzisiaj czasami na bieg wydarzeń. Bo nie wiem, co innego mogłoby mi kazać wcielić się w rolę szamana i spróbować zbudować wspólnie jeszcze jeden z takich kręgów. Składał się on wprawdzie tylko z bardzo małych kamyczków i był żartem, ale czy do końca? Moje emocje były silne, prawdziwe i może zbliżone do emocji budowniczych znanych kręgów. Myślę, mam taką nadzieję, że części uczestników również. A że nie wszystkich? Nie szkodzi. Bo dla mnie kaszubskie kręgi stały się nagle oczywistymi kręgami pamięci. I nie mam na to żadnych dowodów ani przesłanek. Zobaczyłem każdy kamień jako upamiętnienie czegoś bardzo ważnego, to historia, może smutna ale nie zła. Krąg bowiem to ochrona, schronienie – krąg kamieni to pamięć plemienia ale i azyl. To siła i bezpieczeństwo. Kto uciekał a dotarł do kręgu był bezpieczny. Nawet śmiertelni wrogowie to szanowali. Że bajka? Ale lubię ją.

A było to tak: po uroczystym zakończeniu pleneru odbył się wernisaż wystawy poplenerowej i ciepły poczęstunek. Na koniec Wołodia, nasz przyjaciel ze wschodu, Ukrainiec piszący ikony i ogień pobytu zaśpiewał przy pianinie kilka smętnych pieśni o rozstaniu, pożegnał się i odszedł. Pożegnała się też już większość gości. Również część uczestników zbierała się do wcześniejszego wyjazdu. Przy stole zostało jeszcze tylko parę osób. Nastrój robi się nostalgiczny, jakby zawieszenia. I nagle słyszę z hallu akordeon. Pomyślałem, że to Wołodia wrócił ze swoją guzikówką i idę zobaczyć. Tymczasem w całkiem pustej sali widzę stojącą pod ścianą samotnie naszą malującą na szkle koleżankę Alę, grającą jakiś wolny kawałek. W długiej sukni, lekko uśmiechnięta z tym trudnym instrumentem wygląda ekstra, ale i jakoś wzruszająco... zjawiskowo ale i trochę samotnie. Dobry duch pleneru. Pomyślałem że też jej ciężko wyjeżdżać i żegna się na swój sposób. I że to co gra to właśnie Hymn Pożegnania. Odruchowo więc wziąłem krzesło, lampkę wina i usiadłem na środku pustego wciąż pomieszczenia żeby posłuchać i jeszcze chwilę побыć razem. Zaczął się happening, pomyślałem pół żartem.

Happening, z angielskiego – zdarzenie, to jedna z form sztuki współczesnej: widowisko mogące być spontaniczną reakcją artysty na czas i miejsce w których się znalazł. Jest zamkniętym w czasie wydarzeniem o wyraźnym przekazie, także emocjonalnym z udziałem widzów lub bez, a jednym z jego celów jest szukanie niespodzianki i przełamywanie konwencjonalnych przyzwyczajęń. Zestawia on elementy rzeczywistości w inny od zastanego sposób tworząc z nich nowe wartości. Może być organizowany według opracowanego scenariusza lub improwizowany w jakimkolwiek wnętrzu albo na otwartej przestrzeni.

Tak więc siedzę, Ala gra, a to co gra nazywam Zew Przywołania. Po chwili słyszę, ktoś niesie krzesło i siada obok. To Ali, malarz sztalugowy i nasz przyjaciel. Za jakiś czas to samo robi kolejna osoba. Ktoś przystaje a mi zależy żeby został – proszę żeby usiadł na moim krześle a sam przynoszę kolejne. I kolejne. Ustawiam je w krąg, który już dalej sam się po-

większa. W końcu jest kilkanaście osób. Są spóźnieni goście, pracownicy placówki i my. Ala gra, trochę śpiewamy, gadamy, sytuacja się stabilizuje i wychodzę na papierosa. Może to koniec. Ale rodzą mi się w głowie skojarzenia. Temat pleneru – obrzędy kaszubskie, krąg – kamienne kręgi w okolicy, pamięć - niemieckie kręgi pamięci z I-ej wojny. I tworzy mi się z nich naraz nowy obrzęd kaszubski – oparte na prastarej tradycji Misterium Pożegnania. Pomysł już mam, tylko czy się odważę? I czy ludzie nie rozejdą się za wcześniej? Podekscytowany zbieram na podjeździe kilka co ładniejszych kamyków i wracam do sali. Kamienny krąg, kaszubskie kręgi, krąg pamięci, obrzędy kaszubskie tłuką mi się w głowie – ach, kamienny krąg i pamięć fajnego pobytu oraz misterium pożegnania. Niosę kamyki i nie wiem czy się przełamie i rozdram je uczestnikom, nie wiem jak. Chcę tylko żeby zabrali ze sobą kamienie pamięci. Ala już nie gra, siedzi w kręgu. Jest dobrym duchem spotkania. Podchodzę więc i zbieram się na odwagę. Kładę przed nią kamyk. Przyklękam i mówię: to dla ciebie, kamyk pamięci. I powtarzam już ten gest po kolei. Udało się. Ruszyło. Zabrakło mi kamyków to poszedłem dozbierać. Zacząłem patrzeć na ludzi i dobrać kamyki specjalnie dla nich. Misterium. Albo śmiech. Jak już obszedłem wszystkich powiedziałem że: „kamienie zachowują pamięć wydarzeń, weźcie je więc na pamiątkę tego pięknego spotkania”. I że zbudowaliśmy właśnie nowy Kaszubski Krąg Pamięci a kamień z niego pomoże nam, jak zechcemy, przywołać wyjątkowe wzruszenia tu przeżyte. Kto zaś nie chce niech zostawi kamyk lub wyrzuci go na podjeździe do innych kamyków. I tu akcja sama się zakończyła. Nie miałem więcej pomysłów a i trwała dość długo. Ludzie zaczęli wstawać i się rozchodzić. Część zostawiła swoje kamienie. Nie szkodzi. Niektórzy jednak schowali swoje. Może też część uwierzyła, że to nie tylko żart i nie tylko sama „akcja artystyczna”, ale też częśćka mojego serca, mojego wzruszenia i mojej pamięci i może nawet to uszanowała

Nie za wielki ze mnie artysta, to i przekaz mojej sztuki nie jest zbyt wyraźny. Ale w efekcie zdobyłem się na zakończenie świetnego pobytu na próbę przeprowadzenia spontanicznej i improwizowanej akcji artystycznej mieszczącej się w definicji happeningu. Cóż, czasem udaje mi się przełamać niepewność i nieufność wobec świata ... ale czy maluję obraz czy organizuję jakkolwiek akcję artystyczną robię to do czego wzywa mnie moja Muza. Tym razem wcieliła się ona w malującą na szkle akordeonistkę, dobrego ducha pleneru, Alę i jej Zew Przywołania. Dziękuję jej za to. Niech słońce nie zachodzi nad jej drogą.

Wieżyca 2013

Jerzy Kosacz

JERZY WOJCIECH BIELECKI

Do katalogów, do informatorów, w wywiadach i przy innych okazjach malarz podaje swą biografię bardzo zwięźle: Urodzony w 1955 roku w Sejnach, studia 1974-79 na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Specjalizacja – grafika warsztatowa w Pracowni prof. Edmunda Piotrowicza. Uprawia malarstwo, grafikę, rysunek i ilustrację.

Jest to swoisty demonstracyjny manifest artysty, który należy do tych, którzy nie zamierzają zastępować uprawianej przez siebie sztuki wizualnej aktywnością werbalną, czy wręcz literacką. To konsekwencja pewnej znanej szczerzej konstatacji, którą można tu sparafrazować, że „obraz jaki jest, każdy widzi”.

Autobiograficzna skromność Bieleckiego imponująco kontrastuje z mnogością wystaw, w których malarz dotąd uczestniczył. Obecna wystawa jego malarstwa w Muzeum Zamkowym w Kwidzynie (będzie trwała do marca 2014 r.), jest 127-mą, bowiem miał już 42 wystawy indywidualne i uczestniczył w 84 wystawach zbiorowych.

Swą młodość i pierwsze lata po toruńskich studiach Bielecki spędził w Kwidzynie. Przyznaje, że z tego wówczas miasteczka zachował pewne inspiracje swej artystycznej wrażliwości. Obecnie mieszka i tworzy w Olsztynie, skąd podróżuje ze swym malarstwem po całej Europie i USA.

Uznany krytyk sztuki nie szczędzi słów uznania dla jego malarstwa: Jerzy Madejski: „- Jerzy W. Bielecki jest poetą. Kluczem poezji też należy otwierać drzwi wiodące do jego malarstwa.



J. W. Bielecki „Autoportret w lustrze”, miedzioryt 1978

- Całe malarstwo artysty jest protestem przeciw zgiełkowi współczesnego świata, jego brutalności i powierzchowności uczuć, przeciw jego grubiańskiej hierarchii wartości.

- Przemysłane w szczegółach perspektywiczne działania – służą jednemu celowi – mają wciągnąć widza w głąb malarskiej przestrzeni, w świat ciszy i spokoju dobrej baśni.”

Na wystawie kilkudziesięciu obrazów w kwidzyńskim zamku można zatopić się w atmosferze świata wykreowanego przez malarza. Jest tu przekaz, w którym fabuła obrazów współgra z ich plastyczną materią. Dominuje świat muzyki oznaczony zarówno tematyką obrazów prezentujących imponujące sceny operowe, lub postacie koncertujące, jak i doбором środków malarskich. Widzimy więc na obrazach Bieleckiego harmonijne kompozycje w kolorystyce udzielającej widzowi radosnego nastroju. Przenoszony z wyobraźni artysty idylliczny świat stanowi estetyczną odskocznnię z banalnej codzienności w sferę magii i jakiejś nieokreślonej podniosłości. „Spotkanie”, „Spacer”, „Miałam w szafie” i in. obrazy przenoszą nas w sytuacje bardzo zwykłe, lecz zatrzymane przez malarza niczym kadry toczącego się spektaklu.

Wywodzącego się z Kwidzyna artystę postrzegam jako malarza, dokumentalistę reportera zdarzeń magicznych, które potrafi wykreować z otaczającej nas wszystkich banalnej rzeczywistości. Prezentowany na wystawie zestaw obrazów zwraca uwagę także konsekwencją malarską w autorskim doborze środków plastycznych, a wystawa zdaje się stanowić kolekcję jakby jakiegoś konesera o bardzo sprecyzowanych preferencjach artystycznych.

Jacek Albrecht

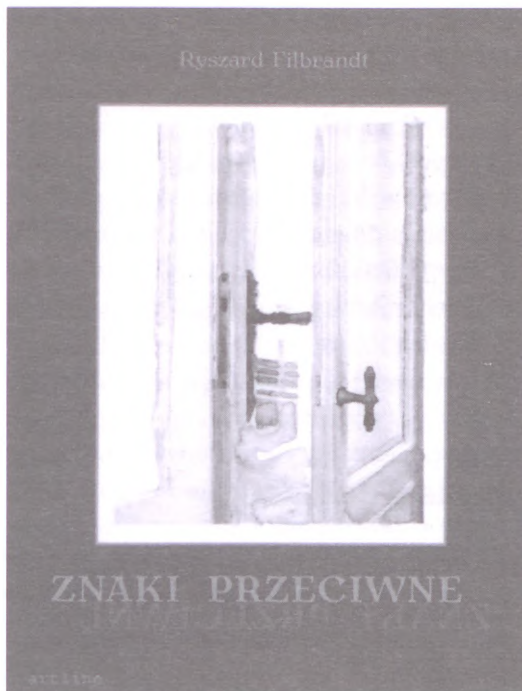
ZNAKI PRZECIWNIE

Ryszard Filbrandt, *Znaki przeciwne*, Wydawnictwo artline, Malbork 2013.

Ukazał się kolejny tomik opowiadań malborskiego literata Ryszarda Filbrandta. Ten urodzony w grodzie nad Nogatem w roku 1950 i tu mieszkający do dzisiaj, niezwykle skromny twórca, ma już w swoim dorobku zarówno tomik poezji i miniatur literackich „Przebudzenie” jak i zbiory opowiadań - „Impulsy istnienia”, „W strumieniach światła”, „Przystań” oraz powieści - „Korowód”, „Wyrok”, „Zanim spadną grudy ziemi”, „Cień” i „W objęciach świadomości”. Zważywszy, że debiutował dosyć późno, bo w 1990 roku arkuszem literackim „Klocki dla dorosłych”, jest to dorobek imponujący. Szczególnie, że pisarstwo nie jest jego podstawowym zajęciem, i że jak większość artystów musi on w inny sposób zarabiać na życie. Ryszard Filbrandt z zawodu jest bowiem technologiem meblarstwa.

Autor tematy czerpie ze świata w którym żyje. Pojawiają się w niej balkon, widoki z okna, pokój, ulice miasta, zakłady pracy. Rozpoznajemy je, ale jednocześnie stanowią one jedynie pretekst do ukazania głębszej prawdy o życiu, o przemijaniu. Nostalgiczne nastroje ukazują nam ponadto duszę romantyka jakim okazuje się autor, ciepło i z humorem opowiadający nam o świecie wokół nas i w nas samych.

Taki też jest jego najnowszy zbiór małych form literackich, gdzie sąsiaduje ze sobą kilka opowiadań i miniatury prozatorskie przez swoją lapidarną skrótowość bliskie poezji. Są to spontaniczne reakcje na zaskoczenia i zadziwienia światem wokół i sa-



mym życiem. Rzeczywistość jest tu pretekstem do ukazania emocji autora, jego świata wewnętrznego w którym następuje twórcze przetworzenie banalnej z pozoru sytuacji na formę uogólnioną, czyli sztukę. Ryszard Filbrandt potrafi tego dokonać. I chociaż mieszkańcom grodu nad Nogatem mile jest rozpoznawać znane sobie miejsca, jak cukrownia czy nie istniejący już MAKOP, to ich pojawianie się ma znaczenie szersze.

I tak np. opowiadanie „Balkon” przedstawia jednocześnie konkretny, rozpoznawalny balkon jednej z malborskich kamienic, ale też autor zaludnia go postaciami ze snu. To ciepłe, romantyczne wyznanie odsłania rąbek prywatnego świata pisarza, ale i przedstawia gości jego niebanalnej wy-

obraźni. Osadzone w malborskich realiach jest też króciutkie opowiadanie „Działka nr 203” dotyczące filozofii i wiary w pryncypia. „Fartuch” z kolei w przewrotny sposób traktuje o dominującym czasami wpływie kostiumu na nasze zachowanie, „Fiszki” zaś to migawki i refleksje z bardzo codziennych, banalnych wydawałoby się sytuacji, mogących przecież także zachwycać i wzruszać, a których w zabieganiu nie zauważamy. Przewrotny humor autora dochodzi też szczególnie do głosu w takich utworach jak „Kacper Wielki” czy „Konwój”. Spotykamy w zbiorze również próby z gatunku fantasy, czy sf.

Tomik „Znaki przeciwne” jest więc szeroką, autorską próbą Ryszarda Filbrandta podzielenia się z czytelnikami refleksjami nad bezpośrednio otaczającym nas światem. Zamknięte tym razem są one w krótkich formach miniatur literackich, które tak bliskie są autorowi, co ujawnił już w dotychczasowej swojej twórczości, zarówno tomikiem poetyckim jak i kilkoma zbiorami opowiadań. Najnowszy zestaw jego prac jest kontynuacją dotychczasowej drogi twórczej i niewątpliwie zasługuje na uwagę. Pokazuje też, że w moim głębokim przekonaniu, twórczość Ryszarda Filbrandta warto śledzić i polecać.

Andrzej Lubiński

KASA KOŚCIELNA

ks. Jan Wiśniewski, Uposażenie kościołów, duchowieństwa i służby kościelnej w diecezji pomezańskiej (XVI-XVIII w.), Biblioteka Wydziału Teologii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, Olsztyn 2013.

Od roku 2002 ks. prof. dr hab. Jan Wiśniewski opublikował cztery książki „Sacrum i profanum wpisane w codzienność katolików średniowiecza” (2002), „Pomezańskie bractwa religijne do 1821” (2007), „Parafia i sanktuarium maryjne w Piaseczynie w okresie nowożytnym” (2008), „Parafia Gniew w XVI-XVIII wieku” (2011). Wczesną jesienią 2013 roku ukazała się kolejna - „Uposażenie kościołów, duchowieństwa i służby kościelnej w diecezji pomezańskiej (XVI-XVIII w.). Badacze dziejów biskupstwa pomezańskiego (ks. Wojciech Zawadzki, ks. Mieczysław Józefczyk) traktowali to

ks. Jan WIŚNIEWSKI

**Uposażenie kościołów,
duchowieństwa i służby kościelnej
w diecezji pomezańskiej
(XVI-XVIII w.)**

Olsztyn 2013

zagadnienie fragmentarycznie. Dlatego ks. J. Wiśniewski postanowił wypełnić tę lukę. Dzięki temu możemy poznać dokładniej dochody Kościoła w XVI-XVIII wieku.

Praca składa się ze wstępu, czterech rozdziałów, podsumowania, dodatku źródłowego i bibliografii. Rozdział pierwszy: „Geneza i granice diecezji pomezkańskiej w XVI-XVIII w”. Na terenie Prus Królewskich znalazł się tzw. oficjalat pomezkański, składający się z 5 dekanatów: sztumskiego, dzierzgońskiego, malborskiego, nowostawskiego i żuławskiego, poddany jurysdykcji biskupów chełmińskich. Biskupi byli jedynie administratorami. Śląc sprawozdania do Rzymu, oddzielnie omawiali terytorium pomezkańskie. W imieniu biskupa władzę sprawowali oficjale pomezkańscy, było ich w dziejach 31. Liczba parafii wahała się od 55 do 70, zmieniały się też terytoria należące do parafii.

W rozdziale drugim „Kasa kościelna” autor zauważył, że dochody kościoła i plebana należy zawsze rozgraniczać. Dochody kościoła powinny być przechowywane w skarbcu, do którego jeden klucz miał proboszcz, drugi w rękach witraków (prowizorów) pomagających w zarządzaniu parafią. Na mienie kościoła składały się świątynia, budynki, mienie ruchome, nieruchomości, jak włóki ziemskie i łąki użytkowane przez prowizorów lub osoby świeckie i dochody stąd płynące. Do innych dochodów należały fundacje pobożne. Stan materialny kościołów i proboszcza kontrolowali z polecenia biskupa dziekani danego dekanatu.

Dochody poszczególnych kościołów były zróżnicowane, np. do kasy kościoła w Fiszewie w 1647 roku wpływały opłaty od dwóch dzierzawców - 20 florenów i 20 groszy oraz opłaty pogrzebowe. Świątynia w Postolinie miała wpływy z ofiar wiernych składanych na tacę, miodu pszczelego od 7

barci oraz 20 groszy od każdego pogrzebu. Kościół posiadał lokaty testamentowe - 20 florenów od pani Bobińskiej i 30 od Elżbiety Benke, u rodziny Wilczewskich posiadał 200 florenów, co dawało rocznie 9 florenów.

Autor dokładnie przedstawia stan posiadania poszczególnych kościołów. Wszyscy parafianie zainteresowani byli stanem kościoła, wyposażeniem w sprzęt liturgiczny i ubiory. Ciężar utrzymania i remontu kościoła spoczywał na rządcach parafii i kolatorach, czyli patronach parafii. Obowiązek konserwacji kościoła i plebanii w Królewie spoczywał na gburach tej miejscowości. W 1742 roku parafianie zostali zobowiązani do odbudowy zniszczonej świątyni. Kościół w Starym Targu, zbudowany w 1325 roku, został zniszczony podczas „potopu” i wkrótce odbudowany. Wizytator biskupi w 1724 zauważył, że zabudowania plebańskie należy odnowić, i by były godnie utrzymane, jak kościół parafialny.

Kościół w Sztumie w wyniku ugody ks. W. Węgieńskiego z miastem, podpisanej w 1626 roku, miał być remontowany z funduszy miasta, ponieważ wcześniej był użytkowany przez ewangelików. Do kasy kościelnej wpływało rocznie 20 florenów. W XVIII wieku ks. Fabian Płaskowski własnym sumptem przyozdobił świątynię.

Rozdział trzeci nosi tytuł „Dochody duchowieństwa parafialnego”. Od soboru trydenckiego proboszcz był zobowiązany do przebywania w parafii. Wspomagali go w obowiązkach duszpasterskich komendariusze i wikariusze. Uposażeniem proboszcza były grunty przez niego użytkowane lub dzierżawione. W biskupstwie pomezkańskim średni areal ziemi uprawnej wynosił 3-4 włóki. Były takie parafie, które miały dwie, ale i takie, co powyżej siedmiu. Na początku XIX wieku dokonano podziału parafii na osiem

klas, uwzględniając wysokość osiągniętych dochodów. W zależności od tego przekazywano składki na rzecz chorych księży diecezji. Najbogatsze parafie leżały na Żuławach - klasa szósta. Parafie w dzisiejszym powiecie sztumskim - Sztum, Kalwę, Postolin zaliczono do czwartej, Stary Targ, Jasna, Żuławkę Szumską do trzeciej, Dzierżoń należał do piątej.

Nie zawsze parafianie wywiązywali się z obowiązku utrzymania kościoła i proboszcza, gdy chodziło o przekazywanie tzw. dziesięciny i kolendy. Znany jest konflikt, jaki rozgorzał w Postolinie, kiedy to proboszcz Franciszek Chelstowski w 1738 roku nałożył dodatkowe obciążenia na mieszkańców wsi na rzecz kościoła. Spór miał rozpatrzyć sąd biskupi. Chcąc uniknąć, procesu postolinianie poszli na ugodę. Proboszcz zgodził się, że wieś nie była nigdy kościelną i nie dawała żadnej tacy. Gwarantował to jej przywilej lokacyjny z 1295 roku. Mieszkańcy nie z obowiązku, a z pobożności zdecydowali się płacić dziesięcinę po sześć groszy od każdej zasianej włóki. Do innych powinności nie byli zmuszani, mogli świadczyć na rzecz kościoła tylko z własnej, dobrej woli. Pisałem o tym w artykule „Postoliński dokument z 16 września 1738 roku” („Z dziejów Sztumu i okolic cz. V” Sztum 2007).

Parafia Postolin posiadała osiem włók ziemi, dlatego żadnej tacy mieszkańcy wsi nie dawali. Dziesięcinę proboszcz otrzymywał w wysokości pół korca pszenicy i owsa od każdego z Pierzchowic, Watkowic, Kołozębia, Pułkowic, Miran, Sadłuk, Dąbrówki. Postolin otrzymywał jedynie nauczyciela. Obok włók w Postolinie proboszcz uprawiał cztery włóki w Nowej Wsi i Pietrzwałdzie, miał też dochód z dzierżawy trzech domów. Z uprawianej ziemi w Postolinie uzyskiwał 364 korce zboża, z Nowej Wsi 62 korce, od biednych 10 korców, z Sadłuk i Cygus 40 korców, Miran 11½ korca, to samo z Kołozębia, Pierz-

chowic 10 ½ korca, Watkowic Dużych 8 korców, Watkowic Małych 4 korce, Pułkowic 10½ korca. Ponadto dzierżawił włóki w Nowej Wsi i Pietrzwałdzie za co otrzymywał po 376 florenów. Ze swoich włók uzyskiwał 120 korców żyta i 10 wozów siana. Otrzymywał też prowizję lokowaną na dobrach szlacheckich - Watkowice, Wilczewo, Krastudy.

Rozdział IV „Uposażenie służby kościelnej” zajmuje się osobami wspomagającymi proboszcza. Byli to - organista, nauczyciel, kantor, dzwonnik, zakrystian, pomocnik organisty kalikant. Ze względów finansowych często dwie funkcje pełniła jedna osoba. Pierwsza wzmianka o służbie kościelnej pojawia się na początku XVII wieku, np. w Sztumie występował kościelny. Najlepiej był wynagradzany organista, będący zarazem nauczycielem. Mieszkał w budynku szkolnym. Jako uposażenie otrzymywał od dzierżawców gruntów parafii ¼ korca pszenicy, a na Wielkanoc i Boże Narodzenie jajka, jedną kielbasę, ryby i świece.

W Postolinie organista miał dochody w wysokości 8 korców pszenicy rocznie, przekazywały ją wsie - Postolin, Sadłuki, Kołozębia, Pierzchowice, Dąbrówka. Pułkowice płaciły po 6 groszy od każdego domu, Watkowice Duże i Małe, Wilczewo, Ramzy, Polaszki nie płaciły nic, bo były to włości szlacheckie. Nauczyciel w Postolinie, wymieniany od roku 1624, otrzymywał od mieszkańców ćwierć korca żyta i 3 grosze, zaś od zagrodników 1 grosz. Parafianie nie zawsze chcieli utrzymywać nauczyciela i remontować szkołę.

Bardzo rzadko pojawia się informacja o kantorach. W Sztumie zatrudniony był od 1710 roku, otrzymywał 4 złote rocznie z kasy bractwa różańcowego, bo prowadził również modlitwy różańcowe. To samo można powiedzieć o kopaczach i dzwonnikach. W Starym Targu kopacz i dzwonnik był utrzymywany przez wszystkich parafian.

Jako pewne uzupełnienie do cennej książki w dorobku ks. Jana Wiśniewskiego można podać, że wzmiankowana w rozdziale pierwszym grafowa Sierakowska, właścicielka szlacheckiej wsi Igły, to Marianna z Chelstowskich primo voto Bagniewska, która wyszła drugi raz za mąż za Teodora Sierakowskiego. Pochowani zostali w klasztorze reformatów w Dzierzgoniu. Kalkstein z Klecewa miał na imię Augustyn, a jego żona to Marianna.

Nie ma książki, gdzie nie byłoby drobnych błędów, tzw. literówek. Często właściwą nazwę, jaką podaje autor, zamienia w składzie komputer. Np. Cygusy zamienił na Nygusy

(s. 31), Krastudy na Kasbudy (24), Chojty na Chojny (25). Na stronie 165 jest „archidiakonie nowosądecki” winno być „nowosądeckim”. Niepotrzebnie autor na jednej stronie podaje trzy razy to samo źródło w pełnym brzmieniu, wystarczyło pierwszy raz, a następnie skrócić. To samo się dzieje, gdy powołuje się na literaturę przedmiotu. Można było zrezygnować z podawania łacińskich zapisów, gdy podaje polskie odpowiedniki.

Książka ks. prof. Jana Wiśniewskiego poszerza wiedzę o dziejach biskupstwa pomezjańskiego w zakresie dochodów duchowieństwa. Osoby interesujące się historią regionu powinny je przestudiować.

Andrzej Lubiński

ZAKONY I ZAKONNICY W MALBORKU I DZIERZGONIU

ks. Wojciech Zawadzki, *Zakony w Pomezanii w XVII - XIX wieku*, Olsztyn-Elbląg 2013.

Po pracy ks. Jana Wiśniewskiego ukazała się kolejna pozycja poświęcona diecezji pomezjańskiej w czasach nowożytnych. Książkę dr hab. Wojciech Zawadzki opublikował książkę „Zakony w Pomezanii w XVII - XIX wieku”. Składa się z wstępu, trzech rozdziałów, aneksów, zakończenia i bibliografii. Autor przeprowadził gruntowną kwerendę w archiwach polskich oraz niemieckich w Berlinie i Lipsku, wykorzystał reprodukcje z archiwum rzymskiego Zakonu Jezuitów wykonanych przez dr S. Kościelaka z Uniwersytetu Gdańskiego.

Rozdział pierwszy przedstawia dzieje kościelne Pomezanii do końca XVI wie-



ku. Autor rozpoczyna od pierwszych prób chrystianizacji tych terenów między X-XII wiekiem, misji biskupa Christiana, wypraw krzyżowych, powołania biskupstw chełmińskiego, pomezkańskiego, warmińskiego. Na terenie biskupstwa pomezkańskiego w Malborku znajdowała się stolica zakonu krzyżackiego. Pomezkania została szybko skolonizowana przez Zakon w ciągu 60 lat XIV wieku. Przegrana wojna z Polską (1409-1411) zapoczątkowała zmiany społeczno-ekonomiczne zakończone pokojem toruńskim w 1466 roku. Część biskupstwa pomezkańskiego włączona została, jako Prusy Królewskie, do Królestwa Polskiego, część pozostała przy zakonie. Kolejny przełom to sekularyzacja zakonu, hołd pruski w 1525 roku i powstanie Prus Książęcych. Biskupi chełmińscy stali się administratorami pięciu dekanatów pomezkańskich leżących w granicach Królestwa Polskiego.

Rozdział drugi pokazuje życie zakonne w Pomezanii do 1525 roku. Wcześniej, do 1207 roku, nawracanie Prusów na chrześcijaństwo kończyło się niepowodzeniem. Dopiero misja cystersów z Łekna w Wielkopolsce przyniosła wymierne skutki: Chrystian założył pierwszy klasztor w Zantyrze i został jego opatem, a później biskupem. Od dawna toczył się spór o jego dokładną lokalizację. Jedni badacze sytuowali w miejscowości Węgry, inni w okolicach Białej Góry. Niedawno archeolog z Muzeum Zamkowego w Malborku Zbigniew Sawicki natrafił (najprawdopodobniej) na pozostałości Zantyru w Białej Górze niedaleko Nogatu.

Obok cystersów misję w Postolinie prowadzili norbertanie z Żukowa, a dominikanie z Gdańska na terenie ziemi pasłęckiej. Najważniejszą rolę odgrywał Zakon Najświętszej Maryi Panny Domu Niemieckiego, mający 26 konwentów, który niechętnie

zgodzał się na działalność innych zakonów. W 1480 r. założony został zakon franciszkanów obserwantów w Zalewie. Istniał on do 1527 roku.

Rozdział trzeci to najbardziej wartościowa część tej pracy. Zakon jezuitów został sprowadzony do Malborka w 1618 roku. Nie zachowała się pierwsza kronika, bo zaginęła w czasie pierwszej wojny szwedzkiej z lat 1626 - 1635. Kolejna prowadzona była od 1647 roku. Została niedawno przetłumaczona z łaciny na język polski przez emerytowanego biskupa warmińskiego prof. Juliana Wojtkowskiego. Sprowadzenie jezuitów do Malborka wywołało różne reakcje wśród luteranów malborskich i duchownych katolickich. Niektórzy urzędnicy zamkowi byli im niechętni, obawiano się przejęcia przez nich całego zamku. Jezuiti zdawali sobie sprawę, że charakter ich pracy będzie misyjny.

Początkowo biskup chełmiński wyznaczył jezuitom miejsce zamieszkania z boku kościoła parafialnego św. Jana, na cmentarzu między fosą a kościołem. Gdy wybuchła pierwsza wojna szwedzka jezuita opuścili Malbork, a ich pierwsza rezydencja spłonęła w 1628 roku. Wrócili do Malborka po pokój w Sztumskiej Wsi, ale ich sytuacja bytowa była nadal trudna. Zamieszkali w domu należącym do parafii katolickiej. Potop szwedzki spowodował, że ponownie opuścili miasto. Schronienie znaleźli u jezuitów gdańskich, a w Malborku znaleźli się w 1661 roku. Ich starania o kościół zamkowy zakończyły się sukcesem w 1666 roku. Otrzymali też na mieszkania komnaty kapelanów krzyżackich przy kościele. Rezydencja jezuita, otwarta rok później, dawała poczucie bezpieczeństwa przed luteranami. We wsi Kościeleczyki mieli swoją stację misyjną i majątek liczący 4 włóki ziemi. Pracowało tam ogółem 39 jezuitów. Posia-

dali też kilka folwarków: Czerwony Dwór, Grzymały, Liebenthal, Hamry, Śledziówka. Druga stacja misyjna jezuitów była w Fiszewskim Polu.

Od roku 1742 na zasypanej fosie zamkowej wznoszono od podstaw nową rezydencję. Pieniądze wyłożyli okoliczni księża i ludzie świeccy. Nowy budynek ukończony został w 1761 roku. Sytuacja ekonomiczna jezuitów poprawiała się na skutek zapisów testamentowych, legatów od szlachty. O niektóre zapisy finansowe toczyli boje przed różnymi sądami, np. z rodziną Działyńskich, kasztelanem Łochockim, wojewodziną Biełlińską, Eleonorą z Łosiów Warszucką.

W latach 1619 - 1780 jezuitów malborskich miało być 158. Pochodzili oni z różnych terenów Polski i krajów europejskich. W Malborku prowadzili dwie szkoły. Kronika z dumą odnotowywała sukcesy duszpasterskie. Pisano o nawróceniu luteranów, kalwinów, prawosławnych, starozakonnych. Sukcesem było nawrócenie luteranina, późniejszego starostę malborskiego Michała Rexina w 1713 roku. Jezuiti pracowali w kilku parafiach pomezzańskich. Różnie układały się ich stosunki z radą miasta Malborka, polskimi urzędnikami oraz duchowieństwem diecezjalnym. Po kasacji zakonu przez papieża Klemensa XIV w 1773 r. władze pruskie zmusiły jezuitów do opuszczenia Malborka w 1780 r., ostatni wyjechał cztery lata później. Budynki przejęli księża diecezjalni, urządzono w nich szkołę katolicką. W 1842 r. zamek należał już do króla pruskiego i on podejmował decyzje, co ma się znajdować na zamku.

Sprowadzenia reformatów franciszkańskich podjął się w roku 1678 Jan Ignacy Bąkowski. 16 lipca 1685 wikariusz generalny, późniejszy biskup Tomasz Bogoria Skotnicki

wydał list o osadzeniu reformatów w Dziergoniu. Pierwsi zakonnicy z przełożonym Ludwikiem Geislerem zamieszkali w małym domku należącym do Bąkowskiego.

W 1693 r. zapadła decyzja o budowie kościoła św. Ducha i klasztoru. Autorowi udało się ustalić dane 160 franciszkanów zamieszkujących klasztor dzierzgoński. Jest to lista niepełna ze względu na częste zmiany miejsca zamieszkania zakonników. Pochodzili oni z terytorium całego królestwa polskiego, niektórzy z Czech. W okresie świetności w klasztorze przebywało 15 zakonników. W podziemiach zaś spoczęło 39 ojców i 19 braci zakonnych. Zakonnicy franciszkańscy cieszyli się uznaniem w okolicy, podejmowali prace fizyczne, troszczyli się o zaplecze gospodarcze wspólnoty. Spora część zakonników była słabo wykształcona. Między franciszkanami a duchowieństwem diecezjalnym dochodziło do krótkotrwałych spór, np. spór o ciało zmarłej w parafii Postolin szlachcianki Marianny z Ciemniewskich Wilczewskiej, która chciała być pochowana w klasztorze. Dobrze układała się współpraca z jezuitami, wzajemnie się odwiedzali przy okazji świąt zakonnych.

Franciszkanie otrzymywali darowizny w gotówce od okolicznej szlachty, np.: Magdaleny Wałdowskiej z Zielonki w 1765 r., Szymona Skalskiego ze Stążek. Pieniądze zapisywali też okoliczni duchowni. W 1810 roku król pruski wydał edykt likwidujący klasztory a Prusach. W obronie klasztoru stanęło okoliczne ziemiaństwo: Antoni Sierakowski z Waplewa, Antoni Donimirski z Bukowa, Józef Donimirski Cygus, Piotr Wilczewski z Montek i Michorowa, Wałdowscy, Michał Kalkstein z Klecewa, Łyskowscy z Bruku i Starej Wsi, Żelewska z Kątek. Niektóre imiona obrońców udało się mi ustalić dzięki wypisom genealogicz-

nym, jakie są w posiadaniu dr. Jacka Schirmera. W 1828 roku ziemianie ci napisali list do króla pruskiego prosząc, by nie likwidował klasztoru, bo na cmentarzu klasztornym spoczywają ich bliscy. Autor pracy dotarł do wpisu księgi zmarłych klasztoru, którą sporządzono w roku 1828. Wynika z niego, że pochowani w kościele są: Julianna, Waleria i Antoni Łyskowsy, Augustyn Kalkstein, Marianna, Teodor i Józef Sierakowsy, Maciej Grąbczewski, Wawrzyniec Białobłocki, Magdalena Wałdowska, Róża Kczewska, Rozalia Rabówna, Eleonora Zawadzka, Jakub Przebendowski, Teresa Kruszyńska i Barbara Zawadzka.

Ostatecznie kościół klasztorny przekazano katolikom, a w budynku klasztornym umieszczono szkołę dla katolickich i ewangelickich dzieci.

Aneksy do pracy ks. Zawadzkiego zawierają cenne źródła, dotyczące dziejów klasztorów w Zalewie, Malborku i Dzierzgoniu. Z zamieszczonych biogramów można się dowiedzieć, skąd pochodzili zakonnicy, w jakich domach zakonnych przebywali oraz pełnione funkcje.

Książka ks. Wojciecha Zawadzkiego wypełnia kolejną lukę, związaną z historią zakonów leżących na terenie biskupstwa pomezańskiego w czasach od XVII - XIX wieku.

Andrzej Kasperek

SZTUTOWO/STUTTHOF - POMIĘDZY PLAŻĄ A OBOZEM

Sztutowo/Stutthof. Gdzieś pomiędzy plażą a obozem, red. nauk. Natalia Bloch, Anna Weronika Brzezińska, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2013.

W roku 2011 opublikowano tom rozpraw naukowych pt. „Sztutowo czy Stutthof? Oswajanie krajobrazu kulturowego”. Był on owocem projektu (pod tą samą nazwą), który realizowali naukowcy i studenci Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu – z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej oraz Instytutu Prahistorii. Interdyscyplinarny charakter badań połączył wysiłki archeologów i etnologów. Wykopaliska i wywiady przeprowadzone wśród mieszkańców Sztutowa i okolicznych wiosek (Stegna, Jantar, Junoszyño, Izbiska, Mikoszewo,



Rybina), pracowników Muzeum Stutthof oraz osób odwiedzających muzeum dały ciekawe rezultaty. Pozwoliły m.in. na „na poznanie poziomu zainteresowania sztutowian historią Stutthofu i ich stosunku do tego szczególnego miejsca, naznaczonego cierpieniem i śmiercią”.

Sukces tego przedsięwzięcia (muzeum zostało laureatem prestiżowej nagrody „Wydarzenie Muzealne Roku – Sybilla 2011”) skłonił muzealników ze Sztutowa oraz naukowców i studentów z Poznania do kontynuacji badań. Tym razem jednak zdecydowano się na przeprowadzenie etnograficznych badań terenowych, ale ich wyniki nie zostały uwieńczone kolejnymi rozprawami, tylko przybrały formę reportaży. Dlaczego tak? Wyjaśnia to wstęp Natalii Bloch: „Powodowało nami pragnienie przełożenia doświadczenia terenowego na język niehermetyczny, niezarezerwowany tylko dla plemienia antropologów”. Do współpracy zaproszono nie tylko etnologów, ale także studentów polonistyki, kulturoznawstwa, politologii, archeologii oraz kognitywistyki. Powstało 16 reportaży „o złożonych relacjach i niedookreślonych przestrzeniach pomiędzy byłym KL Stutthof (dziś Muzeum), a miejscowością Sztutowo, starającą się przyciągać turystów nad bałtyckie plaże. O tym, co i jak się pamięta, o czym i dlaczego się zapomina. O pamięci nie tylko Zagłady, ale także wysiedleń i przesiedleń, PGR-ów i transformacji. O prawie do zmiany. O życiu”. Książka ma świetny tytuł: „Sztutowo/Stutthof. Gdzieś pomiędzy plażą a obozem”. Nie ma już znaku zapytania jak w poprzednim tomie. Użycie ukośnika jest tu zupełnie zasadne. Ta miejscowość już nigdy nie uwolni się od przeszłości. To nie jest

tylko rozdzielenie znakiem graficznym obecnej i starej nazwy (np. Stegna /Stegen), to coś więcej. Sztutowo dźwiga ciężar historii, jest stygmatyzowane przez istnienie w tej miejscowości obozu koncentracyjnego Stutthof. Bardzo ciekawie pisał o tym Marcin Owsiański w artykule pt. „Trzy światy Stutthofu: obóz - kurort – normalność” opublikowanym w nr 11 „Prowincji”. Badał: przedwojenny kurort, obóz działający na tym terenie od 2 września 1939 r. do 9 maja 1945 r. oraz powojenne losy wsi. On także pokazywał, jak bardzo obóz jest obecny w powojennej historii tej miejscowości.

Autorzy tomu prowadzili badania terenowe od 21 do 28 maja 2011 r. Tydzień czasu to niewiele. Na zebranie materiałów i napisanie reportażu czasem to zbyt mało. Nie oczekujemy więc po tym zbiorze uniesień artystycznych. Czasem widać pewną nieporadność u młodych autorów, bo też reportaż tylko pozornie jest prostym sposobem zapisu rzeczywistości. Ale mimo pewnych uchybień i słabości warto sięgnąć po ten zbiór. Skala tematów jest bardzo duża, bo wbrew tytułowi autorzy podejmują także takie, które wykraczają poza obóz-muzeum i wieś. Piszą o autochtonach, mieszkańcach wsi popegeerowskich, pomniku smoleńskim, księżach z parafii na Mierzei. Wydaje mi się, że Sztutowo (a szerzej Mierzeja i Żuławy) otrzymują w tym tomie prezent - ciekawą próbę sportretowania ludzi tu żyjących na początku drugiej dekady XXI wieku. I aż żal, że nikt wcześniej nie wpadła na ten pomysł. Dziesięć, dwadzieścia lat temu żyło tu pokolenie osadników, dziś można rozmawiać tylko z ich dziećmi, a prawie wszyscy autochtoni wyjechali ...

Tom poprzedza wnikliwy tekst Natalii Bloch pt. „Między terenem a tekstem, czyli o siedmiu grzechach głównych w tworzeniu narracji o światach innych ludzi”, w którym autorka daje teoretyczną podbudowę badaniom terenowym studentów (ale na szczęście wystrzega się hermetycznego języka). Mamy tu przegląd metod badawczych etnografów, informację o tym, jak dobierano tematy, a dla chętnych obfitą bibliografię, która pokazuje, jak w sposób oryginalny i twórczy można posłużyć się narzędziami wypracowanymi przy badaniach Afryki czy Azji do opisu polskiej prowincji.

Z reportaży zamieszczonych w tomie najbardziej przypadł mi do gustu tekst Wojciecha Michalika „Sprzątając Zagładę”. Już sam pomysł, żeby pójść śladem

sprzątaczkę muzealnej jest interesujący i zdradza, że autor potrafił w pani Jadwidze, od kilkudziesięciu lat z wiadrem i miotłą pucującą salę muzeum, odnaleźć osobę niebanalną, która wyznaje: „To miejsce daje więcej sił, niż zabiera. Kiedy myślę sobie o ludziach, którzy tu byli, od razu się mobilizuję. Tutaj człowiek może się bardzo wiele dowiedzieć o sobie”.

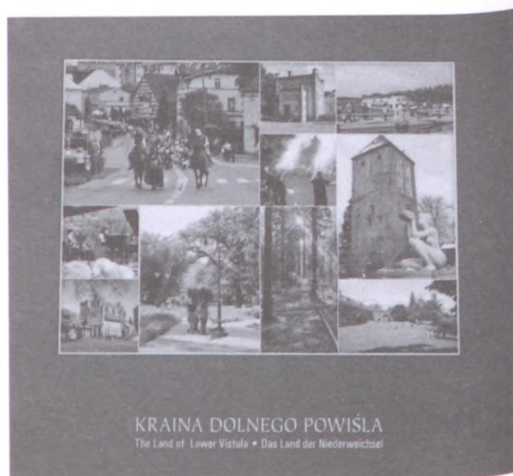
Jeśli interesuje was: jak to jest prowadzić pensjonat dla wczasowiczów przy ulicy Obozowej, kim są detektoryści albo chcecie poznać historię trzystu głów więźniów KL Stutthof wyrzeźbionych w kartoflach lub dowiedzieć się, co to jest tanatoturystyka a także, kto na podstawie paragrafu 175 trafił do obozu, to powinniście przeczytać tę książkę.

Wacław Bielecki

KWADRATOWY ALBUM

Kraina Dolnego Powiśla - The Land of Lower Vistula - Das Land der Niederweichsel, Kwidzyn 2013, Wydawnictwo VEGA Studio Ad.

Z inicjatywy Stowarzyszenia Lokalna Grupa Działania „Kraina Dolnego Powiśla” w Dzierzgoniu ukazał się album fotograficzny. Stowarzyszenie działa od pięciu lat we wszystkich pięciu gminach wchodzących w skład powiatu sztumskiego. Jak wynika ze wstępu napisanego przez Jolantę Szewczun, nota bene, przewodniczącą rady powiatu sztumskiego, album



ma na celu zachęcenie do odbycia „wędrowek i odkrywania tego, naszego, skrawka ziemi.”

Album ma nietypowy, bo kwadratowy format, ok. 22 x 22 cm. W tej ładnie wydanej publikacji znajduje się prawie siedemdziesiąt kolorowych fotografii pokazujących krajobrazy, architekturę lub wydarzenia w pięciu gminach Dolnego Powiśla. Najwięcej fotografii jest z gminy Dzierzgoń, Sztum i Stary Dzierzgoń, a najmniej z Mikołajek Pomorskich i Starogo Targu. Ponieważ album jest kwadratowy, to i zdjęcia są przeważnie w formie mniejszych czy większych kwadratów. Jest to nietypowy rozmiar, bo zwykle oglądamy fotografie w proporcjach 3:4 lub 2:3.

W publikacji w szczególny sposób wyróżniono 21 zdjęć przez wydrukowanie ich na całej stronie, a 5 fotografii, nawet na prawie dwóch stronach. Są to przepiękne zdjęcia o tytułach: *Dzierzgoń oraz Mikołajki z lotu ptaka*, *Przejazd orszaku króla Władysława Jagiełły przez Dzierzgoń*, *Plac zabaw przy bulwarze zamkowym w Sztumie*, *Dziesięć bocianów na łące w gminie Stary Dzierzgoń*. Szczególnie to ostatnie zdjęcie jest po prostu zachwycające. I tu przeglądającemu album nasuwa się naturalne pytanie: kto jest autorem tej fotografii? Niestety, nazwiska żadnego fotografa nie znajdziemy. W stopce redakcyjnej na stronie 48 czytelnik znajdzie informację,

iż zdjęcia pochodzą z „archiwum Stowarzyszenia Lokalnej Grupy Działania „Kraina Dolnego Powiśla”, archiwa gmin oraz domów kultury”. Wydawcy i koordynatorzy zadali sobie wiele trudu, aby podpisać każde zdjęcie i przetłumaczyć podpis na język angielski i niemiecki, a nie ujawnili nazwiska fotografów. W ten sposób powstał anonimowy album. Szkoda, wielka szkoda, bo jestem przekonany, że wielu autorów zdjęć można by przedstawić z imienia i nazwiska.

Opublikowane fotografie zasłużyły na sygnowanie ich nazwiskami autorów, bo zdjęcia są naprawdę piękne, do tego stopnia, że jedna z moich znajomych, która zajrzała do albumu powiedziała: *Powiśle na tych zdjęciach jest niewiarygodnie ładne, chyba ładniejsze niż w rzeczywistości*. Moim zdaniem, słowa uznania należą się wszystkim osobom biorącym udział w pracach nad albumem, a szczególnie osobom odpowiedzialnym za opracowanie graficzne i przygotowanie publikacji do druku. Ten album warto mieć pod ręką w chwili, gdy spodziewamy się gości z innych stron lub gdy chcemy zachęcić do zwiedzania Dolnego Powiśla. Oglądanie fotografii może też sprawić ogromną przyjemność osobom, które dobrze znają powiślańskie miejsca i krajobrazy, bo niektóre ujęcia są zrobione z ciekawej, nietypowej perspektywy lub z lotu ptaka.

Andrzej Kasperek

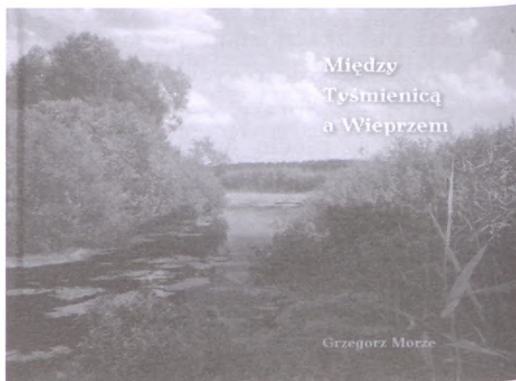
GDZIEŚ POMIĘDZY TYŚMIENICĄ A WIEPRZEM, CZYLI A TO POLSKA WŁAŚNIE...

Grzegorz Morze, *Między Tyśmienicą a Wieprzem*, Gminna Biblioteka Publiczna w Ostrówku-Kolonii, 2013.

Tytuł naszego kwartalnika zobowiązuje. Trzeba czasem wyrzucić poza własne opłotki i zajrzeć do innej prowincji. Nadarza się ku temu dobra okazja, bo w moje ręce wpadł album Grzegorza Morze pt. „Między Tyśmienicą a Wieprzem”. Pewnie wielu czytelników z Północy Polski rzekę Wieprz kojarz tylko z lekcjami geografii i jak przez mgłę przypomina sobie, że jest to prawy dopływ Wisły. Tym, którzy jeszcze się zastanawiają, gdzie to jest, podpowiadam, że to blisko Radzyna Podlaskiego, czyli okolice Wilkowyj z telewizyjnego serialu „Ranczo”. A więc kwintesencja polskiej prowincji:

Ni wyżyna, ni nizina,
Ni krzywizna, ni równina --
Taka gmina.
Ani piasek, ani glina,
Tylko lasek i olszyna --
Taka gmina.

Jeremi Przybora stworzył obraz polskiej wsi, niebogatej, pozbawionej aspiracji, ale jakoś swojskiej. Czy ta Polska B, położona daleko od szosy, z dala od dużych miast, jest dziś inna, niż kilkadziesiąt lat temu, kiedy ta piosenka powstała? Chwała Bogu - tak! Album Grzegorza Morze został wydany w ramach projektu współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej (Program Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013) przez Gminną Bibliotekę Publiczną w Ostrówku-Kolonii. Jeśli ktoś narzeka, że Unia to



„samo zło” i przynosi Polsce tylko straty, to niech zajrzy do tego wydawnictwa.

Jest coś bardzo krzepiącego, że znajdują się pieniądze na takie przedsięwzięcia. Pewnie podobna publikacja mogłaby powstać w każdym regionie naszego kraju, bo wszędzie są ludzie zakochani w swoich Żuławach, Powiślu, Podlasiu, Pałukach, Suwalszczyźnie, Kaszubach... Mógłbym tak wymieniać bez końca. Bo każdy chętnie zanuci starą piosenkę:

Piękna nasza Polska cała,
Piękna, żyzna i wspaniała,
Wiele krain, wiele ludów,

Ale nie wszystkie regiony mają to szczęście, że żyją tam pasjonaci, ludzie utalentowani i zdecydowani na poświęcenie swego prywatnego czasu na sławienie swej małej ojczyzny. Nawet jeśli jest to ojczyzna przyszywana. Bo Grzegorz Morze pochodzi z Gdańska, a obecnie zamieszkuje w Gdyni. Od niepamiętnych czasów związany jest z Uniwersytetem Gdańskim – najpierw jako student filologii polskiej zgłębiający dokładnie jej tajniki, a później wraz z żoną Alicją prowadził księgarnię

na Wydziale Humanistycznym. Słynne były spotkania autorskie, które organizowali. Kogo tam nie było? Miłosz, Grass, Kaczmarek, Chwin, Janion... Dziś księgarni już nie ma, ale Grzegorz prowadzi nadal kiosk, w którym można kupić książki i prasę. Tyle, że w czasie wakacji ruch w ich branży zamiera i firmę trzeba zamknąć. Po co siedzieć w mieście, skoro jest spadek po rodzicach – chata w Leszkowicach na Lubelszczyźnie. Jeździ tam od dziecka i nigdy mu się nie znudziło. Mówi: *„Tam są fantastyczne tereny, jeszcze niezbadane. [...] Robię zdjęcia tamtych okolic. Dokumentuję kapliczki, krzyże przydrożne, rzeźby”*. Większość fotografii powstała w czasie tych wyjazdów wakacyjnych i świątecznych. Każdą opatriono dokładną datą i godziną powstania. To dobry pomysł dokumentacyjny. Album ukazuje wedle autora „częstkę niezwykłego, często nieuświadomionego piękna tej ziemi, urodę dzieł stworzonych przez ludzi na niej żyjących”. I trudno się z tymi słowami nie zgodzić.

Książkę otwiera motto z Andrzeja Maksymiliana Fredry: *„Cóż potem wie-*

dzieć – co się w Rzymie działo, albo co się w obcych krajach dzieje, a nie wiedzieć – co się dzieje doma. Cudze wiedzieć rzeczy ciekawość jest; a swoje potrzeba”. Wydawnictwo pokazuje krajobraz, przyrodę, pamiątki kultury materialnej oraz tradycję Gminy Ostrówek i okolic. Przedstawia najciekawsze zakątki gminy położonej „w ramionach dwóch rzek – Tyśmienicy i Wieprza. Krainy, która uwodzi swym wdziękiem, intryguje krajobrazami i zaciekawia różnorodnością świata roślin i zwierząt”. Mnóstwo ciekawych zdjęć przyrody, podpatrywania zwierząt ale też ludzi, ich zwyczajów, ginących tradycji, zapomnianych rzemiosł. Przeglądając ten album fotograficzny, czytając obszernie opisy pełne wiedzy historycznej, etnograficznej, botanicznej – o dziejach kościołów, ziołach, żniwach etc, etc. mamy wrażenie, że oto część naszej tradycji i historii regionalnej została ocalona.

Na zakończenia słowa uznania dla wydawcy i gospodarzy Gminy Ostrówek. Ta książka to przykład mądrego myślenia o promocji swego regionu i pomysłu na mądre wykorzystanie publicznych pieniędzy.

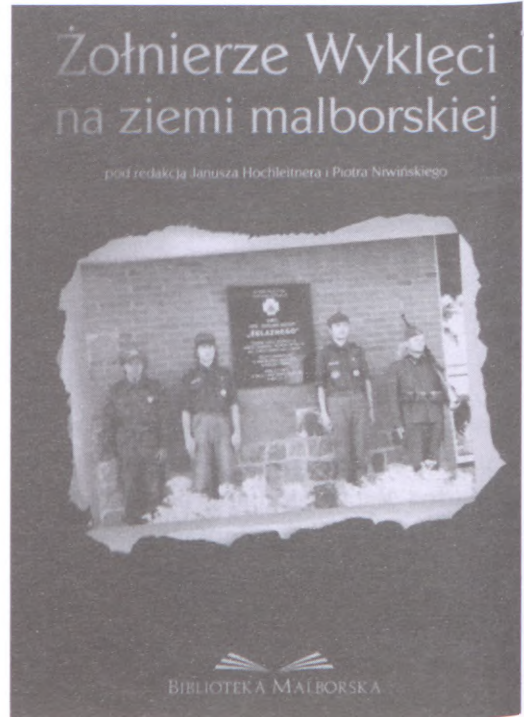
Marta Chmieleńska-Jamroz

WYKŁĘCI

Żołnierze Wyklęci na Ziemi Malborskiej, pod redakcją Janusza Hochleitnera i Piotra Niwińskiego, Malbork 2013.

W połowie listopada drukarnię opuściła kolejna publikacja dotycząca Ziemi Malborskiej i Powiśla – zawiera ona referaty wygłoszone na I Konferencji „Żołnierze Wyklęci w powiecie malborskim”, którą zorganizowało 1 marca 2013 roku Muzeum Zamkowe w Malborku przy współpracy z Muzeum II Wojny Światowej i Stowarzyszeniem Historycznym im. 5 Wileńskiej Brygady AK. Książka zawiera teksty napisane i wygłoszone przez osoby reprezentujące różne środowiska i instytucje. To, co dla nas jest ważne to fakt, że wszystkie artykuły mówią o terenach będących w kręgu zainteresowania naszej „Prowincji”.

Uwagę zwraca tekst autorstwa Marzeny Kruk z Gdańskiego Oddziału IPN, która opisała sztumską siatkę wspierającą wileńskich partyzantów. Tak szczegółowa wiedza autorki jest wynikiem wieloletnich badań, które prowadziła śledząc dokumenty w różnych archiwach. Dzięki temu możemy dziś przeczytać o Ottomarze Zielke i Józefie Preussie, których nazwiska wciąż są żywe w Sztumie. Myślę, że każdy badacz historii tej miejscowości powinien przeczytać ten rozdział, ponieważ jest to pierwsza i jedyna tak obszerna publikacja podejmująca temat mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” i jego pobytu w powiecie sztumskim. Autorka jest pracownikiem naukowym oraz pasjonatką tematu 5. Wileńskiej Brygady AK,



gwarantuje to drobiazgowość poszukiwań i informacje oparte na dokumentach i zeznaniach, a nie jedynie opowieściach przekazywanych po latach. Autorka między innymi prezentuje postacie związane ze sztumską siatką oraz opisuje proces pokazowy, który rozpoczął się w Sztumie 18 listopada 1948 roku.

Tekst Bartłomieja Garby (Muzeum II Wojny Światowej) mówi o ludności rodzimej zamieszkującej Ziemię Malborską w latach 1945 – 46. Wiadomo, że były to stosunki skomplikowane i jak opisuje autor wynikały z różnych powodów. Po pierwsze, do mieszkańców rodzimych przyłgnęło znamię niemczyzny, a po wtóre pomiędzy nimi a ludnością napływową

istniały różnice ekonomiczne. Ci z autochtonów, którym udało się cokolwiek z pożogi wojennej uratować byli zwyżczajnie bogatsi od przesiedleńców, którzy często przybywali z małym bagażem podręcznym. Jak opisuje B. Garba dochodziło na tym tle do rabunków, pobic a nawet morderstw. W referacie jest także mowa o stosunku ludności mieszkającej na tych terenach do żołnierzy 5 Wileńskiej Brygady AK.

Bardzo ciekawym fragmentem jest opowieść uczniów z Zespołu Szkół Katolickich im. bł. Jana Pawła II w Malborku, którzy opisali dzieje budynku, w którym dziś mieści się szkoła a w latach 40. znajdowała się siedziba Urzędu Bezpieczeństwa. Jako ciekawostkę mogę tu dodać, że uczniowie poszukują osób, które były przetrzymywane czy przesłuchiwane w tym właśnie miejscu. Być może uda się w ten sposób stworzyć unikalne świadectwo tamtych wydarzeń.

Na zakończenie nie sposób nie wspomnieć artykułu jednego z autorów naszego kwartalnika – Marka Stokowskiego, który opisał postać swojego teścia Stanisława Bogdanowicza i historię powstania rodzinnego filmu o tym żołnierzu Armii Krajowej. Wspomnienia te, zapisane na płytach trafiły do Muzeum II Wojny Światowej przekazane przez ich bohatera osobiście w czasie Konferencji. Książka ma dziś szczególne znaczenie, bowiem Stanisław Bogdanowicz zmarł w połowie października.

Uważam, że książka jest godna polecenia wszystkim osobom pasjonującym się historią tego regionu, znajduje się w niej wiele zupełnie nowych informacji a opieka redakcyjna znawcy tematu 5 Wileńskiej Brygady AK na Pomorzu, Piotra Ni-

wińskiego gwarantuje lekturę na wysokim merytorycznym poziomie.

W spisie treści znajdziemy: **Zbigniew Anculewicz** - *Żołnierze wyklęci w polskiej historiografii*; **Piotr Niwiński** - *Podziemie niepodległościowe w Polsce po 1944 roku*; **Bartłomiej Garba** - *Ludność rodzima na ziemi malborskiej 1945-1946*; **Jolanta Justa** - *Ziemia Malborska w latach 1945-1946. Struktura władz i zmiany ludnościowe*; **Marzena Kruk** - *Sztumska Grupa Wsparcia 5. Wileńskiej Brygady AK. Z badań nad stosunkiem ludności pomorskiej wobec partyzantki antykomunistycznej*; **Arkadiusz Dzikowski** - *Działalność 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej na Powiślu (1945-1946)*; **Robert Jamroz** - *Marian Babiński i Stanisław Ludwikowski – żołnierze podziemia niepodległościowego w szeregach Urzędu Bezpieczeństwa*; **Marta Chmieleńska-Jamroz** - *Pamięć o ofiarach czy pamięć o katach? Pomniki „utrwalaczowskie” i miejsca upamiętniające żołnierzy podziemia niepodległościowego w powiecie malborskim i sztumskim*; **Katarzyna Babirecka, Natalia Leśniak, Krystian Hellwig** - *UB w siedzibie naszej szkoły*; **Marek Stokowski** - *Rodziny projekt filmowy „Stanisław Bogdanowicz – Pamiętam”*; **Michał Ostapiuk** - *Wzajemne relacje pomiędzy pomorskim a olsztyńskim środowiskiem kombatantów*.

Anna Misiewicz

POWRÓT PRZESZŁOŚCI¹

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Uliczka była pusta. Paliła się tylko jedna latarnia. W oddali słychać było przejeżdżające samochody. Szedł szybko, nerwowo oglądając się za siebie. Udało się, pomyślał z satysfakcją. Serce wciąż mu waliło, a policzki płonęły. Uśmiechnął się do siebie na wspomnienie minionych kilkunastu minut. Wszystko poszło według planu. Nie spodziewał się, że wykona zadanie tak szybko. To przerosło jego najśmielsze wyobrażenia. Matka miała rację. Nie doceniał siebie i swoich możliwości. Gdyby tylko wiedziała, jak wykorzystał te umiejętności... Kiedyś jej powie. Zrozumie go. Na pewno. Przecież zrobił to dla niej. Będzie z niego dumna. Wyjął spod koszulki srebrny medalik i pocałował go. To dla ciebie, mamo, pomyślał. Zaśmiał się pobłaźliwie, lecz po chwili umilkł, usłyszawszy jakiś odgłos. Odwrócił się i odechnął z ulgą. To tylko bezpieczny pies, pomyślał. Zawrócił się i podszedł do czworonoga. Kucnął i wyciągnął z kieszeni paczkę sezamków. Otworzył je i wysypał zawartość na ziemię.

- Wybacz, trochę mi się pokruszyły – powiedział, po czym wstał i ruszył przed siebie.

Chciał jak najszybciej wydostać się z tego miejsca. Zaczynało świtać i ktoś mógłby go zauważyć. Podszedł do samochodu i cicho otworzył drzwi. Nie mógł sobie pozwolić na choćby najmniejszy hałas. Zasiadł za kierownicą i sprawnie odpalił silnik. Powoli opuszczał tą okolicę – miejsce grzechu, miejsce przestępstwa.

Zaczynało do niego docierać, co zrobił. Zabił. Chyba powinien odczuwać wyrzuty sumienia, pomyślał i spojrzął w przednie lustro. Ulice były niemal puste. Czasem minął go jakiś samochód. Za dwie godziny ulice wypełni tysiące aut. Ludzie będą odwozić dzieci do szkół, a potem sami udadzą się do pracy. Beztroscy, niczego nieświadomi, pomyślał. Żyją tylko swoim życiem i swoimi sprawami. Będą dzisiaj tędy przejeżdżać, nie zdając sobie sprawy, że kilka przecznic dalej leży człowiek. Martwy człowiek. Być może ich dzieci chodziły z jego do jednej klasy. Być może... Nie. Nie chodziły. Philip Clark nie miał dzieci. Już nigdy nie będzie ich miał, pomyślał i zaśmiał się tym razem bardzo głośno.

Przypomniał sobie minioną noc. W dalszym ciągu miał przed oczami twarz tego człowieka. Nawet nie musiał zamykać oczu, by go zobaczyć. Doskonale pamiętał każdy, nawet najdrobniejszy grymas na jego twarzy. Kiedy zadał pierwszy cios, Philip zasyczał z bólu i osunął się na kolana. Wtedy wyłonił się z ukrycia i podszedł do niego. Teraz to on nad nim górował. Ustał nogą na miejsce, gdzie niedawno umieścił kulę. Philip zawył z bólu. O, tak. To było niesamowite. Patrzeć, jak ktoś, kto kiedyś upokorzył ciebie, choć błagałeś go o litość, teraz sam o nią prosi. Żalotne. Bez skrupułów przystawił lufę do jego skroni. Patrzył na niego z uśmiechem, a widząc przerażenie w oczach swojej ofiary, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Tamten próbował coś mówić, chyba nawet krzyknął, lecz po chwili jego głos umilkł, a on sam padł nieżywy na ziemię.

¹ Fragment prozy nagrodzonej w Konkursie Debiuty organizowanej przez Bibliotekę Miejsko-Powiatową w Kwidzynie.

Stwierdziwszy, że jest już na tyle daleko od feralnego miejsca, zjechał na pobocze. Otworzył nieco szybę i z tylnej kieszeni wyjął papierosy. Włożył jednego do ust i zaciągnął się mocno. Tego mi było trzeba, pomyślał. Schylił się nieco i włączył radio. Muzyka działała na niego bardzo uspokajająco. Wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi. Z kieszeni kurtki wyjął białą, pogniecioną karteczkę. Rozwinął ją i przyjrzał jej się uważnie. Wzrokiem przejechał po wszystkich nazwiskach. Pierwsze mogę skreślić, pomyślał. Zatrzymał się na ostatniej pozycji.

- Ciebie, złociutka zostawię na koniec – powiedział szeptem.

Będziesz cierpieć najbardziej ze wszystkich. Już się o to postaram, pomyślał. Tyle lat czekałem na zemstę. W końcu Pan mnie wysłuchał. Dał mi szansę, bym wymierzył sprawiedliwość. Nie zmarnuję tej możliwości. Nie zawiodę cię, Panie. Szkoda tylko, że tyle biednych, niewinnych owieczek będzie cierpiało. Wiem, że każde działanie, niesie ze sobą jakiś cel. Taka jest Twoja wola. W pełni się jej poddam. Od dziś los tych ludzi jest w moich rękach. Wciągnął głęboko powietrze i wypuścił je już nieco spokojniej. Ponownie spojrzał na ostatnie nazwisko. Zamienię twoje życie w piekło, pomyślał. Odpokutujesz winy. Zapłacisz za wszystko, co spotkało mnie w życiu. Jednak jeszcze nie teraz. To nie jest odpowiedni moment, by się ujawnić. Jeszcze nie. Nadejdzie taki dzień, kiedy się spotkamy. Wtedy zrobię z tobą, co tylko będę chciał. Póki co gramy na moich zasadach. Zaśmiał się cicho i spojrzał na drugą pozycję. Czas zadać kolejny cios, pomyślał. Zabawa dopiero się rozpoczyna. Wsiadł do samochodu i odjechał.

Budzik zadzwonił tak jak zwykle. Melinda niechętnie wstała, wyłączyła go, po czym nałożyła szlafrok i udała się do łazienki. Stała przed lustrem i lekko wzdygnęła się na widok swojego odbicia. Twarz miała czerwoną, usta całe spękane, a oczy opuchnięte od płaczu. Niewiele myśląc, ściągnęła szlafrok i zdjęła koszulkę, którą natychmiast umieściła w koszu na brudną bieliznę. Miała nadzieję, że gorąca kąpiel dobrze jej zrobi.

Do kuchni weszła w znacznie lepszym nastroju. Dochodziła ósma. Włączyła radio, by posłuchać porannych wiadomości. Właśnie puszczali jeden z przebojów Beatlesów. Nucąc pod nosem dobrze jej znaną melodię, wstawiła wodę na kawę i z przyzwyczajenia wyjęła dwa kubki. Z jednym krakersem w buzi sięgnęła po kalendarz, by przesunąć okienko na datę dzisiejszą i wtedy zauważyła gazetę, która leżała pod stolikiem. W tej samej chwili do jej oczu napłynęły łzy. Podeszła bliżej. Z gazetą w ręku osunęła się na podłogę. Czytała ten artykuł setki razy i wciąż nie mogła uwierzyć.

Z czarno białej fotografii spoglądał na nią mężczyzna o szczerym uśmiechu i hipnotyzującym spojrzeniu. Przejechała palcem po jego twarzy i westchnęła głęboko. Philip nie żył. Jej mąż, chociaż właściwie powinna powiedzieć były mąż, pomyślała. Byli w trakcie rozwodu. Od pewnego czasu im się nie układało. Zaczęło się od krótkich sprzeczek, a skończyło na tym, że jej mąż wyprowadził się z domu. Jak się później okazało, jego sekretarka chętnie przyjęła go pod swój dach. Teraz Philip nie żyje. Wciąż nie mogła dojść do siebie. Cały czas miała przed oczami twarze policjantów, którzy w nocy zakłócili jej spokój, by poinformować ją, że jej mąż został zamordowany.

Z trudem podniosła się z podłogi i wyłączyła czajnik, który gwizdał już dobrych kilka minut. Przez cały czas powtarzała w myślach słowa policjantów. Twierdzili, że śmierć Philipa nie była przypadkowa. Ktoś musiał go obserwować, znać jego rozkład dnia. Wiedział, że o tej porze będzie w tej części miasta. Wszystko skrupulatnie przygotował. Zaczął się na niego, a potem tak po prostu go zamordował. W jej głowie kłębiło się jedno pytanie. Dlaczego? Co prawda od paru miesięcy nie czuła do męża nic, nawet cienia sympatii. Nie mogła mu wybaczyć, że od tak dawna ją okłamywał. Zdradzał ją. Jeszcze śmiał twierdzić, że rozpad ich małżeństwa to tylko i wyłącznie jej wina. Ale śmierć? Nawet w najczarniejszych myślach mu tego nie życzyła.

Philip był odpowiedzialny, zawsze rzetelnie wykonywał swoje obowiązki. W pracy tworzyli duet nie do pokonania, czego nie można było powiedzieć o ich małżeństwie. Studiowali prawo. Poznali się w klubie studenckim. Oboje pochodzili z dobrych domów. Szybko przypadli sobie do gustu. Melinda była dumna, że Philip wybrał właśnie ją. Uwielbiała, kiedy chwalił się nią przed znajomymi. Jej mąż uwielbiał być w centrum uwagi. Kiedy poprosił ją o rękę, nie zastanawiała się. Kochała go. No właśnie, gdzie podziła się ta miłość, wzajemna fascynacja, pomyślała. Ich uczucie gasło, a oni nie robili nic, by temu zapobiec. Nic dziwnego, że znalazł sobie inną. Przecież kiedyś było im tak dobrze. Z zamyślenia wyrwał Melindę dzwonek telefonu. Niespiesznie przeszła do salonu i sięgnęła po telefon, który leżał na komodzie. Zobaczywszy numer matki Philipa, powstrzymała się od wciśnięcia czerwonej słuchawki.

- Słucham? - rzuciła obojętnie.

- Już nawet nie raczysz poinformować nas o śmierci naszego Philipa! Z wiadomości dowiedzieliśmy się, że nasz jedyny syn nie żyje! - rzekła Diana oskarżycielskim tonem.

- Przepraszam, Dianio. Do mnie wciąż nie dociera, że Philipa już nie ma. Miałam zamiar was poinformować.

- Ha! Chyba w dniu pogrzebu! Zresztą, nie obchodzi mnie, co ty czujesz. Chciałam tylko uprzedzić, że wraz z ojcem Philipa przylecimy jutro wieczorem. Masz przygotować dla nas pokój gościnny, bo naturalnie nie zamierzamy spać w hotelu.

- Jak to jutro? Jeszcze nawet nie wiem, kiedy odbędzie się uroczystość pogrzebowa. - próbowała bronić się Melinda. Niestety nieudolnie.

- Jesteś śmieszna, dziewczyno. Chyba nie myślisz, że będziemy tu siedzieć beczynnie. Nasz syn został zamordowany! Rozumiesz? Zamordowany! Będziemy jutro, czy ci się to podoba czy nie. Aha i jeszcze jedno. Zostaniemy, dopóki cała sprawa się nie wyjaśni. - zastrzegła Diana.

- Ale to nie jest dobry pomysł.

- Żadnego ale, porozmawiamy jutro. Do widzenia, Melindo. Pamiętaj o naszym pokoju. - rzekła matka Philipa i rozłączyła się.

Melinda usiadła na fotelu. Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy może płakać. Cała Diana. Lubiała wszystkimi i wszystkim rządzić. To ona dyktowała warunki zarówno na sali sądowej jak i we własnym domu. Philip wyzwolił się spod jej kieratu. Niestety całą swoją dyktaturę Diana przelała na jego ojca, Paola. Biedy człowiek. I pomyśleć, że sam wybrał sobie Dianę na żonę.

Diana Clark była chłodną kobietą o lodowatym spojrzeniu. Wszystkich ludzi traktowała z góry. Była wyniosła i wyrachowana. Dbała tylko o własną wygodę. Ciekawe, dlaczego poślubiła Paola, zastanawiała się Melinda. Przecież taka kobieta nie jest zdolna do jakichkolwiek uczuć. Nawet nie miała czasu wychować swojego jedyne go syna. Powierzyła go opiekunce, a sama zajęła się karierą. Chociaż to jej się udało, przyznała Melinda. Diana Clark była jednym z najlepszych sędziów w Nowym Jorku. Oczywiście to ona wybrała kierunek studiów Philipa. Jej syn miał zostać sędzią tak jak ona. Philip ostatecznie wybrał zawód adwokata. Diana nie była zadowolona, lecz w końcu zaakceptowała wybór syna. Wolała to, niż miałby zostać księgowym jak jego ojciec.

Słyszając ciche pukanie do drzwi, Melinda podniosła się z fotela i poszła otworzyć. Przez wejście stał jej ojciec. Kobieta niewiele myśląc, rzuciła mu się na szyję. Ten przytulił ją z całej siły i kołysał, jak gdyby była małym dzieckiem. Melinda podniosła nieco głowę i uśmiechnęła się słabo.

- Dobrze, że jesteś – powiedziała i wtuliła się w ojca ponownie.

Uroczystość była skromna. Melinda zaprosiła tylko najbliższych. Nie chciała robić wokół pogrzebu Phila wielkiego medialnego szumu. Mimo jej starań pod kościołem i tak kłębił się tłum dziennikarzy. Nic dziwnego. Philip był cenionym adwokatem. Jego śmierć była szokiem. Zwłaszcza, że nie zmarł z przyczyn naturalnych. Na pogrzeb przyszła cała kancelaria, którą prowadził wraz z żoną. Pośród zgromadzonych można było dostrzec kilku jego stałych klientów oraz tych, którym pomógł jednorazowo. Phil budził powszechny szacunek. Każdy chciał się z nim pożegnać na swój sposób.

Melinda siedziała nieruchomo obok ojca. Przez całą ceremonię Lucas trzymał córkę za rękę. Zdawał sobie sprawę, jak musi być jej ciężko. Sam przecież kilka lat temu stracił żonę. Wiedział, że nie może zostawić córki samej. Dobrze pamiętał, jak w takich chwilach potrzebna jest obecność kogoś bliskiego.

Odchylił głowę nieco w lewo i dostrzegł rodziców Phila. Paola widział w zeszle święta. Śmierć syna go przybiła. Siedział zgarbiony. Myślami był daleko. Lucas stwierdził, że przez to wydarzenie, Paolo postarzał się o dobrych kilka lat. Obok niego siedziała Diana. Mimo to zauważyć można było, że w ogóle nie przeżywają tego razem. Każde zamknęło się w sobie. Wyraźnie malował się między nimi pewien dystans. Lucas stwierdził, że ci ludzie są dla siebie niemal obcy. Łączyl ich chyba tylko syn.

Diana miała spokojny, chłodny wyraz twarzy. Patrzyła wprost na trumnę, gdzie spoczywał Philip. Z jej oczu nie można było nic odgadnąć. Nie wiadomo, o czym teraz myślała. Siedziała prosto. Przez całą uroczystość nie ruszyła się nawet na chwilę, nie spojrzała na męża. Być może Diana przeżywała śmierć Phila bardziej, niż wszystkim się wydawało. Jednak z jakiegoś powodu nie potrafiła do siebie nikogo dopuścić. Nie chciała się przez nikim otworzyć. Cóż, trzeba było uszanować jej wolę.

Po całej ceremonii Melinda podziękowała wszystkim za przybycie. Próbowwała przybrać obojętny wyraz twarzy. W końcu nie łączyło ją z mężem praktycznie nic. Tylko praca. Mimo to odczuwała pewien rodzaj straty. Tęskniła za nim. Przeżyli razem siedem lat. Najpierw straciła matkę, teraz męża.

Sala powoli pustoszała. Została tylko ona i ojciec oraz rodzice Philipa. Przez dłuższą chwilę przyglądała im się ukradkiem. W pewnym momencie poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Odwróciła głowę i w pierwszej chwili dostrzegła niebieskie oczy, które intensywnie się w nią wpatrywały. Patrzyła na nie jak zaczarowana. Po chwili zorientowała się, że trwa to zdecydowanie zbyt długo. Mężczyzna przysunął się bliżej i wyciągnął ku niej dłoń.

- Panno Clark, proszę przyjąć moje kondolencje – powiedział niskim, lekko zachrypniętym głosem.

- Dziękuję. Znał pan mojego męża? – spytała Melinda i zerknęła na ojca. Całe szczęście nie zostawił jej. Właśnie rozmawiał o czymś z Paolem.

- Nie. Jestem detektyw Jim Spencer z Wydziału zabójstw, a to jest moja partnerka Lucy Milano - oznajmił i jako dowód pokazał Melindzie odznakę. Prowadzimy sprawę morderstwa pani męża.

Melinda dopiero teraz dostrzegła kobietę obok. Lucy była średniego wzrostu. Miała czarne włosy, które upięła w mały kok na czubku głowy. Nie miała makijażu, przez co jej twarz wyglądała młodo i naturalnie. Melinda oceniła, że nowo poznana kobieta jest o wiele za ładna na to, by chodzić w mundurze. Przeniosła wzrok z powrotem na detektywa Spencera.

- Rozumiem. Czy już coś wiadomo? - spytała.

- Śledztwo dopiero się rozpoczęło. Mamy kilka tropów, które musimy sprawdzić. Chciałbym zadać pani kilka pytań – powiedział i z kieszeni wyjął mały notesik oraz ołówek.

- Panie Spencer, właśnie pochowałam męża. Czy moglibyśmy odłożyć tę rozmowę na kiedy indziej? - zapytała Melinda i spojrzała na detektywa.

- Naturalnie – odezwała się Lucy. - Zostawimy pani naszą wizytówkę. Proszę przyjść do biura, kiedy poczuje się pani trochę lepiej. Teraz nie będziemy już zakłócać pani spokoju. Do widzenia.

Kobieta ruszyła do wyjścia, lecz po chwili zatrzymała się, gdyż jej towarzysz w dalszym ciągu przyglądał się Melindzie. Lucy pokiwała głową.

- Jim?

- Idę. Już idę! - odpowiedział.

Podał Melindzie wizytówkę i ucisnął jej dłoń. Zrobił to delikatnie, ale jednocześnie zdecydowanie.

- Do zobaczenia niedługo, pani Clark – rzekł i uśmiechnął się nieśmiało, po czym ruszył do wyjścia.

Melinda odprowadziła ich wzrokiem. Odwróciła się i napotkała wzrok ojca. Zastanawiała się, jak długo tu stał. Być może słyszał jej rozmowę z detektywami. Podeszła bliżej i położyła głowę na jego ramieniu.

- Czas wracać do domu. To był długi dzień – rzekł Lucas.

Chciał objąć córkę ramieniem, lecz ta zaprotestowała gwałtownie. Odsunęła się od ojca i spojrzała prosto przed siebie.

- Powinnam powiedzieć rodzicom Phila, że czas się zbierać – wyjaśniła.

Marcelina Rodziewicz

ZWYKŁY OBÓZ

Jestem Monika. Odkąd w wieku trzech lat ciocia posadziła mnie w siodle nie chcę z niego wyjść. Mówiąc inaczej - kocham konie od dzieciństwa. Od zawsze chciałam mieć własnego wierzchowca. Mamy miejsce na zbudowanie stajni lub boksu dla niego, ale rodzice nigdy się nie zgadzali. Jeżdżę często do stajni nie opodal mojego miasteczka. Co roku wyjeżdżam na kolonie konne poza miasto, kiedyś nawet pojechałam na drugi koniec Polski. I właśnie ten wyjazd sprawił, że moje marzenia zaczęły się spełniać...

Mama zapisała mnie na te kolonie już w kwietniu. Miałam się uczyć od najlepszych polskich dżokei. Na przełomie lipca i sierpnia pojechałam w okolice Białegostoku, a mieszkam niedaleko Poznania.

W autobusie nie było tłoczno, pewno dlatego, że przed zapisaniem się na listę trzeba było zdać egzamin praktyczny. Cudem udało mi się go zdać. Na początku szło mi fatalnie. Przy galopie mój koń, Ścignat, trochę się spłoszył i zaczął uciekać cwałem, a mnie udało się nad nim zapanować. Bardzo mi ufa. Nie chciał dać się ujeżdżać nikomu. Tylko syn właścicielki stajni dał radę nad nim zapanować, a przedtem moja siostra. Ale pojawiłam się ja i uparłam się na niego. Zapanowałam nad nim i teraz nie jeżdżę na żadnym innym koniu w tej stajni.

Dojechaliśmy po około 8 godzinach Osiem godzin siedzieliśmy w tym autobusie. Na szczęście Łukasz, chłopak, z którym dzielę Ścignata, też jechał, więc nie byłam sama.

Wyjechaliśmy wcześniej, więc jak dotarliśmy była 15.00. Poszliśmy na stołówkę zjeść obiad, a potem na pierwsza jazdę.

Koni było tyle, ilu obozowiczów, więc każdy dostał jednego konia na całe dwa tygodnie. Mi przypadła Kara klacz z latarnią na pysku - Herdia. Nie wiem skąd wymyślili takie imię, ale podobało mi się. Jazda na niej była cudowna. Nigdy czegoś takiego nie przeżyłam. Chód miała tak miękki, że prawie w ogóle nie czułam różnicy pomiędzy siedzeniem na fotelu, a siedzeniem na niej. Kłus był cudowny. Rytm tak łatwo wyczułam, że nie musiałam się w ogóle skupiać na anglezowaniu. A galop? Tego galopu nie da się opisać. Jeszcze siodło było tak wygodne, a strzemiona dopasowanie idealnie na moją nogę. Raj nie jazda konna. Chociaż każda jazda jest rajem. Nie ważne, jaki koń. Ważne, że koń.

Pokoje były dwuosobowe. Dziwne, że dziewczyna i chłopak byli w jednym pokoju, ale ja byłam z Łukaszem. Nie raz nocowałam u nich, bo za długo przesiadywałam w stajni i zawsze spałam z nim w pokoju.

- Jak ci się podobała pierwsza jazda? - spytał, gdy już oboje kładliśmy się spać.

- Cudowna... A tobie jak się jeździło? - odparłam rozmarzona.

- Jak tobie... Kruk razem ze Ścignatem to najlepsze konie, na jakich jeździłem. - odpowiedział i równo zgasiliśmy lampki nocne. Powiedzieliśmy jeszcze sobie „dobranoc” i poszliśmy spać.

Przez resztę obozu nic się nie działo. Było spokojnie. Trenowali nas najlepsi dżokeje z Polski. Ostatnie dwa dni były dziwne. Zbudzili nas o wiele wcześniej niż normalnie, a potem zebrali w stołówce.

- Moni, wiesz, o co chodzi? - spytała Natalia - dziewczyna, którą tu poznałam.

- Nikt nie wie. - odpowiedział jej Karol, chłopak z Warszawy.

- Dziwne... - wymamrotaliśmy razem z Łukaszem. Po chwili dostaliśmy śniadanie, a potem pojawiła się właścicielka stajni.

- Dzisiaj jest wyjątkowy dzień. Każdy z was przez te dwa tygodnie jeździł tylko na jednym koniu z dwudziestu. Dziś was wymęczymy. Każdy przez 10 minut będzie jeździł na każdym pozostałym koniu. Na koniec powie, na jakim jeździło mu się najlepiej. Jaki mamy w tym cel jest tajemnicą. A teraz proszę iść się przygotować do jazdy. Jazdy będą prowadzone na wszystkich czterech pastwiskach. Łukasz, Monika, Natalia i Karol. Wy jesteście już przygotowani, więc pójdziecie osiodłać wasze konie. Reszta! Jak sie przebierzecie idziecie osiodłać swoje konie! - nakazała i poszła. We czwórkę skierowaliśmy swe kroki w stronę stajni... Osiodłaliśmy swoje konie i wyprowadziliśmy je na pastwiska. Po kilku minutach podeszli do nas instruktorzy. Mi kazali dosiąść Kruka, Łukaszowi Herdię, Karol i Natalia również zamienili się końmi.

Po 10 minutowej jeździe na Kruku zesłam z niego z wyraźną ulgą. To nie jest koń dla mnie. Potem wprowadzali na pastwiska następne konie. Na żadnym nie jeździło mi się tak cudownie jak na Herdii... Gdy w końcu przejechałam się na ostatnim koniu, zesłam z pastwiska i poszłam do łazienki się umyć. Spociłam się jak nie wiem... Byłam również okropnie zmęczona, po ponad trzy godzinnej jeździe konnej, więc od razu poszłam spać, mimo, że była ósma rano. Łukasz poszedł w moje ślady. Ponownie wstałam o 11... Inni nadal jeździli. Widać było, że chcą wrócić na grzbiet swojego konia. Rozumiem ich ból. resztę dnia spędziliśmy na domysłach, po co to wszystko.

Następnego dnia w stajni nie było żadnego konia. Tabliczki informujące o tym, do jakiego konia boks należy i wiadomości o nim samym zniknęły. Każdy się zastanawiał, co się z nimi stało. Poszliśmy na śniadanie. Zwykle jakiś instruktor się tu pojawiał, a dziś nie było nikogo.

Wyjechaliśmy. Kolejne osiem godzin jazdy... Przez całą drogę zastanawiałam się, co się stało z Herdią.

Dojechaliśmy... Była 18.23, gdy dotarłam do domu. Byłam tak zmęczona podróżą i zamartwianiem o Herdię, że tylko zjadłam, wzięłam prysznic i padłam na łóżko, zasypiając od razu.

Rano obudziło mnie znajome rżenie. Pomyślałam, że mi się zdaje z tęsknoty, za Herdią, ale gdy rżenie się powtórzyło wiedziałam, że mi nie zdaje. Pognałam na dół nadal w piżamie, ale w tej chwili mnie to nie obchodziło. Wpadłam do ogródka i na końcu naszej posesji zobaczyłam mały budynek, taki, który mieścił by dwa boksy i małą stodołę. W budyneczku były dwa okienka, takie, jakie są w stajniach by konie mogły wychylić łeb, a z jednego okien-

ka wyglądała czarna końska głowa z białą latarnią. Zatkalo mnie... Herdia... Jest w boksie, na naszej posesji. Stałam w miejscu i patrzyłam się w jej brązowe oczy z prostokątną, końską źrenicą. To był największy szok, jaki przeżyłam.

- I co? Zadowolona z prezentu? - spytał mój tata, podchodząc tu z moją siostrą.

- Nawet nie wiesz ile ich błagałam by zapisali cię na ten obóz. - dodała Agnieszka, moja starsza siostra - Mnie też kiedyś zapisali na ten obóz. Dostałam Ścignata. Dziś go tu przenosimy. Mam nadzieję, że się cieszysz?

- Cieszę się? Jestem w raju! Ten koń jest cudowny! - krzyknęłam i rzuciłam się na tatę i siostrę.

Tak oto Herdia stała się moim osobistym koniem. Łukasz dostał swojego kochanego Kruka. Trenowałam na nim dzień w dzień. Teraz już jestem dorosła i mam tytuł Mistrzyni Polski w Jeździe Konnej! Ten jeden obóz zmienił całe moje życie...

Z przymrużeniem oka

Maciej Krański

BYŁ BRYDŻ

Receptura jest następująca. Weź dwie talie wiedeńskich Piatników, po 52 karty każda. Złam talię na pół i ustaw obydwie połowy różkami względem siebie. Karty w tas. Unieś kciukami narożniki i puść dosuwając do siebie, mieszaj. Wyrównaj talię uderzając dłonią po krawędziach. Czynność należy powtórzyć. Gotową talię ułóż po prawej ręce.

Był forma towarzyskiego przetrwania, mimikrą, surogatem przeszłości, grą salonową, koczarską, grą w okopach, szkołą działań wspólnych, treningiem intelektualnym, zimną sztuką przewidywania ale też ulotną sztuką intuicji wspartej znajomością psychiki, mimiki i mowy ciała.

Był uniwersytetem bon tonu i szacunku wobec ukrytej w licytacji woli partnera. Kontrpartnerzy swoją licytacją nie pozwalali zapomnieć o twórczej roli opozycji - bywało, że psuli grę strasząc kontrą.

Był grą dworsko-pałacową, oficerską, inteligencją – stąd, zapewne, jego wielka popularność po 1945 roku jako kontynuacja, nostalgiczne przywoływanych „normalnych czasów”. Takie trzymanie fasonu w lepiance, podobne bezgłośnemu mieszaniu podłego ulunga w porcelanowej filiżance, srebrną łyżeczką - w opozycji wobec emaliowanych kubków czy musztardówek.

Grający stosowali się do niepisanej umowy, swoistego karcianego kodeksu honorowego, na podobieństwo rycerskiego, łowieckiego czy oficerskiego, uznającego zasadę fair play za naczelną, we wszystkich sferach aktywności towarzyskiej. Bozewicz zapisał, że dług karciany ma być bezwzględnie traktowany jako honorowy - spłacany w pierwszym rzędzie. Nie płacący zobowiązań karcianych winni być traktowani jako pozbawieni zdolności honorowej, zatem niegodni podania ręki, skazani na ostracyzm środowiskowy. Takie wykluczenie czasem w łeb palnięciem się kończyło, przywracając pośmiertnie godność samobójcy.

Gry i zabawy umarłej klasy z passe pojęciami - honoru lub dyshonoru. Przerywnik w przemówieniu „słowo honoru”, budzi przynajmniej u mnie, głębokie zaniepokojenie podszyte pytaniem: „a cóż to wypowiadająca persona usiłuje zakłamać, imitując głębokie zatroskanie na twarzy swojej publicznie rozpoznawalnej, quasi honorem się zasłaniając?”

W domu mieliśmy trzy stoliki brydżowe tzw. karciaki, stosunkowo niewielkie ze składanym blatem, łatwe w transporcie, nadzwyczaj poręczne w małych mieszkaniach, do których wtłoczono nas wraz z kilkoma pamiątkami uratowanymi z pożogi.

Uniesiony rewers odkrywał swoją tajemną twarz obleczoną w zielone sukno pachnące dymem papierosowym. Blat był przysposobiony do gry przemysłnym systemem podpórek, blokad i wysuwanych nóżek. W wyżłobionych narożnikach ustawiano popielniczki.

Jak za potarciem cudownej lampy Alladyna, czy za sprawą samonakrywającego się stoliczka, z bajki Grimmów, świat się transformował, a w oparach dymu tytoniowego, powielekroć

pocierana lampa uwalniała kolejnych partnerów tatowego „roberka”, przez ciotkę Misię Raciborską zwanego „kozaczkiem” lub też pospolicie „rzucimy jeden szybki”. Oto Rudnicki Wołyniak, co maciejówkę z lakierowanym daszkiem nosił, Pac od pałaca, o pięknych dłoniach, Długi Plater, straszący obwisłymi powiekami basseta, Kocio Radziwiłł, z siwizną przywiezioną ze stepów Kazachstanu, Żagiel z Żagiełłów, Żmudzin obszerny, Jurek Zalewski, choleryczny lwowiak, co w profesory poszedł, Bondy z francuska graserujący... - Ghraj Adasiu - mówił.

Siedząc na podłodze poznawałem najistotniejsze maksymy życiowe: - „Krótszy w rękę pokorniejszy”. „Trzecia ręka płacze i bije”. „Impas duszą gry”. „Figur na figur powiedział św. Igór”. „Trefelki kolorek niewielki”. „Trzymaj karty przy orderach”. A przy przebijaniu radosne: „I uderzył go maczugą, by nie męczył się zbyt długo”. Walenie maczugą było nad wyraz sugestywne, ponieważ głośniejszej ekspresji towarzyszyło bicie w stół, pod którym się mościłem obserwując cztery pary wyglansowanych butów. A swoją drogą balet nóg ukrytych pod blatem bywał nad wyraz pouczający. Ojciec podskakiwał jedną, ale w dwójnasób, bo druga drewniana, jedynie dudniła przy pukaniu w łydkę.

Bufet stał winem i tartinkami na pumperniklu. Tatko kochał białe. Ponieważ reńskich nie uświadczyłeś, rumuńskie w wysmukłych fiaskach Cotnari i Murfatlar - z kolorowym sznureczkiem - radowały dłonie zimną rosą kieliszków.

Wiedziałem, że po przełknięciu pierwszego łyku powie:

- Liebefraumlilch pijaliśmy w Warszawie podczas okupacji, najwięcej w pierwszych dniach powstania po zdobyciu kasyna oficerskiego, trochę zalatywało drożdżami, ale co tam, na bezrybiu i rak ryba.

- A przed wojną Tatus – twój dziadek - wyjeżdżając na Węgry otrzymywał przykazanie od Mamusi, twojej babki: - Tylko nie zapomnij Romku muszkatełowego...!

I wiózł. Pocziwy major Sanders, co w Mezehegec stadninę arabów prowadził i interesy z nami robił, zawczasu przygotowywał parę tuzinów buteleczek na odjeźdźnym wręczając zaznaczał:

- Muskately fur frau Janina Her Roman.

Mamusia, twoja babka, degustując przesyłkę, zwykła zachwalać węgryzna: - Nullum vinum nisi hungaricum - no bo i - colorum, saporum et odorum.

Ojciec kończąc opowiadanie o muskately łobuzersko mrugał do mnie i licytował: - Piki!

Stukał palcem w czarny listek dupka winnego. Rozumieliśmy się doskonale. „Gra w piki daje wyniki”. Dolewałem wina. On zastygał w zamyśleniu, palcem wskazującym uderzał w dolną wargę. O czy myślał? O winie czy o kartach? Poganiiali go: - Dumal nie dumal, carem nie budiesz.

Wciąż myślał, ruszał ustami robiąc ryjek kreta, cmokał, kalkulował, mrużył oczy. Poczem w jednej chwili otwierał je szeroko, wyrzucając z siebie: - Raz maty rodyła .

Z rozmachem plaskał kartą o stół z energią sprintera startującego do biegu na odgłos wystrzału. Nadchodził szlem. Byłem pewien.

Marek Stokowski

XIV

PROWINCJONALIA

CZYLI

KRONIKA ŻYCIA TERENOWEGO

Zaczyna się zima i są dwie koncepcje.

Pierwsza – z Rosji, z Petersburga. Tam się twierdzi, że nastaną u nas takie mrozy, że po prostu koniec świata, pęknięcie pni dębów, huk lodów, odmrożenia członków ciała, dość powszechne odpadanie nosów, zamrażanie stawów kolanowych, zgrzyt szyb i tak dalej, czyli biała męka przez miesiące, potworne wydatki na opał, płacz kotów, skamieniałe ciała ptaków rozsypane pod drzewami. Być może, być może.

Druga z tych koncepcji – z Ameryki, z jakichś instytutów naukowych powiązanych z NASA czy może z czymś innym – zawiera prognozę dalece odmienną. Otóż zima na Poświętlu, na Żuławach i w pobliżu ma być ciepła i łagodna. Żadnych wielotygodniowych mrozów, nawet w styczniu zapach sosen, wędkarstwo lodowe w odwrocie, wszystkie członki ciała ciepłe i niezagrażone odpadaniem, spacerzy bez czapki, oszczędność na węglu, radosny śmiech kotów, śpiewne ptaki na gałęziach. Być może, być może.

A co będzie rzeczywiście? Nie wiadomo, nie wiadomo. Lepiej przygotować się na każdą z dwóch przepowiadanych sytuacji. Przedstawiamy zatem coś na mrozy i na odwilż, coś, co może państwa rozgrzać lub z lekka ostudzić, uspokoić bądź ożywić. Cokolwiek się stanie, przetrwamy, a wraz z nami przetrwa życie nad brzegami dolnej Wisły.

Redakcja

ŻYCIE METEOROLOGICZNE

Berlin zalany. Frankfurt zalany. Telefonował wczoraj siostrzeniec: zimno jak w psiarni i straszne wiatry.

A u nas lato jak na Sardynii. Chodzimy w gaciach w domu, ogródku i na podwórku; sąsiadka biega w halce po bułki. Lipy tak pachną, że można zemdleć. Wkładamy garnek w magmę asfaltu i po godzinie jest ugotowany krupnik. Koty zdejmują futrzane czapy, psy porzucają okrycia z sierści. Ptaki zmęczone jaskrawym światłem, odpoczywają pod obłokami. Grubas Zawilski wytapia sadło, leżąc na słońcu w ogromnej balii. Zbieramy w szopach rozgrzane cegły; będą trzymały ciepło do grudnia.

Wieczorem zrywa się wiatr z zachodu. Prosimy chłopców z naszej ulicy i ci strzelają z proc w izobary, żeby powstrzymać niż z Brandenburgii. Nie chcemy żadnych burzowych frontów niszczących nasze królestwo lata.

ŻYCIE KOSMICZNE

Oczy planet – pozbawione oczodołów, rzęs i powiek – obracają się dokoła własnych osi. Patrzą nieustannie, bez zmrużenia, nie ma dla nich dnia i nocy.

One patrzą, lecz kto widzi? Kto ogląda nimi Kosmos? Kto omiata go spojrzeniem tak upartym i zwielokrotnionym? Kogo boli, gdy rogówkę planet zatrze paproch – meteoryt albo człowiek?

A czy gdzieś są uszy do kompletu? I ewentualnie jakieś nosy? I dlaczego wśród tak wielu oczu suchych jedno jest tak bardzo zażawione?

ŻYCIE BŁĄŻEJA

Umilkły dzięcioły i zapadła taka cisza, jak w godzinie bożka Pana. Nie słyhać owadów. Milczą przerażone drzewa. Błazej idzie z długą kosą.

Najpierw padną smukłe sosny, potem rzędem legną świerki, a jak Błazej dzisiaj zdąży, to wykosi także dęby, bo poprosił go o tę przysługę ojciec.

Proszę bardzo, Błazej kosi. Czasem tępi mu się kosa, gdy natrafia nią na kamień albo na niewypał z którejś z wojen. Wtedy śmiga ją oselką. Kiedy ostrzy, może intensywnie myśleć, bo to chwila odpoczynku.

On tak myśli, że powinien jeszcze skosić las wiatraków – las turbin wiatrowych za rzeką – bo rośnie naprawdę bez sensu i paskudzi matce niebo.

ŻYCIE POD SKLEPEM

Zachar mówi do pijaków:

– Ja wam kupię dużo żarcia, ale macie z miejsca iść do swoich domów, niczego nie zgubić, nie sprzedawać na wódę, nie zeżreć pod drożdże.

Oni na to, że w porządku. On kupuje. Biorą torby i pomału meandrują. Zachar ich nie może przypilnować, jako że rozchodzą się we wszystkie strony, poza tym on musi pojechać do Sztumu.

Nie wiemy, czy tamci dopłyną do celu, stając się bohaterami jednej nocy, czy dzieci i baby zjedzą jeden raz do syta, czy dostaną później coś słodkiego, czy – jak zwykle – wszystko skończy się w przydrożnym rowie i uraczą się wyłącznie koty, wodne szczury i robale.

Nie wiemy, czy w niebie ktoś powie:

– Idiota.

Nie wiemy, czy raczej ktoś szepnie:

– W porządku.

ŻYCIE W SZUWARACH

Łódź wpływa w szuwały i jest uwięzioną. Nie pomaga praca wiosłem, ani odpychanie się od dna porządnym drągiem. Szuwarowy potrzask trzyma mocno. Lepiej usiąść, słuchać ciszy. Lepiej czekać na to, co się stanie, no bo musi stać się przecież. Nie będziemy tutaj siedzieć wiecznie. Za siedem miesięcy są święta i czuję, że spotkamy się przy wigilijnym stole.

ŻYCIE DAMSKO-MĘSKIE

W sukience króciutkiej i zwiewnej jak chusta, trotuarem idzie Danka. Zatrzymuje się, zdejmując okulary. Chwyta dolny brzeg sukienki, po czym, pochylona w prawą stronę, czyści szklą pachnącym materiałem. Jej odkryte niemal całkowicie uda przyglądają się uważnie, jak ona niespiesznie przeciera, co trzeba.

Danka wkłada okulary. Niedbale wygląda sukienkę i odchodzi w stronę centrum. Na ulicy pozostają ciała mężczyzn – uduszone, nieme, nieruchome, jedna wielka męska klęska.

ŻYCIE KONSUMPCYJNE

Miasto zjada stada zwierząt. One jadą tam, wjeżdżają na platformach kolejowych i samochodowych, ale już nie wyjeżdżają.

Początkowo są kawalkowane, a potem trafiają na ogień. To się dzieje w małych lub ogromnych kuchniach. Kuchnie funkcjonują w różnych domach, można znaleźć je na każdym piętrze. Stamtąd mięśnie albo inne części zwierząt są wnoszone do pokojów, jakichś sal czy na werandy. Tych pokojów, sal i werand jest niesamowicie dużo, dwa miliony, może więcej, zatem następuje rozproszenie.

Dalej bywa bardzo różnie, tak czy owak stada nie są już do odtworzenia. Znikają gdzieś w ludziach, zamieniają się w odmienne byty albo jakoś tak wyparowują. Podobnie jest z marchwią, z tonami cebuli i śliwek.

Mija tydzień, dwa tygodnie albo miesiąc, i już nikt ich nie pamięta – ani kształtu, ani barwy, ani smaku, ani ciepła.

ŻYCIE PODWÓRKOWE

Gospodyni zbiera na podwórku pióra. Jest postawna, rozwinięta, nader trudno jej się schylać. Macha ręką do dzieciaków, żeby wzięły i pomogły. One nie chcą, są zajęte. No, to niech ją pocałują w dupę, wymrukuje rozeźlona. Występują jej na czole żyły, aż strach bierze, że wybuchną.

W końcu gospodyni się prostuje. Już zebrała wszystkie pióra osiwialej wcześniej sójki, cały pęk, są bardzo ładne. Można zrobić z nich praktyczne zmiotki albo wstawić w jakiś wazon, albo smyrać nimi gospodarza, kiedy będzie drzemał na tapczanie.

Tylko czy gospodarz się obudzi i coś w ogóle zauważy? On jest taki gruby, że nie czuje nawet zimna ani ciepła, no więc jak przeniknie mu do środka echo aksamitnych lotów sójki?

ŻYCIE SPISKOWE

Strzelają do króla. Bo bierze pieniądze od ambasadorów wraźcych mocarstw. Bo oddaje im kresowe województwa. Bo wysyła im raporty. Bo nie dba o zamki, przeprawy i drogi. Bo sprzedaje za funt kłaków ludwisarnie, młyny i browary. Bo w kościołach robi stajnie. Bo pozwala na lajdactwa i z uśmiechem je pochwala. Bo nagradza komedianów za mizdrzenie się i brednie. Bo rozwalił i zmarnował armię. Bo sądy, szpitale i szkoły już nie służą, tylko udręczają. Bo poddanym brak nadziei i niczego im się nie chce. Bo tajna policja to jedyny organ państwa, jaki jeszcze działa dniem i nocą, i skutecznie wyłapuje różnych takich, którzy szepczą, że to wszystko się fatalnie skończy.

Trzej ostatni nieschwytni zamykają się w komórcie. Strzelają do króla – z czarnych gumek recepturek. W istocie strzelają do jego portretu. Właściwie do karty. A i tak się boją, że zawisną. Będą powieszni gdzieś za miastem.

ŻYCIE LEŚNE

Zapomniany oddział kawalerii błąka się po naszym lesie.

Rotmistrz przezroczyły jak pergamin rzuca rozkaz, żeby zsiadać. Chłopcy – niemal płacy, niewyraźni – schodzą z koni tak umordowanych, w ciągu tych minionych lat tak wysłużonych, że już prawie pozbawionych wagi, kształtu i kawaleryjskiej woni. Po minucie zjawia się pułkownik. Ludzie rozpoznają jego cień i echo głosu. Po nim wjeżdża na polanę trzeci szwadron. W gruncie rzeczy nawet go nie słysząc, widać tylko ślady kopyt.

Rozpoczyna się wieczorny apel. Trzeba sprawdzić, ilu pozostało, ilu może trzymać wodze w garści. No i trzeba dodać wojsku ducha, skoro coraz bardziej brak mu ciała. Trzeba zebrać wszystkie siły, żeby wiatr nie rozwał kawalerii, żeby nie pousychała pod drzewami i nie rozsypała się na popiół.

Noty o autorach

Jacek Albrecht – ur. w roku 1951 w Łodzi. Od 1952 z przerwą 15 lat mieszkaniec Malborka. Konserwator zabytków architektury i artysta plastyk, autor książki popularno-naukowej *Tajemnice Malborka* i szeregu artykułów o tematyce konserwatorskiej, współwłaściciel firmy *Kopiał*. Absolwent Wydziału Budownictwa Politechniki Koszalińskiej, Podyplomowego Studium Konserwacji Zabytków Politechniki Warszawskiej i Wydziału Edukacji Artystycznej ASP w Gdańsku. W 1989 przewodniczący Komitetu Obywatelskiego w Malborku oraz Klubu Obywatelskiego. Inicjator powołania pierwszej niezależnej gazety malborskiej *Nowiny Malborka*. Autor kilkunastu wystaw plastycznych w różnych miastach Polski. Uprawia malarstwo, grafikę i grafikę komputerową.

Wacław Bielecki – od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika *Sztumska Solidarność*, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. W latach 1990 - 1994 roku przewodniczący Rady Miasta i Gminy Sztum. Długoletni dyrektor Liceum Medycznego Pielęgniarstwa przekształconego w Wojewódzki Zespół Szkół Policealnych w Sztumie.

Jan Chłosta – dr nauk humanistycznych, wiceprezes Towarzystwa Naukowego im. Wojciecha Kętrzyńskiego, autor ponad 30 książek i 500 artykułów, poświęconych przeszłości Warmii i Mazur, w tym piśmiennictwu (*Warmia i Mazury w literaturze polskiej i niemieckiej w latach 1945-1995*) leksykonów (*Słownik Warmii*), prac o Wydawnictwie „Gazety Olsztyńskiej” i ludziach z nią związanych, wydawca wierszy i prozy M. Zientary-Malewskiej, ks. W. Barczewskiego, J. Liszewskiego, K. Frenszkowskiego oraz zbiorów wspomnieniowych o ludziach regionu.

Marta Chmielińska-Jamroz - ur. w 1973 r. w Hajnówce na Podlasiu. Pracowała jako dziennikarka *Kuriera Porannego* i TV Podlasie. Jej teksty ukazywały się w *Niedzieli* i *Piśmie Kulturalnym*. Od 2010 roku mieszka w Malborku, współpracuje z *Dziennikiem Bałtyckim*, *Radiem Malbork*.

Izabela Chojnacka-Skibicka – jest autorką książki *Miłość na gruzach Kosowa*, w której opowiada o swoich przeżyciach w Serbii, gdzie znalazła się jako partnerka Albańczyka poznanego w Niemczech. Urodzona w Tczewie, swoje miejsce odnalazła w Kleciu pod Malborkiem. Obecnie pracuje nad powieścią, w której główna bohaterka odkrywa tajemnice domu na Żuławach

Justyna Czernicka – absolwentka filologii polskiej na UMK w Toruniu. Od 2011 r. instruktorka teatralna w Sztumskim Centrum Kultury (w latach 2004-2010 polonistka, bibliotekarka). Publikowała wiersze dla dzieci w antologiach wyd. DeAgostini *Wiersze o jesieni*, *Wiersze o zimie*, *Jesienny walc*, *Trzeba przetrwać*, *Śnieżne baletnice* oraz scenariusze lekcji bibliotecznych i spektakli w czasopiśmie *Biblioteka w szkole*. Mieszka w Starym Targu.

Grażyna Kamyszek – ur. w 1950 r. w Sztumie. Absolwentka LO w Sztumie. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim i studia podyplomowe z bibliotekoznawstwa. Pracowała jako bibliotekarka i nauczycielka języka polskiego w Postolinie i w Ustce. Autor-

ka scenariuszy i realizatorka wieczorów poetyckich przybliżających twórczość H. Poświatowskiej, E. Stachury i K. K. Baczyńskiego – wystawianych na scenie Domu Kultury w Ustce. Współredaktorka wydania tomu poezji *Młode głosy* (1997 r.), promującego twórczość młodzieży. Aktualnie na emeryturze. Mieszka w Ustce, a latem w Barcicach.

Waldemar Kacprzyk (1939-2008) – dzieciństwo i młodość spędził w Kwidzynie. Przeszedł gruntowną i surową szkołę rzemiosła w znanym w Kwidzynie do lat 60-tych warsztacie swego ojca. Uczył się w Liceum Plastycznym w Nałęczowie a potem dał się poznać jako wzięty restaurator zabytkowych przedmiotów, głównie stylowych mebli, a także twórca specjalistycznych rekwizytów filmowych. Wyjechał stąd do Warszawy dzieląc później swój czas na działalność w Warszawie, w Berlinie i dość regularne odwiedziny Kwidzyna. Dzięki współpracy z innym kwidzynianinem, Krzysztofem Karaskiem, w ogólnopolskim piśmie literackim *Nowy Wyraz* opublikowano Jego opowiadanie „Kwakin”.

Anna Karpenko – socjolog, doktor nauk politycznych. Zainteresowania naukowe - tożsamość regionalna Obwodu Kaliningradzkiego. Od 2012 - koordynator grupy inicjatywnej dla zachowania dziedzictwa historycznego Kaliningradu „Miasto K.” Niezależna badaczka z Kaliningradu, specjalizująca się w badaniu socjologicznych aspektów oraz regionalnej tożsamości w Kaliningradzie.

Andrzej Kasperek – ur. w 1958 w Stegnie. Prawie całe życie spędził na Żuławach. Po studiach na Uniwersytecie Gdańskim (seminarium Marii Janion), działalności w SKS, zakładaniu NZS i pracy w DKF „Żak” od ćwierć wieku oddaje się pracy nauczycielskiej w nowodworskim liceum. Autor tomu *Back in the DDR* i inne opowiadania, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2010, który znalazł się w Finale Nagrody literackiej Gdynia 2011. Aktualnie opublikował książką poświęconą inspiracjom malarskim w twórczości Jacka Kaczmarskiego pt. *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło Wschodnie*. Mieszka w Nowym Dworze Gdańskim.

Jerzy Kosacz – ur. w 1942 w Budślawiu (obecnie Białoruś). Absolwent Wydziału Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Pracował jako robotnik w Stoczni Gdańskiej, bibliotekarz w Kwidzynie, nauczyciel akademicki w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku, kierownik Biblioteki w Kwidzynie. Od 1980 przewodniczący MKZ „Solidarność” w Kwidzynie, współzałożyciel i redaktor *Biuletynu Związkowego MKZ NSZZ <<Solidarność>> w Kwidzynie*. 12 XII 1981 zatrzymany, internowany w Iławie, zwolniony 18 I 1982, następnie zwolniony z pracy. W latach 1982-1990 prowadził własny zakład stolarski w Białkach k. Kwidzyna. W latach 1984-1985 przewodniczący podziemnej MKK „S” w Kwidzynie, 1985-1989 członek TZR „S” w Elblągu. Odznaczony Krzyżem Semper Fidelis (2003), Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2006). Mieszka w Saclinkach.

Maciej Kraiński – ur. w 1950 r. w Gdańsku. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu i Uniwersytecie Gdańskim. Współzałożyciel pisma literackiego *Litteraria*. Założyciel i pierwszy prezes Koła Młodych przy ZLP w Gdańsku. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 r. W latach 1999-2003 dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Gdańsku. Prezes i założyciel Stowarzyszenia Günthera Grassa. Pomysłodawca

i współtwórca obchodów 80-tych urodzin noblisty w Gdańsku w 2007 r. W latach 2005-2006 współpracownik *Dziennika Bałtyckiego*. Współpracował także z miesięcznikiem Punkt i Dziennikiem Londyńskim. Wydał tomik poezji Jelita i współtworzył almanach poetycki *Nowy transport posągów*. Od 2009 roku tworzy Muzeum Tradycji Szlacheckiej w Waplewie Wielkim oddział Muzeum Narodowego w Gdańsku. W 2010 roku wydał książkę *Panowie na Waplewie*.

Izabela Lewandowska – absolwentka historii UMK, historyk, dydaktyk, regionalista. Adiunkt w Instytucie Historii i Stosunków Międzynarodowych UWM w Olsztynie. Autorka i redaktorka prac: *Scenariusze lekcji historii, Historyczna świadomość regionalna. Z badań nad młodzieżą licealną Warmii i Mazur, Śladami polskich szkół na południowej Warmii 1929-1939, Dziedzictwo ziem pruskich. Dzieje i kultura Warmii i Mazur. Podręcznik dla młodzieży, Ziemie pruskie w podręcznikach Polski, Niemiec, Litwy i Rosji* (wspólnie z Stephanie Zloch), *Trudne dziedzictwo ziemi Warmia i Mazury 1945-1989*. Członek Polskiego Towarzystwa Historycznego, Towarzystwa Naukowego im Wojciecha Kętrzyńskiego, Towarzystwa Historii Mówionej, Towarzystwa Naukowego „Pruthenia”, Społecznego Komitetu Ratowania Dawnych Cmentarzy na Warmii i Mazurach.

Andrzej Lubiński – ur. w 1952 r. w Gniewie, Absolwent LO w Sztumie i Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu (historia). Zainteresowania - historia regionalna Pomorza i Powiśla. Publikacje w *Komunikatach Mazursko Warmińskich, Roczniku Elbląskim, Studiach Elbląskich, Z dziejów Sztumu i okolic*. Współautor książki *Bank Spółdzielczy w Sztumie 1910-2010*. Uczestnik i wykładowca kilku sympozjów naukowych. Mieszka w Sztumie.

Dorota Maluchnik – ur. w 1963 r. w Malborku. Absolwentka LO w Sztumie i teatrologii na UJ w Krakowie. Nauczycielka języka polskiego i angielskiego. Publikacje w *Regionach Elbląskich*. Nagroda poetycka w 2001 w Kaliszu oraz amerykańskiego portalu citic`'s award. Publicystka, tłumacz, krytyk teatralny. Mieszka w Sztumie.

Anna Misiewicz – uczennica I Liceum Ogólnokształcącego w Kwidzynie. Laureatka Konkursu Debiutu w 2013 roku, organizowanego przez Bibliotekę Miejsko-Publiczną w Kwidzynie.

Janusz Moździerz – absolwent Liceum im. H. Sienkiewicza w Malborku oraz ART w Olsztynie. Był nauczycielem w Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym w Malborku. Debiutował jako laureat ogólnopolskiego konkursu na prozę współczesną opowiadaniem *Gdziekolwiek jesteś* w Almanachu Wyd. „Iskry” na początku lat osiemdziesiątych. Publikował prozę i poezję w *Tygodniku Kulturalnym*. Elbląskie Towarzystwo Kulturalne wydało mu arkusz poetycki pt. *Szare Tatuaze*. Jego opowiadania ukazywały się w *Akencie, Autografie, Tyglu* i *Toposie* oraz w czasopismach regionalnych, a także w Polskim Radio w Szczecinie i Olsztynie. Współpracuje z prasą Wybrzeża; obecnie jako autor felietonów. Wydał 3 zbiory opowiadań: *Krzyk kani*: (1999), *Konik polny* (2006) i *Dzikie trawy* (2007). Jest członkiem Stowarzyszenia Elbląski Klub Autorów SEKA. Mieszka w Malborku.

Wiesław Olszewski – ur. 1957 r. Absolwent Akademii Rolniczo – Technicznej w Olsztynie, rolnik. Inicjator reaktywacji struktur Polskiego Towarzystwa Turystyczno – Krajo-

znawczego w Nowym Dworze Gdańskim. Współzałożyciel i Prezes Klubu Turystycznego PTTK w Nowym Dworze Gdańskim. Przewodnik po Muzeum Stutthof.

Piotr Ostrowski – ur. w 1948 r. w Malborku. Absolwent Liceum Pedagogicznego w Tczewie, przez wiele lat nauczyciel w Szkole Podstawowej w Gościszewie, obecnie na emeryturze. Mieszka w Gościszewie.

Aleksandra Paprot – ur. w 1988 r. w Malborku. Kulturoznawca i etnolog. Doktorantka w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Sekretarz Sekcji Stroju Ludowego przy Polskim Towarzystwie Ludoznawczym. Laureatka III edycji konkursu „Polska wieś - dziedzictwo i przyszłość” organizowanego przez Fundację na Rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa oraz „Konkursu Na Najlepsze Prace dotyczące Żuław Deltę Wisły – edycja 2011 i 2012” organizowanego przez Stowarzyszenie Żuław. Autorka licznych prac i publikacji poruszających problematykę Żuław m.in. książki *Stara Kościelnica. Dzieje żuławskiej wsi*. Pochodzi ze Starej Kościelnicy na Żuławach, a korzenie jej przodków sięgają Kielecczyny i Grodzieńszczyzny.

Piotr Piesik – ur. w 1962 r. w Malborku. Przez dwadzieścia lat mieszkaniec Częstochowy, od 2009 roku ponownie w rodzinnym mieście. Absolwent nauk politycznych na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Dziennikarz. Pracował m.in. w tygodniku *Wiadomości Elbląskie*, częstochowskim oddziale *Dziennika Zachodniego*, radio City i telewizji „Orion” w Częstochowie. W latach 2000 - 2003 redaktor naczelny dziennika *Życie Częstochowy*. Obecnie redaktor prowadzący oddziału *Dziennika Bałtyckiego* w Sztumie. Z zamiłowania chórzysta, śpiewał m. in. w chórze „Lutnia” w Malborku i Częstochowskim Chórze Kameralnym przy Filharmonii Częstochowskiej.

Lothar Quinkenstein – ur. 1967 w Bayreuth. Wychował się w Kraju Saary. Absolwent filologii germańskiej i etnologii w Freiburg im Breisgau. Pracował jako nauczyciel języka niemieckiego w St. Petersburgu i w Mielcu. Od 1999 r. starszy wykładowca w Instytucie Filologii Germańskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Ostatnie publikacje: *Beim Stimmen der Saiten (Przy strojeniu strun, wiersze, 2007)*, *Einige Momente Karls (Kilka chwil Karla, opowiadanie, 2010)*. Publikuje artykuły literaturoznawcze, eseje oraz recenzje w niemieckich i polskich czasopismach. Stypendysta Willi Decjusza w Krakowie. Kilka ostatnich lat mieszkał w Malborku, obecnie w Berlinie.

Marcelina Rodziewicz – ur. w 2001 roku. Obecnie jest uczennicą 6 klasy Szkoły Podstawowej nr 9 im. Kazimierza Jagiellończyka w Malborku. Zainteresowania ma wszechstronne: czytanie książek, muzyka, komputer, historia starożytnej Grecji, sport (pływanie). Prowadzi swojego bloga, na którym zamieszcza napisane przez siebie opowiadania.

Janusz Ryszkowski – ur. w 1955 w Opaleniu. Absolwent Filologii Polskiej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. W latach 1984-2009 dziennikarz *Wieczoru Wybrzeża*, *Wiadomości Elbląskich* i *Dziennika Bałtyckiego*. Jako poeta debiutował w 1975 roku w Nowym Wyrazie, jako krytyk literacki trzy lata później na łamach *Nowych Książek*. Opublikował tomiki: *Wiersze* (1983), *Stan podgorączkowy* (nagroda im. Kazimierzy Iłłakowiczówny na najlepszy książkowy debiut 1985 roku), *Płatny romans*, *Prywatne śledz-*

two (1992), *Do snu nie przemycisz domowych zapachów* (2001). Autor reportażu *Requiem dla hrabiego* (1997), *W podróży po ziemi sztumskiej* (2010), współautor albumów starych pocztówek oraz fotografii *Sztum-Stuhm* (2000) i *Odcienie szarości* (2003). Z Krystyną Błaszczuk-Ryszkowską przygotował antologię *Oko judasza* (2007), złożoną z prac literackich nadsyłanych od 1992 na Ogólnopolski Przegląd Sztuki Więziennej w Sztumie. Mieszka w Sztumie.

Lukasz Rzepczyński – ur. 1981 roku, mieszka w Kwidzynie. Z wykształcenia politolog, absolwent Wyższej Szkoły Zarządzania w Kwidzynie. Obecnie na UMK w Toruniu studiuje - Zabytkoznawstwo i Konserwatorstwo Dziedzictwa Architektonicznego (Podyplomowe Studia). W 2013 roku otrzymał tytuł Społecznego Opiekuna Zabytków. Od kwietnia 1999 roku jest aktywnym członkiem Towarzystwa Miłośników Ziemi Kwidzyńskiej. Jest znanym w Kwidzynie i powiecie popularizatorem wiedzy o przeszłości i zabytkach regionu zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży. Jest laureatem wielu konkursów krajobrazowo – historycznych, współorganizatorem wielu wystaw związanych z historią ziemi kwidzyńskiej, cenionym kolekcjonerem. Od ponad 20-stu lat kolekcjonuje pamiątki związane z przedwojennym Kwidzynem (Marienwerder). Prowadzi blog o tematyce historycznej na którym prowadzi badania z historii miasta - <http://kwidzyn-muzeum-lukasz.blogspot.com>

Leszek Sarnowski – ur. w 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego. Jako dziennikarz współpracował z *Gazetą Wyborczą*, *Dziennikiem Bałtyckim*, Radiem Gdańsk, Radiem Plus, TVP Olsztyn, TVP Gdańsk. Przewodniczący Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w Sztumie w 1989 roku. Redaktor naczelny *Sztumskiej Solidarności* i *Gazety Sztumskiej* w latach 1989-93. Wydawca i redaktor książki *Od „Solidarności” do społeczeństwa obywatelskiego* (2005). Założyciel Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie, pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika *Prowincja*. Obecnie dyrektor Departamentu Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Miejskiego w Elblągu. Mieszka w Sztumie.

Mariusz Stawarski – ur. w 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Od 1990 roku mieszka i pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawiennictwem i grafiką użytkową. Od 1986 roku zajmuje się malarstwem liryczno-groteskowym, wystawianym i nagradzanym w wielu krajach i zagranicznych konkursach – Grand Prix Satyrykonu 1998, Secend Prize Istanbul - Turcja. Mieszka w Malborku.

Marek Stokowski – ur. w 1957 r. w Warszawie. Absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Kustosze w Muzeum Zamkowym w Malborku. Prowadzi unikalne w skali kraju gry edukacyjne i przygodowe dla młodzieży i dorosłych. Autor książek beletrystycznych i edukacyjnych. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał m.in. *Dzień nad ciemną rzeką* (1996), *Sny dla dorosłych i dla dzieci* (1998), *Legends i opowieści zamku Malbork* (2002, 2005), *Krzyżacy, ich państwo i zamki* (2003), *Błazen* (2004), *Noc tajemnic* (2005), *Samo-loty* (2005), *Stroiciel lasu* (2010). Mieszka w Malborku.

Krzysztof D. Szatrawski – pracownik naukowy Uniwersytetu Warmińsko Mazurskiego, a także działacz wielu stowarzyszeń kulturalnych. Promotor pracy dyplomowej na temat

kwartalnika *Prowincja*. W przyszłym roku, nakładem Borussii, ukaze się jego nowa książka poetycka *Wiek nowy*.

Tomasz Wandzel – ur. 1975 r. w Głucholazach. Od najmłodszych lat zapalony turysta górski. W 1998 roku traci wzrok. Cztery lata później rozpoczyna studia na UMK w Toruniu i angażuje się w działalność studenckiej gazety. Od 2004 roku mieszka wraz z żoną i dziećmi w Prabutach. Poza pracą zawodową publikuje reportaże oraz krótkie formy prozatorskie. W 2010 roku zajmuje I miejsce w ogólnopolskim konkursie na reportaż prasowy im. Macieja Szumowskiego. W 2011 roku wydał debiutancką książkę *Dom w chmurach*, a następnie *Hycel* (2012) i *Grzeczna dziewczynka* (2013)

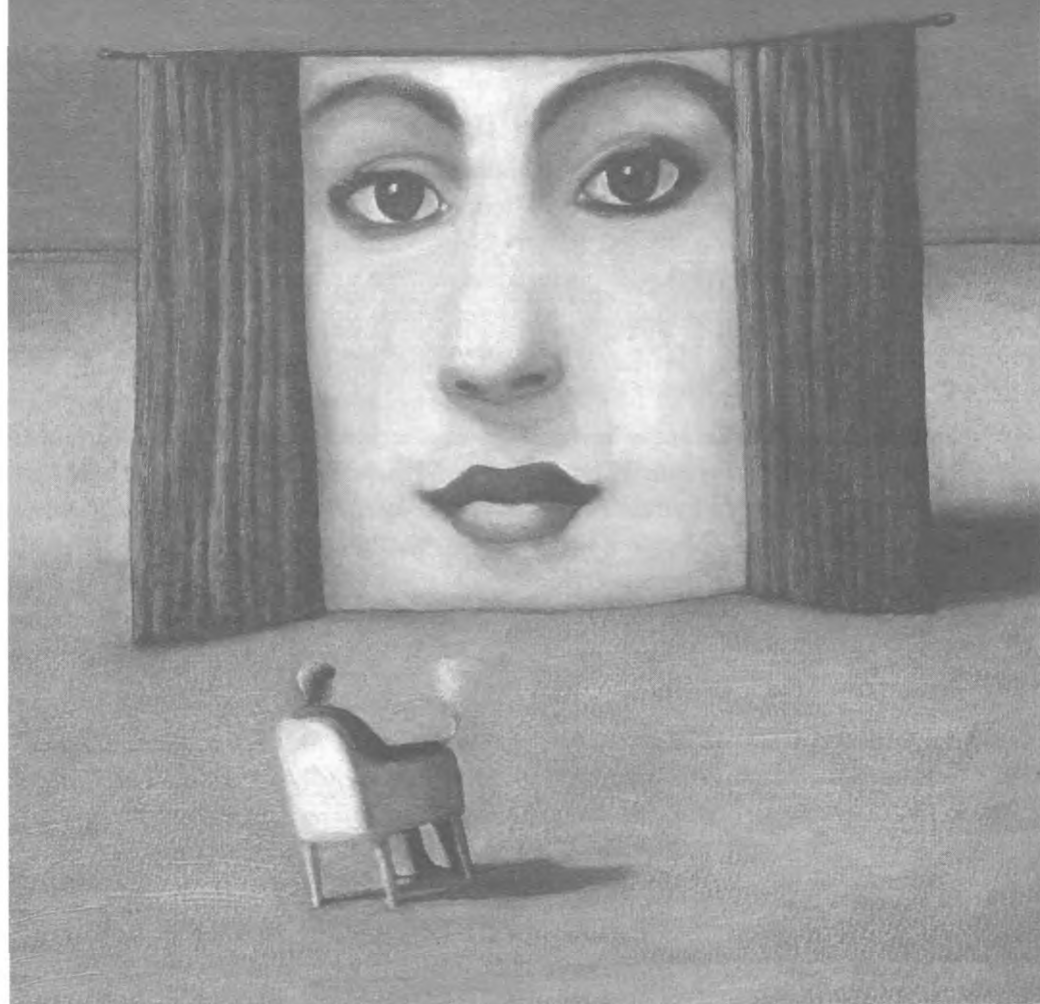
Jurgen Weigle – ur. w 1930 roku w ówczesnym Wolnym Mieście Gdańsk. W 1945 roku uciekł do Lubeki. Ochrzczony został w roku 1948 w Hamburgu-Altona. W 1954 roku wyemigrował do Szwecji. Ze strony mamy pochodzi z flamandzkich menonitów, którzy w XVI wieku osiedlili się w okolicach Gdańska. Ze strony ojca pochodzi z kolonistów z Wirtembergii, którzy przywędrowali około roku 1780 z okolic Stuttgartu, aby odbudować obszary położone na południu od Gdańska, tak zwaną Wysoczyznę Gdańską.

Agata Weydmann – ur. w 1980 r. w Warszawie, z wyboru gdynianka. Absolwentka Oceanografii na Uniwersytecie Gdańskim i Międzyuczelnianego Wydziału Biotechnologii UG-AMG, w 2010 r. uzyskała stopień doktora Nauk o Ziemi. Adiunkt w Instytucie Oceanologii Polskiej Akademii Nauk w Sopocie, gdzie zajmuje się wpływem zmian klimatu na ekosystem w Arktyce. W ramach działań firmy AZB brała udział w projekcie „*Inwentaryzacja populacji bobra europejskiego – Żuławy Wiślane w obszarze województwa pomorskiego z określeniem sposobu minimalizacji szkód*”.

Bogumił Wiśniewski – ur. w Kwidzynie. Ukończył archeologię o specjalności architektura zabytków na UMK w Toruniu. W latach 1994 – 98 był radnym Rady Miejskiej w Kwidzynie, a od 2001-2 zastępcą burmistrza Kwidzyna. Znawca i miłośnik Kwidzyna i okolic. Obecnie pracuje w Urzędzie Miejskim w Kwidzynie. W 2006 r. zainspirował poszukiwania doczesnych szczątków błogosławionej Doroty z Mątów Wielkich oraz poszukiwania w kwidzyńskiej Katedrze p.w. św. Jana Ewangelisty, pochówków trzech wielkich mistrzów Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie. Odkryto je w 2007 roku. Mieszka w Kwidzynie

Adrian Zwolicki – ur. w 1977 r. w Rabce, mieszka w Gdyni. Absolwent Biologii Uniwersytetu Gdańskiego, gdzie w 2006 r. uzyskał stopień doktora. Adiunkt w Katedrze Ekologii i Zoologii Kręgowców na Wydziale Biologii Uniwersytetu Gdańskiego. Jego zainteresowania naukowe obejmują wpływ zwierząt na funkcjonowanie ekosystemów, zajmuje się badaniem kolonii ptaków morskich w obszarach polarnych oraz bobrami w Borach Tucholskich i na Żuławach Wiślanych. Właściciel firmy AZB prowadzącej projekt „*Inwentaryzacja populacji bobra europejskiego – Żuławy Wiślane w obszarze województwa pomorskiego z określeniem sposobu minimalizacji szkód*”.

Andrzej Kasperek
Koronczarka



JUŻ WKRÓTCE W BIBLIOTECE „PROWINCJI”



